

**Maja Lidia
Kossakowka**

Zbieracz Burz

tom II

trident

2010

Wydanie polskie

Data wydania:

2010

Ilustracja na okładce:

Piotr Cieśliński

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c
biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-7574-215-2

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks
tridentebooks@gmail.com

Rozdział I

Telefon milczał.

Cisza w antykwariacie z każdą uciekającą minutą gęstniała niczym dym. Smog znad pogorzeliiska. Paskudny, ciężki swąd zawiedzionych nadziei. Asmodeusz siedział przy biurku, starając się nie wyłamywać palców, nie bębnić po blacie, nie bawić się egipskim skarabeuszem, służącym za przycisk do papierów, a szczególnie nie gapić wyczekująco to na komórkę, to na wielki, czarny przedwojenny aparat ze słuchawką przypominającą osobliwego morskiego ślimaka.

A telefony milczały zawzięcie.

Nie-za-dzwo-ni, stukał w rytm przyspieszonego pulsu złośliwy, uporczywy telegraf przecucia.

Paskudnego jak pogoda w przeddzień Potopu.

Nie-za-dzwo-ni.

Nie-za-dzwo-ni.

Nie-dzwo-ni.

Nie.

Skarabeusz wyślizgnął się z palców, z łomotem spadł na szklany blat biurka, sztywne płatki papierów posypały się na podłogę, strącona nieopatrzny ruchem komórka rzuciła się w ciemną przepaść między nogami mebla, wciąż milcząca niby bohaterski straceniec.

Nic. Bodaj esemesa. Cholera. Niech to Głębia popieści! Na Seta, Nergala, Hedorę i resztę mrocznego tałałajstwa! *La dracu! Ftaghn!*

No, toś se, chłopie, poromansował. Nie ma co. Roztoczyłeś wokół oszałamiający opar uroku osobistego. Szczerzyłeś zęby, stawałeś na łbie, fikając nogami, robiłeś z siebie żalostnego balona, to teraz masz. Zeżryj, coś wysmażył.

Zrobiłeś tak piorunujące wrażenie, że laska od trzech dni nie może sięgnąć po telefon i wystukać twego numeru. To z braku tchu pewnie. Normalnie ją zatkało.

Srita, tita, Pan Wielka Tajemnica zaciągnie cię w krzaki, żeby ci pokazać Mitrę. Dobre. Naprawdę dobre. Istny numer na premierę. Tyle że publice chyba się nie spodobało.

Schylił się, podniósł komórkę i ze złością cisnął na biurko.

Hałas obudził widmokota, który spał zwinięty w kłębek na stercie koptyjskich gobelinów. Nefer przeciągnął się, wygiął grzbiet, a potem ziewnął potężnie, prezentując zęby godne tygrysa.

- Nie przejmuj się. To zła kobieta była. Skocz do Głębi na demonice, a zaraz poczujesz się lepiej. I w dodatku nie musisz płacić, nie? Wszystko twoje.

Zgniły Chłopiec obrócił się gwałtownie. Nie włożył soczewek kontaktowych, więc jego nieludzkie, fiołkowe oczy świeciły niczym dwa złowrogie reflektory. Bliźniacze, nabuzowane furią strumienie zabójczych laserów.

- Zamknij się! - warknął wściekle.

Nefer obojętnie polizał łapkę.

- Czego się wkurzasz? Pocieszyć chciałem. Zamiast zapadać się w sobie jak czarna dziura, lepiej byś się ze mną pobawił. Podobno to bardzo odpręża. Trzydzieści minut codziennego igrania z domowym zwierzątkiem zmniejsza o jedną czwartą ryzyko zawału serca albo wystąpienia objawów *angina pectoris*. A może puchliny kolan? Zapomniałem. Nieważne. Grunt, że to dobrze i zdrowo. No, nie bądź żyła, ciśnij mi suszony łeppek polinezyjskiego kanibala. Przecież też ci się chce śmiać, kiedy wepchnięty pod szafę zaczyna kłać i wywracać oczami.

W jednej chwili z Asmodeusza zeszło całe powietrze. Pozostało tylko gorzkie, przytłaczające przygnębienie.

Czego się tak rzucam, pomyślał z niechęcią. Potrzebne mi to? Zadzwoni, nie zadzwoni. Wszystko jedno. Jakoś przeżyję. Za stary jestem na romantyczne porywy otellońskiego gniewu. Za stary i za bardzo przeżarty zdrowym cynizmem Głębianina.

- Idź w cholerę, Nefer. Sprawdź, czy cię nie ma w sarkofagu. Albo lepiej za drzwiami. Od zewnątrz, gdybyś nie zrozumiał.

Kot prychnął.

- Niewdzięcznik! Taka odplata za moje szczerozłote egipskie serce. W dzisiejszych czasach nikt już nie umie docenić porządnego kota. Wiesz, co pisał Herodot o moim rodzinnym, nieodżałowanym Czarnym Kraju? Lud znad Nilu tak ukochał swoje nieocenione kicie, że w razie pożaru domu najpierw ratował dzieci i koty, a dopiero potem resztę dobytku. Rany, gdzie te piękne czasy? Wokół sama, czarna jak przeklęty Anubis, niewdzięczność...

Zgniły Chłopiec spojrzał podejrzliwie na swoje martwe od wieków domowe zwierzątko.

- Nefer, czyś ty przypadkiem nie dobrał się do flakonika najczystszej ambrozji, co? Tego, który przyjechał wczoraj razem z lekytem białogruntowanym zawierającym resztki duszy Orfeusza i dokerką wydzierganą ze złotego runa przez znudzonego Jazona? Przyznaj się! Obrobiłeś moją najnowszą dostawę greckich artefaktów?!

Widmokot oblizał pyszczek różowym jak plaster szynki językiem.

- Jasne! - oznajmił radośnie. - To dziwne blade mleko wychłęptałem co do kropelki! Było nawet niezłe, tylko trochę ciągnęło piwnicą. A czapeczka jest tutaj. Spałem na niej.

Podniósł na jednym pazurku utyłany w kurzu i pajęczoszarawej sierści smutny, bezkształtny woreczek.

Asmodeusz jęknął w duchu.

Super. Mam teraz w firmie pijaną zjawę starożytnego kota i zmarnowany helleński chłam za kupę forsy. A ten cholerny telefon nie dzwoni.

- Drrryń! - powiedział nagle morski ślimak słuchawki.

Mod rzucił się do aparatu.

- Halo? - szepnął bez tchu.

- Pan Markolf? Saturnin Markolf? - spytał mocno schrypnięty męski głos.

Nie, palancie! Pieprzony demon Asmodeusz w wyjątkowo podłym humorze! - miał ochotę wrzasnąć Zgniły Chłopiec, ale zdołał się powstrzymać.

- Antykwariusz. Słucham? - rzucił oschle.

- Bardzo się cieszę - ciągnął ochryply. - Pańskie usługi polecił mi przyjaciel, który nie mógł się nachwalić...

Asmodeusz przestał słuchać.

* * *

Kiedy jesteś samotnym demonem na pustej, zimnej, niegościnniej Ziemi, kiedy za towarzystwo masz milczący telefon i nawalonego, widmowego kota, możesz nabrać ochoty, żeby się po prostu upić. I to nie żadnym tam ziemskim sikaczem, tylko porządną głębiańską gorzałą. Taką, którą potrafi pędzić w chwilach melancholii stary, poczciwy Mefisto. Złotą jak płomień lata, zjadliwą niczym ironia, złą niby twoje własne, demoniczne serce.

Tyle że właśnie postanowiłeś bawić się w człowieka. Porzucić dom, kumpli, dobrze prosperujący interes i przeprowadzić się z trzaskiem na zapyziałą, biedną trzecią planetę od Słońca, żeby leczyć swoje urojone neurozy. No bo właściwie, po diabła to zrobiłeś? Dla tej biednej, małej ifrytki, którą twoja szanowna mamusia miała fantazję zamordować jakieś trzy czy cztery wieki temu? Daj spokój, stary. Miej tyle uczciwości, żeby przyznać przed sobą, że nie bardzo już pamiętasz, co właściwie widziałeś w tej niby miłości twego życia. No słodka była i śliczna, i całkiem taka sama jak setki podobnych. Dżinnii, ifrytek, Głębianek, nawet skrzydlatych, niech Otchłań przetrąci te zimne, napuszone, świętoszkowate gidie.

Ziemianki. No, one przynajmniej są inne. Ostre. Wyraziste. Z charakterem. Różnorodne jak ryby w Jeziorze Płomieni. Nigdy nie wiesz, co złowisz. I czy zdobycz nie odgryzie ci aby palca, śmignąwszy z powrotem w bystre fale życia.

Taa. Cholerne Ziemianki.

Powiedziałeś: „bystre fale życia”? Ty, który pomagałeś Boccacciowi pisać „Dekameron”? Demon z ambicjami literackimi? Rany, chłopie, odstaw tę wodę, bo robi ci z mózgu wodę z zęzy Arki Noego.

Co z tobą właściwie? Dotknął cię kryzys wieku średniego? Przecież masz dopiero kilkaset tysięcy lat. Za wcześnie na takie numery.

Rzuć to w czorty i wracaj do Głębi. Lucek cię potrzebuje. Wygląda na to, że znów wpakuje się w coś cuchnącego. Coś, co przyklei się do niego na dobre parę wieków. Albo na infernalne zawsze.

Wystawiasz jedyne prawdziwego przyjaciela. I to dla kogo? Dla ludzkiej lafiryndy. Tej małej Blanki Krammer, z fryzurą tyfusowego dziecka i oczami jak niebo nad Królestwem.

Dlaczego ona nie dzwoni? Przecież obiecała. Powiedziała na odchodnym: „Odezwę się”.

Szlag, a może: „Odezwij się”? Do diabła, do cholery, Mod! Ty idioto! Ty zapijaczony synu pary najgorszych kanalii we wszechświecie! Przypomnij sobie. Co ona, do całego kosmicznego chłamu, powiedziała? No?

Nie pamiętał. Siedział przy biurku, gapił się na własne palce zaciśnięte na szklance i nie pamiętał.

A przepojona melancholią gorzałka Mefistofelesa buzowała mu w głowie jak flara. Dwie pochodnie Kautesa i Kautopatesa. Raz w górę, raz w dół. Życie i śmierć. Śmierć i życie.

Trzeba wybrać.

Warto wybrać.

Naprawdę.

Więc sięgnął po komórkę, teraz, nagle, szybko, zanim odurzające złoto wyparuje, zostawiając tylko smutek i gigantycznego kaca, wybrał numer i czekał. A jego demoniczne, złe serce czekało wraz z nim, zamarłe, nie ośmieliwszy się uderzyć.

- Halo? - powiedział odległy, stłumiony głos.

- Blanka? To ja, Saturnin - nic więcej nie potrafił wykrztusić.

- Saturnin? - powtórzył głos.

I była w nim ulga, i niepokój, i wyczekiwanie, i jeszcze coś, czego Zgniły Chłopiec nie potrafił określić, coś słodkiego, ulotnego i cenniejszego nad wszystkie skarby Ofiru.

A wtedy trzecia planeta od Słońca drgnęła, zawirowała jak karuzela, rozjarzyła się tysiącem światła, barw i zapachów. Wypiękniała. Naprawdę, otworzyła się jak pęk piwonii. A krew w żyłach demona, który liczył sobie przecież zaledwie kilkaset tysięcy lat, znów mogła popłynąć wartko i żwawo. W stronę nadziei. W kierunku życia.

* * *

To był stary dom. O wysokich oknach i spadzistym dachu. W mansardowe lukarny na strychu wprawiono kolorowe szybki. Kominy wyciągały się ku światłu jak osobliwe pędy. Białe gzymsy wieńczyły framugi, parapety zrobiono z solidnego kamienia, pośrodku litych, drewnianych drzwi tkwiła wykrzywiona gęba kołatki. Ganek rozwierał szeroko ramiona balustrady. Werandę oplatał gąszcz dzikich róż.

Tak, to z pewnością był stary dom, opatulony niczym pledem zielonym, kosmatym ogrodem.

Dobry dom, żeby w nim żyć i snuć marzenia.

A także, być może, umrzeć. Kiedyś.

Leokadia Welman nie czuła się jeszcze tak wiekowa, żeby o tym myśleć. W każdym razie nie za często.

Lubiła swoje kwiaty, kominki i bibeloty. Porcelaną, skórzane fotele, sofę z poduchami. Lubiła stylową, ulotną aurę spokoju otaczającą posesję.

Ucieszyła się, gdy w starej szopie, zwanej niegdyś szumnie „domkiem dla gości”, zamieszkały koty. Cały klan popielatych jak babie lato zwierzaków o turkusowych i szmaragdowych oczach. Postawiła im zaraz miseczki z mlekiem, karmą i resztkami z kuchni. W końcu ogród był bardzo duży. Nie znalazła powodu, by nie dzielić go z nowymi lokatorami. Przynajmniej szczury się wyprowadzą.

Suczka Funia i kotka Pusia, rezydujące w domu, tak przyrosły do kanapy, że rzadko wychylały nos poza werandę, a w okolicy domku dla gości nie zapuszczały się nigdy, więc odpadł problem terytorialnego konfliktu.

No i jeszcze ten sen.

Ten ciepły jak wrześnieowe popołudnie, ożywczy sen, po którym Leokadia obudziła się spokojniejsza i weselsza niż zwykle. Przepojona nagłym poczuciem, że nie jest już sama, że w domu pojawił się gość. Łagodny, serdeczny, przyjazny opiekun. Anioł. No pewnie, że anioł. Co z tego, że niski, chuderlawy, biały jak mgła, z włosami przypominającymi rozczapierzonego mopa?

Anioł to anioł. Liczy się sztuka, nie wygląd.

Poza tym miał naprawdę dobre oczy.

- Możemy tu zamieszkać? - spytał, gdy śniła. - Tylko na jakiś czas. Na krótko. Postaramy się nie sprawiać za dużo kłopotów.

Usiadła na łóżku, wcale nieskrępowana nocnym negliżem.

- Och, oczywiście. Bardzo się cieszę. Zostań, jak długo chcesz.

Uśmiechnął się i to był także piękny, prawdziwy uśmiech. Taki, jakim tylko anioły potrafią wyrażać radość.

- Dziękuję - powiedział. - To wspaniale. Jestem bardzo wdzięczny. Urządzimy się w szopie na tyłach ogrodu, dobrze?

- Nie, nie! - zaprotestowała. - Ty, posłaniec z Nieba, i twoi przyjaciele, kimkolwiek są, powinniście przecież mieszkać w domu. Zaraz przygotuję pokoje.

Potrząsnął głową, nie przestając się uśmiechać.

- Od wieków nie byłem w Niebie, Leokadio. A moim przyjaciołom będzie znacznie wygodniej w szopie. Naprawdę. Dziękuję za gościnę. Pewnie nie zabawimy długo. Do zobaczenia.

Poczuła ukłucie żalu pod mostkiem.

- Nie odchódź! - zawołała.

- Wcale nie odchodzę. Przecież pozwoliłaś mi tu mieszkać - oznajmił poważnie.

A potem rozwiął się jak opar.

Rankiem szare koty już buszowały po ogrodzie.

* * *

Unosił się głęboko w wodzie, ciemnej jak butelkowe szkło. Gładkiej, gęstej, ciepłej toni snów i majaków. Gorączki.

Światło znajdowało się gdzieś nieskończenie wysoko, widoczne tylko czasami przez lepki mrok mętnej toni. Były chwile, gdy bardzo chciał wyrwać się ku niemu, popłynąć w górę, zaczerpnąć tchu, wciągnąć w płuca prawdziwe, ożywcze powietrze, a nie tę dławiącą, rozpaloną maź. Były chwile, gdy naprawdę wierzył, że potrafi to zrobić. Ale nie miał siły. Dryfował pod powierzchnią świadomości, niezdolny się ocknąć, poruszyć, otworzyć oczu.

Ciężka woda zalewała go, ciągnęła ku dnu, pełnemu rozgrzanego błota, kleistego mułu i odwiecznych potworów. Gdyby się tam znalazł, już nigdy nie ujrzalby słońca. Stałby się cieniem wśród cieni. Topielcem w bagnie gorączki.

Nie walczył jednak. Był zbyt słaby, żeby stawiać opór. Trwał, a wokół niego przelewały się mętne fale choroby.

Czasem, w brudnozłotej poświacie nad sobą, widział wykrzywioną, szpetną twarz, otoczoną mdłym nimbem żółtego blasku niczym szyderczą aureolą. Malował się na niej wyraz troski i współczucia. Przypominała odbicie oglądane w wypukłej, metalowej powierzchni. Może misce lub puszcze z wypolerowanego metalu. Jedno oko, małe i kaprawe, było tylko wygiętą w łuk szramą, drugie, wyłupiaste, blade, spoglądało cierpliwym, pustym wzrokiem ryby. Pod płaskim nosem otwierały się zdeformowane, bezkształtne usta, przywodzące na myśl otwór wyszarpany w sparciałej, brudnej gąbce. Zajęcza warga odsłaniała pozółtkłe, długie jak u nutrii zęby.

Mimo uderzającej brzydoty istota nie była zła. Nie, z pewnością nie należała do świata koszmarów. Starła się pomóc.

Czuwała nad nim, ta śmietnikowa święta. Nieustannie, spokojnie, łagodnie była obok, żeby odganiać stwory z dna mętnej wody, żeby nie pozwolić mu pograć się w odwiecznej głębinie.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób tego dokonuje, ale wiedział, że po to właśnie została powołana. Aby nie pozwolić mu osunąć się w mrok.

I nie pozwoliła. Bo chociaż brudna, lepka toń wciąż zalewała go do nowa, światła było coraz więcej. Mżyło niewyraźne niczym widoczna przez brudną szybę zapyziała, pokryta strupami martwych much żarówka. Ale wciąż go przybywało. Z każdym dniem przybywało, na kształt zimowego słońca po dniu przesilenia.

Aż wreszcie martwa woda wzburzyła się, zakipiła i wyniosła go na powierzchnię, gdzie była jasność, powietrze i ból, który natychmiast znów pozbawił go przytomności.

* * *

Rany, jaka ta Ziemia piękna! - myślał Zgniły Chłopiec. Co za fantastyczne miejsce do życia!

Chodniki lśniły po porannym deszczu, kamienice wystawiały na słoneczne promienie świeżo umyte, jasne fasady. Drzewa mrugały srebrem i zielenią liści. Nigdy przedtem nie zauważył, ile w mieście jest drzew.

Witryny sklepowe tryskały barwami, szyldy i reklamy wydawały się takie jasne, wesołe. Kup sobie coś fajnego! - zdawały się zachęcać. Jasne, że zamierzał ich Posłuchać. Bo to był właśnie taki dzień. Dzień, w którym warto zrobić sobie przyjemność. I komuś. Komuś bliskiemu. Zafundować mały drobiazg, niespodziankę. Sprawić radość.

Popołudnie otwierało się przed nim niczym lunapark. Wszędzie kręciły się karuzele, fruwały baloniki, a powietrze miało smak cukrowej waty.

Asmodeusz szedł szybkim krokiem, wcale nie kulejąc, i uśmiechał się do ludzi. Wyglądali tak rześko, krzepko, serdecznie, gdy mijali go na ulicy. Tacy różnorodni, pełni życia, ciekawi.

Ludzie. Fantastyczne stworzenia. Naprawdę niezły pomysł Jasności.

A kobiety. Dziewczyny! Cholera, ależ ładne są te Ziemianki. Krążą po mieście takie ciepłe, rasowe, ponętne. Prawdziwe. Z mnóstwem wad i słodkich, małych zalet.

Miał ochotę podarować każdej z nich kwiatek. Klejnot. Uśmiech. Błogosławieństwo wcale nie starego, wcale nie złośliwego diabła.

Trzymajcie się ciepło, ludzie, mówił w duchu do mijanych przechodniów. Niech was Mrok ukoi. Bez was jesteśmy tylko bandą zgorzkniałych, stetryczalnych, przedwiecznych cieni. Nikim. Duchami z zakisłych zaświatów. Wisimy na was. Żerujemy na blasku bijącym z waszych dusz. A wy wcale tego nie dostrzegacie. Więcej, nie doznajecie żadnego uszczerbku. Jesteście jak mikroskopijne słońca. Prywatne, buzujące mocą solarium Jasności. Piękni w jakiś niedoskonały, pociągający sposób.

Bawiło go, że w tym śpieszącym dokądś lub snującym się bez celu tłumie nikt nie widzi mnóstwa niematerialnych istot żyjących od wieków na Ziemi.

Zielony dzinn podpierał ścianę, w smagłej dłoni trzymał brzuchaty bukłaczek. Jego złote oczy patrzyły jednak chytrze i czujnie. Kilka śmietnikowych skrzatów starało się dzikimi minami i wrzaskami odpędzić od ciastka upuszczonego przez jakieś dziecko syczącą i prychającą chimere. Skrzydlata w stroju stróża holowała przez jezdnię staruszkę pełznącą przed siebie z uporem żuka toczącego kulkę. Dwa geniusze kłóciły się zaciekle w cieniu zaułka.

Życie. Wszędzie wokół kipiało, kłębiło się, buzowało życie. Ziemskie. Nieskomplikowane. Po prostu fajne.

A demon Asmodeusz, książę Otchłani, Wielki Zwierzchnik wszystkich kasyn i burdeli w Głębi, doradca i osobisty przyjaciel Lucyfera miał teraz tylko jeden problem. Jaki prezent sprawić Blance Krammer? Coś tak trywialnego jak kwiaty i czekoladki odpadało od razu. Biżuterię? Ryzykowne. I także dość pretensjonalne. Lot balonem? A jeśli ma lęk wysokości? Weekend na karaibskiej wyspie? Nie, cholera, na to jednak za wcześnie. To musi być rzecz

osobliwa i niezwykła. Fascynująca. W jej stylu. Więc co, do diabła?

Nie miał na razie pojęcia.

Ale to wcale nie psuło mu humoru. Ani trochę.

Przecież do wieczora zostało jeszcze kilka godzin tego cudownego, furkoczącego wokół balonikami i karuzelami szczęścia popołudnia.

* * *

Daleko, gdzieś na północnym skraju miasta, wysoki, smukły, czarnoskóry anioł w skupieniu wdychał powietrze przesycone słabym aromatem dymu z komina. Piękne, szmaragdowo-granatowe skrzydła trzymał ciasno złożone na plecach. Głowę miał odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte, twarz nieruchomą jak rzeźba z obsydianu. Tylko usta poruszały się bezgłośnie w monotonnej inwokacji.

W długich, szczupłych palcach prawej dłoni obracał sznur zielonkawych paciorków. Lewa ręka wprowadzała w ruch obrotową kołatkę. Głuchy, niegłośny klekot brzmiał groźnie, niczym przekleństwa, które mogłyby wydobywać się z ust kościotrupa.

Gdyby ktoś zrozumiał, o czym mówi kołatka, zadrżałby. Bowiem Mambea, czarny mag, szpieg i uczeń Razjela, istotnie pytał o radę umarłych. A gdy już ją uzyskał, zaprzestał śpiewnej, niesłyszalnej recytacji, strzepnął dłonie, jakby pozbywał się niewidzialnych kropel, i otworzył złociste, lwie oczy. Oczy polującego drapieżcy.

A potem uśmiechnął się.

W tym samym momencie nagrobna płyta, na której stał, pękła z trzaskiem. Lecz Mambea już zeskakiwał na trawę, zwinnie jak żbik.

Opuścił stary cmentarz, nawet się nie odwróciwszy, obojętny jak wiatr, który niesie w sobie odległy śwąd spalenizny.

* * *

Sabatel przechadzał się leniwie ulicą, szeroką niby przejście przez Morze Czerwone. Wokół połyskiwały wyniosłe, lśniące niczym zakrzepła woda, lustrzane ściany wieżowców. Tłum ludzi mieszał się, przenikał, splatał z tłumem istot z zaświatów. Głębian, Niebian, gnomów, sylfów, geniuszy, ifrytów, koboldów, skrzatów, a nawet salamander. Tu zawsze tak było. Rojno i gwarno. Wielkie miasto przyciągało wszystkich. Uczciwych skrzydlatych i szumowiny. Stróżów i demonicznych kusicieli. Ciężko pracujące ptactwo niebieskie oraz barwną, przeżartą dekadencją artystyczną bohemę. Dilerów trawki z Fatimy i mafiosów zajmujących się sprzedażą cięższego towaru. Gangsta bossów z Limbo i Otchłani, kroczących obok anielskich meneli, proroków wieszczących koniec dziejów i dzinnów stręczących przechodzone Głębianki.

Sabatel, agent cywilnego wywiadu Królestwa, jeden z asów Razjela, przez wieki przebywania na Ziemi zdążył się przyzwyczać do tego kolorowego bezprawia, radosnego szaleństwa życia bez nakazów i reguł Królestwa. Co więcej, bardzo mu tego brakowało, nawet gdy opuszczał posterunek na ledwie kilka dni, by osobiście zdać raport z ważnych wydarzeń samemu Księżciu Magów.

Na szczęście jednak od dłuższego czasu na jego odcinku nic specjalnego się nie działo.

Byle tak dalej, bracie, pomyślał, zatrzymując się przed straganem ulicznego sprzedawcy, starowego gнома o czerwonym nosie pijaka. Nabył lukrowanego pączka i kubek cienkiej, głębiańskiej kawy.

Skrzywił się, upiwszy łyk ciemnej, kwaśnawej brei. Straszna lura, stwierdził, uśmiechając się do siebie. Kupował tu drugie śniadanie od kilkunastu lat i nieustannie narzekał na jakość napoju, choć nigdy nie przyszło mu do głowy zmienić nawyków. Niektóre rzeczy powinny na zawsze pozostać na swoim miejscu.

Przynajmniej pączki były rewelacyjne. Odgryzł kawałek i żując, ruszył przed siebie.

Kiedy zobaczył przed sobą wysoką, zwalistą postać Lemuela, pomachał na powitanie. Stary żołnierz, weteran wielu bitew z Głębianami, po zakończeniu służby przeniósł się na Ziemię, żeby odpocząć od blichtru Królestwa. Często rozgrywał sobie z Sabatelem partyjkę szachów lub popijał piwo w pobliskim barze, zacisznej knajpce zwanej „Wielbłąd w Uchu”.

Oczywiście agent doskonale wiedział, że Lemuel pracuje dla wywiadu Michaela, ale nie wyrwał się z tymi rewelacjami. Oficjalnie przecież także przedstawiał się jako emerytowany stróż, który z sentymentu zdecydował się spędzić parę lat na ukochanej planecie Jasności. I obu było z tym znacznie wygodniej.

Stary żołnierz zbliżył się, a Sabatel natychmiast zauważył poszarzałą cerę i cienie pod oczami kolegi.

Chory biedak czy co? - zastanowił się.

Już otwierał usta do powitania, gdy Lemuel odrzucił połę płaszcza. Seraf 3 ciężki, nieco pokraczny niebiański pistolet z tłumikiem wlepił w niego nieruchome, złe ślepie lufy.

- Wybacz, bracie - wymamrotał poblady weteran.

Zaskoczony agent Razjela nie zdążył nawet krzyknąć. Seraf kaszlnął znacząco, Sabatel poczuł w głowie dziwne ciepło i głuchy, dudniący dźwięk, a potem chodnik poderwał się do pionu i uderzył go z impetem w twarz.

* * *

Maruchowi trzęsły się ręce. Źle, sprawy wyglądały źle. Fatalnie. Odebrany sygnał był jednoznaczny. Wszystkie kontakty spalone.

Zakręciło mu się w głowie. Wszystkie? Jak to, na Jasność? Niemożliwe. W całym swoim długim życiu agenta i szpiega nie zetknął się z taką sytuacją. W starannie tkanej, przez wieki

cyzelowanej sieci wywiadowczej Razjela zdarzały się niekiedy dziury, ale nigdy tak wielkie. Wpadki to rzecz normalna. Ale tutaj doszło chyba do jakiejś cholernej katastrofy. Jakby wielka fala tsunami powstała nagle z niczego na środku oceanu stabilizacji i zmiotła strukturę budowaną przez pokolenia. Owszem, praca w wywiadzie była trudna, obfitowała w niebezpieczeństwa, lecz teraz nie chodziło już o utratę kilku agentów czy nawet wybuch wielkiej afery, ale o przetrwanie.

Wojna? - pomyślał z trwogą Maruch. Niech nas Światłość broni, czy to oznacza wybuch kolejnej wojny?

Nawet przez chwilę nie chciał dopuścić tak strasznej możliwości. Kiedyś, podczas buntu Lucyfera, okrutna, bratobójcza walka wyniszczyła Królestwo i Głębię na całe tysiąclecia. Agent był wtedy młodym skrzydlatym, prostym szeregowym niebieskim, ale dobrze pamiętał grozę tamtej wojny. A przecież wtedy mieli do dyspozycji jedynie miecze, rydwany merkawot i starą, konwencjonalną broń jeszcze z epoki przedludzkiej. Teraz, gdy na pole bitwy wkraczała najnowocześniejsza, często zakazana, czarnomagiczna technika, w obliczu wszystkich współczesnych, coraz doskonalszych dział, karabinów automatycznych i wymyślnego sprzętu nowa wojna jawiła się jako koszmar, który może na zawsze zrównać z ziemią zarówno Królestwo, jak i Głębię.

Maruch zadrżał.

Nie umiał sobie nawet wyobrazić, do czego to wszystko by doprowadziło. Dlatego tak ważne jest, żeby zostawił wiadomość. To już ostatni punkt kontaktowy. Potem będzie mógł się ukryć i poczekać na dalsze instrukcje.

Byle przekazać ostrzeżenie i zapaść w bezpiecznej kryjówce. Już niedługo. Za chwilę. Po wykonaniu ostatniego zadania.

Na twarzy miał wystudiowany wyraz sennej obojętności. Mogło się wydawać, że drzemie. Oczy pod ciężkimi, półprzymkniętymi powiekami nie spoglądały czujnie ani bystro, gapiły się bezmyślnie w szarość zmierzchu, zmęczone, puste jak dwa szkiełka. Ot, zwykły, niepozorny skrzydlaty w burej, znoszonej tunice stróża miejskiej zieleni wracający z szczyty na kwaterę. Niebieski ptak. Każdy. Nikt.

Tylko w klatce zeber tłukło się niespokojne, strwożone serce wytrawnego agenta.

Spokojnie. Na razie było spokojnie. Żaden cień za nim nie pełził. Żaden wróg nie śledził. Czysto.

Tramwaj z mozołem gramolił się pod górę, sapiąc i dzwoniąc, pełził wąskimi uliczkami niczym znużona gąsienica. Fasady starych, ogromnych kamienic, uginające się pod ciężarem kamiennych puttów i girland oszpeconych gołębiim guanem marmurowych owoców, stawały się coraz bardziej odrapane, obskurne i brudne. Wysokie okna linały płatami obłazącej farby. W wielkich, paradnych bramach zwisały na urwanych zawiasach wykrzywione od wilgoci i upływu lat drewniane drzwi. Z gzymsów i balkonów, smętnie jak łupież, sypał się odpadający tynk. Barwne bazgroły graffiti na ścianach wyglądały jak symptomy wstydlivej choroby.

Nienawidzę tego syfu, pomyślał z nagłym obrzydzeniem Maruch. Kiedy tylko to wszystko się skończy, Wrócę do Królestwa. Poproszę o urlop, a może nawet przeniesienie. Należy mi się jak psu zupa. Na Jasność, przecież nie byłem w domu od dobrych pięćdziesięciu lat.

Tramwaj był prawie pusty. W wagonie kołysało się sennie ledwie pięciu synów Adama i trzech nie ludzi. Mały gnom, skulony w kącie z samego tyłu, rozmamłana sylfida, wyglądająca na przechodzoną lafiryndę, i chudy, pokaszający gruźliczo geniusz.

Maruch z ulgą wysiadł na znajomym przystanku. W zaułku było pusto jak na pustyni Moab. Po obu stronach ciągnęły się wysokie, ceglane mury, upstrzone napisami i bardziej lub mniej sprośnymi muralami.

Anioł rozejrzał się, szybkim ruchem wyciągnął zza pazuchy magiczny, niewidzialny dla postronnych spray i zaczął kreślić tajemne znaki ostrzeżenia.

„Wszystkie kontakty spalone. Kryć się na własną rękę”.

Skończył, schował pojemnik głęboko w wewnętrznej kieszeni. Resztki czarodziejskiej farby nieprzyjemnie kleiły mu palce.

To już, rozumiał. Zadanie wykonane. Teraz mogę zająć się ratowaniem własnego tyłka.

Odwrócił się, żeby odejść, i wtedy zrozumiał, jak bardzo się pomylił.

Nie będzie zasłużonego urlopu, przeniesienia, awansu. W ogóle nic nie będzie.

No to po mnie, stwierdził.

Bo u wylotu uliczki stało czterech roślących skrzydlatych. Czarne, motocyklowe kurtki z oderzniętymi rękawami lśniły oleiście w mdłym świetle latarni. Trzech intruzów nosiło charakterystyczne długie, czarne i czerwone włosy, na głowie największego sterczał pomarańczowy irokez. Pokryte wybroczykami tatuaży, grube jak męskie udo ramiona trzymali skrzyżowane na piersi. Spod rozchełstanych kamizelek wyłaniały się muskularne, nagie torsy. Skórzane spodnie i ciężkie, nabijane blachami buciory dopełniały całości. Gdyby złożyli farbowane na kolor smoły skrzydła, pokrywające je nieregularne białawe plamy i linie, które przywodziły na myśl ubarwienie ćmy, utworzyłyby charakterystyczny emblemat trupiej główki.

Maruch doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

Demony Niebios. Nielegalna formacja, a właściwie cała subkultura zrzeszająca byłych żołnierzy, weteranów najcięższych kampanii Królestwa.

Piekielna czwórka w milczeniu rozplotła ramiona, ukazując zaciśnięte w dłoniach potężne, magicznie tuningowane anielskie pistolety Pax Vobiscum. Tłumiki nałożone na krótkie, tępe lufy przypominały kagańce.

Potem rozległa się seria dyskretnych kaszlnięć odbita echem przez ceglane mury, brzmiąca niczym stłumione oklaski. Ten akt dramatu dobiegł już końca. Definitywnie.

Ciekawe, gdzie zostawili motory, zastanowił się agent w ostatnim przebłytku świadomości. Nie słyszałem silników.

A potem cisza ogarnęła go na zawsze.

* * *

Anai z rozkoszą wyciągnęła na leżaku swoje gibkie, piękne ciało. Dobrze, że wreszcie mogła odpocząć. Naprawdę wspaniale było przyjechać do tego księżycowego kurortu na wakacje i nie musieć wdzięczyć się do nadętych, narcystycznych głębiańskich dupków z rządu czy mafii, żeby wydobyć z nich użyteczne dla Razjela informacje.

Pociągnęła przez słomkę różowego niczym jej humor drinka.

Ale w końcu, dla Królestwa wszystko.

W sumie przecież kochała tę niebezpieczną, ekscytującą robotę. Drogie ciuchy, klejnoty, wytworne rezydencje i ekstrawaganckie powozy też miały tu coś na rzeczy, musiała uczciwie przyznać. Anai pławiła się w luksusie, codziennie narażając życie, a chwała Jasności rosła.

Czasem dobrze być patriotką. Zwłaszcza na rzetelnie zasłużonych wakacjach.

Roześmiała się cicho sama do siebie.

Mare Nectaris szumiało kojąco, piasek był biały jak tron samej Światłości i rozgrzany niczym piekło.

Anai poczuła, że ogarnia ją błogi spokój. I uczucie senności. Tak, tutaj mogła sobie pozwolić na całkowity brak czujności. Kurorty księżycowe leżały w samym sercu dominiów Gabriela. Bezpiecznie jak w uchu.

Ziewnęła i zamrugała. Szkoda spać w taki śliczny dzień. Lepiej pójdzie się wykapać. Ale przedtem jeszcze jeden drink. W końcu to urlop, nie? „Uśmiech losu”. Słodki, różowitki i pełen bąbelków. Całkiem jak wakacje.

Między leżakami pojawił się kelner z tacą w ręku. Oszronione szklaneczki wyglądały niczym egzotyczne, kolorowe kielichy kwiatów. Wszystko tu było tak cholernie ładne. I drogie.

Piękna agentka zakręciła znacząco pustym kieliszkiem.

Kelner zbliżył się szybko, usłużnie pochylił tacę. Był młodym, przystojnym dzinnem o oczach jak szmaragdy. Całkiem niczego sobie ciacho. Może i nabierała powoli ochoty na słodczyce? Czemu nie. W końcu miała teraz wolne.

- Co podać?

- „Uśmiech”. - Odstłoniła równe, bielutkie zęby.

Złota twarz chłopaka rozpromieniła się.

- Dla pięknej damy zawsze.

Zwinnym ruchem uchwycił srebrzysty od lodu kieliszek, palce o zielonych paznokciach ześlizgnęły się po mokrym szkłe i kilka kropel trunku kapnęło na odsłonięty dekolt Anai. Skrzydlata wydała stłumiony okrzyk.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam - bąkał spłoszony chłopak. - Na Jasność, tak

okropnie mi przykro!

Nachylił się niezdarnie, próbując wycierać jej skórę serwetką. Wyglądał, jakby chciał się rozpłakać.

- Daj spokój! - fuknęła. - Sama sobie poradzę. Nic się nie stało.

I wtedy poczuła ukłucie. Jakby użądlił ją komar. Ale nad Mare Nectaris nie ma przecież insektów.

Anai szeroko rozwarła oczy. Chciała krzyknąć, zaczerpnąć tchu, ale nie mogła. Całe jej ciało momentalnie ogarnął chłód. Zimna, arktyczna groza. Światło przygasło, niebo nabierało szarego, nienaturalnego odcienia.

Młody džinn nadal się nad nią pochylał. Szmaragdy jego oczu były chłodne i przenikliwe. Dopiero teraz spostrzegła, że uniform kelnera nie dopina się na jego szerokim, pięknie umięśnionym torsie. A spod kołnierzyka wychyla się maleńki, sinawy tatuaż. Wąż przebity mieczem. Znak triumfu Michała nad Lucyferem. Symbol elitarnej gwardii pretoriańskiej Archistratega Nieba.

Głupia, głupia, głupia! - wymyślała sobie, zapadając w lodową ciemność. Idiotka! Jak mogłaś nie zauważyć, co się święci. Na Jasność! Przecież nie umiera się na wakacjach! Królowa do tego nie dopuści!

Ale tym razem Anai się myliła. Pocałunek Królowej Śniegu, niewykrywalna, działająca natychmiast trucizna, wyprodukowana w laboratorium Razjela przez mistrza i znawcę zabójczych substancji, geniusza Sislau, jak zwykle zadziałała niezawodnie. Agentka zapadła w objęcia wiecznej zimy. Nie zdążyła nawet z goryczą pomyśleć, że uśmierca ją środek, którym z lubością i znanstwem wyprawiła w zaświaty przynajmniej kilkunastu swoich byłych informatorów.

Przystojny złoty džinn sprawdził, czy dziewczyna na pewno przestała oddychać, i odszedł, zabierając pusty kieliszek, oblepiony resztkami złudnie różowego „Uśmiechu losu”.

Rozciągnięta na leżaku Anai wyglądała, jakby drzemała w słońcu.

* * *

Itot się denerwował. Co chwila zerkał na starszego, bardziej opanowanego towarzysza. Twarz Jaeo wydawała się niewzruszona, ale w nieco ściągniętych, ostrych rysach dawało się dostrzec tłumione napięcie. Siedzieli przy stoliku, pijąc kawę. Młodszy anioł z trudem przełykał gorący płyn i co chwila łapał się na tym, że ma ochotę bębnić nerwowo palcami po blacie. Błąd. Odruch zwracający uwagę i zdradzający podenerwowanie. Żeby uspokoić ręce, zacisnął palce na filiżance.

To była ludzka kawiarnia. Przeszklona i pusta niby akwarium, w którym wyzdychały wszystkie ryby.

Całkiem jak my, pomyślał Itot. Wyzdychamy, nie wiedząc nawet, kto nas załatwił. Tak

jak inni przed nami. Większość działających w rejonie agentów. Powystrzelani niczym cholerne kaczkę w sezonie łowieckim.

Odstawił naczynie z kawą na spodek. Szczęknięto nieprzyjemnie, bo dłonie skrzydlatego trzęsły się wyraźnie. Jaeo posłał mu piorunujące spojrzenie. Młody agent spuścił oczy.

Od razu widać, że się boję, stwierdził z niechęcią. Wstyd. Ale, do diabła, nic dziwnego, w tych okolicznościach.

Przecież przyszli tu na zaproszenie wroga. Safatozaela, demona, agenta głębiańskiego wywiadu, którego rozpracowywali od lat. Co za szalona sytuacja. W ogóle nie powinno do niej dojść. Piekielny sukinsyn po prostu ich rozwali. Siedzą tu, widoczni jak arka na szczycie Araratu. Przetykają ślinę, udając, że piją gorącą lurę zaserwowaną przez gнома o twarzy małpy, a za chwilę usłyszą brzęk tłuczonych szyb i ekspresowo przeniosą się na Błękitne Łany, do krainy martwych i naiwnych.

Gdy zaskrzypiały drzwi, Itot podskoczył na krześle.

To on. Jasne, że on. Safatozael.

W ostrym blasku jarzeniówek demon wydawał się niepozorny i zmęczony. Jego skórzaste skrzydła oklapły, płaszcz był wymięty, cera nieświeża, szarawa. Ale w ciemnych oczach kryło się napięcie.

Odwieczny wróg obu anielskich agentów bez słowa odsunął krzesło i usiadł ciężko.

- Więc przyszliście - odezwał się ostrym jak zgrzyt zamka głosem.

Gdzieś w fałdach tego piaskowego trencza ma broń, myślał gorączkowo Itot. Nic nie widać. Dobrze skrojone ubranie. Tak jak nasze.

Za pazuchą czuł ciężar i chłód własnej, opatrzonej grawerowanymi błogosławieństwami i formułami zaklęć broni. Nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko śmierci. Dosłownie parowała wokół jak przesłodzona, cienka kawa w filiżankach.

- Przyszliśmy - potwierdził spokojnie Jaeo.

Oczy demona wydawały się głębokie i ciemne niczym lufy dwururki. Równie obojętne i zabójcze. Przyprawiały o dreszcze. Itot odetchnął z ulgą, że ciężar konwersacji ma spoczywać na starszym agencie.

Ale wytrawny, dobrze wyszkolony Jaeo z miejsca zauważył to, czego nie dostrzegł Itot.

Drgnięcia warg, lekkie zmrużenie oczu, prawie niesłyszalne załamanie głosu. Safatozael także się denerwował. I był zupełnie zbity z tropu. Może nawet bardziej niż agenci Królestwa.

To nie on, zrozumiał nagle Jaeo. Ani prawdopodobnie nikt z głębiańskiej siatki. W każdym razie Safatozael nic o tym nie wie. Jest tak samo wystraszony i zdezorientowany jak nasi. I boi się. Boi się jak cholera, że kiedy ten tajemniczy sukinsyn zlikwiduje wszystkich chłopaków od nas, zabierze się za wywiad z Otchłani.

- Wiecie, czemu nalegałem na to spotkanie - powiedział demon sflumionym głosem. - Nie rozumiem, co jest grane. Co, na Głębię, kombinujecie. A nie lubię, kiedy sprawy wymykają się spod kontroli. Kto, na najczarniejszą z trzech dup Belzebuba, załatwia waszych ludzi? I

dlaczego? Po co, do cholery?

- Bo nie wy, jak rozumiem - rzekł cicho Jaeo.

Safatozael powoli, jakby z uporem, potrząsnął głową.

- Nie my.

Niebiański agent uważnie przyglądał się twarzy Głębianina.

Mówi prawdę, stwierdził z mieszaniną ulgi i lęku. A to znaczy, że sytuacja jest poważniejsza, niż się spodziewałem.

Odchylił się na krześle, odruchowo leciutko przygryzając wargi.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że wiem. Nikt z naszych nie ma cholernego pojęcia, co się dzieje.

Safatozael przełknął ślinę, jakby nagle zaschło mu w ustach.

- Więc to nie jest prowokacja wojenna?

Powietrze zgęstniało od napięcia, aż trudno było oddychać. A może tylko Itotłowi zabrakło naraz tchu.

- Nie - powiedział Jaeo.

To słowo padło między nimi niczym odrzucona broń. Demon nawet nie spróbował wykrzywić się w uśmiechu. Usta miał zimne i zakrzepłe jak ze szkła.

- Zatem wszyscy mamy przesrane, co?

- Na to wygląda - zgodził się starszy agent Nieba.

Safatozael poruszył się nerwowo na krześle.

- Sięgnę po cygaro, dobra? To nie kłamka. Tylko trochę zwiniętego tytoniu. Zapalę, a potem pogadamy. Bo jest o czym gadać, prawda?

Faktycznie, było o czym. Kawa stygła, tytoniowy opar unosił się nad stolikiem, stary gnom zaszył się przezornie za kontuarem, a zaciekli wrogowie wymieniali się supertajnymi informacjami, zjednoczeni w obliczu nagłego, nieznanego niebezpieczeństwa.

* * *

Na zaimprovizowanym podium orkiestra koboldów grała właśnie wesołą piosenkę „Rwij sylfidy niczym polne kwiaty”. Lekki wiatr powiewał wstążkami kotylionów i tarosił wieńce, którymi była ustrojona obszerna altana. Powietrze pachniało niczym wykwinna perfumeria. Demonice w koktajlowych sukniach wartych tysiące lucyferiańskich szekli wirowały w tańcu, prowadzone przez wbitych w przyciasne garnitury, ogromnych, śniadych Głębian. We włosach i na szyjach dam lśniły istne galaktyki klejnotów. Diamentowe kolie szerokie niczym Mleczna Droga. Szmaragdy jak oczy Węża Kusiciela. Rubinowe wstęgi krwawych kropel. Fortuna na każdym dekolcie.

Dziewczynki w białych i różowych abażurach paradnych spódniczek biegały dookoła z piskiem. Wielkie kokardy w ich włosach wyglądały jak egzotyczne ważki.

Żarcie zgromadzone na stołach byłoby w stanie zapewnić wikt całej armii Królestwa przez tydzień z okładem. Oczywiście, gdyby w wojsku karmili pasztetami ze smoczych ozorów, pieczonymi wyvernami w garniurze z kandyzowanych rajszych jabłek, combrem jednorożca i grillowanymi mackami Charybdy.

Kelnerzy w białych frakach krążyli nieustannie między stołami, niczym niezmordowany plankton, racząc gości najprzedniejszym głębiańskim szampanem z południowych stoków Wzgórz Mordegi.

Dalmaj, skrzydlaty, agent niebiańskiego biura do zwalczania przestępczości zorganizowanej, a jednocześnie od paru wieków szpieg Razjela, sięgnął po kieliszek trunku. Szkło było przejrzyste jak powietrze, prawie niewidzialne, kruche niczym szron.

Całkiem jak moje życie w tej chwili, pomyślał ponuro.

Zerknął na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Głębianina, starca o obwisłej, pobrużdżonej twarzy i siwych włosach spiętych na karku w tradycyjny węzeł.

Don Bealfares, zwany pieszczotliwie Papa Śmierć, ojciec diabelny najstarszej i najpotężniejszej mafii z Otchłani, klaskał w dłonie w rytm muzyki, śmiejąc się jak dziecko. Jego złe, przebiegłe, zimne jak u rekina oczy prześlizgnęły się po Dalmaju niemal obojętnie.

Niemal robi dużą różnicę.

Agent jednym haustem połknął zawartość kieliszka. Bąbelki jeszcze przez chwilę przyjemnie musowały mu w gardle. Jak na ostatnie doznanie całkiem nieźle, stwierdził z ironią.

Bealfares przyciągnął do siebie przebiegającego obok wnuka, uściskał go serdecznie i wyprawił do dalszej zabawy pobłażliwym klapsem w pupę. Mały, dzisiejszy solenizant, sprawca całego zamieszania, zachichotał i uciekł. Może i on podświadomie lękał się dziadka.

Papa Śmierć skinął zapraszająco Dalmajowi. Agent niechętnie ruszył się z miejsca. Ojcu diabelnemu się nie odmawia. Zwłaszcza na przyjęciu urządzonym w jego Posiadłości, w otoczeniu wszystkich jego synów, kuzynów i cyngli.

Ogromny ogród podobno urządzony był bluźnierczo według pierwotnych planów Edenu. Za kosztownych i zbyt wystawnych dla Królestwa, jak lubił podkreślać Bealfares. Pośrodku, niczym góra z różowego marmuru, sterczała rezydencja. Idealnie odtworzona *villa toscana*, zbudowana z zastygłych magicznym sposobem chmur, malinowa teraz w zachodzącym słońcu Limbo.

Chałupa w sam raz dobra na burdel, pomyślał Dalmaj.

Ojciec diabelny poklepał znacząco wolne miejsce obok siebie, wyściełane pąsowym aksamitem krzesło w stylu wczesnego Belzebuba. Agent posłusznie usiadł. Stary gapił się na niego spod przymrużonych powiek.

- Nie ma jak rodzina. - Uśmiechnął się szeroko. - Popołudnie w gronie bliskich, z dala od trosk, przykrości, niepowodzeń. W dzisiejszych czasach można liczyć tylko na swoich. Grunt to krew, co? Ten mały tam, ten śliczny szkrab, który właśnie szarpie siostrę za włosy, to mój

najmłodszy wnuk. Prawdziwy szelma, nie? Popatrz, jak zręcznie ją kopie. Co za dzieciak. Głębiański temperament. Pewnie ma to po dziadziu.

- Nie wątpię.

Papa Śmierć podsunął gościowi prawie pełną butelką szampana.

- Wypijmy za jego zdrowie, przyjacielu. Za naszego słodkiego solenizanta.

Dalmaj bez wahania schwycił butelkę i pociągnął zdrowy łyk. Bąbelki poszły mu nosem, ale się nie zakrztusił. Wyciągnął flaszkę w stronę Bealfaresa.

- Za wnuka. I jego świetlaną przyszłość.

Stary demon wychylił toast z gwinta. Jego rekinie puste oczy zwięzły się czujnie.

- Taaa, przyszłość. Odwieczna tajemnica, co? Kto by ją poznał, miałby władzę nad światem.

Agent Królestwa na pozór obojętnie wzruszył ramionami.

- Albo srałby w gacie ze strachu, wiedząc, że niedługo umrze. Zależy, jak na to patrzeć. Gdyby przyszłości nie dało się zmienić, cała ta wiedza przydałaby się jak druga dziura w tyłku.

Mafioso zaśmiał się zgrzytliwie.

- Masz rację, chłopcze. Przyszłość, przeszłość, szczać na to. Lepiej zająć się tym, na co mamy wpływ. Terazniejszością. Tylko ją można zmieniać, nie? Tak, żeby wszystko było jasne jak niebo nad Królestwem. Bo najgorsze są nieporozumienia. Ktoś coś szepnie, drugi nie dosłyszysz, źle powtórzy i nieszczęście gotowe. Ja tam nie lubię nieporozumień, synu. Nie w rodzinie. Ani biznesie. Takie różne nieporozumienia to sam syf! Mówię ci to, bo jesteś porządny chłop. Nie słuchaj tego, co gadają gnidy!

Dalmaj zeszywniał.

- A co niby gadają, Bealfaresie?

- Kłamstwa! - warknął stary don.

Agent skinął głową.

- Może i kłamstwa. Albo nie.

Ojciec piekielny sięgnął po butelkę wina. Dalmaj uważnie obserwował jego dłonie.

Drżą, stwierdził. I to wcale nie z powodu wieku. Bydlak się boi. Trzęsie się ze strachu o swoje imperium. Jest szefem najpotężniejszej mafii we wszechświecie, ale wie, czym grozi zadzieranie z Razjelem. Czyżby jednak to nie on wykańczał naszych? Więc kto? Jakiś zbuntowany syn czy kuzyn? Niewykłuczone. Cholerny piernik chyba nie ma z tym nic wspólnego. Niespodzianka.

Bealfares pił długo i łapczywie.

- Synu - rzekł w końcu. - Domysły, plotki, fałszywe oskarżenia to złe rzeczy. Niejednego położyły przedwcześnie do grobu. Mam nadzieję, że rozumiesz, jak cenię sobie prawdę, co? Prawda to podstawa. Fundament rodziny i przyjaźni.

Akurat, stary draniu, pomyślał agent, uśmiechając się sztucznie.

- Znamy się nie od dziś, Dalmaj. Wiemy o sobie to i owo. Dużo. Dzięki zaufaniu i szczerości. Mniejsza o to, czym się zajmujesz w pracy. Oficjalnej pracy. Stoisz na straży prawa. I dobrze. Ktoś musi stać. Masz ideały. To zawsze dobra rzecz. Wniosła, że tak powiem. Ale olej to wszystko, chłopcze. Postaraj się spojrzeć głębiej. Ważniejsze, co masz tutaj - uderzył się w pierś. - W duszy! Kim naprawdę jesteś. Komu ufasz, komu powierzasz swoje troski, domysły. Informacje...

Pije do Razjela, zrozumiał agent i poczuł, jak po kręgosłupie przepływa mu elektryczna iskra dreszczy.

- Taa... informacje. Wiarygodne i prawdziwe. Nie jakieś niesprawdzone ploty. Ja cenię sobie prawdę, Dalmaj. I spokój. Rodzinę, stabilizację. Miłe wieczory w domu, przyjęcia dla wnuków, zabawę, wino, muzykę. A nie jakieś niesnaski. Darzę cię wielkim szacunkiem, chłopcze. I twego prawdziwego dona, twój szefa. To wielki skrzydlaty, prawdziwa potęga. Ktoś. Nie zamierzam wchodzić mu w drogę, synu. Nie jemu, rozumiesz? Nie mogę dopuścić, żeby między nami wynikły jakieś nieporozumienia. To byłoby fatalne dla interesów. Fatalne dla obu stron! Wiem, że ktoś rzucił na mnie podejrzenie. Nie zaprzeczaj, dowiedziałem się już tej bolesnej prawdy. To fakt. Tak zrobił. Oczernił mnie. Zawiódł. Nadużył mego i twego zaufania. Ale kłamał. Skalał swój język fałszem. Ani ja, ani nikt z mojej krwi, moich cyngli, moich żołnierzy, moich chłopców nie ma z tym nic wspólnego. A teraz udowodnię ci to. Oczyszczę nasze dobre imię, wyjawiając ci sekret. Zdradzając imię wroga. Naszego wspólnego wroga. Pochyl się do mnie. Powiem ci to do ucha. Bo to niebezpieczna i droga prawda.

Serce agenta Królestwa biło jak werbel.

Jeśli mnie teraz zabije, jeśli zabije... a pieprzyć! Nie będę się bał. Nie dam draniowi satysfakcji.

Skłonił się ku starcowi. Ojciec piekielny objął go za szyję, przyciągnął i wyszeptał do ucha tajemnicę.

Dalmaj momentalnie zbladł jak całun.

- Nie... niemożliwe! - wydukał tylko.

Demon pozostał śmiertelnie poważny.

- Ano tak, synu. Prawda czasem rani. Jak sprawdzona, niezawodna broń. I jest tak samo niezbędna w uczciwych interesach. A teraz ciesz się, jedz i pij wino za zdrowie mojego wnuka. I za naszą świetlaną przyszłość. Bez nieporozumień.

Skrzydlaty wychylił duszkiem prawie pół butelki z gwinta, ale tym razem złocisty, słodkawy głębiański szampan palił mu gardło niczym napalm.

* * *

- Ścierwo! Suczy pomiot! Zastrany śmierdziel z przerostem ego! Żółosny bydlak! ZERO!

Gabriel nigdy nie widział Razjela tak wzburzonego. Pan Tajemnic miotał się po pracowni, wywracając retorty, jednym ruchem zmiatając na podłogę bezcenne foliały, rozlewając wszędzie magiczne mikstury i klnąc na czym świat stoi. Jego twarz wykrzywił grymas szalonej wściekłości, ciałem wstrząsały tiki.

- Gnida! - ryknął, chwycił kamień filozoficzny z biurka i z całej siły cisnął o ścianę.

Poleciały kawałki odbitego tynku, skrząc się niczym konfetti, jeszcze w powietrzu zamienione w bryłki złota.

- Szuja! Śmieć! Cholerny morderca!

Regent Królestwa patrzył na przyjaciela z niechętnym podziwem. Nigdy by nie przypuszczał, że cokolwiek może doprowadzić kostycznego, zimnego niczym martwy karp archanioła do takiej furii. Nawet w trakcie upiornego rytuału przywołującego z powrotem Hiję Razjel był spokojny jak trup. A teraz szalał.

Podbiegł do półki, złapał ciężkie księgi i z wściekłością rzucił w stronę kominka. Na szczęście nie trafił.

Zatrzymał się na środku pracowni, tocząc wokoło byczym wzrokiem.

- Zabiję bydlę! Własnymi rękami! Urznę mu łeb, a potem porozwieszam flaki na okolicznych choinkach! Przysięgam na Biały Tron! Na samo zasrane Królestwo! Słyszysz?! Zatłukę skurwiela! Czy on nie wie, co robi, posraniec? Nie rozumie, co niszczy! Mnie! Moje serce! Cholerne kilkadziesiąt wieków mojej ciężkiej, pieprzonej roboty! Bierze w grube, zupackie łapy chrzaniony, bezcenny chronometr, zrobiony z zegarmistrzowską precyzją najsprawniejszego gнома rzemieślnika z zasranych trzewi Kosmosu i rozwała ot, tak sobie! Łup! Grzmot! O ziemię! Na kawałki! Chronometr! Właśnie tak!

Wyszarpnął z kieszeni Oko Dnia, rzucił na dywan i rozdeptał obcasem.

Odbiło mu, zrozumiał Gabriel. Odwalilo na fest. Jest gorzej niż beznadziejnie. Mam teraz na łbie dwóch wariatów zdolnych posiekać świat na dzwona. Freya i tego porąba. A to pięknie.

- Razjel, na litość Jasności! Jaki chronometr?! O czym ty gadasz, chłopie?!

Pan Tajemnic dyszał niczym po długim biegu. Maratonie na dnie piekła. Ale przynajmniej dostrzegł istnienie przyjaciela.

- O czym?! - Zacisnął dłonie w pięści. - Ty się pytasz, o czym? Na Światłość! Szlag mnie zaraz trafi, a on stoi tu i gapi się jak Lot na zasoloną małżonkę! Jesteś regentem w tym cholernym Królestwie czy malowaną lalą na kiju?!

Pan Objawień za wszelką cenę starał się nie stracić cierpliwości.

- Tak, jestem regentem, dlatego żądam, żebyś mi natychmiast wyjaśnił, o co ci, do kurwy nędzy, chodzi!

Twarc Razjela wykrzywiło autentyczne cierpienie.

- O co chodzi? Dobrze, powiem ci! Ten zupak, ten chomąt bez pojęcia, buc kwadratowy, trep smutny likwiduje mój wywiad! Dociera?! Wybija moich najlepszych agentów, szmata ze

skrzydłami! Rudy Judasz! Kanalia! Dżibril, on ich zabija jak na sądzie polowym. Jednego po drugim, rozumiesz? Załatwił mi już połowę organizacji! Rozstrzelał. Słyszysz? Jak zbrodniarzy! Skrzydlatych, którzy narażali dla Królestwa swoje życie, zdrowie, sprawy osobiste, wszystko! Jak pospolitych przestępców, Gabriel. Jak śmieci...

Głos mu się załamał.

Za to Pan Objawień pobladł.

- Michał?! - wykrztusił z niedowierzaniem. - Wybija nasz wywiad?! Niemożliwe!

Razjel ścisnął rękami skronie.

- Ale prawdziwe - powiedział cicho, już spokojniej. - Nie powoływałbym się na niesprawdzone informacje. Złoty Chłopiec morduje ich z zimną krwią. Własnych skrzydlatych. Braci. Oto, do czego doszliśmy.

Gabriel ciężko opadł na fotel.

- Nie spodziewałem się. Naprawdę. Myślałem, że blefuje z tym wypowiedzeniem posłuszeństwa.

Na ustach Księcia Magów pojawił się upiorny uśmiech.

- A tymczasem nasz mały Michaś wszystkich zaskoczył. Ups! No proszę. Ale pożałuje tego, Dżibril. Przysięgam, że pożałuje. Za każdego mojego agenta wyprawię na Błękitne Łany sześciu jego łązęgów. I tak jego bałwany niczego nie potrafią. Tylko bezmyślnie rozwalać uczciwych skrzydlatych, którzy nie boją się poświęcić wszystkiego dla dobra kraju. Pan cholerny Archistrateg zobaczy, co to znaczy zdrzeć z prawdziwym magiem. I prawdziwym wywiadem. Znam go. To jedyny sposób, żeby drania powstrzymać. Pokazać mu, że to nie zabawa. Złamać. Inaczej nie odpuści. Wybije nam każdego cholernego agenta. Do spągu! Zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja! Prawda, przyjacielu?

Regent poruszył się nerwowo.

- Słuchaj, nie wiem, czy to dobry pomysł. Ochłoń trochę, zastanów się. Nie ma sensu podejmować tak ważnych kroków w chwili takiego wzburzenia. Chcesz być taki sam jak on? Co? Naprawdę chcesz?

Błękitne, zimne oczy Razjela załśniły dziko.

- Nie, Dżib. Jasne, że nie. Chcę być o wiele, o wiele gorszy!

Gabriel poczuł, jak ogarnia go nagła gorąca i wysoka fala wściekłości na Michaela. Ten duppek zabija własnych braci. Wywiad Razjela. Najlepszy w całym Kosmosie. Godzi w podwaliny mocy i trwałości Królestwa. Tak bezmyślnie, z głupiej, zapiekłej złości. I to w chwili, gdy Ziemi zagraża poważne niebezpieczeństwo. Więc niech ma za swoje. Niech zeżre to, co sam uwarzył. Zobaczy, jak to fajnie brykać na prywatnym podwórku Księcia Magów.

- Dobrze, Raz - powiedział. - Zrób to. Przetrzep mu dupę, niech się przekona, co to znaczy wytracić swoich chłopaków. Nie wahaj się. Masz moje błogosławieństwo, bracie. Zabieraj się do roboty.

- Z rozkoszą - warknął Pan Tajemnic.

* * *

Zakład fryzjerski „Pod Samsonem”, położony w nieco szemranej dzielnicy Limbo, nie był może eleganckim salonem piękności, ale za to sprawdzonym od lat punktem kontaktowym wywiadu Michaela.

Kapitan Midael siedział na fotelu z białym ręcznikiem zawiązanym pod brodą, czekając na golenie. Kakawiel, fryzjer, a jednocześnie także doświadczony agent rozrabiał mydło w wyszczerbionej miseczce.

Midael był bardzo zadowolony. Przed chwilą przekazał towarzyszowi pomyslnie wieści. Akcja przebiegała bez zarzutu. Szpiedzy Razjela ginęli jak muchy i nic nie wskazywało, żeby którykolwiek zdołał przed śmiercią dać znać szefowi, jaka siła za tym stoi. Wielki Książę Magów nie domyślał się niczego, dreptał w kółko niczym jagniątko we mgle. I dobrze tak dupkowi. A tak się sadził, że niby wywiad cywilny o nieba przewyższa wojskowy. No i kto teraz patrzy jak w tytę? Chyba nie Michał, co?

Kakawiel ujął w dłoń błyszczącą, ostrą jak diabli brzytwę.

- Włosy też potem podcinamy?

Midael uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze, przesunął dłonią po dość krótkiej fryzurze.

- Jasne, kłaki mam długie jak jakiś cholerny salamandra. Po bokach prawie na pałę, a na środku szczecina nie dłuższa niż na grzbiecie centaury. Wiesz, jak w starych czasach, w Zastępach.

- Robi się, szefie.

Fryzjer nałożył mydło, delikatnie musnął szyję klienta ostrzem brzytwy, a potem nagłym ruchem rozplątał mu gardło. Krew bluznęła na kontuar, zalała bulgocącą, czerwoną fontanną taflę zwierciadła. Midael nie zdążył się zdziwić. Zacharczał tylko, zadrgał, dziko kopnął nogami, a potem znieruchomiał.

Kakawiel stał osłupiały. Jego rysy wykrzywiło głębokie przerażenie i niedowierzanie. Przez jakiś czas trwał w bezruchu, jakby skamieniał, tylko na czole wystąpiły mu krople potu, a żyły na skroniach nabrzmiały niczym w ogromnym wysiłku. Wybałuszone, pociemniałe od lęku oczy wpatrywały się w lustro.

A tam, krwawymi literami spływał właśnie z tafli drwiący napis: „Pozdrowienia od Księcia Magów, sukinsyny!”.

W chwili gdy smugi posoki rozmyły się i ściekły na dół, ściskająca brzytwę ręka Kakawiela zaczęła nerwowo drgać. Twarz agenta zrobiła się purpurowa, dyszał ciężko. Ale opór na nic się nie zdał. Kierowana mocą czarnej magii dłoń powoli unosiła się ku grdyce skrzydlatego.

Jedno równe, głębokie cięcie i z rozplatanego gardła spłynął kolejny wodospad pianistej, szkarłatnej krwi.

Ciało fryzjera z łomotem padło na podłogę.

Na tafli lustra nie pozostał nawet ślad jednej litery. Srebro znaczyły zwykłe, abstrakcyjne zacieki.

* * *

Hakamiasz, emerytowany pułkownik, jeden z najbardziej zaufanych podwładnych Michała, powoli schodził po szerokich schodach Urzędu do spraw Żołdu w Czwartym Niebie. Minę miał jak zwykle zaciętą, choć wreszcie udało mu się pomyślnie załatwić sprawy.

Na ulicy, opodał fontanny tryskającej mlekiem Amaltei, czekał kryty, staroświecki rydwan, przypominający gotycką szafę zaprzęzoną w dwa wierne, stare konie kawaleryjskie, towarzyszy wielu kampanii pułkownika.

- Biurokraci zasrani! - mruknął ze złością żołnierz, gramoląc się do środka. - Wicher, Mrok, jedziemy do domu!

Rumaki ruszyły posłusznie, rozległ się przenikliwy trzask, zgrzyt, dyszel oderwał się od pojazdu, a rydwan pochylił gwałtownie do przodu.

- Co, u czorta?! - ryknął rozwścieczony Hakamiasz, który spadł z siedzenia i boleśnie uderzył się w czoło.

A wtedy tuż przed jego nosem pojawiła się maleńka płomienna wróżka, przezroczysta jak wałka i nie większa od palca.

- Koniec i bomba, stary trepie! - oznajmiła głosikiem jak szklany dzwonek.

A potem rozwarła szeroko w szyderyczym uśmiechu zębatą paszczę i zamachnęła się trzymaną w maleńkiej dłoni różdżką.

Ogień buchnął natychmiast, w jednej chwili zamieniając budę rydwanu w płonąca trumnę. Hakamiasz miotał się w środku, wyjąc z bólu i strachu, konie w przerażeniu stawały dęba, starając się pomóc, ale zdołały tylko przewrócić pojazd na ziemię.

Momentalnie zrobiło się zbiegowisko. Niektórzy przechodnie uciekali wystraszeni, inni gapili się bezmyślnie. Grupka ptaków niebieskich w burych tunikach aniołów służebnych przybiegła w nadziei na fajerwerki. Sypały się pełne zawodu komentarze i wzajemne oskarżenia.

- Ty mówisz, że to sztuczne ognie!

- Ja? Właśnie, że ty!

Kilku skrzydlatych starało się gasić powóz mlekiem z fontanny, ale krzyki ofiary szybko ucichły. Nikt, nawet desperujące rumaki, nie miał wątpliwości, że na ratunek jest już za późno.

Szczątki rydwanu dopalały się jeszcze, gdy przybyła zaalarmowana zamieszaniem straż miejska i żandarmeria Gabriela.

W całym powstałym rozgardiaszu nie znalazł się ani jeden skrzydlaty, który dostrzegłby

maleńki, płomienisty punkcik odrywający się od wypalonych resztek i szybko znikający w błękicie nieba.

* * *

- O Jasności, zlituj się! Błagam, błagam, błagam!

Maleńki kościółek tonął w ciemności. Tylko wotywnie świece płonące na ołtarzach rzucały nieco słabego, żółtawego blasku. Drewniani i gipsowi święci, żołbrzymieli w półmroku, wydawali się dziwnie złowrodzy. Ich twarze wykrzywiały gniewne grymasy, wzniesione ku niebu oczy zdawały się wywrócone z wściekłości, usta zaciśnięte, mnące stłumione przekleństwa.

Chwiejne cienie nadawały figurom pozory życia, jakby ten pogrążony w furii, tandetny panteon miał zaraz powstać z miejsc i rozszarpać intruza.

Jego. Netę. Pokornego sługę Archistratega Michaela.

- Błagam, błagam, Jasności, zlituj się!

Skulony w ławce skrzydlaty modlił się stłumionym szeptem, bijąc ciemności nieświadome pokłony niczym osobiwa wańka-wstańka.

Niewiele więcej mógł zrobić. Wszyscy jego współpracownicy, kontakty i przełożeni nie żyli, spaleni żywcem, rozpruci na strzępy, stopieni jak wosk lub zaduszeni. Czarna magia. W grę mogła wchodzić tylko zakazana, przerażająca sztuka.

Neta widział na własne oczy, jak agent Mahniel zsiniał, nadął się i pękł, rozchlapując wszędzie cuchnącą maź, w jaką zmieniły się jego wnętrzości, ledwo zdołał odebrać zaszyfrowaną wiadomość ze zwykłej skrzynki kontaktowej.

Nikt nie był bezpieczny. Mroczna moc zabijała wszędzie, gorsza niż zaraza, klątwa czy wojna.

Dlatego Neta schronił się tutaj, w obrębie kościelnych murów, na poświęconej ziemi. Mała, kamienna świątynia pod wezwaniem Świętego Eligiusza Złotnika była, jak pouczał go Mahniel, zanim przemienił się w śmierzący granat, ostatnim, najważniejszym punktem ewakuacyjnym, w razie gdyby wszystkie inne okazały się spalone. Kaplicą ostatniej nadziei.

Neta doskonale pamiętał wskazówki.

Trzecia ława od wejścia, po prawej stronie. Sięgnąć pod blat, wyjąć modlitewnik, otworzyć na dowolnej stronie, wypowiadając Zakłęcie Czterech, formułę zdolną pokonać wszelkie zło. Wtedy natychmiast otworzy się portal wiodący do Drugiego Nieba, ewentualnie, jeśli sprawy przedstawiają się bardzo kiepsko, na stronicach księgi ukażą się dalsze wskazówki ułatwiające ucieczkę.

O tak, Neta dokładnie wszystko pamiętał. Siedział we wskazanej ławce, wpatrując się w wyświechtany, lekko naddarty grzbiet modlitewnika, wytarte, niemal niewidoczne złocenia połyskujące złudnie, słabiutko w świetle wotywnych płomyków.

I drżał. Trząś się ze strachu.

Widział już, co się stało z kilkoma agentami, którzy odczytali niewinne z pozoru szyfry, odebrali rutynowe wiadomości, próbowali zdawać raporty za pomocą tak zwyczajnych, niewinnych, powszechnie używanych przedmiotów jak zakłęte notesy, niewidzialne atramenty i magicznie ożywione papierowe gołębie.

Wszyscy zginęli śmiercią, której nie życzyłby samemu Samaelowi.

A teraz modlitewnik był tu, na wyciągnięcie ręki, kuszący, lecz równocześnie budzący przerażenie.

- Och, Jasności, miej litość, błagam! Błagam! - Skrzydlaty pochylił głowę, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od gorejących słabo złoceń oprawy.

Trwał niemal bez ruchu, dygocąc, niczym mysz porażona złowrogim, złotawym lśnieniem węzowych ślepi.

- Proszę, proszę, proszę...

Stłumiony szept odzywał się słabym echem w mrocznych murach Świętego Eligiusza. Figury na ołtarzach zdawały się powtarzać słowa modlitwy z szyderstwem i nienawiścią.

- Słyszę, słyszę, słyszę...

Słyszę cię, skrzydlaty. Nigdzie się nie ukryjesz. Nie znajdziesz schronienia. Mam cię, skrzydlaty. Mam w swojej mocy. Już po tobie. Żegnaj się ze swoim nędznym życiem.

Neta obrócił się trwożnie.

- Kto tu jest? - jęknął z rozpaczą. - Kto?

Ale wokół była tylko ciemność. I straszna, złowróźbna obecność cieni. I strach. Strach olbrzymiejący nie do pojęcia. Potężny niczym góra Ararat.

Anioł wyciągnął trzęsącą się niby w ataku Parkinsona dłoń, jednym ruchem chwycił modlitewnik, szarpnął, jakby wyrывał spróchniały ząb.

Drobiny kurzu zatańczyły w powietrzu.

Neta z trudem przełknął gorzką od żółci, lepka ślinę. I otworzył księgę.

Nie był w stanie przeczytać ani jednego słowa. Litery rozmazywały się, wiły niczym czerwie.

Podwładny Michała zamknął oczy i zaczął recytować z pamięci.

- *Caput mortuum, imperat tibi Dominus, per vivum et devotum Serpentem. Cherub, imperet tibi Dominus, per Adamlotchavach! Quila errans, imperet tibi Dominus. Tetragrammaton per angelum Leonem!*

Temperatura w świątyni spadła gwałtownie. Od ścian i bocznych ołtarzy powiało zimnym, cuchnącym, grobowym powietrzem. Neta nie śmiał otworzyć oczu. Łamiącym się głosem kontynuował zaklęcie.

- Aniele z oczyma śmiertelnymi, usłuchaj lub spłyn z wodą świętą. Byku skrzydlaty, pracuj lub wróć do ziemi. Wężu bystry, czołgaj się u stóp moich lub bądź udręczony ogniem świętym i zniknij z dymem wonności, które się palą. Orle w łańcuchach, usłuchaj znaku lub

umykaj przed tym dmuchnięciem!

Lodowy trupi wiatr porwał się nagle spod sklepienia. Zatrząsł ławkami, poruszył w posadach gipsowych świętych, którzy zdawali się tupać ze złości, załomotał drzwiami i zdusił jednym martwym powiewem mdłe płomyki świec. W ciemności wybuchł chichot i zawodzenie, i szum, i syk, jakby ktoś wetknął kij w gniazdo węży.

Tylko modlitewnik rozjarzył się upiornym, sinym blaskiem. Litery wyginały się w konwulsjach, drgały, konając i zamierając na pergaminowej karcie, niczym rozdeptane robaki. A potem wsiąkły w papier, a spod spodu, jakby z głębi księgi, wynurzył się nowy, lśniący lepka czerwienią posoki napis.

„Dobranoc, dupku!”

Neta gapił się na trzymany w dłoniach foliał z rozpaczą i niedowierzaniem.

Już? To tyle? A gdzie portal, tunel przejścia, choćby pentagram, cokolwiek? Co to niby jest? Zaszzyfrowana wskazówka? Jakaś kpina?

Lecz w tej samej chwili dziwny blask zgasł, a dłonie anioła, wciąż trzymające księgę, stały się w jednej chwili lodowate i przezroczyste jak szkło. Neta krzyknął. Błede, szklane palce przyrosły do oszronionych stronic. Skrzydłaty szarpnął rozpaczliwie ramionami, ale nie mógł uwolnić modlitewnika z zamarznętych rąk. Patrzył tylko z narastającą grozą, jak zlodowacenie sięga coraz wyżej. Obejmuje łokcie, barki, ściska zimną, niewidzialną obręczą klatkę piersiową, wyduszając oddech z płuc zamieniających się powoli w mrozonkę.

Neta już nie krzyczał, skrzeczał tylko, rozpaczliwie walcząc o oddech. Ale lód zwyciężał. Wlewał się falą błękitnego, mroźnego szkła do żołądka i jelit, jednocześnie pełznąc w górę ku szyi i twarzy. Serce jeszcze biło słabo w zaspach mrożonych podrobów, lecz nogi zamieniły się w słupy zakrzepłej krwi i tkanki. Skrzydła były już tylko soplami zamarznętych piór. Oczy Nety z wolna zachodziły szronem.

Strach minął, zastąpiony przez senną obojętność.

To koniec, zrozumiał z trudem, bo myśli kłębiły się, mieszały, gęstniały, ciekąc wolno niczym strumieniem pod lodem.

Przez kilka sekund piękna, przejrzysta, szklana rzeźba anioła z księgą w objęciach stała w nawie świątyni niczym ulotny sen, a potem rozprysła się na tysiące maleńkich, zimnych diamentów.

W kościele pod wezwaniem Świętego Eligiusza Złotnika znów królowały cisza i ciemność.

* * *

Garafiel obudził się z niespokojnego snu w swojej kwaterze, w Domu Oficerskim w koszarach Zastępów. Niebo za oknem miało barwę popiołu, ledwo zaczęło świtać. Skrzydłaty był przyzwyczajony do wczesnego wstawania, jednak do pobudki została jeszcze godzina z

okładem.

Wpatrzony w prostokąt sufitu, odetchnął głęboko i zastanowił się, co tak go zaniepokoiło, aż zerwał się z pościeli zlany potem. Sen. Niedobry sen. Jasne, ale czy tylko?

Garafiel był młodym, niesłychanie zdolnym agentem wywiadu i choć polegał przede wszystkim na swym intelekcie, wspinał się tak wysoko w hierarchii, wyszedłszy cało z wielu poważnych oparów, także dlatego, że nigdy nie lekceważył przeczuć. Subtelnych, irracjonalnych drgnień podświadomości, które ostrzegały go, żeby oczekiwał pułapki tam, gdzie w żadnym wypadku nikt nie mógłby jej zastawić, lub nie skręcał w absolutnie bezpieczną, znajomą uliczkę, bo może się tam czaić niebezpieczeństwo.

Zwykle bezzasadne podejrzenia okazywały się słuszne.

A teraz jego wyczulona intuicja nie tyle krzyczała, co darła się na cały głos, że coś tu jest bardzo nie w porządku.

Sen? Męczący majak, w którym gonił jakieś postaci bez twarzy, żeby w końcu sam zostać ściganą ofiarą? Nie, do diabła, nie chodziło wcale o głupi sen.

To na jawie działo się coś paskudnego. Bardzo paskudnego. Przykrego jak ten ledwie uchwytny, słabiutki fetor unoszący się w pokoju. Zapach zgniłego mięsa.

Skąd mógł pochodzić? Czyściciele kanałów, to nędzne, leniwe ptactwo niebieskie wzięło się wreszcie do roboty? Przed świtem, żeby nie zasmrodzić całego placu manewrowego w czasie śniadania. Szambiarze wywożą nieczystości z latryny? Nie, cug jest inny. Nie jak kloaka, tylko padlina. Przywieźli dostawę posiłków do kantyny?

Uśmiechnął się do siebie.

Powoli zaczął się odprężyć.

Głupi sen.

Zwykły smród.

Po prostu za dużo stresów.

Ostatnio cały wywiad ma się czym martwić, to prawda.

Zamknął oczy, gotów znowu przysnąć. Ale wtedy obrzydły fetor jakby przybrał na sile.

Garafiel usiadł na łóżku.

Jasna cholera? Co tak ohydnie jedzie? W łazience znów wywaliło kanalizację? Jakaś racja żywnościowa, którą napoczał po pijaku, raczyła zgnić i daje o sobie znać? Ktoś, bodajby dorwał głupiego dowcipnisia, wsadził mu kawał rozkładającego się mięcha pod łóżko? Świetny numer, nie ma co. To pewnie ten dupek, Zamianasz. Taa, żarcik w jego stylu.

Już miał się pochylić, żeby zajrzeć pod pryczę, gdy nagle skamieniał. Pod kołdrą, tuż przy ścianie, pojawiło się dziwne wybrzuszenie. Duże, niemal tak wielkie jak poduszka. Nie było go przed sekundą. Na pewno. Gotów by przysiąc.

Mięśnie agenta spięły się odruchowo, w oczach zabłysła czujność.

Cokolwiek leżało tuż obok niego w łóżku, nie poruszało się.

Skrzydlaty jedną ręką sięgnął po leżącą na szafce nocnej broń, a drugą ostrożnie chwycił

brzeg kołdry. Wciągnął powietrze przez zęby i szybko odgarnął pościel. Buchnął obrzydły, zgniły smród.

Na prześcieradle leżał koński łeb. Rozkładający się, oślizgły, ohydny łeb martwego konia. W oczodołach pływały na wpół wygniłe, śluzowate bryły niegdysiejszych ślepi. Skóra, szara i sina, obłaziła płatami, odsłaniając żółtawą, pokrytą liszajem trupiego jadu kość. Ściągnięty pysk odsłaniał wielkie zębiska, jakby zdechła szkapa śmiała się szyderczo z żołnierza. Czarne włosy grzywy, podobne do kłębowiska glist, wiły się obrzydliwie po pościeli.

Anioł wydał stłumiony okrzyk i szarpnął się nerwowo w tył. Potrącił szafkę, która zakolebała się z głuchym łoskotem. Dzbanek z wodą spadł, roztrzaskując się o posadzkę.

Przez sekundę agent walczył z gwałtownym odruchem wymiotnym, ale zdołał się szybko opanować. Obrzydzenie wyparła teraz wściekłość. I lęk. Bo przecież ktoś wkradł się tutaj, do jego prywatnej kwatery, korzystając z tego, że leży uśpiony, i podsunął mu to ostrzeżenie, ten drwiący prezent.

Mamy cię na oku, Garafiel. Lepiej uważaj na siebie, bracie.

Ktokolwiek to zrobił, pożałuje. Agent zacisnął ze złością szczęki. Natychmiast trzeba wszcząć śledztwo. Padlina nie przyszła tu sama. Znajdzie winnego i wszystkich, którzy są z nim w zмовie. Bo są, to jasne. Inaczej nigdy nie zdołałby wejść niepostrzeżenie do Domu Oficerskiego.

Wtedy zaskrzypiała prycza. Ostro, jakby w gwałtownym proteście. Garafiel uniósł wzrok. I zamarł.

Koński łeb poruszył się, obrócił ku skrzydlatemu i mrugnął fałdą szarawej powieki.

Na Jasność! Naprawdę mrugnął. A potem wyszczerzył w uśmiechu straszne, żółte zęby. Szyderczo. Diabelsko. Skóra na pysku pękła, wypłynęło nieco krwistego śluzu.

Anioł wrzasnął. Żółć podeszła mu do gardła i zwymiotował.

A potworny stwór uniósł głowę i powoli, lecz niezmordowanie zaczął wyłaniać się z kłębowiska pościeli niczym z fal morskich. Łóżko trzęsło się i pękało, gdy chuda, przegniła szyja wysunęła z materaca, rozrywając sprężyny i sypiąc wokół sianem z siennika. Za szyją, zdobną w girlandę spleśniałej grzywy, wychynał kłęb i wąska klatka piersiowa martwej chabety. Potem cienkie, czarne przednie nogi, oplecione białawymi i sinymi festonami ściągien i żył, silnymi kopniakami rozłupały resztki pryczy. Ukazał się rozkładający tułów, ostre wręgi odsłoniętych żeber i blady, żółtawy brzuch, wzdęty od gazów gnilnych. Jeszcze moment i zdechły koń stał już na czterech kopytach, w betach pościeli niczym odrzuconym całunie.

I śmiał się. Dosłownie rżał ze śmiechu.

Garafiel wiedział, jaki gość go odwiedził. Wiedział, więc trząsł się ze zgrozy i obrzydzenia.

Koński upiór, prastara ofiara zakładzinowa, duch pięknego i dorodnego niegdyś rumaka, zamurowanego żywcem w fundamentach kościoła, teraz czarną magią powołany do

dziwaczego półzycia, błyskał ślepiami i kołysał łbem.

Rzucił się na agenta w tej samej chwili, gdy skrzydlaty zaczął strzelać. Kule wyszarpywały dziury w martwym mięsie, ale potwór tylko śmiał się dziko.

Wyszczерzone zęby sięgnęły twarzy skrzydlatego. Potworny smród niemal pozbawił Garafiela przytomności. Wystarczyło jedno szerokie kłapięcie, żeby zedrzeć skórę z czoła i policzków. Zlany krwią anioł z bolesnym krzykiem padł na ziemię. Teraz był już tylko posiłkiem głodnego upiora.

Końska zhora żarła przez chwilę, miażdżąc kości i wyrywając wnętrzości, a gdy już się nasyciła, oblizwała ozorem szkarłatne teraz zębiska.

- Widzisz - odezwała się do zmasakrowanych zwłok dźwięcznym, łagodnym głosem. - Po co było w imię ślepej zawiści i złości zabijać własnych braci? Niczego się nie nauczycie, skrzydlaci.

Za drzwiami kwatery dały się słyszeć krzyki, przekleństwa i łomoty. Ktoś walił w drewniane skrzydło łomem czy siekierą. Upiór całkowicie ignorował hałasy.

Odszedł od na wpół pożartej tuszy byłego Garafiela, kulejąc wyraźnie. A potem stanął dęba i skoczył w głąb łóżka, pogrążając się w podłodze, jakby to była przejrzysta, morska toń.

* * *

Wysoki, czarny anioł o turkusowych skrzydłach siedział na dachu kamienicy, oparty plecami o komin. Jego spokojne, bystre oczy uważnie badały okolice.

Czysto. Żadnych wrogów.

Sięgnął do pasa, odwiązał mały skórzany woreczek i wysypał zawartość na otwartą dłoń. Maleńkie ptasie kości były poźółkłe, niemal przezroczyście ze starości. Wyglądały jak osobliwe paciorki z bursztynu.

Mambea wyszeptał kilka zaklęć i dmuchnął.

Kosteczki zagrzechotały, podskoczyły parę razy, formując się w malutki szkielet, pierwotnie obleczony ciałem wróbla czy sikorki.

- Przynieś mi wieści z gniazda umarłych, braciszku - szepnął anioł.

Kościany trupek przekrzywił główkę, przestąpił z łapki na łapkę i posłusznie zerwał się do lotu. Zakołował trzy razy nad kominem, a potem spadł na płaski dach, tuż u stóp Mambei, rozsypując się znów w stertę żółtawych patyczków.

Czarnoskóry skrzydlaty pochylił się i długo, z powagą i pietyzmem, badał układ kości. Następnie westchnął, zgarnął resztki ptaszka z powrotem do woreczka i starannie zawiesił u pasa.

Wyrocznia brzmiała jednoznacznie. Nadchodzi zły czas. Trzeba się ukryć, przeczekać, a dopiero potem kontynuować zadanie.

Agent Razjela westchnął.

Szkoda. Znajdował się już tak blisko celu. Wystarczyłby dzień, może dwa, żeby zlokalizował nowy dom skrzydlatego albinosa o włosach jak mop.

Mambea nie lubił przestojów w pracy. Ale jeszcze bardziej nie lubił leżeć gdzieś w ciemnym zaułku z klatką piersiową rozszarpaną seriami z automatu. A nowoczesna broń Królestwa bywała naprawdę niebezpieczna. Na pewien rodzaj amunicji nawet czarna magia niewiele mogła poradzić.

Westchnął jeszcze raz. Trudno. Pan Szczota Do Podłogi pożyje o kilka dni dłużej. Lepiej przyciąć się na trochę, niż zawieść Księcia Tajemnic, dając się bezsensownie rozwalić.

Wieści z gniazda umarłych zawsze były rzetelne. Mambea nigdy nie postąpił wbrew wskazówkom wyroczni i nigdy tego nie pożałował.

Staął przy krawędzi dachu, złożył skrzydła i rzucił się lotem nurkującym w dół. Czekają go teraz długie i nudne dni zalegania w kryjówce.

Rozdział II

To piekło. Jesteś w piekle. W samym środku rozprażonego, zionącego nieziemskim gorącym wulkanicznego jądra. Świat ma tylko dwa kolory. Czerwony i złoty. Jakby pożarł cię żywcem i nieśpiesznie trawił gigantyczny chiński smok. Wokół buchają płomienie, przesuwiają się niewyraźne, mgliste kształty.

Dusisz się. Powietrze jest tak rozgrzane, że piecze ci płuca przy każdym oddechu. Tkwisz w brzuchu orientalnego, ognistego lewiatana, powoli roztapiając się w żarze.

Jesteś tam, a jednocześnie znajdujesz się gdzieś obok, za matową, przybrudzoną szybą nieświadomości, i patrzysz z boku na własne ciało. Półprzezroczyste, bursztynowe od gorąca, stopione niczym wsad w hucie szkła. Miękkie, niemal płynne ciało z wosku i ambry. Widzisz śliskie serpentyny wnętrzości, wygięte pręty żeber, ciężko pracujące serce przypominające matwę uwięzioną w koszu z kości. Leżysz na wznak, a twoje ściśle złożone, stulone skrzydła wyglądają jak szczątki kokonu, z którego wykluwasz się właśnie z bólem i mozołem.

Przez naciągniętą, pergaminową skórę twarzy prześwituje czaszka. Wygląda to szokująco i żałośnie zarazem. Usta masz otwarte, jakbyś krzyczał lub z trudem walczył o tlen.

Dusisz się. Dusisz. Umierasz z gorąca.

Jesteś woskową lalką wrzuconą do rozpalonego pieca.

Czerwone, pulsujące cienie przepływają obok, gromadzą się wokół ciebie. Szumią jak sam płomień. Jeśli to mowa, nie jesteś w stanie zrozumieć ani jednego wyrazu.

A wtedy pojawia się on. Starzec o pociągłej, chudej twarzy kozła. Kroczy przez płomienie, jakby to był łąn trawy. Wygląda jak poczerniały, wyrzucony przez morze kawał drewna. Pniak o ludzkich kształtach. Zbliża się ku twemu ciału, siada, skrzyżowawszy nogi, i przygląda się uważnie. Oczy ma tak przejrzyste i tak wściekle zielone, aż wydają się nie na miejscu w królestwie złota i czerwieni.

Pochyla się, a wtedy dostrzegasz, że jego policzki i czoło pokrywają sine i błękitne spirale tatuaży.

Wyciąga dłoń, przesuwa tuż nad twoją klatką piersiową, zatrzymuje na wysokości mostka.

- No proszę - mówi z lekkim niedowierzaniem. - Tutaj utkwiał. A to ciekawe. No, łatwo nie będzie.

Strzepuje palcami, a wtedy widzisz, jak głęboko w koszu żeber, tuż obok pulsującej matwy serca, rozjarza się jaskrawą czerwienią podłużny, ostro zakończony kształt. Wygląda jak akwariowa rybka, która postanowiła dotrzymać towarzystwa uwięzionej ośmiornicy.

Ale to nie rybka. Na pewno nie. W jednej chwili rozumiesz, co to jest, i zaczynasz w panice krzyczeć, tłukąc pięściami w matową szybę, zza której patrzysz.

Starzec o twarzy maskarona i spiczastych uszach elfa uśmiecha się do ciebie, mruga porozumiewawczo, a potem szybkim ruchem wbija dłoń w środek twego torsu. Skóra,

mięśnie, kości rozstępują się gładko jak żelowa galareta. Płynny wosk.

Wrzeszczysz. Jasne, że wrzeszczysz. Wydzierasz się tak, żeby Jasność usłyszała. Ból jest po prostu nie do pojęcia. Miotasz się, ale twoje bezwładne, rozdarte na pół szczątki leżą spokojnie.

Sękate, długie palce potwornego dziada grzebią w twoich wnętrznościach, ostrożnie, lecz stanowczo rozgarniają płuca, delikatnie muskają spłoszone, dziko pulsujące serce.

- Spokojnie, spokojnie - syczy dziadyga. - Ten jest najgorszy. Zaraz będzie po wszystkim. Tylko się za bardzo nie rzucaj, dzielny centurionie.

Rzucasz się. Panie na Białym Tronie, ale się rzucasz!

Lecz pokrzywione, reumatyczne palce już sięgają jarzącego się przedmiotu, wyciągają go powoli, delikatnie, spokojnie. Jeszcze sekunda w piekle, sekunda długa jak wieczność i wielki, podłużny pocisk spada z brzękiem na podłogę.

- Widzisz, nie było tak źle. - Brzydka, koźła twarz rozjaśnia się w serdecznym uśmiechu.
- Jeszcze dwa i będzie z głowy.

Przy drugim, utkwionym w płucu, wyjesz jak potępieniec, ale przy trzecim, który przebił łopatkę i utkwił między kręgami, nie masz już siły krzyczeć.

Wytatuowany starzec mruczy coś z aprobatą, ugniata między palcami brązowe grudki oblepione czymś zielonym.

Oddychasz ciężko. Widzisz trzy długie, pokręte kanały, tunele, którymi kule karabinowe zostały wyjęte na zewnątrz, i głębokie postrzały w plecach, któredy weszły. Masz dziury w torsie. Dziury na wylot. A ten szalony dziadyga wtyka ci w nie coś burego, lepkiego, co cuchnie torfem. Porosty, korę, roztartą ziemię. Wtyka ci tam mech i glinę, posraniec!

I uśmiecha się jak wariat.

- No, już. Daliśmy radę, co, centurionie?

- Przeżyje? - pyta z niepokojem głos któregoś purpurowego cienia.

Chichot starca brzmi jak skrzypienie starej gałęzi.

- Nie, skąd! Od dobrych paru tysięcy lat jest tak samo martwy, jak dobry ojczulek Merlin. Jasne, że nie przeżyje. Ale nic mu nie będzie. Wkrótce się wyliże, zobaczycie. Jest silny i strasznie na mnie wściekły, ten wasz centurion z Niebieskiej Krainy. No już, zaśnij, chłopcze. Należy ci się dobry sen. Ale nie ten wieczny. Jeszcze nie teraz.

Gorąco słabnie, czerwień i złoto dopalają się zastąpione przez czerń. Wszystko stygnie, gaśnie i pogrąża się w głębokiej, mrocznej toni.

* * *

Daimon otworzył oczy. Nad sobą ujrzał szarawy błękit nieba i obłoki, skłębione i białe niczym spalone owce. Spróbował wstać, ale nie dał rady. Leżał na gęstej, bardzo zielonej murawie, elastycznej i miękkiej niczym droga wykładzina.

Czuł się bardzo słaby i nieco oszołomiony, ale nic go nie bolało. Przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu, nie myśląc, nie planując, odpoczywając. Pozwalał chmurom swobodnie wędrować w górze, choć cały czas miał niejasne wrażenie, że wystarczy pstryknąć palcami, żeby znikły, zatrzymały się lub zawróciły. W jakiś sposób obłoki ciągnęły nie tyle po niebie, co w jego umyśle. Łagodne, lecznicze, bezmyślne runo skojarzeń, pomagające mu uspokoić głowę.

Czas płynął tu dziwnie wolno, jak gęsta melasa wylana z przechylonej butelki.

Nie miał pojęcia, czy długo leżał. Kiedy wreszcie znalazł dość sił, żeby dźwignąć się na łokciach, zobaczył rozległe, dzikie wrzosowisko, łagodne pagórki pokryte zielenią, wielkie głazy rozrzucone bezładnie niczym domino samego Pana i połyskliwą, wijącą się w trawie rzeczka.

Na kamienistym brzegu przykucnęły dwie smukłe, płowowłose postaci. Prały jakieś łachy z czerwonawej, brudnej brei. Bystry nurt włókł w czystym szkle wody długie, ceglaste smugi. Muskularne, złotawe ramiona praczek poruszały się miarowo, wygięte w koci grzbiet kręgosłupy przypominały sznur pełen węzłów. Było coś niesłychanie nienaturalnego w ich pozach, pochyleniu ramion, układzie ud i łydek. Nawet ćwiczone chyba jeszcze w łonach matek chińskie akrobatki nie potrafiłyby złożyć się w taki paragraf. Wtem coś poruszyło się pośród otoczków, tuż przy nagiej stopie jednej z dziewcząt.

Waż? Daimon wyteżył wzrok.

Nie, do diabła. To był ogon. Długi, płowy, zakończony kitą najeżonego furta. Lwi. A może raczej żbicz. Kim są te stworzenia? Ani to harpie, ani lamie. Sfinksy też nie. Pochodzą pewnie gdzieś z głębin Stref Poza Czasem. Ciekawe, co tak zaciekle chechłają. Jakies ubrania? Bieliznę?

Frey poruszył się słabo, zaciekawiony.

Usłyszawszy nikły dźwięk, jedna z praczek momentalnie odwróciła głowę, ukazując płaską twarz o szerokim nosie i wielkich, żółtych oczach drapieznika.

- Chhhh! - syknęła, prezentując błyszczące, białe, długie jak ołówek kły.

- Podobają ci się moje banshee? - odezwał się niespodziewanie starczy, lecz żwawy głos za plecami anioła.

Daimon drgnął, obejrzał się za siebie.

Na żółtym bloku piaskowca siedział starzec o koźlej twarzy. Dopóki się nie poruszał, wyglądał całkiem jak pokrecony, czarniawy pniak. Był bardzo chudy. Twarz, ramiona i nagi tors, poźłobiony pręgami żeber, obciągała brunatna, pomarszczona skóra, podobna do kory drzewa. Błękitne spirale tatuaży przywodziły na myśl kolonie porostów. Gęsta, ruda czupryna poprządkana licznymi pasmami siwizny wydawała się kępą suchej trawy. A jedyna część garderoby, wyświechtane, zielonkawe spodnie, przypominały mech porastający dwa suche konary.

Nawet nieprawdopodobnie zielone oczy mogły być dwoma listkami przywianymi przez

wiatr.

Przez chwilę Freyowi wydawało się, że dziadyga ssie stary sęk, ale po chwili zrozumiał, że to prymitywna fajka.

Kościsty, wykrzywiony palec wskazał istoty na brzegu rzeki.

- Piorą z krwi łachy tego, kto ma rychło umrzeć. Czyli nie twoje, szlachetny centurionie, czy jak tam cię zwać.

- Frey - powiedział Daimon.

Głos miał tak zachrypnięty, że ledwo dawało się zrozumieć słowa.

Stary kiwnął głową z pogodnym uśmiechem.

- Dziewczyny to moja obstawa. Wiesz, tak na wszelki wypadek. Różnie na świecie bywa. Niby czemu ktoś miałby skrzywdzić starego uzdrowiciela, ale po co ryzykować, nie? Pamiętasz mnie?

- Tak. Uratowałeś mi życie.

Znów ten koszmarny głos, jakby ktoś rznął tępą piłą deski.

Dziadyga zaśmiał się i mrugnął porozumiewawczo.

- Przyjacielu, jesteś martwy znacznie dłużej niż ja żywy. Po prostu postawiłem cię na nogi. Ale kiepsko to wyglądało. Jeszcze parę godzin i moje małe banshee musiałyby ostro szorować twoje szmaty.

Anioł Zagłady z trudem przełknął ślinę. Wydawało mu się, że wie już, do jakiej rasy należy jego wybawca.

- Dziękuję. Jesteś leprechanem?

- Wolimy słowo „cluricaun”. Ładniej brzmi.

- Gdzie jesteśmy? To Avalon?

- A co? Czujesz się martwym bohaterem? Widzisz tu gdzieś jabłonie, centurionie? Nie, jasne, że to nie Avalon. Tylko stara, poczciwa Faerie i niech cię diabli z takim wzrokiem!

Daimon przymknął na chwilę powieki. Z wysiłku kręciło mu się w głowie.

- Uściski dla królowej Mab.

Cluricaun wypuścił kłęb dymu z fajki, która przypominała kawał wyrwanego z ziemi korzenia.

- I pozdrowienia dla Jasności. Tylko nie zapomnij przekazać osobiście.

Frey był zbyt skołowany, żeby się zastanawiać, czy wiekowy leprechan sugeruje, że zna najbardziej strzeżony sekret Królestwa, czy tylko kpi sobie z pacjenta.

Stary pochylił się, zmrużył bystre, szmaragdowe ślepia.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja, szlachetny centurionie. Tam u was, na górze, nie lubią nas. Nie pochwalają, że kultywujemy dawne tradycje. Odprawiamy swoją magię, uzdrawiamy na własne sposoby, mamy swoje wierzenia i obyczaje. Ale nawet dla nas Jasność jest tylko jedna. Przetrwaliśmy wiele wieków. Znamy różne tajemnice, o których nie ma pojęcia nawet wielki cesarz magów, zimnooki Razjel. Wierzysz mi, prawda? Na początku wcale nie chciałem

cię leczyć. Niby dlaczego miałbym pomagać wrogowi? Mieszkańcy Śmietniska to co innego. Znamy się od lat i łączą nas serdeczne więzy. Ale ty? Wysoki rangą centurion z Niebieskiej Krainy? Czemuż bym niby miał ratować twoją skrzydlatą dupę? A potem miałem sen. I natychmiast wyruszyłem w drogę, błagając potężnego Cernunnosa, żeby nie było za późno. Zdażyłem. Ty wciąż cieszysz się światłem słońca, a ja wiem, że nie spieprzyłem sprawy. Poważnej sprawy, legionisto Jasności. Wiem, co masz uczynić. Widziałem, jakie będą konsekwencje dla świata. Wola Światłości musi się wypełnić. Rozumiesz?

Daimon poczuł narastające znużenie.

- Wyobraź sobie, że rozumiem. I za wszelką cenę staram się spełnić ten okrutny, absurdalny, idiotyczny rozkaz. Bo wierzę Jasności. Nie miewam żadnych snów, zwidów ani przebłysków prekognicji. Zostaje mi tylko wiara. I obowiązek, który muszę spełnić. Straciłem wszystko. Przyjaciół, dom, reputację. Dla jednych jestem niebezpiecznym wariatem, dla innych zdrajcą opętanym przez Ciebie. Wiesz, kto mnie ściga, kto do mnie strzelał? Armia. Zastępy. Moi własni bracia. Krew z krwi. Jestem ci wdzięczny, że wyciągnęłaś mnie z trumny, ale przestań pieprzyć jak potłuczony, bo nie mam ochoty słuchać takich gadek, zwłaszcza od starego pryka, który umie tylko zagrzebywać pod byle krzakiem te swoje durne garnki ze złotem!

Leprechan roześmiał się nagle, jakby Frey powiedział coś bardzo zabawnego. Szmaragdowe oczy rozjarzyły się jak lampiony.

- Porządny z ciebie chłop, szlachetny centurionie. Jasność dobrze wiedziała, kogo obarczyć tą wredną misją. Zresztą wybory Jasności zawsze są trafne. Dość już na dzisiaj. Uradowałaś moje stare serce. Jeszcze nie wszystko stracone, skoro Niebieska Kraina rodzi takich skrzydlatych. Nie martw się, będzie dobrze. - Znów mrugnął szelmowsko. - A teraz wracamy do Śmietniska. Musisz odpoczywać. Nic nie gadaj! Doktor każe. Odwiedzę cię wkrótce zobaczyć, jak się goisz.

Zbytek łaski, miał ochotę warknąć destruktor, ale się powstrzymał.

Leprechan pstryknął palcami i nagle wrzosowiska znikły, zwinięte jak teatralna dekoracja.

Wiedziałem, że to jakoś tak działa, zdążył pomyśleć Frey, zanim z impetem zapadł się w jasną, opalizującą pustkę.

* * *

Zamrugnął. Nad sobą ujrzął wysoko sklepiiony sufit z surowych cegieł, pomarańczowy jak karneol w żółtawym blasku naftówek. Widział gzymsy okalający plafon i płaskie wstęgi pilastrów opadające w dół, ku podłodze. Czarne, metalowe klamry mocujące cegły przypominały przyczajone owady. Jakieś osobliwe ćmy czy cykady czające się w kątach, z szeroko rozłożonymi, strzępiastymi skrzydłami.

Ze ścian wyrastały pęki mosiężnych, miedzianych i zielonkawych rur, obficie pocących się wodą. Cienkie, czarne kable przecinające ceglane płaszczyzny, przywodziły na myśl liany w dżungli. Pachniało rdzą i naftą z lampy.

Leżał na żelaznym, szerokim łóżku, zbyt osłabiony, żeby się poruszyć. Mógł tylko mrugać i wodzić oczami po cynobrowym, odległym sklepieniu. Sala, w której się znajdował, była wielka. Przywodziła na myśl kościelną nawę, oczywiście jeśli istnieją kościoły poświęcone jakiemuś industrialnemu, wodnemu bóstwu.

Właściwie nie czuł się źle. Był tylko kompletnie wypruty z sił, a w piersi czuł nieprzyjemny ciężar, jakby ktoś wepchnął mu między żebra ogromny kawał granitu. Głaz miał nierówne powierzchnie, więc uwierał, a przy głębszym oddechu sprawiał ostry ból.

Dlatego Frey starał się oddychać płytko i nie robić żadnych gwałtownych ruchów.

Ale widocznie musiał się mimowolnie poruszyć, bo sprężyny w materacu zaskrzypiały słabo. Zaraz potem rozległ się szurgot odsuwanej krzesła, tupot nóg na surowej, ceglanej podłodze, a nad Daimonem pojawiła się nagle szpetna, uśmiechnięta twarz. Znał ją z głębokich majaków gorączki. Rozpoznał od razu opadniętą powiekę, zdeformowany nos, zajęczką wargę. To była jego śmietnikowa święta. Siostra miłosierdzia od ciemnych, ciężkich wód choroby. Nie zdawał sobie sprawy, że na jawie jest taka brzydka. Wyglądała, jakby przysnęła na kuchennej blasze, a lewy policzek, skroń, oko i fragment brody po prostu się od tego roztopił.

- Ojej, obudziłeś się! - zawołała z autentyczną radością. - To świetnie. Leż spokojnie. Zaraz zawołam Jomjaela. Ucieszy się, że wreszcie się ocknąłeś.

Pytanie, czy ja też się ucieszę, pomyślał z odrobiną niepokoju.

Ale nie zdążył się odezwać, bo jego szpetna opiekunka wybiegła z sali, mocno utykając na lewą nogę.

Kiedy Frey został sam, wcale nie potrafił dostosować się do zalecenia i spokojnie leżeć.

I z całą pewnością nie mógł w tym pomóc fakt, że dziewczyna bezsprzecznie była Głębianką.

* * *

Jomjael okazał się starszym demonem o szpakowatych włosach i surowej twarzy. Brakowało mu obu skrzydeł i lewej ręki. Trzymał się prosto, mówił niewiele, a z całej jego sylwetki i zachowania dawało się poznać, że był weteranem wielu krwawych batalii.

Ku zdziwieniu Daimona zza pleców kalekiego Głębianina wychynał wiekowy, chudy leprechan. Szeroki uśmiech pomarszczył sine spirale tatuaży na jego policzkach. Oczywiście ssał nieodłączną fajkę, podobną do kawałka nieobrobionego korzenia.

Przy łóżku anioła warowała ochrona starca, dwie smukłe, złociste banshee. Co chwila odsłaniały kły i syczały nieprzyjemnie, pewnie, żeby pokazać, że nie tracą czujności.

Nie lubię cię, mówiły ich bursztynowe ślepią drapieżcy.

- I wzajemnie, siostry - szepnęła, a one natychmiast wyszczerzyły się w odpowiedzi.

Koniuszki puchatych ogonów drgały nerwowo.

- Drażnisz moje kicie, szlachetny centurionie. One nie bardzo kochają przybyszów z Niebieskiej Krainy.

Usta Freya drgnęły w słabym uśmiechu.

- Więc to nie był sen. Ty naprawdę istniejesz, panie rudy druid. Nie zostały ci tam jakieś buty do podzelowania?

- O mało co nie pochowali w nich jednego skrzydlatego, legionisto - odciął się stary. - Widzę, że ci lepiej, skoro się stawiasz.

Destruktor zakaszłał głucho, a wszystkie wnętrzości wywinęły mu w środku regularnego fikołka. Zacisnął zęby, żeby nie jęknąć.

- Wepchnąłeś mi w płuca trochę mchu i kory. Jak mogło nie pomóc?

Leprechan zachichotał.

- Nie ma jak medycyna naturalna. Nie martw się, przy zmianie opatrunku załapiasz się na nieco igliwia i torfu.

- Nie mogę się doczekać.

- Widzę, że czujesz się o wiele lepiej - odezwał się uprzejmie Jomjael. - To bardzo dobrze.

Uzdrowiciel poczochnął sękatymi palcami rudawą czuprynę.

- Błefuje - wyjaśnił. - Ma się mniej więcej tak dobrze jak cztery legie w Lesie Teutoburskim. Ale wyjdzie z tego. Przecież obiecałem, nie?

Demon skinął głową, nieco zdezorientowany.

- Witaj w Śmietniku. Możesz tu do woli wypoczywać i dochodzić do zdrowia. Jesteś naszym gościem. Mam nadzieję, że uszanujesz reguły naszej wspólnoty i znajdziesz tu dobre schronienie. Nie odmawiamy pomocy nikomu w potrzebie. To nasza zasada i priorytet. Wszystko jedno, czy trafi do nas Głębianin, czy skrzydlaty. Zwłaszcza jeśli został zarekomendowany przez wypróbowanego przyjaciela.

- Przyjaciela?

Jomjael pochylił się nad łóżkiem rannego.

- Hariel cię tu przyniósł. Nie pamiętasz?

Daimon na chwilę przymknął powieki. Ogarnęła go fala wzruszenia.

Hariel, pomyślał. Oczywiście. A któż by inny? Poczciwy, serdeczny oddany skrzydlaty. Faktycznie, przyjaciel. Jedyny, jakiego jeszcze nie straciłem.

- Chodź! - Stary leprechan klepnął Głębianina w ramię. - Nie męcz go. Musi odpoczywać. Inaczej zaraz znów straci przytomność. Popatrz, jaki się zrobił blady. Jak senatorska toga. No już, idziemy, bo moje lecznicze wysiłki na nic się zdadzą i szlachetny centurion odjedzie do krainy na końcu tęczy. I podiwani mój najlepszy garnek ze złotem.

Mrugnął porozumiewawczo do destruktora i wypchnął Jomjaela za drzwi.

Szpetna Głębianka się nie pojawiła, więc Frey został sam. Chciał w spokoju pomyśleć, zastanowić się, co robić, ale krótka rozmowa tak go wycieńczyła, że zapadł w płytką, pełną majaków drzemkę. Śniły mu się siedmiobarwne mosty i grobowe urny całe wypchane dukatami.

* * *

- Jestem Glizda - powiedziała nieładna demonica, kiedy znów znalazł się wśród żywych. - Chcesz pić?

Niemrawo skinął głową. Faktycznie, język miał wyschły na wiór, przyklejony do podniebienia.

Podąła mu kubek i pomogła się napić.

- Wino z wodą. Tanie i trochę kwaskowe, ale dobrze gasi pragnienie.

Daimon przełknął kilka łyków rozwodnionego sikacza. W domu wstydziłby się podać coś takiego ptactwu niebieskiemu porządkującemu ogród. Widać w Śmietniku się nie przelewało.

- Jeszcze?

- Dziękuję.

Uśmiech wykrzywił jej paskudną, pogodną twarz. Zajęcza wargą rozchyliła się, ukazując drobne, bardzo płaskie zęby z wyraźną przerwą między jedykami.

- Dziękuję tak czy dziękuję nie?

- Dziękuję nie.

Zabrała naczynie. W Hajot Hakados nikt nie pozwoliłby, żeby podobna służąca choćby podjęła pracę posługaczki przy latrynach. Brzydota nie miała wstępu nigdzie powyżej Trzeciego Nieba.

W Królestwie.

Daimon zastanowił się.

Właściwie dlaczego nie? Przecież w tej dziewczynie, mimo szpetnej fizjonomii, mysich włosów, chuderławej, przetrąconej postury, było coś zwyczajnie sympatycznego. Promieniowała z niej spokojna, prosta pogoda ducha.

Wydawało mu się, że trochę ją zna. I może trochę lubi. Pamiętał jej łagodne ręce, cierpliwą obecność, ciche słowa. Śmietnikowa święta. No jasne. Właśnie tak. Wcale nieistotne, że z zapyziałych, syfilitycznych slumsów Głębi.

Nigdy nie zadawał się z istotami tego pokroju. Nigdy, nawet przez chwilę, nie sądził, że mogłyby go w ogóle obchodzić. Śmieci. Brud. Odpadki z samego dna tygła, którym jest Królestwo i Otchłań. Czy mogli mieć jakieś pragnienia, marzenia, ambicje? Nie przypuszczał. Ot, skrzydlate błoto. Bydło zdatne tylko do wykonywania najniższych posług.

Ale z jakiegoś powodu nie patrzył na nią w ten sposób. Dlaczego? Nie miał pojęcia. Odczuł to tylko jako głęboki, potężny wstrząs.

A przecież tym była, do diabła. Nikim. Strzępem ożywionego śmiecia. Pracującym mięsem. Nie rozumiał, co się działo. Niczego już nie rozumiał. Trochę kręciło mu się w głowie.

Natychmiast zauważyła, że zbladł.

- Hej, co jest? Gorzej ci?

- Nie - szepnął słabo. - W porządku.

- Na pewno?

Nuta niepokoju w głosie. Dlaczego, do cholery, martwi się o niego? Głębiańska Florence Nightingale? Rodzona siostra miłosierdzia?

- W porządku - to zabrzmiało trochę szorstko, ale wcale się nie spieszyła.

Przestawiała coś na stojącym pod ścianą stoliku.

Wtem rozległo się skrzypnięcie drzwi, a zaraz potem głośny brzęk, jakby ktoś przewrócił puszkę pełną gwoździ.

- Bania, jak rany! - wrzasnęła demonica. - Nie możesz uważać?! No popatrz, cożeś narobił!

Odpowiedzią był niezrozumiały, płaczliwy głos dziecka.

Daimon spróbował obrócić głowę, żeby zobaczyć, co się stało, ale natychmiast ujrzał konstelację wirujących, ognistych punktów. Nie czuł się wcale tak dobrze, jak usiłował udawać.

Wtedy dziecko, mały, koślawy Głębianin, z ogromną, niemal łysą głową wtoczył się naraz w pole widzenia anioła. Szedł, powłócząc nogami, miętosząc w brudnych rączkach burą szmatę. Jego cherlawe, za krótkie skrzydełka pokryte były tak cienką, niemal poprzecieraną błoną, że z miejsca wszystko stawało się jasne. Ten mały nigdy nie wzleci w powietrze.

Nagle Bania zatrzymał się, podniósł oczy, ogromne, melancholijnie czarne, o wiele za ładne do ziemistej, trójkątnej buzi, uśmiechnął się, prezentując krzywe opłotki uzębienia, a potem zaczął starannie i metodycznie odwijać coś ze ścierki, którą dzierzył.

Daimonowi przypominał psi grzyb. Coś na kształt purchawki na cienkiej nóżce, wyrosłej pod ciemnym i wilgotnym kamieniem. Istotę, która z braku światła stała się wiotka, błada i chorobliwie wybujała.

Witaj w panoptikum, Frey, pomyślał cierpko. Jak widać, całe tutejsze towarzystwo może śmiało stanowić załogę cyrku osobliwości. Ty też się świetnie nadajesz. Będą cię wystawiać w gablocie z podpisem: „Straszliwy Abaddon, Niszczyciel Świata”. W sam raz pasuje.

Tymczasem dzieciak nazwany Banią wydlubał coś z wreszcie z prymitywnego worka, w którym nosił pewnie swoje ukochane skarby, i z wielką powagą wręczył destruktorowi.

Daimon nawet nie ruszył ręką.

Mały zmarszczył czoło, przysunął się bliżej, otwierając dłoń. Leżała na niej stara,

zniszczona figura szachowa. Biały rycerz. Anioł z karząco wzniesionym mieczem. Co prawda koniowi brakowało dwóch nóg, a jeźdźcowi głowy, ale morderczy, pomalowany na czerwono oręż świecił niczym prawdziwa Gwiazda Zagłady.

- Masz!

Frey miał ochotę gorzko się roześmiać.

Na Jasność, co za wspaniały znak. Tańczący na Zgliszczach we własnej osobie. Brakuje mu łba, ale nadal wymachuje mieczem. Jeździec bez głowy. Rozwątka bez sensu. Szalony, pozbawiony rozumu destruktor, który ma zamiar spełnić ten cholerny, niepojęty rozkaz. Hej, mały, nie gap się tak. Nie wiesz, że od wielu dni próbuję zrobić, co w mojej mocy, żebyś wyleciał w powietrze razem ze swoją szanowną mamusią i resztą tej pieprzonej planety?

- Bania, no co cię opętało? Zostaw go, on chory jest, marudo! Słabiutki. Zanudzisz mi skrzydlatego na śmierć. Idź sobie! No już! Spadaj! Zasuważ do innych dzieciaków. Rany, utrapienie z tobą!

Ale wielkogłowy dzieciak nie ustępował. Wpatrywał się w Daimona z ogromną powagą.

- Pan konik tam. Nie może wyjść. A pan aniołek zły. Zrobi wielkie bum! Nie wolno bum. Pan aniołek bardzo niegrzeczny!

Abaddona przeszły ciarki.

- Słuchaj - powiedział. - Ja...

- Bania, co ja mówiłam! - wrzasnęła Glizda znad butelek i fiolek. - Wypad stąd!

Daimon odzyskał rezon. Nie znał się na dzieciach. Znał się za to na broni i robieniu krwawej pulpy ze światów, które powstawały w sprzeczności z planem Pańskim. Takie wyznaczono mu zadanie. A mały po prostu plół coś od rzeczy, jak to bachory mają w zwyczaju. Nie mógł nic wiedzieć ani o Gwieździe Zagłady, ani o Piołunie, ani tym bardziej o wyroku ciężącym nad Ziemią. Ot, zwykłe paplanie istoty z mózgiem jak rozrośnięta gąbka.

- Nie słyszałeś, co mama mówiła? - warknął. - Kazała ci wyjść!

Dzieciak wyduł wargi.

- Pppf! - oznajmił, ale odwrócił się i poczłapał ku drzwiom.

- On nie jest mój - oznajmiła pogodnie Glizda. - Tylko siostry. Ładna była, nie taka jak ja. Chodziła na ulicę. Dobrze zarabiała. A potem jakiś świr pokroił ją na kawałki. No i Bania przypadł mnie. W spadku po siostrze, rozumiesz? Fajny spadek, nie? Ona mu wcale nie nadała imienia. Nie zdążyła, a może jej się nie chciało. Czy ja wiem. I tak wszyscy na niego wołają Bania. To od tej wielkiej bałki. Bo duża jest, co? Chociaż ja tak sobie czasem myślę, może on wyrośnie jeszcze z tego łba? Kto wie?

- Eeee - mruknął zaskoczony Daimon. - No, eee... pewnie. Kto wie. Słuchaj, czy on czasem mówi jakieś rzeczy, o których nie może wiedzieć? Coś dziwnego, co ma się wydarzyć? Odkrywa tajemnice? Rozumiesz, jak by to ująć? Wieszczy?

Zachichotała.

- Jasne, że szczy! Ale już nie do majtek, chwala Otchłani.

Daimon przymknął powieki. Na Jasność. Cierpliwości. Nie dość, że szpetna pokraka, to jeszcze idiotka. Nie, cholera, omylił się. To nie pogoda ducha z niej promieniuje, ale bezbrzeżna głupota. Szczęście idioty.

- Nie o to mi chodzi. Czy on przepowiada przyszłość? Mówi coś, co potem się sprawdza? To znaczy, dzieje naprawdę?

Wytrzeszczyła oczy, a potem zaczęła się serdecznie śmiać.

- Bania? Znaczą prorok jaki czy co? No co ty! Nie! Gada bzdury jak każdy bachor. To dobry dzieciak, ale czasem trochę mu się wszystko miesza. To od tego łąba pewnie. Albo dlatego, że matki nie ma. Tak zwyczajnie to nie robi dużo kłopotu. Ale bywa, że przylatuje, cały zaśliniony, zasmarkany od płaczu, pokazuje ręką do kąta i woła: „Mama tam! Mama tam! Zła mama! Zła! Bojam się! Nie zabiera!”. I tak w kółko, aż mi włosy dęba stają. Niezła jazda, co?

Niezła, pomyślał Daimon. Dobra Światłości, gdzie ja się znalazłem? W republice świrów?

Zamknął oczy i opadł głębiej w poduszki.

Nie chciało mu się z nikim gadać. I o niczym myśleć.

Glizda popatrzyła na niego z troską.

- Wiesz co? Bładziutki jakiś jesteś. Pośpij sobie, odpocznij. Ja teraz wyjdę i wrócę za jakiś czas. Nikt ci nie będzie przeszkadzał, bo cały szpital pusty, tylko ty tutaj leżysz. Na szczęście nikt z naszych nie oberwał nożem ani nie nabawił się jakichś skrofulów. Potem ci zupy przyniosę. Lubisz zupę?

Lubię święty spokój, chciał powiedzieć, ale milczał.

Glizda chyba nie oczekiwała odpowiedzi, bo po chwili wyszła, zamykając drzwi.

* * *

Chyba znów zasnął. W każdym razie, gdy czas po raz kolejny się włączył i zaczął płynąć, wokół było mroczno i cicho. Tylko w rurach coś zawodziło, bardzo słabo i rzewnie, jakby płakał maleńki, osłabiony przez wieki tułaczki upiór. A w oddali dawał się słyszeć monotony odgłos kapania.

Na ścianie tańczył mdły, pomarańczowy odblask lampki. Wokół unosił się ciężki zaduch taniej wywerniej oliwy, knot skwierczał niecierpliwie, jakby utyskiwał.

Abaddon z trudem uniósł się na łokciach i rozejrzył. W pozbawionym okien pomieszczeniu nie był w stanie się zorientować, czy jest noc, czy dzień, ale intuicja i wszechobecna cisza podpowiadały mu, że godzina musi być późna.

Zbite w beładne stado żelazne łóżka przypominały zamarte w bezruchu, rozkraczone zwierzęta. W półmroku majaczyła przeszklona szafka i stolik z szufladkami.

Sala szpitalna. W tej chwili pusta.

Tak powiedziała ta głupia mała. Glizda. Święta ze Śmietniska.

Lecznica. Prywatna klinika przebywających akurat na Ziemi Głębian.

No dobra. A jeśli równocześnie także więzienie? Przecież odkąd się ocknął, nie ujrzał ani jednej znajomej twarzy. Jasne, wszyscy powoływali się na dozgonną przyjaźń łączącą ich z Harielem, ale jeśli tak jest, to czemu albinotyczny stróż kotów do tej pory go nie odwiedził? Przyciągnął rannego do domu przyjaciół, pożegnał się serdecznie i postanowił więcej nie zaglądać? Nie ma ochoty się przekonać, czy gość, którego szukał, ratował i reanimował, w ogóle żyje?

Czy może sam leży gdzieś spętany, w piwnicach tego ponurego, ociekającego wodą gmaszyska rodem z horroru?

Daimona przeszedł dreszcz.

Do cholery, widział tu wyłącznie Głębian. I tego stukniętego leprechana, który beztrudno przyznał, że nie należy do szczególnych miłośników Królestwa.

Razjel i Gabriel go szukają. Michał też. Więc dlaczego nie Lampka? Jasne, Lucek wszedł do gry, i to od razu z asem w rękawie.

Hej, chłopaki! Wiecie, gdzie się podziewa ten wasz walnięty Abaddon? Nie uwierzycie. Otóż u mnie! Tak, tak. Nie róbcie takich min. Chwilowo w bezpiecznej kryjówce, a za moment w równie przytulnym i pewnym miejscu. W lochach Pandemonium. A teraz zastanówcie się, kto z was da mi za niego więcej?

Frey znów zadygotał. Ta koncepcja ma ręce i nogi. Niestety.

Rany, jakbym słyszał Lampę. Naprawdę. Przysłał tego starego o twarzy tatuowanego kozła, żeby postawił mnie na nogi, a w razie kłopotów zgasił swoją zasraną, druidzką magią.

Abaddon w okowach. Brzmi jak tytuł jakiegoś cholernego poematu.

Paskudnie brzmi, prawdę mówiąc.

Mógł popsuć Lucyferowi zabawę tylko w jeden, najprostszy sposób. Podnieść się z tych betów i zwać jak najdalej.

Podciągnął się trochę na łokciach, a potem ostrożnie, z wysiłkiem spróbował spuścić nogi na podłogę.

Nie! - wrzasnęły chórem trzy dziury po postrzałach.

Nie bardzo, zaprotestowała dawna blizna na piersi.

Pozostałe szramy tylko pulsowały niechętnie.

Ale od czego się jest Aniołem Zagłady, Burzycielem Światów? Mimo wyraźnego sprzeciwu większości żywotnych organów trzeba wykrzesać z siebie choć tyle siły, żeby się zwlec z łóżka i nie paść od razu na pysk.

No, dobra. Stoimy. A teraz do przodu. Cicho i ostrożnie. Oczywiście można trzymać się mebli i podpierać o ściany. To wysoce wskazane. Ale, do diabła, nie potykać się o tę cholerną szafkę pełną brzęczącego szkła, fiolek, butelek i innego chłamu.

Cicho, Abaddonie. Tak ma teraz być. Bezgłośnie.

No już, naprzód, żołnierzu. Honor Królestwa znów spoczywa w twoich spoconych, drżących rękach. Ruchy!

Więc Daimon ruszył.

* * *

Kiedy oberwałś trzy postrzały w plecy z porządnej, anielskiej amunicji, nawet jeśli jesteś wyższym Świetlistym, możesz znieść to niezbyt dobrze. A jeśli na to nakładają się poprzednie urazy, dzika eksplozja jasnej mocy i powtarzające się krwotoki z dawnych blizn, to choćbyś był Tańczącym na Zgliszczach, naczyniem Bożego gniewu, gdy postanowisz zerwać się z posłania i uciekać w noc, nogi i tak zaczną ci się plątać, w głowie odpali wentylator, a wzrok może się troszkę zmącić.

Daimon laził z trudem korytarzami Śmietniska, co chwila obijając się o ściany niczym spity cieć, i tylko bardzo złemu samopoczuciu mógł przypisać, że wciąż ma nadzieję, iż to, co właśnie robi, można jeszcze nazwać skradaniem się.

Czasem wydawało mu się, że słyszy jakieś dźwięki, stłumione głosy, rozmowy, a za chwilę wszystko nikło w szumie furkoczącego pod czaszką wentylatora.

Dlaczego nie wziąłem ze stolika butelki? - myślał mętnie. Powinienem wziąć choćby fiolkę. Stłukłbym o cegły i miał bodaj tulipana w rękę.

Tymczasem, choć się rozglądał, nigdzie nie dostrzegł żadnego przedmiotu, który mógłby posłużyć jako broń.

Śmietnisko otwierało przed nim swoje wysoko sklepione, cynobrowe od cegieł sale, poprzetykane pękami rur i kłębami kabli. Wszędzie, niczym potępione dusze, ćmiły się wątle płomyki oliwnych lampek. Pachniało kopcającą się naftą, piwnicą i rdzą. Gdzieś z oddali dochodził też słaby aromat gotowania.

Było całkiem pusto.

Nieliczne drzwi, które mijał, nie dawały się otworzyć. Żelazne, czarne, nabijane rzędami nitów wrota przypominały pieczęcie na cyrografie. Tak samo milczące i złowróźbne, chroniące niebezpieczne tajemnice, które się za nimi kryły. Może właśnie za jedną z tych mrocznych furt leżał skatowany, związany Hariel?

Daimon ostrożnie przyłożył ucho do metalowej powierzchni. Cisza niczym w trumnie.

Nie mógł ryzykować dobijania się lub wyważania drzwi, jeśli nie uzasadniało tego nic więcej niż gorączkowe podejrzenia. Najważniejsze to wyrwać się stąd, z łap siepaczy Lucyfera.

Sunął więc dalej, otoczony nimbem gorączki niczym płomienny święty.

Korytarze, obszerne sale, czasem jakieś przerdzewiałe bojłery czy zbiorniki, płytkie baseny wkopane w podłogę i lśniące oleiście, skłębione, wszechobecne sploty węzowego cielska rur. Niczym pożerający własny ogon, miedziany Uroboros.

Kroczył krętym korytarzem, jakby podróżował przez jelita ceglanego lewiatana, mijając niezliczone zamknięte furty. Przez wszechobecny mrok i blade świetliki lampek o mało nie zauważyłby, że jedne drzwi pozostały uchylone. Pchnął je delikatnie i zajrzał do środka. Zobaczył szeroki, drewniany stół, opatrzony na jednym końcu ciężką naroślą imadła, pilniki, heble, zarys kowadła w kącie. Warsztat.

Pytanie, czy niewinna pracownia domorosłego majsterkowicza, czy fachowa wytwórnia kajdan i różnych paskudnych narzędzi tortur.

Wsunął się cicho do pomieszczenia, przyświecając sobie zabraną z korytarza lampą.

I nic. Żadnych złowrogich przedmiotów. Puszki z gwoździami, sterta desek, jakiś krzywy zydeł okulały na jedną nogę, wyraźnie pozostawiony do naprawy. Po prostu pracownia stolarza.

Frey podszedł do stołu, wybrał długi, ostro zakończony pilnik do metalu i tak uzbrojony wycofał się z warsztatu. Trzymając w dłoni prowizoryczny sztylet, poczuł się z miejsca nieco bardziej uspokojony.

Ruszył przed siebie, czarny, bezgłośny, skrzydlaty, niczym cień śmierci, którą gotów był zadać każdemu, kto próbuje przeszkodzić w ucieczce.

Tymczasem hall rozszerzył się nieco i skręcił ostro w lewo. Daimon zatrzymał się, mocniej ścisnął drewnianą rękojeść pilnika i wyjrzał za węgiel. A potem osłupiał.

Tutaj kończyły się wysoko sklepione sale balowe dla miłośników wilgoci, a zaczynał hotel dla uchodźców.

Po obu stronach korytarza otwierały się niewielkie pokoiki, czasem zabezpieczone drzwiami lub pobieżnie skleconymi drewnianymi furtkami, ale częściej zastawione parawanem, zawieszzone prowizoryczną kotarą lub zupełnie nieosłonięte.

Wewnątrz, na materacach, siennikach albo żelaznych pryczach, spały całe rodziny Głębian. Dzieci wczepione w skórzaste skrzydła matek, wtulone w siebie pary, pochrapujący starcy, samotnicy okutani w kokony koców. Wszyscy pogrążeni w głębokim śnie niewinnego. A wokół piętrzyły się góry łachów, walały tobołki, garnki, patelnie, balie i wszelkie możliwe sprzęty gospodarskie.

Daimonowi ciarki przeszły po plecach. Poczuł, jakby nagle tajemnicza siła porwała go z Ziemi i wepchnęła wprost do slumsów Przedpiekła. Zadrzał. A może właśnie tak było? Cały czas mamili go tylko, że nadal znajduje się na ulubionej planecie Pana, a tak naprawdę, korzystając z tego, że leżał nieprzytomny, szybciotko zabrali do Głębi i ukryli w którejś z parszywych dzielnic Pierwszego Kręgu. No bo kto by go tutaj szukał? Taki numer nie przyszedłby do głowy nawet Razjelowi.

Zaschło mu w ustach. Niedobrze. Bardzo kiepsko. Bo to wszystko znaczy, że właśnie znalazł się w Otchłani. A jako Świetlisty będzie się tu rzucał w oczy bardziej niż tarantula na różowym lukrze tortu.

Zaklął bezgłośnie. Sytuacja przedstawiała się fatalnie. Nie dość, że będzie musiał się

wydostać z tego wilgotnego więzienia, to potem jeszcze powinien wpaść na pomysł, jak niepostrzeżenie opuścić Głębię, żeby nie zauważył tego ani Lucek, ani szanowni archaniołowie. Beznadziejne.

Ale nie zamierzał się poddać. Ściskając w dłoni pilnik, ruszył ostrożnie przed siebie. Miał nadzieję, że gdyby któryś ze śpiących obudził się i próbował narobić wrzasku, zgasi go, zanim całe Śmietnisko zerwie się na nogi.

Zauważył, że w miarę jak posuwa się naprzód, pokoje stają się coraz schludniejsze. Pojawiły się niezbyt eleganckie meble, wyraźnie wytworzone własnym sumptem, ale za to starannie pomalowane i czyste. Sterty łachów powpychano widocznie do szafek, bo nie wały się po posadzce. Kubki i garnuszki wisiały na hakach, naczynia stały na półkach lub w kredensach, w niektórych pomieszczeniach wydzielono coś w rodzaju kąta kuchennego, na drewnianych umywalkach pojawiły się miski i dzbanki na wodę, pranie suszyło się na rozciągniętych sznurkach.

Anioł Zagłady kroczył przez ten zastygły, oniryczny świat, niczym starotestamentowy zabójca pierworodnych.

Zaraz ktoś się ocknie, myślał gorączkowo, ale mieszkańcy Śmietniska leżeli złożeni sennym letargiem, jakby Daimon był tylko duchem, widmem nocnego koszmaru.

Sam już nie wiedział, czy to aby nie prawda. Może umarł, nie doznał iluminacji, zgubił drogę na Błękitne Łany albo nie zasłużył, żeby się przed nim otwarła i teraz na wieki będzie się błąkał po Uniwersum, samotny, niewidzialny dla nikogo, przepojony gniewem i lękiem duch niegdysiejszego Abaddona.

Straszna istota.

Starszy brat snu, upiór Burzyciela Światów, zagubiona śmierć z czarnymi skrzydłami i pilnikiem w ręce.

Znów przeszedł go dreszcz. Nie czuł się dobrze. W głowie mu się kolebało jak pod pokładem w czasie sztormu. Ucisk w klatce piersiowej przemienił się w regularne, ostre rwanie, nogi wydawały się ulepione z gliny i waty. Korytarz kręcił się i wiercił, jakby naprawdę przekształcił się w podrażnione krokami wątpia morskiego potwora. Zapach piwnicy i rdzy nie ustępował.

Tylko światła zrobiło się jakby więcej. Rozlewało się po ścianach i podłodze, pomarańczowe, żółte, złociste.

Frey uszedł jeszcze kilka kroków, a wtedy blask pochłonał go i rozgorączkowany, półprzytomny skrzydlaty zrozumiał, że jakimś sposobem stanął w otwartych drzwiach oświetlonego lampami naftowymi pomieszczenia, które musiało chyba pełnić funkcję czegoś w rodzaju kantyny.

Jakim cudem do tego doszło? Dlaczego nie ukrył się, nie podkradł? Nie wiedział.

Mógł tylko stać nieruchomo jak złapany w światła reflektorów samochodowych zając, czekając, aż stalowy potwór rozwali go na placek.

A wtedy od długiego drewnianego stołu porwał się chudy, zupełnie biały cień i rozłożył ze zdumieniem ręce.

- Lahatiel? Co ty tu robisz? Przyszedłem cię odwiedzić, ale spałeś, więc gadam sobie z Jomjaelem i Zyziem, czekając, aż się ockniesz.

Daimon zamrugał nerwowo.

On jest w znowie, pomyślał. Zawsze był. I ty, skrzydlaty, przeciwko mnie? Podły Brutus ze strzechą białych włóków i fałszywym uśmiechem na gębie. Strzeż się, centurionie z Niebieskiej Krainy.

Tymczasem Hariel już rzucił mu się w objęcia, uściśnił, a potem z niepokojem spojrzał w fosforyczne, pałające gorączką oczy Abaddona.

- Rany, kolego. Ale z tobą to nie jest za dobrze, wiesz? Wali od ciebie gorącem jak od piecyka na węgiel.

Frey zmarszczył brwi. Kołysał się lekko na nogach, biała czupryna kociego anioła sięgała mu mniej więcej do brody. Odruchowo objął chude plecy albinotycznego judasza, a koniec pilnika znalazł się nagle niebezpiecznie blisko nerki fałszywego przyjaciela. Wystarczy jeden cios, potem musi załatwić tego kalekiego głębiańskiego komandosa, który siedzi jakby nigdy nic za stołem, uśmiechając się z udawaną życzliwością, i żłopie wino domowej roboty. Głogowe wino zdrady. Jadowity trunek śmierci.

Chuderlawego zmore nie musi się obawiać. Skręci mu kark jak kurczakowi. A potem wywalczy drogę ucieczki. Drogę znaczoną krwią i łzami. Łzami i krwią. Bo musi spełnić rozkaz Pański. Rozkaz. Tak. Najważniejszy. Tylko w tej chwili za cholere nie pamięta, jak on brzmiał.

Zawahał się. Wentylator w głowie rozszalał się i furkotał teraz jak wirnik helikoptera. Zabójczej Superkobry. Miesił i miesił gęstą, skłębioną chmurę szalonych przypuszczeń.

Hariel wypuścił Abaddona z objęć, cofnął się.

- Hej, co się dzieje? Nie poznajesz mnie? Chyba lepiej, żebyś się położył, bracie.

Frey ciężko potrząsnął głową, aż łopaty rotora zaklekotały boleśnie.

Lepiej, żebyś myślał, skrzydlaty, nakazał sobie ostro. Myśl, zanim zrobisz coś idiotycznego. Spróbuj przebić się przez opary tej gorączkowej paranoi. Przecież Hariel nie mógł być z nimi w znowie. To się kupy nie trzyma. Nie on sprowadził na ciebie psy Michaela, tylko Hija. A Hariel... Hariel jako jedyny zawsze ci pomagał. Gdyby miał cię sprzedać lucyferianom, zrobiłby to już dawno. Jeszcze sekunda i zabijesz najlepszego przyjaciela, świrze, bo masz maniakalne urojenia, że wszyscy przeciw tobie spiskują. Gratulacje. Witamy po psychologicznej stronie życia.

Palce zaciśnięte na uchwycie pilnika zrobiły się nagle lepkie od potu. Daimon opuścił rękę, narzędzie z brzękiem upadło na posadzkę.

- No nie, chłopie! - Hariel energicznie chwycił go pod ramię. - Wracamy do łóżka. Chłopaki, pomóżcie. Nie dam rady go zataszczyć. Trzeba mu coś dać na zabicie gorączki, bo

za chwilę flaki mu się ugotują.

Jomjael i Zyzio podnieśli się z ławy.

- A gdzieś ty się w ogóle wybierał z tym pilnikiem? - zapytał z troską albinos.

Abaddon uśmiechnął się jak naćpany wilk.

- Poszedłem popatrzeć na gwiazdy - powiedział, a potem upadł na kolana.

* * *

Dzwonnica była stara, wysoka i biała jak kość. Górowała nad willową dzielnicą niczym gnat wbity w mrowisko. Chociaż nikt do niej nie wchodził od kilkunastu lat, teraz miała mieszkańca.

Rozpadające się, przegniłe schody i dziurawe, przepróchniałe platformy półpiętra wcale mu nie przeszkadzały, ponieważ miał skrzydła. Piękne, połyskujące turkusem i granatem, doskonale kontrastujące z lśniąco czernią jego skóry.

Mambea siedział na najwyższym podeście, a przez wąskie okna dzwonnicy widział czerwone dachy domów, zielone dywaniki ogrodów i barwne plamy kwietników. Niebo miało kolor spranego dzinsu i wydawało się odległe nawet dla skrzydlatego.

Wysoko pod sklepieniem miedzianej kopuły wisiał martwy kokon dzwonu. Przypominał monstualną zdechłą ćmę lub zasuszonego nietoperza olbrzyma.

Szpiegowi Razjela podobało się nowe lokum, choć konieczność ukrywania się była niezwykle męcząca. Mambea nie lubił tracić czasu.

Wieści z gniazda umarłych wciąż nie należały do korzystnych. Wojna wywiadów nadal trwała, ginęli zarówno cywilni, jak i wojskowi agenci.

A czarny mag o turkusowych skrzydłach czekał.

Ale nie zamierzał spędzić przymusowego oczekiwania beczynnie. Wyjął zza pazuchy małą, czarną, niezwykle gładką i lśniąco miseczkę, przywodzącą na myśl wyłupione oko pająka, wydrapał na dnie tajemny znak, a potem nalał do wnętrza odrobinę krwi i mleka. Z żyłkowej torebki wyjął długi, biały włos i ostrożnie umieścił w naczyniu. Potem sięgnął po matową, pękata flaszke ze szkła.

Zamknął oczy, skoncentrował się i zaczął śpiewnie zawodzić wysokim, jęklwym głosem. Brzmiało to trochę jak gwizd wiatru w nieszczelnym lufciku, a trochę jak płacz niemowlęcia. O ile byłoby to niemowlę upiora.

Ostrożnie poluzował korek. Wewnątrz butelki coś się przelewało i wierciło. Głos Mambei podniósł się jeszcze i wzmocnił. Recytował bezbłędnie prastarą litanię, kołysankę dla Piekielnych Czerwi. Pewnie. Głośno. Wyraźnie.

Czarny anioł nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby się pomylił.

Wlał kilka kropel gęstego, oleistego płynu do miseczki z krwią. Ciecz natychmiast zakotłowała się i pokryła różową pianą. Czerwie zaczęły żerować.

Mambea uśmiechnął się i nie przerywając pieśni, zaczął kreślić nad miseczką tajemnicze znaki. Gdy piana opadła i powierzchnia się wyrównała, w mieszance mleka i krwi pojawił się obraz. Duży, nieco zaniedbany dom, otoczony rozległym, angielskim ogrodem. A na tyłach spora szopa, z gankiem, oknami i czerwoną dachówką, prawdopodobnie służąca niegdyś jako domek dla gości. Na schodkach szary jak dym kot spokojnie mył sobie łapkę.

Mag odczekał, aż Czerwie pożrą całą krew, a gdy na dnie został tylko ruchliwy, połyskliwy osad, z pietyzmem przelał zawartość z powrotem do flaszki i starannie zakorkował.

Podziękował w myślach Piekielnym Czerwiom. Po raz kolejny go nie zawiodły.

Teraz wiedział już, gdzie zacząć poszukiwania.

Rozdział III

Wszystko układało się świetnie. Tak świetnie, że Asmodeusz bał się bać. Ziemia, cudowna Ziemia wciąż kręciła się niczym karuzela w lunaparku, niosąc zakochanego demona w stronę cudów, fanfar i słonecznego blasku. Nie pamiętał, kiedy miał lepszy humor i lepsze perspektywy. Bo czego niby mu brakowało? Głębi? Tej ponurej nory, siedliska żmij i intryg, tego nieustannego wrzasku harpii nad Jeziorem Płomieni, nieba w kolorze rozgrzanej terakoty i ukochanej mamuni, która w ramach hobby uparła się rozwalić mu życie na amen? Nie, Otchłani z pewnością mu nie brakowało. Czasem, w najmniej odpowiednich chwilach, widział przed oczami zmęczoną, wychudłą twarz Lampki, ale zaraz odganiał ją jak obłok dymu. Lucek jest dorosły. W końcu musi zacząć radzić sobie sam. Bo teraz nadszedł czas jaśminów i róż. Pora słowicza. Romantyczna komedia z diabłem w roli głównej. I nikomu, za nic nie pozwoli tego spieprzyć.

Stał przed lustrem, pogwizdując. Tak, z włosami do ramion, walniętymi na hebanową czerń, wygląda naprawdę nieźle. Tylko trzeba uważać na odrosty. Nie miał pomysłu, jak wytłumaczyć Blance, dlaczego są intensywnie zielone.

Pochylił się, starannie przeczesał kosmyki nad czołem. W porządku. Zdecydowanie w porządku. Soczewki też dobrze maskowały fioletowe tęczęwki. Normalny facet w każdym calu. Żadnych rogów, ogonów czy kopyt. Swoją drogą, skąd się wziął ten niesmaczny, durny wizerunek mieszkańca Głębi? Wyobraził sobie Lilith i Samaela zamiatających po posadzkach pałacu krowimi chwostami i roześmiał się cicho. Fajnie by wyglądali. A z rogami jeszcze lepiej. Chociaż w wypadku szanownego tatki mamusia już o to dawno zadbała.

Poprawił kołnierzyk jasnego, pięknie skrojonego garnituru, spod mankietu dyskretnie mrugnął złoty rolex. Jak się bawić, to na całego. Nigdy w dziejach ludzkości żadnemu wyższemu Głębianinowi nie brakowało na Ziemi pieniędzy. Można je było bez trudu zrobić z gazety, papieru toaletowego, starych biletów, a w wypadku demona tej klasy co Mod, nawet z powietrza.

Znów się uśmiechnął do swego odbicia. Równe, mocne zęby błysnęły oślepiającą bielą.

Widmokot Nefer przeciągnął się w sarkofagu i zwinął w kłębek.

- Nuda! - miauknął. - Nudno!!! Pobawmy się!

Zgniły Chłopiec odwrócił się od lustra.

- Idź połapać niewidzialne szczury. Ja wychodzę.

- Niiie! - rozdarł się Nefer. - Widmoszczury są do kitu! Rozwiewają się w łapkach!

Asmodeusz pogłaskał powietrze nad łebkiem kotka.

- Ty też, futrzaku. Nie płacz. Kupię ci Wielkiego Smoka Apokalipsy za jedyne sześć dziewięćdziesiąt.

Poprzedniego dnia widział w kiosku kolekcję metalowych gadów, którą triumfalnie otwierał Wielki Wąż z objawienia Jana, i do tej pory chciało mu się śmiać, ilekroć to sobie

przypomniął. Ziemia. Co za cudaczne miejsce.

Widmokot zamrugnął ciekawie.

- Kupisz? Obiecujesz? Będę mógł zjeść smoka?

- Razem z łapami i skrzydłami. Za sześć dziewięćdziesiąt.

W tej samej chwili od drzwi dobiegł cichy dźwięk, jakby stłumione klaśnięcie czy odgłos upadku czegoś miękkiego, lecz Mod nie zwrócił na to uwagi. Z antykwarycznych półek często coś się zsuwało.

Nefer wygiął grzbiet.

- No dobrze - mruknął. - Skoro obiecujesz.

Ale niemal natychmiast zamarł w bezruchu, a potem stulił uszy, rozwarł pyszczek i zasyczał wściekle.

- Co jest? - przestraszył się Zgniły Chłopiec, bo oczy widmokota płonęły nienawiścią i lękiem.

- Na twoim miejscu bym się odwrócił - szepnął Nefer słabo. - Ale powoli.

Asmodeusz zerknął ku drzwiom i poczuł, jak nogi gną się pod nim niczym plastelina. W progu sklepu stał Abraksas. Demon Abraksas w całej krasie czerwonych, skórzastych skrzydeł, fioletowych włosów przetykanych klejnotami i pomarańczowych, wąskich ślepi jarzących się jak węgle na ruszcie. Pozbawionych białek, tęczówek i źrenic.

Mały Braksi.

Ukochany młodszy braciszek.

Ale sobie znalazł porę na wizytę.

Mod zaklął szpetnie, a Braks uśmiechnął się w odpowiedzi, prezentując kły długie jak palec dorosłego mężczyzny.

- Witaj, Modo. Nie cieszysz się?

Asmodeusz nigdy nie był chyba mniej radosny.

* * *

Blanka zerknęła na zegarek. Dochodziła dwunasta. Co prawda umówiła się z Saturninem dopiero na popołudnie, ale udało jej się szybko uwinąć z klientem, więc wpadła na pomysł, żeby zrobić mu niespodziankę i wpaść na lunch. Mogliby zajrzeć do tej słodkiej hinduskiej knajpki, gdzie podają takie pyszne krewetki garam masala.

Miała ochotę na krewetki. I na pana Saturnina Markolfa.

Słońce świeciło, drzewa wyglądały jak elfy w zielonych sukniach, wszędzie wokół były kwiaty, uśmiechnięte twarze i kolorowe markizy kafejek. Na czyściutkim, wypucowanym niebie uniosły się kłębiaste chmurki. Brakowało tylko pucołowatych amorków na złotych skrzydełkach.

Tak, to był wspaniały dzień na niespodzianki.

- Czego chcesz? - warknął Asmodeusz.

Nefer schował się we wnętrzu pitosa po oliwie i wydawał stamtąd stfumione wizgi.

Braksi lekko podskoczył, machnął skrzydłami, strącając na ziemię bezcenną hetycką wazę z motywem kaczek, i zwinnie wylądował na wieku etruskiego sarkofagu. Przysiadł tam w kucki, owinąwszy się skórzastym płaszczem skrzydeł, i czekał, kołysząc się na piętach.

Zawsze był z niego świr, pomyślał Mod z niesmakiem.

- No co? Stęskniłeś się? Nie wierzę.

Abraksas nie przestawał się głupio uśmiechać. Tylko oczy miał straszne, pełne żaru.

- Nie, Modo, braciszku. Nie ja się stęskniłem. Ktoś inny.

Matka go przysłała, pomyślał Zgniły Chłopiec i poczuł, jak w piersi wzbiera mu tsunami gniewu i gorzkości. Suka! Nie ma prawa go prześladować! Znowu, znowu chce się wtrącać i zniszczyć wszystko. Nie, na Mrok! Nie pozwoli! Nie dopuści do tego! Nigdy!

- Ona? - wychrypiął z trudem. - Ona...

Braks uniósł brwi w udanych zdziwieniu.

- Kto? Aaaa, *maman*. Wiesz, bardzo martwi się o ciebie, ale...

- Spieprzaj, Braksi. Spadaj, zanim rozwalę ci mordę! A jej możesz przekazać, żeby się łaskawie odwaliła, bo osobiście sukę zabiję. I nic nie pomoże, że akurat jest moją matką! Słyszysz?! Powiedz jej to ode mnie!

Fioletowowłosy demon zaplótł ręce na karku i kiwał się dalej, balansując na krawędzi marmurowej pokrywy. Wyglądał jak kwintesencja słowa „katastrofa”.

- Jasne, chłopie. Powtórzę co do słowa. Nie gorączkuj się tak. Widzisz, rzecz w tym, że jak zwykle się mylisz. Matka mnie nie przysłała.

Asmodeusz zamrugał, jakby oślepiło go nagle bardzo ostre światło. Nie Lilith? Więc kto, na Głębie? Lampa? Lucyfer? Jego serdeczny przyjaciel Lucyfer posunąłby się do tego, żeby nasłać na niego to podłe nasienie, tego brata z piekła rodem, kochanego małego Braksi? Pieszczoszka mamusi, który zaraz zabawi się w łajzę i opowie ze szczegółami o tym, co zdołał odkryć. Opowie o Blance. Przeszedł go dreszcz. Nie. Nie wierzył. Nie chciał uwierzyć.

Tymczasem Abraksas sięgnął przed siebie i zamknął w dłoni biało-gruntowany lekyt ozdobiony delikatnym rysunkiem harfistki.

- To tym się teraz zajmujesz? Skorupami ze swojej młodości? Sorry, nawet nie swojej, tylko tych łosiów, których Pan ulepił z gliny i piachu. Nieźle. Jej, ale to ładne. Ale kruche pewnie, co?

Rozwarł palce. Naczynie spadło na posadzkę i rozbiło się na kawałki. Ukryty w pitosie widmokot zasyczał wściekle.

- Ups! Cholera, upuściłem. Tak mi przykro, Mod. Zawsze byłem niezgrabny, nie?

Zgniły Chłopiec zastanowił się przez moment, czy nadal boi się buzującego szaleństwa

i wściekłością brata, tak jak dawno temu w dzieciństwie, i doszedł do wniosku, że nie. Rozszarpałby go na strzępy gołymi rękami.

- Braks, wynoś się. Dobrze ci radzę.

- Oho, Modzius się pogniewał. Przepraszam, stary. No, nie bzdycz się już. Jakbyś widział swoją minę, to by ci było głupio. Pan Nadęty Starszy Brat. Rzuć w diabły ten cały interes ze starzyzną i zatrudnij się w brazylijskiej telenoweli. Chłopie, sukces masz murowany.

Co za parszywa gęba, pomyślał Mod z wściekłością. A na gębie parszywy uśmiech. Dziubuś Szyderca. Klaun ze spalonego teatru. Łajza. Niech Mrok broni każdego przed taką rodziną.

- Jeśli natychmiast nie powiesz, po coś tu przylazł i czego chcesz, wyniosę cię na kopach za próg. Ostrzegam.

Abraksas ściągnął usta w ciup i zamrugął z udanym zdumieniem.

- Uuuu! A to ci dopiero. Mały Modzio będzie się bić. Nie, no skonom. Nie wierzę. No więc proszę, braciszku. Zaczynaj. Wynoś mnie na kopach. Popatrzę z...

Urwał, bo Asmodeusz trzasnął go z całej siły w twarz. Zaskoczony Braks poleciał do tyłu i wyrznął plecami w półkę z ceramiką. Hetyckie, suzańskie i kreteńskie wazy zatrzęsły się niebezpiecznie, a potem posypały na fioletowy łeb demona niczym szatańskie jabłka z drzewa nieświadomości. Abraksas zakrył głowę ramionami.

- Au! - wrzasnął rozwścieczony. - Ty posrani świrze! Co jest, chcesz mnie zabić jakimiś przedpotopowymi garami czy co?! Bratobójca się znalazł pieprzony!

Asmodeusz pochylił się, biały ze złości.

- Jakbyś nie zauważył, Braksi, już od paru tysięcy lat nie jestem wystraszonym, kulawym chłopcem z pędzlem zamiast miecza. Więc się streszczaj, bo nie mam ochoty dłużej oglądać twojego wrednego pyska.

Abraksas podniósł się, odruchowo pocierając policzek.

- Dzięki za ciepłe słowa i braterskie przywitanie - mruknął. - Dobra, powiem ci, co mnie sprowadza do tej twojej cuchnącej naftaliną nory. Serdeczna troska o dobro Głębi.

Asmodeusz stał przez moment sparaliżowany niczym żona Lota, a potem wybuchnął śmiechem. Dosłownie ryczał, klepiąc się po udach i kolebiąc w przód i w tył. Patrzył, jak na twarzy młodszego brata pojawia się wyraz zdumienia pomieszany z niepokojem, i nie mógł się opanować. Płakał i trzymał się za zębra. Ale ledwo na nowo zerkał na pełną urazy, jakby płaczącą minę małego Braksi, skrecał się w kolejnych spazmach śmiechu.

- Rany! Troska o dobro Głębi! Serdeczna! Przestań, bo mi przepona pęknie - jęczał, ocierając oczy. - Chłopie, nie pamiętam, żeby od wieków ktoś mnie tak rozbawił!

Pomarańczowe ślepia Abraksasa jarzyły się złym blaskiem.

- Żebyś wiedział! - syknął zjadliwie. - Właśnie po to przyszedłem. Żebyś wreszcie przejrzał na oczy, ruszył swoją szanowną dupę i wrócił do Otchłani, zanim będzie za późno. Lampa ma kłopoty. Może wpakować całą Głębię w syf, o którym żadnemu z nas się nawet

nie śniło. To twój cholerny przyjaciel! Wracaj tam i pomóż mu, zamiast latać całymi dniami za tą małą ziemską lasią z krzywymi nogami.

- Wcale nie ma krzywych nóg! A Luckowi możesz ode mnie przekazać...

Abraksas machnął wściekle skrzydłami, aż podmuch wzburzył nową, hebanową fryzurę Zgniłego Chłopca.

- Nic mu nie przekażę! Nic! Bo nie on mnie przysłał. Sam przyszedłem! Bo zrobiło się kiepsko, Mod! Bardzo paskudnie. Przez ciebie i te twoje cholerne amory! Zakochałbyś się w świni, gdyby ją ubrać w kieckę i umalować! Gonisz teraz za tym wystrzyżonym zwierzątkiem, za tą cielęciną w przykrótkich spódniczkach, a to przecież worek mięcha, glina rozrobiona ze splunięciem Jasności. Pył. Śmieć. Mała suczka. Wstyd, bracie. Cholerny wstyd. No co się tak gapisz? Mało razy tak było? Osiem? Dziesięć? Więcej? Myślisz, że nie pamiętam? Jakies Sary, jakies Rebeki, Beatrycze z brudnymi włosami, w przepoconej, nigdy niepranej szmacie, jednorazowe Julie i Izoldy, te dzinnije, ifrytki, Ziemianki. Zawsze to samo. A najgorsze jest to, że jesteś w stanie dla tej zasranej obsesji rzucić w diabły i przyjaźń, i całą Głębię na dodatek. Dlatego, że zamiast myśleć głową, jak normalny demon, ty musisz myśleć...

Łup! Coś trzasnęło. Coś straszego zamknęło się z traskiem. Raz na zawsze. Nieodwołalnie. Niczym wieko trumny. Drzwi. Chyba drzwi. A przez szybę antykwariatu zamajaczyła znajoma postać. Włosy krótkie jak krecie futerko. Czerwona sukienka. Glany. Biegła. Uciekała. Byle dalej od niego. Nie! Na Mrok! Na najgłębszą Ciemność! Tylko nie to! Nie!!!

Asmodeusz nie słuchał brata. Szczerze mówiąc, już go nawet nie zauważał. Odwrócił się i błyskawicznie rzucił do drzwi. Pędem wypadł na ulicę, rozejrzał się przerażony, że nie zdążył, że nigdzie nie dostrzeże czerwonej plamy sukienki. Jest! Tam, daleko, w tłumie. Puścił się biegiem, brutalnie roztrącając przechodniów.

W tej chwili cała Głębia mogłaby dla niego nie istnieć. Wylecieć w powietrze. Spłonąć. Utopić się w błocie. Zostać zeżarta przez szczury. Biegł. Gnał jak szalony, chociaż wiedział, że już się stało, że na wszystko będzie za późno. To, co miał, zostało zmiażdżone jednym przerażającym trzaśnięciem drzwiami.

Mały braciszku Braksi, jakże cię teraz nienawidził.

* * *

- Blanka, czekaj! Poczekaj, błagam!

Chwytał ją z całej siły za ręce i pociągnął ku sobie. Upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał. Wrywała mu się zaciekłe, w milczeniu. Po policzkach ciekły jej czarne łzy. Rozmazany makijaż.

- Blanka, proszę. Nie możesz przecież... Porozmawiajmy. Tylko tyle zrób dla mnie.

Porozmawiaj. Ja... wszystko wytłumaczę. To nie tak! Naprawdę. Nie tak!

- Wiedziałaś - szeptała - wiedziałaś! Było po prostu za dobrze. Za pięknie!

- Zobacz. - Wyciągnął rękę. - Tam jest ławka. Skwerek, fontanna i ławka parkowa. Usiądziemy i pogadamy, dobrze? Spokojnie, bezpiecznie, wśród ludzi. Zgadzasz się? Tak? Wytłumaczę ci wszystko.

Mówił, byle wypełnić ciszę. Żeby uspokoić ją samym tembrem głosu, niczym wystraszonego kotka. A tymczasem wiedział przecież, rozumiał, że katastrofa jest nieuchronna. Bo co jej wytłumaczy? Co, u czorta? Że kto to niby był? Cyrkowiec? Spec od efektów specjalnych? Mim uliczny w przebraniu demona? Nie czuł się na siłach kłamać. Braksi. Mały Braksi. I taka potworna ruina. Gruzy spadały mu na głowę, powodując oszołomienie, zasypywały, dusiły, ścisnęły betonową obręczą. Nie mógł normalnie myśleć, oddychać, mówić. Cały zatonął w złomowisku, w które zmieniło się nagle jego życie.

Blanka patrzyła na niego oczami jak deszczowe kawałki nieba. Nie płakała już, nie szarpała się, tylko stała nieufna i czujna.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Chodźmy usiąść na tej ławce.

Siedzieli więc, a słowa nagle uleciały jak zeszlóroczne liście i cisza, martwa, ciężka niby nagrobek, dławiała Zgniłego Chłopca. Otwierał usta i zaraz zamykał, nie wiedząc, od czego zacząć. Nie było naprawdę nic do powiedzenia. Nic. Kamienna cisza. I prawda, której nie sposób wyjawić.

Nagle znów stali się dwojgiem obcych ludzi, przypadkowymi przechodniami, którzy przysiedli na moment na tym samym skwerku, a Asmodeusz panicznie bał się, że tak już zostanie. Rozejdą się jak nieznajomi. Poczul ulgę, kiedy to Blanka odezwała się pierwsza.

- Domyślałam się, że coś ukrywasz. Ale nie chciałam wiedzieć. Było przecież tak cudownie. Wreszcie na mojej drodze pojawił się facet idealny. Tyle że ideały nie istnieją. Masz kłopoty, tak?

Potrząsnął głową.

- Nie. Właściwie nie. Mój przyjaciel chyba ma, ale to teraz nieważne...

Nie słuchała go. Patrzyła ponuro na swoje buty, jakby to były jakieś muzealne okazy.

- Wielu dobrych antykwariuszy daje się w końcu skusić i pracuje na czarnym rynku. Prywatni kolekcjonerzy świetnie płacą, szczególnie za nielegalnie pozyskane zabytki. Nie pochwalam tego. Musisz wiedzieć, że wcale nie pochwalam. Ale wiem, jak to jest w tym zawodzie. Rozumiem, lubisz mieć pieniądze. Każdy lubi. Ale żeby zadawać się z mafią? To niebezpieczne. I głupie, Saturnin. Nie spodziewałam się tego po tobie.

Jęknął w duchu.

- Nie zadaję się z mafią! To nie był gangster, tylko ktoś... no, ktoś z rodziny!

Odwróciła się błyskawicznie, spojrzała na niego zimno. Jej niebieskie oczy były teraz dwiema pustyniami Antarktydy.

- Z rodziny? - powtórzyła ostro. - Wspaniale. Myślałam, że jesteś dorosły. Dojrzały i

odpowiedzialny. Ale zakochałam się w dupku. I to dupku tchórzliwym. Do którego musi przychodzić „ktoś z rodziny”, żeby wziąć go za łeb i doprowadzić przykładnie do domu! Do kogo, Saturnin? Co? Bolejącej mamusi? Skrzywdzonej małżonki? Łkających pociech? Powiedz wreszcie, co jest z tobą nie tak? No dalej, nie krępuj się. Niech w końcu usłyszę! Masz kochankę? Żonę? Dzieci? AIDS? CO, do diabła, jest z tobą nie w porządku?!

- Nic - szepnął rozpaczliwie Asmodeusz. - Nic, przysięgam. Jestem kawalerem. Nie mam żadnych dzieci. Żadnych dodatkowych kochanek. Nie choruję. Po prostu... och, na Mrok, to takie skomplikowane!

- Skomplikowane. Fantastycznie. I nie masz kochanek. A ja słyszałam co innego. Opowieści o całych rzeszach kobiet. Co tam niby było? Julie? Beatrycze? Ifrytki? Co to, na Boga, są ifrytki? Dziewczyny z masy kartoflanej? Do smażenia w gorącym tłuszczu? Czy tak rach-ciach, do zaliczenia na jeden kęs, jak porcyjka frytek?!

Rany, co ty pleciesz? Sama musisz słyszeć, jakie to głupie! - chciał powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

Blanka zamilkła. Znow ponuro patrzyła na czubki butów, które ryły w piasku dziwne wzory, jakby stały się naraz odrębnymi zwierzętami, parą ziemnych, ślepych stworów o tępych mordkach, jakimiś kretami czy golcami z czarnej skóry. Też gapił się na nie z bezmyślną fascynacją, nawet nie próbując wymyślić żadnego wiarygodnego wykrętu. Książę Kłamstwa się wypalił. Nie miał na podorędziu żadnej inteligentnej błagi. Tylko niewiarygodną, niemożliwą do zaakceptowania, nieznośną prawdę. I czuł, że powoli nadchodzi chwila, gdy ta prawda wydobędzie się na światło dzienne, niczym zły, bezoki kret, pazurami torujący sobie drogę na powierzchnię. Dzięki, Braksi. Dzięki, bracie. Zabiję cię za to. Zobaczysz.

Blanka przygryzła wargę. Spoglądała teraz w dał, jakby wypatrywała z uwagą dalekich żagli okrętu. Czarnych żagli. Z pewnością czarnych.

Widział jej profil jak twarz na monecie. Chłodny. Odległy. Orzeł czy reszka? Rozpacz czy nadzieja? Bał się nawet myśleć. Nie patrzyła na niego. Nie umiała? Nie chciała? Wszystko jedno. A tymczasem na horyzoncie łopotały już wzdęte wiatrem płachty w barwie najciemniejszego hebanu.

- Kto to był, Saturnin? On... ten człowiek, dwumetrowy transwestyta z płonącym wzrokiem, skrzydlaty tancerz z klubu sado-maso, lucyferianin w pełnym rynsztunku, ta istota, którą widziałam?

Zgniły Chłopiec miał w ustach tak sucho, aż bał się, że zadławi się odpowiedzią.

- Mój brat - wychrypiał z trudem.

Teraz wreszcie na niego spojrziała, ale nic nie umiał wyczytać z lodowej pustyni za ekranami okularów.

- Więc dlaczego nie wyglądasz jak on? Nie świecisz w ciemności, nie masz skrzydeł, pomarańczowej cery i spojżenia, od którego ciarki latają?

Chciał przełknąć zwały zimnej, lepkiej śliny, ostrej, kaleczącej jak kra, ale nie dał rady.

- Wyglądam - przyznał.

- Tak? Naprawdę? Nie zdaje mi się.

Ten paskudny ton. Kpiący. Oskarżycielski. Kłamiesz! Kłamiesz! Zawsze kłamałeś. Tyle że tym razem to nie łgarstwo.

- Blanka, posłuchaj. Chodźmy do mnie. Tam ci wszystko pokażę. Wyjaśnię. Tutaj... nie mogę. Sama rozumiesz. To nie miejsce na...

Błąd. Popenił okropny błąd. Zorientował się natychmiast, gdy z lodowych gór za okularami zerwał się biały tuman wściekłości.

- Rozumiem. Aż za dobrze - warknęła i wstała. - To przebrało wszelkie miarki. Żegnaj.

Odejdzie, pomyślał w popłochu. Na Otchłań, jeśli teraz odejdzie, to będzie definitywny koniec. Smutne, samotne i ostateczne pogorzeliśko.

Zerwał się z ławki.

- Dobrze! Dobrze! Niech będzie tu, na ulicy. Patrz!

Momentalnie zrzucił magiczne przebranie. Zamarła, patrząc, jak pięknieją, wyostrzają mu się rysy. Jak twarz zaczyna jarzyć się nieziemskim, mrocznym blaskiem. Oczy, pomimo maskujących soczewek, świecą jaskrawym fioletem. A ponad ramionami rysują się ostre, skórzaste skrzydła, lśniące zielenią i złotem. To już nie był człowiek. Nie antykwariusz Saturnin Markolf, ale ktoś zupełnie inny. Kto? Boże, z pewnością nie mieszkaniec Ziemi. Nie Ziemianin. Nie...

Krzyknęła słabo, zasłoniła dłonią usta. Kilku przechodniów zatrzymało się. Z rozdziawionymi gębami gapili się na Zgniłego Chłopca. Natychmiast z powrotem narzucił iluzję. Zdjął ją ledwie na kilka sekund, a już zrobiło się zbiegowisko. Na szczęście ludzie cywilizacji zachodniej, zupełnie odzwyczajeni od cudów, potrząsnęli tylko głowami i szybko rozeszli się do swoich spraw.

Blanka opadła na siedzenie ławki jak zmięta gazeta. W jej oczach był strach i groza.

- Kim... kim jesteś? - wyszeptwała wstrząśnięta.

Mod ciężko usiadł obok.

- Pochodzę z Otchłani. Jestem Głębianinem. A na imię mam Asmodeusz.

Zachichotała wysoko, histerycznie.

- Więc jesteś starożytnym demonem, tak? Nazywasz się Asmodeusz. Masz trzy głowy, byczką, ludzką i baranią, ogon węża, gęsie nogi i ziejiesz ogniem. Dobry Boże, ja chyba oszaleję. Aszmodai. Duch Zła. Perski Aeszma Dewa. Ten sam, który zalecał się do biblijnej Sary, późniejszej żony Jakuba...

Zgniły Chłopiec drgnął nerwowo.

- Rany, Blanka, błagam! Byłem młody i głupi. Sara to piękna laska. Znaczy wtedy, bo teraz od wieków mumia w prochu i pyle. Nie zależy mi już. Przysięgam. Dawno zapomniałem. Zresztą do niczego nie doszło! Przecież wiesz, znasz mity! Do cholery, to było

pięć tysięcy lat temu! Nie możesz być zazdrosna o historię sprzed pięciu tysięcy lat!

Potrząsnęła głową, jakby chciała się obudzić z koszmarne go snu. Patrzyła na Modę nieprzytomnie, po jej wargach błąkał się absurdalny uśmiezek.

- Zazdrosna? Nie. Na pewno nie. Tylko szurnięta. Szalona jak Kapelusznik. Marcowy Zając. Fiu-bzdziu. Mam nierówno pod czapką. I ty też, prawda?

Uderzył pięścią w kolano.

- Nie, jasne, że nie! Po prostu jestem diabłem! Synem Samaela i Lilith! Farbuję włosy, bo są seledynowe! Rozumiesz?

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie! Ani trochę! Nie chcę nic rozumieć. Ale wiesz co? Jedno ci powiem. Z diabłami się nie zadaje!

Zerwała się z ławki. Wyciągnął rękę, żeby ją złapać, ale się wywinęła. Jej oczy znów płonęły błękitnym gniewem. Świeciły niemal tak mocno jak fioletowe tęczówki Asmodeusza.

Wycelowała w niego oskarżycielki palec.

- Nie dotykaj mnie! Nie próbuj za mną iść, ostrzegam! To koniec. Mam dość. Dociera? Koniec! Nigdy więcej nie waż się mnie niepokoić. Skończyłam z tym. Żegnaj, Saturnin, kimkolwiek tam jesteś. Na zawsze.

Już biegła przez skwer, wpadła między zaparkowane auta, machała na taksówkę, rozpaczliwie, niczym rozbitek z bezludnej wyspy na przepływający transatlantyk.

Nie poszedł za nią. Oczywiście, że nie poszedł. Po co? Nie pozostało już nic do zrobienia.

Długo siedział samotnie na ławce, a gdy wreszcie wstał i powlókł się do antykwariatu, kulał bardziej niż kiedykolwiek.

Abraksasa, rzecz jasna, już nie zastał.

* * *

To był piękny dzień. Piękny, choć nieco pochmurny i wietrzny. Szare obłoki sunące po niebie przypominały czołgi w natarciu. Stalową sforę okrętów podwodnych ciągnących na bezbronne konwoje. To wreszcie był dzień walki i chwały. Bo wieści z gniazda umarłych okazały się bardzo pomyślne.

Mambea, czarny mag, mógł w końcu ruszyć na łowy. Cieszył się wiatrem we włosach i lotkach skrzydeł. Radował niepewną pogodą. Lubił działać i czuć się potrzebny. Zniósł cierpliwie, choć niechętnie wiele dni przymusowego odosobnienia. A teraz mógł już spokojnie wypełnić zadanie.

Szybował szerokimi kręgami nad starą willową dzielnicą. Pozwalał sobie na swobodny lot, gdyż zakłęcie niewidzialności trzymało mocno. Nie obawiał się, że zobaczy go ktoś z ludzi. Synami Adama w ogóle nie musiał się przejmować, bo ich oczy zawsze były zamknięte na sprawy skrzydlatych. Biedne, głupie robaki pełzające w ziemskim gnoju.

W cichej zieleni ogrodów pojawił się nagle znajomy dom. Stromy dach, poszarzałe, lecz

solidne ściany. Zaś w rogu, przy ogrodzeniu, szopa przerobiona z domku dla gości. Wspaniale. Mambea uśmiechnął się triumfalnie. Jest. A w środku z pewnością krząta się ten blady ptak niebieski z białymi dredami. To dobry dzień. Naprawdę dobry.

Wylądował ze słabym furkotem lotek. Jakiś szary kot wyczuł dziwny ruch powietrza, zjeżył się, prychnął i wczuł się śpiesznie pod ganek.

Czarny anioł wspinał się po schodkach, otworzył drzwi.

Hariel obrócił się zdziwiony.

Przeciąg? - pomyślał z nagłym ukłuciem niepokoju.

Lecz w tym samym momencie Mambea zmiął czar niewidzialności, odrzucił niczym dziurawy płaszcz przeciwdeszczowy. Stał pośrodku pokoju niby posąg z czarnej laki, piękny, lśniący i złowrogi. Uśmiechał się przy tym jak tygrys na widok uwiązanej kozy.

Koci anioł krzyknął z zaskoczenia i lęku.

Szpieg Razjela jednym szarpnięciem zatrasnął drzwi.

* * *

Daimon podniósł głowę znad umywalki i spojrzał w lustro. Czuł się zdecydowanie lepiej i wyglądał zdecydowanie lepiej. Potworny kolor prawie zupełnie zmył się z włosów, pozostawiając tylko słaby rdzawy poblask, niby cień dalekiej pożogi. Znow czarne kosmyki miały odpowiednią długość, żeby dać się związać rzemieniem na karku. Skórzana kurtka i drelichowe spodnie, prezent od Jomjaela, leżały całkiem nieźle. W nowym stroju o barwie smoły wreszcie przypominał dawnego Anioła Zagłady.

Jego zdrowie znacznie się poprawiło, a wraz ze spadkiem gorączki powrócił trzeźwy osąd sytuacji i wewnętrzny spokój. Wiedział, co musi zrobić. Nigdy nie był tego bardziej pewien. Słyszał we wspomnieniach głos Pana niemal tak samo wyraźnie jak w chwili objawienia.

Przez wiele dni choroby i rekonwalescencji zdążył poznać i polubić Śmietnisko. Darzył wielkim szacunkiem i sympatią Jomjaela. Między nim a poważnym, skupionym Głębianinem rodziły się więzy przyjaźni. Obaj byli doświadczonymi wojownikami, obaj wiele przeżyli. Czasem Frey miał wrażenie, że były komandos i opiekun Śmietniska rozumie go lepiej niż którykolwiek z anielskich przyjaciół.

W jakiś sposób zdołał też przywiązać się do głupiutkiej, serdecznej Glizdy. Dobra, nie była królową intelektu, ale miała w sobie mnóstwo żywotnej energii. I lubiła się śmiać z byle czego. Nawet Bania, kiedy nie wieszczę, okazał się zwykłym, ciekawskim głębianiskim dzieciakiem.

Daimon westchnął. Czuł, że najwyższy czas opuścić schronienie pośród rur i basenów dawnej stacji filtrów. Rzecz w tym, że na razie wcale nie miał na to ochoty. Świat za oknem wydawał mu się bardziej nieprzyjazny niż armia Antykreatora. Nie czekało go tam nic pozytywnego. Ani jedna rzecz, z którą pragnąłby się zmierzyć. Ale czas mijał, a rozkaz,

wciąż brzącały w jego uszach, nadal nie został wypełniony.

Miły wypoczynek w Śmietniku dobiegał końca.

No, Abaddonie, pomyślał z goryczą. Trzeba się ruszyć i zabrać do roboty. Jeden fajny świat czeka na rozwalenie.

Nie wiedział, jak wytłumaczy to nowym przyjaciółom. Nie wiedział, czy w ogóle zdoła coś powiedzieć. W każdym razie musiał ich szybko przekonać, żeby opuścili ukochany dom i schronili się w Głębi, Limbo lub najlepiej, daleko w Strefach Poza Czasem. I za cholere nie miał pojęcia, jak niby miałyby tego dokonać. Trudno, później się zastanowi. Choć wkrótce mogło już nie być żadnego „później”.

- Miii! Miii! Miau! - zapiszczało coś pod jego nogami.

Spojrzał w dół i zobaczył burą kotkę z białymi łatkami. Pograżony w ponurej zadumie nie zauważył, jak zwierzątko znalazło się w łazience. Poznał ją od razu. Oczlik. Jedna z ulubienic Hariela. W tej chwili przerażona tak, jakby rozumiała myśli Abaddona. Kręciła się nerwowo, miaucząc rozpaczliwie, a w ogromnych turkusowych oczach lśniły lęk i groza. Paplała coś po kociemu, ale ze strachu płątały jej się słowa, więc Daimon zupełnie nic nie pojmował. Było tam coś o czarnych potworach, albinosie i strasznych niebezpieczeństwach.

Frey pochylił się, żeby pogłaskać kotkę, uspokoić ją trochę, ale cofnęła się stanowczo. Przypomniał sobie, że nie znosiła dotyku nikogo poza Harielem.

- Miau! - zawodziła coraz bardziej wystraszona. - Potwór! Pomocy! Czarny! Chhh! Chhhh! Teraz! Szybko!

Miotła się przerażona, próbowała gdzieś biec, straszyla ogon i płakała wniebogłosy. Fosforyczne, turkusowe ślepie dosłownie płonęły. Musiało się zdarzyć coś złego. Abaddon poważnie się zaniepokoił. Powoli docierało do niego, że chyba coś strasznego grozi przyjacielowi.

- Mam z tobą iść, tak? - Pochylił się i spojrzał wprost w oczy kotki. - Na pomoc Harielowi? Zaprowadzisz mnie, bo nie znam drogi.

- Miiiiii! - wykrzyknęła rozpaczliwie i już wyskoczyła na korytarz.

Nie czekając na nic, ruszył za nią biegiem.

* * *

Gdy jesteś władcą Głębi, na każdym kroku musisz podejmować istotne decyzje. Takie, które zaważą potem na losie świata. Nikogo nie obchodzi, czy czujesz się zmęczony, wkurzony, zdradzony czy smutny. Nieważne, że w ogóle nie tego pragnąłeś, a państwo, które chciałeś kiedyś zbudować, miało wyglądać zupełnie inaczej. Nieistotne, czy czasem żałujesz swego buntu, czy jesteś z niego dumny.

Zostałeś władcą Głębi. A to obliguje.

Lucyfer siedział w tronowej sali pałacu Pandemonium i myślał. Jego przystojna twarz

przybrała stanowczy wyraz, brwi były ściągnięte, usta zaciśnięte. W tej chwili nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się nazwać go pogardliwie Lampką. Niespokojny romantyk, poeta nienawidzący polityki, chwiejny partner w negocjacjach gdzieś zniknął. To nie był już słaby, łagodny Lucek. Na tronie Otchłani zasiadał prawdziwy imperator. A decyzje, które miał podjąć, były przemyślane i nieodwołalne.

Skończyły się manipulacje, wątpliwości, prośby o rady przyjaciół. Niosący Światło, władca Głębi, wreszcie ocknął się z letargu.

Ponure dostojeństwo sali tronowej przytłaczało go, ale nie przerażało. Skończył się czas biadolenia. Teraz znów trzeba było podnieść głowę i wziąć na siebie olbrzymią odpowiedzialność. A Lucyfer czuł się na to gotowy. Szybko zdołał oczyścić umysł z niskich pobudek. Już nie chodziło o to, żeby komuś coś pokazać, udowodnić, zaimponować. W rękach Pana Otchłani spoczywał teraz los Ziemi. W sumie chyba nawet więcej niż los Królestwa niegdyś w zamierzchłej przeszłości, gdy poderwał do buntu ponad jedną trzecią skrzydlatych. Tak, o wiele więcej. Bo tu może chodzić o przyszłość całego Uniwersum.

Nie spał całą noc, a teraz na rozmyślaniach schodził mu kolejny dzień. Wiedział już, co powinien uczynić. Nie wahał się, tylko czekał, aż przekonanie przerodzi się w pewność.

Zacisnął mocno dłonie w pięści.

Do diabła, nie pozwoli zniszczyć Ziemi. Po prostu nie pozwoli. Nic go nie obchodzi z czyim rozkazem obnosi się Frey. Jasność czy Cień, Pan czy Antycreator, wszystko jedno. Potęga, która wydała tak krzywdzący, okrutny, bezsensowny nakaz może doczekać się tylko jednego. Sprzeciwu. Buntu. Stanowczego oporu.

Już raz podjął wyzwanie, nie dał się stłamsić, oznajmił Światłości i światu swoje zdanie. Nie ustąpił. A za nim poszły rzesze innych. Teraz też tak się stanie. Cokolwiek oznacza ten absurdalny kaprys wyższych mocy, on, Lucyfer, nie zgadza się na to. Nie chce być bezwolną marionetką w rękach jakiegokolwiek potęgi, czy to jasnej, czy ciemnej.

I nie pozwoli zniszczyć Ziemi.

No pasaran!

Na Mrok, przecież budował tę planetę, zachwycał się nią, zdumiewał, cieszył. Pamiętał dokładnie pełne majestatu Himalaje, wyłaniające się z niebytu dzięki monumentalnym ruchom górotworu, przypominał sobie, jak Przelewały się morza, jak kotłowały oceany. Miał przed oczami rozległe, falujące, zielone prerie i stada setek tysięcy dzikich koni, bydła, antylop, mastodontów. Synów Adama, którzy zstąpili, żeby zasiedlić te bezkresne przestrzenie, żeby myśleć, tworzyć i marzyć.

Ziemia. Cudowne miejsce. Niepokorne, straszne, ale piękne. Miałby pozwolić, żeby to wszystko zniknęło? Miałby dopuścić do zniszczenia raf koralowych, lasów deszczowych, pustyni, puszczy, górskich szczytów? Nigdy więcej nie ujrzeć tygrysów, pantery śnieżnej, bezbronnej pandy, głupiutkiego koali, zwinnych delfinów? Nie zobaczyć ogromnych jak wyspy cielsk wielorybów? Koni w biegu? Kobiet w tańcu? Okrętów pod pełnymi żaglami?

Nie powiedzieć stanowczego, buńczucznego, zdecydowanego: „Nie! Nie pozwalam!”?

Kim by się wtedy stał? Padalcem? Gnidą? Służalczym tchórzem? Nie ma mowy.

Życie. Tam wszędzie było życie.

Wspaniałe, wolne, dzikie, nie do przecenienia.

I on, Lucyfer, wolny, niezawisły władca Głębi ośmieli się w imię tego życia wystąpić przeciw Panu, skoro wszyscy inni tylko trzęsą portkami.

Abaddon, naczynie gniewu Pańskiego, Tańczący na Zgliszczach musi ustąpić lub zginąć. Czas się wypełnił.

Pan Otchłani, władca piekielnego imperium jeszcze raz odważnie i świadomie poniesie światło tam, gdzie czai się ciemność.

Uwolni Apolyona.

* * *

Lucyfer kroczył przez ponure, wilgotne lochy Pandemonium z podniesioną głową. Zniknął gdzieś wszelki niepokój, całe przygnębienie. Zniknął nawet cień lęku. Władca Głębi szedł pewnie, wyraz twarzy miał stanowczy i poważny. Strażnicy więzienni rozstępowali się przed nim, kłaniając z szacunkiem.

Zgrzytnął zamek w drzwiach celi Apolyona. Niosący Światło zatrzymał się w progu, uniósł pochodnię. Długowłose młodzieniec siedział w powietrzu, metr nad podłogą, w pozycji lotosu. Powieki miał zaciśnięte.

- Apolyonie - odezwał się Lucyfer donośnym głosem, który nie drżał ani odrobinę. - Z racji mej pozycji absolutnego władcy i imperatora Piekieł nakazuję ci spełnić mój rozkaz, dokładnie i co do joty, a potem powrócić dobrowolnie do miejsca swego odosobnienia.

- Tak się stanie - rzekł demon, nie otwierając oczu.

- Idź i znajdź Daimona Freya, Abaddona, Anioła Zagłady, jeśli przebywa on jeszcze wśród żywych, a następnie powstrzymaj go przed zniszczeniem Ziemi. Jeśli nie będzie innego sposobu, zabij.

- Zabiję.

Apolyon otworzył oczy. Roześmiał się nagle radośnie, jakby Lucyfer opowiedział mu doskonały dowcip, w jednej chwili okręcił się dookoła osi, przemienił w słup czarnego dymu i zniknął.

Lampka spoglądał w milczeniu na pustą celę. Przynajmniej jednego dowiedział się na pewno. Daimon Frey żył. Niedługo jednak, jak należało sądzić.

* * *

Gwałtowny tupot na ganku i trzaśnięcie drzwi nie spłoszyły czarnego maga, pogrążonego

całkowicie w transie przesłuchania. Koci klan, związany magią, siedział w okręgu niczym kolekcja ceramicznych figurek, nie mogąc poruszyć choćby ogonem. Tylko oczy zwierząt świeciły czystym przerażeniem. Konstelacja wystraszonych gwiazd. Hariel, wyciągnięty jak struna, wisiał w powietrzu nad podłogą. Jego twarz wykrzywiał grymas bólu. Mambea pochylał się nad nim niczym gigantyczna czarna modliszka, oczy mu płonęły, głos zdradzał zniecierpliwienie.

- Odpowiedz natychmiast, gdzie ukrywasz tego Świetlistego, inaczej zacznę od początku! Słyszysz? Pytam po raz ostatni, gdzie on jest?

- Tutaj - powiedział Frey niskim, chrapliwym głosem i rzucił się na maga.

Mambea w ułamku sekundy otoczył się ochronną mocą czarnej materii, przekonany o skuteczności swoich czarów. Ale nie przewidział, jaką potęgą jest tak naprawdę Anioł Zagłady. Bardzo, bardzo wkurzony Anioł Zagłady.

Abaddon jednym uderzeniem rozdarł czarnomagiczną barierę niczym zetlałą firankę i wpadł na czarnoksiężnika. Jeszcze przez moment dezorientowany i zaskoczony Mambea zmieniał się w jego rękach w gigantycznego węża, żywy płomień i żelaznego golema złożonego z samych lancetów, ale więcej sztuczek pokazać nie zdołał. Krótkim ruchem Daimon zgruchotał mu kark. Hebanowy anioł padł na posadzkę niczym zepsuty manekin. A potem zajął się błyskawicznie białobłękitnym płomieniem o intensywnym zapachu bzu i nafty, aby w końcu zniknąć zupełnie, nie pozostawiawszy nawet plamy na deskach.

Ciekawy odświeżacz powietrza, pomyślał cierpko Tańczący na Zgliszczach.

Jednocześnie rozległo się drugie miękkie uderzenie, gdy uwolniony z magicznych sidła albinos także klapnął na podłogę. Jęknął cicho i ścisnął rękami skronie.

Frey obrócił ku niemu oblicze wściekłego tygrysa z oczami pełnymi kosmicznej otchłani i zębami wciąż jeszcze obnażonymi w dzikim uśmiechu. Dłonie, którymi przed chwilą ścisnął ognisty podmuch i olbrzyma z żyłek, pokryły się krwią i białym nalotem oparzeń.

- Wszystko w porządku? Żyjesz?

Hariel słabo skinął głową. Koty przyskoczyły ku niemu, liżąc, ocierając się i mrużąc. Przytulał je oszołomiony. Patrzył na zbawcę jak ktoś, kto dawno już pożegnał się z życiem, a teraz oczekiwał raczej łodzi z ponurym przewoźnikiem niż ocalenia.

- Tak. Och, dziękuję. Raczej... wszystko już w porządku. Możesz uwolnić Sterchację z garnka?

Rzeczywiście, jedno z naczyń na kuchni zachowywało się nietypowo, podskakując, zgrzytając i miaucząc. Daimon podniósł obrócony do góry dnem sagan, wypuszczając na zewnątrz zjeżoną, fukającą widmokatkę. Emalia wewnątrz gara była całkiem podrapana. Szara smużka kociego dymu natychmiast pomknęła ku swemu panu, wciąż prychając gniewnie, gotowa walczyć z magicznym zagrożeniem.

Hariel usiadł z trudem, ostrożnie obmacał potylicę i kark. Widać kręciło mu się w głowie.

- Skąd wiedziałeś? - wymamrotał. - To znaczy, bardzo się cieszę, nie robię ci żadnych

wymówek, że wpadłeś akurat bez zapowiedzi, skąd, ale ten czarny stwór zamroził moje koty, więc kto...?

- Wszystkich nie zdążył zaczarować. Oczlik po mnie Pobiegnął.

Albinos pocałował kotkę w łebek.

- Dziękuję. Ocaliłaś mi życie, malutka. Zresztą ty też - zwrócił się do Freya.

Abaddon pochylił się nad przyjacielem, troskliwie pomógł mu wstać i usadził na kanapie, bo nogi kociego anioła trochę się jeszcze rozjeżdżały.

- Nie, to ty ratowałeś moje. Nigdy o tym nie zapomnę, bracie. A teraz powiedz mi, gdzie trzymasz ten rum, który popijaliśmy ostatnim razem. Przyda ci się coś na wzmocnienie.

- W kredensie - powiedział Hariel i nawet zdobył się na to, żeby się blade uśmiechnąć. - Wiesz co, jesteś naprawdę dobry w te klocki. Mam na myśli pozbywanie się wrednych typów.

- Tak - mruknął Frey, obwiązując pokaleczone dłonie kuchenną szmatą albinosa. - Właściwie to niczego więcej nie umiem.

* * *

Jomjael siedział nad papierami, przeglądając z ołówkiem w ręku kolumny cyfr, i porządkował rachunki. Rudy kocur Kłak spał zwinięty obok na ławie. Daimon uprzejmie zastukał we framugę otwartych drzwi. Głębianin uniósł głowę.

- A, wejdz! Siadaj. Zaraz sprzątnę te świstki.

Frey skorzystał z zaproszenia. Twarz miał poważną, oczy niespokojne.

- Będę musiał was opuścić, przyjacielu. Narażam tylko Śmietnisko na niebezpieczeństwo. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiliście, nigdy nie zapomnę waszej dobroci, ale po tym, co spotkało Hariela, zrozumiałem, że jestem tu intruzem. Nie mogę dopuścić, żeby przeze mnie stała się komuś krzywda.

- Nie jesteś żadnym intruzem, tylko gościem, a zło dzieje się wszędzie, cały czas. Może nas spotkać za każdą przyczyną, nie tylko twoją. W Śmietniku jesteś zawsze mile widziany, Świetlisty. Jako swój, a nie obcy. Zostań, ile tylko chcesz. Zapalisz skręta? Wasz, wojskowy, z mirry.

Frey w milczeniu skinął głową. Nie sądził, że będzie tak ciężko. Tak trudno.

* * *

Nie powiesz mu tego, skrzydlaty. Nie popatrzysz w tę skupioną, surową twarz i spokojne szare oczy. Możesz tu siedzieć, ćmić peta za petem, gawędzić, dziękować, ale tak naprawdę jesteś gorszy niż Tyfusowa Mary. Wleczesz za sobą zarazę. Śmiertelną. Dla całego świata. Płakać się chce. Tylko syf i malaria. Hariel oberwał przez ciebie, Jomjael, ten nieznośny, niezmordowany, kaleki komandos, jest gotów zaryzykować los całego Śmietniska, wszystko,

co ma i kocha, żeby cię bronić i chronić. Bronić przyjaciela. Ładny mi przyjaciel, judasz zasrany. Zdrajca. Jak mu to powiesz, dupku? Niby jak? W jaki sposób się odwdzięczysz, co? Wiesz, chłopie, tak przy okazji, jestem Abaddon, Tańczący na Zgliszczach, a tak się jakoś głupio stało, że Pan wydał mi taki mały rozkaz, nic wielkiego, ot, zniszczenie Ziemi, więc lepiej się stąd zabieraj razem z bandą swoich obdartusów, zanim rozwalę tu wszystko na kawałki. Na Jasność! Pan musiał oszaleć! Nie ma innego wyjścia. Pan zwariował, a ty biedny, dumny prawy rycerz Światła razem z nim. Nie poniesiesz tego. Nie dasz rady. Mowy nie ma.

Tymczasem Jomjael przygląda ci się ze spokojem, pewien, że patrzy w twarz przyjaciela. Zaufanie, bracie. Dobra rzecz. Ale lepiej byś zrobił, ufając harpiom albo skorpionom.

- Słuchaj - mówisz. - Tu nie jest już bezpiecznie. Za chwilę może się zrobić syf nie do opanowania. Ziemia wcale nie jest przyjemniejsza niż Strefy Poza Czasem. Dlaczego się tam nie przeniesiecie?

Zaciąga się skrzętem.

- Zabierać się stąd tylko dlatego, że ktoś na ciebie nastaje? A bo to mało mieliśmy przedtem walk i problemów? Czy ty aby nie przeceniasz trochę swego znaczenia, bracie? Przez ciebie ma się Ziemia rozlecieć czy co?

Jasne, myślisz. Żebyś wiedział. Nic mniej, nic więcej. Widać nauczyłeś się prorokować od Bani. Albo u was to dziedziczne.

Nic nie mówisz. Milczysz przez chwilę, bo gorycz pali cię w gardło. No pięknie. Pięknie, że pogratulować!

Wzruszasz ramionami z udaną obojętnością.

- Wiesz, ta planeta jest tylko pozornie bezpiecznym miejscem. Na mój gust za blisko stąd i do Głębi, i do Królestwa. Mroczni i Świetliści ganiają się tu w kółko, jakby się uparli bawić w policjantów i złodziei. A w Strefach? Święty spokój. Nikt się tam nie zapuszcza, pełna wolność. Możesz założyć całą Republikę Śmietniskową. No jak, nie fajniej?

Szare oczy patrzą na ciebie spokojnie. Są jak głęboka woda, jak polerowana stal, jak coś najbardziej trwałego i niezmiennego na świecie.

- Po co? Tu jest nasza Republika, chłopie. To nasz dom. Jedyne, jaki kiedykolwiek mieliśmy. Nie opuścimy go, choćby wszechświat miał pęknąć. Będziemy go bronić, chronić, a w razie czego tu zginiemy. Proste.

Tak. Proste. I beznadziejne. Tym bardziej że teraz już na pewno nie możesz mu tego powiedzieć. Nie teraz. Nie dziś. Nie masz pojęcia, w jaki sposób doprowadzić do tego, żeby ocaleli. Choćbyś stanął na głowie, choćbyś wyznał całą prawdę, Jomjael i reszta nie ruszą się stąd o krok. Zginą na swojej ziemi, w swoim domu, a ty do końca krótkiego, parszywego życia nie będziesz mógł spojrzeć na swoje odbicie w lustrze bez ataku wymiotów. Myśl. Kombinuj. Wpadnij na jakiś chytry pomysł, bo inaczej już dziś możesz porznać sobie żyły. A teraz spal tego peta, pożegnaj się miło i odejdz.

Judasz. Tchórz. Kanalia. Abaddon, wielki rycerz Jasności.

Syf i malaria.

* * *

W momencie, w którym piekło upomniało się o ciebie, wychyńło nagle z głębokości i pozostawiło z twojego życia tylko dymiące zgliszcza pokryte siwym dymem, nie masz tak naprawdę wiele do roboty. Bo w końcu na cholere ci praca, pieniądze, wpływy czy przyjemności. Możesz je sobie wetknąć gdzieś, na nic ci się nie zdadzą. Pył na wietrze. Marność. I wszystko to marność.

Niewiele ci pozostaje. Leżeć w ciemności. Pić w samotności. Wzywać litości. Mazać na świstkach i karteluszkach portrety ukochanej. Albo wstać wreszcie, wytrzeć łzy i smarki, umyć się, wystroić, wściec odpowiednio i ruszyć na miasto, robić rozróbę. Drake, jakiej nie widział Kosmos. Chlać, bić się, wrywać laski i szaleć. W końcu, do cholery, jesteś przecież demonem. Panem Wielki Czarny Diabeł. Kolesiem z piekła rodem, który pięć tysięcy lat temu próbował się wpakować do łóżka Sarze, przyszłej żonie patriarchy Jakuba.

No już, na co czekasz? Jak hulać, to hulać. Odkryj w sobie krew swego ryżego, wrednego tatki. Łajdacz się jak porządny czort. I pij, bracie, bo niewiele więcej ci zostało.

Asmodeusz chwiejnym krokiem wkroczył do klubu. Światła pulsowały mu w głowie, rozmazane postaci ciągnęły za sobą warkocze barw niczym wytrącone z orbity komety. Wypił już taką ilość ziemskiego alkoholu, która powaliłaby na wieki pułk wytrawnych pijaków, ale wcale nie był tak nawalony, jak by pragnął. W końcu wprowadzał tylko tutejsze trunki, a nie prawdziwe destylaty z Głębi.

Czuł się więc sam jak zagubiona kometa, meteor w skutej lodem kosmicznej pustce, odprysk zamarzniętej osobowości. Pił przy barze, tańczył, zdaje się, dał po gębie komuś, kto niefartownie ocenił jego niewielką posturę i dyskretne mrugnięcia roleksa spod mankietu. Zgubił gdzieś jedną soczewkę kontaktową i świecił teraz fioletowym reflektorem oka niczym morska latarnia w czasie sztormu. Cyklop o fiołkowym wejrzeniu.

Nie bawił się dobrze. W ogóle się nie bawił. Próbował przetrwać.

Twarze dziewcząt rozmazywały mu się przed oczami, zapachy, kolory przyprawiały o ból głowy, alkohol szumiał w tętnicach.

Chyba pójdę do domu, myślał mętnie. Chyba pójdę... Tańczył.

W końcu oklapł wycieńczony przy pustym stoliku. Świat wirował wokół, migocząc i błyszcząc, podobny do magicznego astrolabium szalonego alchemika. Co chwila sypały się z niego pęki iskier. Zgniły Chłopiec miał wrażenie, że dryfuje w wielkim, ciemnym, granatowym basenie pełnym nieba, a raz po raz ktoś wylewa mu na głowę całe wiadra gwiazd.

Drgnął, kiedy kosmiczny wiatr zakręcił się kurzawą i kpiącym, znajomym głosem tchnął mu do ucha:

- Cześć, synu. No nie mogę, aleś ty odkuty. Wystrojony jak cieć na Święto Przebiśniegu. Biały garniaczek, złoty zegarek, buty z krokodyla, chłopcze, kto cię gustu uczył? Chyba kochana mamunia, nie? Mod, będę się musiał nawalić ze wstydu. Ty, porządny demon, japiszona odstawiasz?

Asmodeusz zamrugał, rozpaczliwie próbując skupić wzrok. I momentalnie przetrzeźwiało, ledwo ujrzał przed sobą wyszczerzoną w szyderym uśmiechu, przystojną gębę szanownego ojczulka. Ryży Hultaj wyglądał jak ściuchrany gwiazdor rockowy albo lepsza wersja Mickeya Rourke'a. Skórzana kurtka, wytarte spodnie, ciężkie buciory, na szyi pęk talizmanów. Ale wciąż roztaczał wokół siebie nieprzytomny, luzacki wdzięk najwredniejszego z diabłów.

Samael. Drań i prześmiewca. Morderca i łajdak. Pijak i myśliciel. Kochany tatuś. Najpierw mały Braksi, teraz on.

Istny zjazd rodzinny.

To nie były dobre dni. Zdecydowanie nie.

Asmodeusz przez moment rozważał, czy z zaskoczenia nie sprzedać tatce sierpowego i nie ewakuować się w popłochu, ale stwierdził, że to kiepski pomysł. Samael spuściłby mu łomot, nawet gdyby on sam był trzeźwy, a Ryży Hultaj ślepy i pokrecony przez lumbago. Trudno, nie pozostawało nic innego, jak pogawędzić z rodzicielem, zwłaszcza że ten rozsiadł się już wygodnie i patrzył na pierworodnego jak na wycieraczkę, na której kotka powiła pięciorko.

- Modus, kochany chłopcze, tak się cieszę. Nawet sobie nie wyobrażasz. Napijmy się.

- Nie.

Wąskie, przepiękne i okrutne oczy starszego demona zaśmiały.

- Co, z tatą się nie napijesz? Synu, co za rozczarowanie.

Zgniły Chłopiec za wszelką cenę próbował wziąć się w garść i z pewną ulgą stwierdził, że pod wpływem nagłego stresu i narastającej wściekłości alkohol paruje mu z bani niczym suchy lód.

- Słuchaj no, tate. Teraz wyjdę, a ty siedź na tyłku i milcz. Wolałbym oglądać triumf Gabriela nad Głębią i sztandar Chwała Królestwa powiewający z dachu Pandemonium niż twoją paskudną mordę dłużej niż ułamki sekund. Zatem dobranoc, tate. Baw się jak zwykle.

Wstał i prawie się nie kolebiąc, ruszył do wyjścia.

- No patrz! Proroka spłodziłem, niech to cholera! - osadził go drwiący, zjadliwy głos ojca.

- Może ty jednak jesteś pomiotem tego mydłka Adama Kadmona, jak mi twoja mamcia wykrzyczała po złości. Jakby mnie to mogło obejść. Ale, ale, wracając do miłej konwersacji, tak się składa, chłopcze, że ta piękna niebiańska szmata w kolorze słońca i łez już tam prawie wisi. Na samiutkim dachu Pandemonium. I za czyją sprawą, co? No, zgadnij Mod. Masz trzy koła ratunkowe. Hokus-pokus, własną pustą bańkę i telefon do przyjaciela. Ale z tej linii coś ostatnio nie korzystasz, nie?

Asmodeusz poczuł, jakby nagle wokół powiało chłodem. Ciężkim, zgniłym powietrzem z

lochu. Zatrzymał się, twarz mu stężała.

- Co? - szepnął. - O czym ty...?

Samael wypił potężny łyk whisky. Uśmiechał się jak rekin na widok rozbitka. I miał taki sam zimny, czujny wzrok drapieźcy.

- Mod, Mod! Ty jednak masz coś ze mnie, synu. Ten sam użyteczny, beztroski egoizm. Szkoda, że podlany rozmazany użalaniem się nad sobą i kochliwością pensjonarki. Kto ci broni zaliczać te laski jak leci? Ale żeby od razu wyskakiwać z uczuciem jak jaki młody Werter? Po co? W ogóle nie wyglądasz dobrze. Taki bladziutki i chmurny. Istny Byron.

Zgniły Chłopiec nie słuchał. Strzępy myśli, ciężkie, nasiąknięte oparami whisky i wódki, powoli, opornie układały się w całość. A powstały obraz nie był wcale pogodny. Wcale nie.

Poselstwo od Lucka. Braks i jego oskarżenia. Wreszcie kochany tata. Coś się stało. Coś bardzo paskudnego musiało stać się w Głębi.

- Mów! Czy w Otchłani...? Wojna?

- Wojna?! - Samael parsknął śmiechem. - Na Mrok, skądże! Dupa znacznie większego formatu. Nie oglądasz wiadomości, młody? Bo coś nie jesteś na bieżąco.

Asmodeusz padł ciężko na krzesło, wpatrywał się w ojca z rozpaczą.

Nie powie mi. Stary drań nie piśnie słówka. Znam go. Będzie tu siedział, chlał i napawał się zwycięstwem.

Ryży Hultaj wyglądał jak bulterier, który wpadł przypadkiem do zagrody pełnej królików. W oczach miał zachwyty, na pysku, białym od wyszczerzonych zębów, grymas upojenia. Kwitł.

- Nawet nie wiesz, jak miło być głosiocielem złej nowiny. Widzisz to wszystko wokoło? - Machnął ręką, pokazując na bar i parkiet. - Już niedługo zostanie z tego kupka popiołu. Puf i koniec! Nie ma! Sztuczka magiczna. Fajnie, co?

Roześmiał się.

Mod nie rozumiał ani jednego pieprzonego słowa. Ale nie miał zamiaru o nic pytać. Wtedy ojciec z pewnością wstałby i wyszedł, zostawiając go z niczym. Jak zawsze. Wytrzymał kpiące spojrzenie okrutnych oczu. Tata o ślepiach tygrysa. W sumie, nic nowego.

Samael wyjął papierośnicę i z namaszczeniem zaczął zapalać cygaro. Zgniły Chłopiec czekał.

Ryży Hultaj zaciągnął się głęboko, wypuszczając obłok żrącego dymu.

- Naprawdę nic nie wiesz? Frey chce rozwalić Ziemię. Ponoć to rozkaz samego Pana. W każdym razie on tak twierdzi.

Przerwał, żeby zobaczyć, jakie zrobił wrażenie.

Mod oddychał płytko. Cieszył się, że zaciska dłonie na szklance, bo palce niechybnie by mu zadrżały.

Blanka! - pomyślał. Blanka!

- Nie wiedziałem - powiedział opanowanym głosem.

Samael zniknął za kolejną chmurą toksycznego oparu.

- No, proszę. Czasem i od starego ojca można się dowiedzieć czegoś interesującego. Ale to jeszcze nic, młody. Bo widzisz, Gabrys i Razjel uważają, że ich kochany, martwy od zarania dziejów kumpel po prostu oszalał, więc chcą go za wszelką cenę znaleźć i odizolować. Za to Michaś, znasz Michasia, rzadko myśli głową, uważa, że Frey został upiorem Cienia. I robi, co w jego anielskiej mocy, żeby go załatwić. Piękne jak argentyński serial, nie? Dramaty lojalności i przyjaźni. Jeszcze chwila i się poryczę. Ze śmiechu.

Mod słuchał bez słowa. Jak na razie sytuacja była kryzysowa, ale nie tragiczna. Stary szuler Sam musiał chować w rękawie jeszcze jednego asa.

I chował.

Pochylił się blisko. Oczy mu lśniły szaleństwem czystej wody.

- I, uważasz, nasz dzielny rycerz Misio zwrócił się do Lampy, żeby wypuścił Apolyona. Jak myślisz, co anarchista Lucuś robi?

Brzdęk! - powiedziała szklanka i rozpadła się w rękach Asmodeusza.

- Nie!

- Tak! - zarechotał Ryży Hultaj. - To ci bryndza, co? Burdel na cały świat i okolice! A tobie by to wszystko przeszło bokiem, synu. Przez, nie przymierzając, wrodzoną skłonność do dup. Po kim tyś to odziedziczył, mały?

Wracać! Musi jak najszybciej wracać do Głębi. Jeśli jest jeszcze jakaś Głębia, na Mrok!

Zgniły Chłopiec zerwał się z krzesła. Był biały jak całun i przerażony.

Co ja narobiłem? Co ja narobiłem? Dlaczego nie posłuchałem Braksa? Czemu nie dałem mu dojść do słowa? Niech to Jasność popieści! Byle tylko nie było za późno! Lampa, na litość Pańską, w coś ty się dał wkręcić!

Wybiegł z lokalu, nie oglądając się na ojca, ścigany szyderyczym śmiechem.

- Z tatusiem się nie napijesz, młody? Za koniec tego dupnego świata i równie dupnej Otchłani? Nie urządzimy sobie rodzinnej stypy?!

Ale do stypy potrzebny jest nieboszczyk, a Mod, choć bliski zawału, miał zamiar chwilowo pozostać przy życiu i przywrócić porządek albo, w razie porażki, wylecieć w powietrze pod ciosem Gwiazdy Zagłady razem z Blanką Krammer i antykwariatem.

* * *

- Gdybyśmy tylko byli w stanie go przekonać, że nie chcemy mu zrobić krzywdy, że wciąż jesteśmy po jego stronie... - mówił właśnie Gabriel, gdy dziwny, łysy ptaszek uderzył w szybę. Przypominał preparat anatomiczny, który wyrwał się ze słoja z formaliną, a teraz fruwa sobie swobodnie w blasku słońca. Śliczny, mały ptaszek, który chyba za długo siedział w klatce bez wałówki.

Regent Królestwa skrzywił się z niesmakiem.

- Co to jest, u diabła? Ogryzione resztki czyjegoś pikniku?

Razjel podniósł się natychmiast, otworzył okno.

- Posłaniec. Chyba nie ma dobrych wiadomości.

- O, coś nowego! - sarknął Dżibril.

Szkielet, bijąc rozpaczliwie skrzydełkami, wpadł do pokoju, wylądował na biurku i natychmiast rozsypał się na poszczególne kosteczki. Pan Tajemnic przypatrywał się przez chwilę szczątkom, marszcząc brwi.

- Mambea zginął. Nie zdążył przekazać nam informacji ani zamiarów. Daimon go zabił.

Gabriel obracał w palcach pierścień regenta.

- Przynajmniej coś wiemy. Frey żyje.

Razjel pozbierał na dłoń resztki posłańca z gniazda umarłych.

- Tak - zgodził się. - Przynajmniej na razie.

Dżibril milczał ponuro.

Rozdział IV

Gdy się do niej przyzwyczał, Glizda nie wydawała się już tak szokująco szpetna. Przypominała plastikową lalkę, która zasnęła z twarzą na piecyku. Jej dziwna, roztopiona fizjonomia zwykle była pogodna i uśmiechnięta. Demonica wykonywała wszystkie, nawet zmundne czynności z cierpliwą monotonią plemiennego rytuału. Teraz siedziała w kucki przed kuchenką, nuciła coś pod nosem, pichcąc czerwoną, gęstą potrawkę w obitym garnku. Bania zaszył się w kącie, z powagą lepiąc ludziki z patyczków i gliny.

Daimon poruszył się na krzywym krześle, sięgnął po papierosa. Był zaproszony na obiad.

Jeszcze niedawno nie przyszłoby mu do głowy, że zechce uczestniczyć w takiej farsie. Teraz poznawał zupełnie inne życie. I innych przyjaciół. Owszem, często bawił na Ziemi, mieszkał tu nawet przez jakiś czas, ale nigdy nie zwracał uwagi na ptactwo niebieskie ani inne kręcące się wokół śmieci. Dżinny, gnomy, ifry, stróże, skrzydlaci niskich stanów byli co najwyżej tłem. Czasem świadczyli różne usługi, lecz sami z siebie nie przedstawiali najmniejszej wartości. Żaden Świetlisty o zdrowych zmysłach nigdy nie przywiązałby się do któregośkolwiek z nich. Żyli, aby wykonywać polecenia i nieciekawe albo uciążliwe prace. Podczas licznych pobytów na Ziemi Frey zwracał na nich tyle samo uwagi co w Królestwie. Czyli wcale.

Byli użytecznymi cieniami. Niczym więcej.

Zastanowił się przelotnie nad życiem Plesitei, swojej służącej. Co o nim wiedział? Nic. I nie wyobrażał sobie, żeby kiedyś zapragnął dowiedzieć się więcej. Nie, jego i pokojówkę dzieliła przepaść. Na zawsze. Prawa i kanony Królestwa pozostawały prawami i kanonami Królestwa.

Ale tutaj była Ziemia.

I Śmietnisko.

Azyl pełen dziwacznych, zupełnie nieodpowiednich, lecz ważnych przyjaciół. Ważnych dla niego, Daimona Freya.

Chociaż nie dla Abaddona, Tańczącego na Zgliszczach. Abaddon miał ich wszystkich zabić. Z rozkazu Jasności.

Anioł Zagłady zaciągnął się papierosem. Patrząc na krzątającą się Glizdę i mamroczącego do siebie Banię, nigdy jeszcze nie był tak bliski buntu. Zrzucenia brzemienia za ciężkiego dla niego i każdego uczciwego sługi Światłości. Porzucenia tego absurdalnego, idiotycznego rozkazu. Pańskiego czy nie.

Bo przecież był zły. Zły i podły. Miał przynieść tylko śmierć, smutek, zagładę. Czy tak postępuje Jasność? Dla kaprysu wydając wyrok na kalekę, prostą dziewczynę i jej niewydarzonego siostrzeńca? Ile jest takich istot na Ziemi? Ile dzieci? Ilu zwykłych, spokojnych, sympatycznych ludzi?

Znów się zaciągnął. Skręć z mirry zaskwierczał, obłok dymu przysłonił twarz.

Czuł się brudny. Zdruzgotany, brudny i słaby.

Ale musiał spróbować coś zrobić. Uratować ich. Uratować, kogo się da.

Bo dla siebie samego pomocy już nie oczekiwał.

Przez materiał koszuli potarł bliznę na piersi. Stygmat mordercy. Znak od Pana.

- Nie tęskniłaś nigdy za ojczyzną, Glizda?

Podniosła na niego zdumiony wzrok.

- Niby jaką?

- Za Otchłanią.

Parsknęła śmiechem.

- No co ty. Ja tu mieszkam od dziecka. Ziemia to mój dom.

- Przecież jesteś Głębianką. Nie chciałabyś tam wrócić i mieszkać? Ta planeta należy do ludzi. Tutaj skrzydlaci są tylko wyrzutkami.

Spoważniała.

- Nie, Lahatiel. Wyrzutkami to my byliśmy w Otchłani. Nędzarami. Ostatnimi śmieciami. Gnojem pod nogami innych. Wiesz, jak jest w Głębi? Byłeś tam?

Zastanowił się. Był. I nie był właściwie. Spotykał się z Lucyferem, Asmodeuszem, Belialem, Mefistem. W ich luksusowych apartamentach, w dyskretnych lokalach, na prywatnych wypach. Czy wiedział, jak naprawdę żyje się w Głębi? Nie. Z pewnością nie.

Glizda pomieszała w garnku, uśmiechnęła się smutno.

- Jasne, że nie wiesz. W końcu jesteś Świetlistym. Mojego ojca pewien baronet zabił dla zabawy. Uczył swego syna strzelać z łuku, a nie miał dobrego celu. Żywego. Tylko żywy cel się nadaje, prawda? No i mój tatko musiał nim zostać. Przywiązali go liną do kołka, żeby za daleko nie uciekł, a jednak trochę się szamotoł. Wtedy trudniej trafić. Po śmierci ojca było nam tak źle, że matka zdecydowała się z rozpaczy uciekać na Ziemię. Ale i tu czekała nas nędza. Wkrótce matka zmarła z głodu i choroby, a Anta poszła na ulicę. W sumie wtedy nieźle nam się powodziło, aż pojawił się Bania. Potem siostra zaczęła ćpać, wiesz, najgorszy tani szajs. Niedługo to trwało, a przestała być taka ładna jak kiedyś. Klienci też trafiali się coraz gorsi, Anta o nic już nie dbała, przyprawiała ten chłam do chaty. Więc ciągle przyłaziły jakieś wredne typy, przymilały się albo groziły, a forsy było coraz mniej. Potem młoda, bo ona młodsza ode mnie była, wiesz, zadała się z mafią i tak się wszystko skończyło. Podobno jakiś psychol zadźgał ją w ciemnym zaułku i Bania przypadł mnie. Ja też próbowałam zarabiać na ulicy, ale z takim wyglądem? Zapomnij. Nikt mnie nie chciał. Naprawdę nikt. Nawet parchaty gnom, nawet ostatnie zboki. Zabawne, nie? A może za mało się starałam. Bo fakt, nigdy nie miałam serca do tej roboty. Oboje gryźlibyśmy piach, gdyby nie Jomjael. Znalazł nas i zabrał do Śmietniska. Do domu, Lahatiel. Przedtem nigdy nie miałam prawdziwego domu. U was, w tym całym Królestwie, pewnie tak nie jest, co? Lepiej wam się żyje?

Nie wiem, pomyślał Daimon. Nie mam pojęcia. Pewnie tak. Pewnie nie. Świetliści nie

muszą się zastanawiać.

- Wszędzie jest tak samo, Glizda - powiedział cicho. - Zupełnie tak samo.

Wstała, wytarła ręce w ścierkę.

- Obiad gotowy. Bańka, chodź no! Będziemy jeść.

Mały Głębianin wstał z podłogi. W dłoni ścisnął kukiełkę z gliny i patyków. Dwa suche liście robiły za skrzydła.

- Pan aniołek! - oznajmił z dumą. - Pan dobry aniołek! Psyjaciel.

Frey poczuł, jak ścisną mu się gardło. Wątpił, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Siadajcie - poprosiła Glizda, stawiając na stole poobijany garnek pełen czerwonej, ostro pachnącej papki. - Bo wystygnie.

Zabiorę ich, postanowił. Jeśli będzie trzeba, ogłuszę, a potem siłą zamknę w moim pałacu. Jeśli kiedykolwiek będę mógł tam bezpiecznie wrócić. Albo znajdę kryjówkę gdzieś w Strefach Poza Czasem. Może u starego lanisty. Albo na ziemi salamander. Lub na krańcu wszechświata. Wszystko jedno. Ocalę przyjaciół. Ja, małego, Jomjaela, Hariela i koty też. A nawet tego zmora i cmentarną strzygę. Niech im będzie. Uratuję wszystkich, a potem poszukam dla nich nowego domu.

Uratuję wszystkich. Wszystkich. I niech to diabli biorą!

Na Jasność, czy to musi być aż tak trudne?

Glizda nałożyła mu chochlę gęstej potrawy.

* * *

Drzwi otwierają się z traskiem. I to nie jest zwykły trzask od zbyt zamasztyego szarpnięcia za klamkę, tylko taki serdeczny, od porządnego kopa. Słyszysz przerażone okrzyki, stłumione głosy, odgłos przepychanki i wyjąkane przestraszonym głosem przeprosiny.

- Imperatorze, gość! Niespodziewany, my próbowaliśmy powstrzymać, ale...

Wstajesz i masz ochotę przetrzeć ze zdumienia oczy. Bo widzisz ducha.

- Ani mi się waż, Lampa! - wrzeszczy od progu widmo twego dawno utraconego przyjaciela. - Ani mi się, kurwa, waż w to mieszać!

- Mod? To ty?

- Nie! Królowa salamander!

Jego fiołkowe oczy świecą dziko, włosy są w nieładzie, garnitur brudny i pomięty. Jest wściekły. Niemal nieprzytomny z wściekłości.

Witaj, Asmodeuszu. Witaj, bracie. Długo cię nie było.

Czujesz, jak jego złość paruje, przenika w ciebie, budzi w piersiach szaloną falę gniewu.

Długo, Mod. Bardzo długo. Za bardzo.

Zgniły Chłopiec celuje w ciebie palcem, nie przestając się drzeć.

- Słyszysz?! Nie waż się! Jeśli to naprawdę rozkaz Pana, znów weźmiesz wszystko na swój łeb! Znowu ty będziesz buntownikiem, ty sprzeciwisz się Jasności, a aniołki tylko otrzepią skrzydełka! Nawet nie próbuj się w to mieszać! Rozumiesz?

Stoisz wyprostowany, błądy i spokojny. Zaciskasz szczęki, oczy masz jak morze w czasie sztormu. Do cholery, jesteś władcą Głębi. Nie przystoją ci głupie wrzaski.

Milczysz. Nie ma nic do powiedzenia.

Mod, przyjacielu. Minęło tyle czasu.

Asmodeusz zatacza się, łapie za głowę.

- No nie! Tylko mi nie mów, że już to zrobiłeś! Widzę, widzę po twojej minie. Wypuściłeś go, tak? Jasne, wypuściłeś! Nie, nie wierzę! Lampa, ty debilu! Zrobiłeś to! Znowu! Jak wtedy, parę tysięcy lat temu! Sprzeciwiłeś się cholernej Jasności! Drugi raz! Kto jest w stanie zrobić coś podobnego drugi raz?! Wariat? Kretyn? Samobójca? Nie! Imperator Głębi! W sumie na to samo wychodzi. Czy ja nie mogę na sekundę zostawić ci samego? Nie wolno mi nawet mieć pieprzonego załamania nerwowego?! Do kurwy nędzy!

- Uspokój się, Mod - mówisz cicho i spokojnie. - Zamknij dziób, przestań wrzeszczeć i uspokój się. Natychmiast.

O dziwo, usłuchał. Stoi i dyszy. Jest błądy jak całun. Ty pewnie też.

- Więc jednak wróciłeś. Trochę za późno. Obyłem się bez twojej rady.

Przewraca oczami.

- Lucek, na litość Pańską, nie czas na głupie urazy...

- Masz rację - przerywasz ostro. - Nie czas.

Asmodeusz patrzy tak, jakby cię nie poznawał.

- Lampa, wiesz, w co się wpakowałeś? W co wpakowałeś całą Głębę?

- Tak.

To brzmi pewnie i stanowczo, bo, oczywiście, wiesz. Naprawdę wiesz. A konsekwencje masz gdzieś. Bardzo głęboko.

Zgniły Chłopiec mruga, zaskoczony.

- Jeśli Pan wydał Freyowi rozkaz zniszczenia Ziemi, uwalniając Apolyona, znów dopuszczasz się aktu buntu przeciw Jasności. W imieniu całej Otchłani. Rozumiesz, co z tego wynika?

Pochylasz się ku niemu.

- Pewnie. Mod, Głębia zrodziła się z buntu. Z niezgody na niesprawiedliwość. Z odwagi śmiałego wystąpienia przeciw potężnemu autorytetowi. Najpotężniejszemu w Kosmosie. Stwórcy. Bo działa się zło. Bo nie było, cholera, sprawiedliwości! Ja i wszyscy, którzy wtedy za mną poszli, rzuciliśmy wyzwanie Światłu. Nie pochyliśmy pokornie karków, nie zaufaliśmy ślepo. Umieliśmy podnieść dumnie głowy i krzyknąć: „Nie!”. A ty myślisz, że co? Że teraz się przestraszę? Że pozwolę, aby stało się to bezsensowne, niewyobrażalne zło? Hekatomba na skalę wszechświata? Że ze strachu dopuszczę, aby ktoś większy i silniejszy

ode mnie, wszystko jedno, Pan czy Cień, realizował bezkarnie swoje mordercze kaprysy? Sądziłeś, że dopuszczę do zniszczenia Ziemi?! Życia? Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile tam jest życia, Mod? Naprawdę choć przez chwilę przypuszczałeś, że pokornie położę uszy po sobie i odsunę się na bok? Chyba mnie nie znasz, przyjacielu. Nie znasz mnie. Jesteś za bardzo zajęty własnymi sprawami.

Cofa się, twarz mu się kurczy, jakbyś go uderzył. Jest rozbity, wystraszony, zaskoczony, ale stara się to zamaskować złością.

- Głębia nie ma siły na kolejny bunt! Luc, to się może skończyć tylko w jeden sposób. Katastrofą! W imię czego, na Mrok? Czego, Lucek? Jakichś zamierzchłych animozji z Jasnością?

Patrzysz na niego i widzisz, że nic nie pojmuję. Nie może. W sumie to dzieciak. Szczeniak. Nie pamięta wielkiej wojny domowej, bo przecież jeszcze się wtedy nie urodził. Jest o całe tysiąclecia młodszy od ciebie. Zgniły Chłopiec. Tak, chłopiec. Rozkapryszony dziecko. Przez wieki przyjaźniłeś się ze szczyłem. Sam chciałeś być jak on. Młody, niezależny, po wręby wypełniony rebelią przeciw wszystkiemu i wszystkim. Własnemu krajowi, własnej pozycji, własnym decyzjom. Tyle że jesteś byłym archaniołem, Lucyferem, Niosącym Światło. Przywódcą największej rebelii w dziejach wszechświata. I nie masz co udawać młodzieńczych rewolucji. Nie przystoi ci ta śmieszna maska. Romantyka i marzyciela. Pana Ach Jak Bym Chciał, Żeby Wszystko Było Dobrze. Biednego lojalnego Rycerza Miecza niegdyś perfidnie wrobionego przez Samaela w przywództwo wojskowego puczu. Łagodnego Lampki, który żałuje, że przeciwstawił się Jasności. Bo nie żałujesz. Nie. Mowy nie ma. I jesteś cesarzem Otchłani, wodzem, który bierze odpowiedzialność za własne czyny. Imperatorem piekieł.

- W imię wolności - mówisz. - Słowa. Myśli. Jednostki. Tego, czym mogła być, czym miała być Głębia. W obronie życia i wartości wynikających ze słusznego buntu, słusznego gniewu. W imię pamięci tych, którzy polegli, mając czelność sprzeciwić się Stwórcy.

- Więc teraz następnii mają za to zginąć? Za to ucierpieć? Twoi poddani, cała Otchłań, tak?

- Tak.

- Ty oszalałeś, Lampka! Toczysz wyimaginowaną rewolucję! Prywatną wojnę. I to z kim, na Mrok! Z Panem? Z Antykreatorem? A może z całym Kosmosem! Dlaczego wypuściłeś tego cholernego, zabójczego demona? Bo Michał ci kazał? Kto cię nakłonił, żebyś podejmował tak głupią i nieprzemyślaną decyzję, co?

- Sam ją podjąłem.

- Fantastycznie! A nie mogłeś przedtem spytać kogoś inteligentnego o radę? Na przykład mnie?

- Próbowałem, Mod.

Zaskakuje go twój opanowany, chłodny ton. Zapada niezręczna cisza.

- Miałem problemy - mówi wreszcie. - Przecież wiesz, jak było. Myślałem, że rozumiesz. W końcu czasem też muszę odpocząć, dojść do ładu ze sobą, zamiast nieustannie zamartwiać się polityką Otchłani.

- Słusznie, przecież o politykę Otchłani martwię się ja. Mój osobisty doradca nie powinien zwracać sobie tym głowy.

Żacha się.

- Nigdy oficjalnie nie przyjąłem tego stanowiska, Lampa.

- Dlatego oficjalnie cię nie zwolnię, Mod. Zrobię to prywatnie. Zawiodłeś mnie. Trudno, przeżyję. Ale zawiodłeś też całą Głębię. A na to nie wolno mi przymknąć oczu.

- Do cholery, Lucek! „Oficjalnie”, „zdjąć ze stanowiska”, co to są za słowa? Odbiło ci? Władza ci się na mózg rzuciła? Lepiej ostro zabierz się za kombinowanie, w jaki sposób ściągnąć z powrotem tego pieprzonego Apolyona, zanim narobi nieodwracalnych szkód.

- Nie mam zamiaru.

Fioletowe oczy Asmodeusza robią się okrągłe ze zdumienia.

- Rany, Lampa. Tobie naprawdę odbija! Zbawca ludzkości się znalazł! Patrzcie go! Mąż opatrnościowy Lucyfer. Myślisz, że ktoś ci podziękuje za wywołanie burdelu nie z tego świata i narażenie wszystkich Głębian na zemstę Królestwa? Co? Opanuj się, wariacie! Staraj się czasem myśleć, dobra?

Patrzysz na tego dzieciaka, gołowąsa, młodzianka całego w ognistym piecu gniewu, na twego doradcę, przyjaciela i poddanego, czując, jak fala wzburzenia tężeje, krystalizuje się w tobie, zamarzając w zimne, oschłe napomnienie.

- Asmodeuszu, upominałem cię, żebyś nie podnosił głosu na imperatora Głębi. Więcej tego powtarzać nie będę.

- Na imperatora? O w mordę, a to pięknie! Tego się nie spodziewałem!

Coraz więcej masz chłodu w piersi. Jesteś daleko, z boku, jakbyś oglądał tę scenę w lustrze. Krzywym zwierciadle z lodu. Zamarzniętej tafla, która nagle wyrasta między wami.

- Dziwne, skoro przemawiasz do władcy Głębi. Ostatni raz toleruję taki wybryk. Z uwagi na naszą dawną przyjaźń. Rozumiesz? Jeśli nadal masz jakieś uwagi, zapisz się na audiencję i czekaj na swoją kolej. Przyjmę cię, oczywiście. Każdy mieszkaniec Głębi może prosić o spotkanie z imperatorem. W końcu mamy demokrację.

Uśmiechasz się zimno, a okropne, raniące słowa „z uwagi na dawną przyjaźń” wciąż wybrzmiewają w nagłej ciszy.

Zgniły Chłopiec wygląda krucho. Krucho i smutno. Zapominałeś, jaki jest niski.

Minęło tak dużo czasu. Tak wiele zdarzeń. Zbyt istotnych zdarzeń.

- Dobrze - mówi. - Dobrze. Skoro tego chcesz.

Nie chcesz, ale fala zamrożonego, skostniałego gniewu jeszcze nie opadła, nie znikły urazy, nielojalność nie została wybaczona. Nie w tej sytuacji, nie po słowach, które padły. A ty przecież jesteś cholernym władcą Otchłani i czasem musisz postępować, jak przystało

władcy. Choćby to było bolesne. Bardzo.

Nikt, choćby i Asmodeusz, nie może wdzierać się do twoich prywatnych komnat i robić ci awantury w obecności dworzan oraz służby. Nawet jeśli tylko podsłuchują przy drzwiach. Do diabła, gdzie był, kiedy go potrzebowałeś? Wzywałeś? Prosiłeś, żeby wrócił? Pomógł? Miał gdzieś twoją przyjaźń i twoje problemy. Więcej, miał gdzieś dobro Otchłani. A tego już oficjalnemu doradcy wybaczyć nie można. Odezwał się? Zainteresował? Gdzie tam. Obchodziły go tylko własne miłostki.

Tu jest polityka, bracie. Nie znosisz jej. Nienawidzisz. Ale musisz stawić temu czoła. Tu zapadają decyzje mające wpływ na całe Uniwersum. Przyjaźń musi ustąpić przed wyższą koniecznością. Osobisty doradca, który nie stawia się na żądanie władcy, jest doradcą skończonym. I naprawdę nie ma o czym gadać.

- Możesz odejść, Mod. Jesteś wolny.

Paskudnie to brzmi. Ale co innego możesz powiedzieć?

Jesteś wolny. Wolny. Znaczący tyle, co niepotrzebny. I on to doskonale rozumie.

Tym razem drzwi zamykają się cicho. Zostajesz sam. Jak zwykle. Król buntowników i jego wesołe państwo. Lucyfer, Niosący Światło. Największy rewolucjonista w dziejach.

Potem, jak się trochę uspokoi, spróbujesz po niego posłać, może sam się pofatygujesz, wytłumaczysz, że nie wolno mu tak się zachowywać, zniknąć, wracać, szargać autorytetu Pana Głębi.

Na razie jesteś sam.

W pustej, cichej komnacie.

Bardzo cichej i bardzo pustej.

* * *

To niepokojący sen. Dręczący jak uporczywy ból głowy. Znowu jest uwięziona w niebycie. Błąka się wśród perłowej mgły, samotna i opuszczona. Tu nie ma czasu. Nie ma przestrzeni. Jest opalizująca, pusta wieczność. Nie szlocha już, bo płacz nie jest w stanie w niczym pomóc.

Płynie. Krąży. Trwa.

Gdzieś tam, w dole, majaczy wyspa. Zburzony zamek, połamany sad, zniszczony las. Może nad nimi przepływać jak obłok, jak chmura kobaltowych i złotych oparów.

Ale nie chce. To zbyt przygnębiające.

Pustka. Pustka. Nicość.

Nagle daleko we mgle majaczy jakaś postać. Wytęża wzrok. Czyżby Nehemiasz? Tak. Błękitny kot biegnie przez mleczną biel. Zatrzymuje się, odwraca i miauczy. Wzywa ją. Więc Hija biegnie. Podąża za zwierzęciem aż do chwili, gdy kocur znika jej z oczu. Staje wtedy, rozczarowana i zagubiona. Sama. Znowu została sama.

A wtedy czuje na ramieniu uścisk mocnych, kościstych palców. Odwraca się wystraszona.

Skrzydłata jest stara. Ma pomarszczoną, zniszczoną twarz anielicy służebnej, jasne, wyblakłe, na wpół ślepe oczy. Siwe włosy sypią się spod burej chustki. Szata jest powyciągana i sprana. Z rękawów wystają pokryte pianiami, powykrzywiane od ciężkiej pracy dłonie.

- Akne - mówi skrzypiącym szeptem. - Nazywam się Akne.

Hija odsuwa się, patrzy ze zdumieniem na staruszkę.

- Kim jesteś? Czego chcesz? Czyja cię znam?

- Akne. Pamiętaj, dziewczyno. Mam na imię Akne.

Wtedy niespodziewanie zapada mrok, a pod nogami Hii otwiera się przepaść. Anielka spada i spada w nieskończoność. A potem rozbija się o skaliste, ostre dno ciemności.

Budzi się ze słabym okrzykiem i ciężkim, przytłaczającym bólem głowy.

* * *

Za oknem nadmorski kurort kipi kolorami. W pokoju jest cicho. Półmrok, zaciągnięte zasłony. Hija nie ma ochoty na spacer. Ani na zabawę. Ma ochotę na samotność.

A przecież tam, w niby-świecie, nie marzyła o niczym innym niż powrót do Królestwa. Do ukochanych opiekunów, przyjaciół, jednorozców i sadów. Do Daimona. Przysięgała sobie, że przez długi czas nie spędzi ani godziny pozbawiona towarzystwa. Wyobrażała sobie w nieskończoność cudowną chwilę, gdy mgła się rozstąpi, a ona znów ujrzy rozradowane, wzruszone twarze Gabriela i Razjela. A potem podbiegnie ku niej Abaddon, obejmą się i zawsze już będzie pięknie, bezpiecznie i szczęśliwie.

Przecież przez ten nieskończenie długi czas, kiedy tkwiła w pułapce między wymiarami, jej bliscy o niczym innym nie myśleli, niczym się nie zajmowali, o nic nie martwili prócz tego, w jaki sposób ją uwolnić.

Wiedziała, że Daimon uratował Królestwo, bo poświęciła się dla niego, odwróciła los, przyjęła na siebie grożące mu niebezpieczeństwo.

Więc teraz miało być pięknie. Musiało.

Ale nie było.

Czuła w duszy gorycz i ból. Długo, długo starała się nie wierzyć, spychać w głąb okropne przeczucie, że Razjel zdecydował się przeprowadzić rytuał tylko po to, żeby stała się przynętą dla Freya. Słodkim wabikiem. Obiecaną królową ze szklanej góry.

Pionkiem w grze.

Przecież wiedzieli, że kiedy wyrwie się z niebytu, będzie w szoku. Skołowana, bezbronna, nieświadoma. Że dla niej czas zatrzymał się na długo. Więc natychmiast, korzystając z tego oszołomienia, opowiedzieli jej o Abaddonie. O jego szaleństwie, o swoich

obawach, o nieodzownej pomocy, której może mu udzielić tylko ukochana, mała dziewczynka. Hija. Wróżka o kobaltowych włosach. Czy kłamali? Chyba nie. Byli szczerzy i to właśnie bolało najbardziej. Wykorzystali ją, wykorzystali chwilę dezorientacji i słabości, nadal przecież kochając ją gorąco i troszcząc się o nią. Zanim zaczęła myśleć, dociekać i pytać. Po prostu śliczna laleczka mogła się wreszcie do czegoś przydać. Do czegoś bardzo ważnego oczywiście. Do ratowania Królestwa, Ziemi, całego Uniwersum. Teraz jej uwolnienie, tak trudne i obłożone tak potężnymi konsekwencjami nawet dla maga klasy Razjela, stawało się wyższą koniecznością. Rzecz jasna, dobro całego świata to nadzwyczaj ważny i wzniosły cel. Powinna się cieszyć, czuć dumę, że mogła pomóc swemu ukochanemu i przy okazji znów przyczynić się do chwały wszystkich Siedmiu Nieb.

Więc dlaczego chciało jej się płakać?

Bo ją wrobili i oszukali najbliżsi? Bo sama nie czuła się całkiem wolna od winy?

To prawda, Daimon wyglądał jak wariat i zachowywał się jak wariat, tak że prawie go nie poznała. Wydawał jej się kimś zupełnie obcym. Piękny, dzielny, dumny Rycerz Miecza zniknął. Został zaszczuty, ogarnięty paranoją, nieufny desperat. Dziki niszczyciel. Szaleniec. Tak, z pewnością nie pozostawał przy zdrowych zmysłach. Czy dostrzegła to już wcześniej, w ogrodzie jabłek i rogatych koni, kiedy patrzyła w bezdenne źrenice, w których hulał kosmiczny wiatr, czy po prostu pozostała ślepa? Czy zamykała oczy na prawdę, mamała się, próbowała nie widzieć? Chciała, żeby ta ślepotą trwała wiecznie? Pewnie zawsze był taki, pewnie w tej brudnej norze na Ziemi oglądała jego prawdziwą twarz, ale kto może mieć jej za złe, że pragnęła pięknej bajki zamiast smutnej klęski?

Uciekła z tej strasznej niby-śmierci, z bezcielesności i perłowej mgły. Wyciągnęli ją. Udało się. Teraz miał nadejść czas różanych altan, ptasich trelów, słów miłości i wielkich wzruszeń. Radosne, szczęśliwe zakończenie. Dlaczego nie mogła go dostać? Czemu zabrano je tak bezlitośnie?

Dobrze, ona także nie pozostawała bez winy. Cudowne spotkanie z wyśnionym ukochanym przebiegło zupełnie inaczej, niż wymarzyła. Czy można mieć jej za złe, że czuła się oszukana, zawiedziona, zrozpaczona i zła? Czy dano jej szansę pomyśleć, ochłonać, zanim zareagowała tak gwałtownie i niemądrze? Tak, zachowała się jak dziecko. Opuszczone, skrzywdzone dziecko, od którego nagle odwrócili się wszyscy najbliżsi. Ale, na Jasność, kim innym była? Wychuchaną wychowanką regenta i jego wpływowego przyjaciela. Lalką w pałacu lalek. Nigdy nie widziała Ziemi. Nigdy porządnie nie poznała Królestwa. Nie miała pojęcia o życiu poza brzegami wyspy. Hodowała jednorożce, uczyła się magii, dyskutowała z opiekunami o polityce, sztuce, historii Uniwersum, jak mały, stworzony dzięki czarom, zabawny homunkulus, dla rozrywki nauczony sztuczek.

Kukielka alchemika.

A teraz domek z kart zawalił się definitywnie. Runął jej na głowę i niczego już nie da się naprawić. Czy nadal kocha Freya? Nie wiedziała. Chyba nie. Czy kiedykolwiek naprawdę go

kochała, czy zadurzyła się w pięknym, wymyślonym obrazku?

Światłość wie.

Sama nie potrafiła odpowiedzieć.

Stało się. Stało się. Stało się. Mane, tekel, fares.

Czas nauczyć się żyć. Smutne. Kryształowy zamek leży w gruzach, a ona nie ma nic, żadnej odskoczni, żadnej nadziei. Tylko sny. Dziwaczne, niepokojące sny o jakiejś skrzydlatej staruszce.

Akne. Powiedziała, że nazywa się Akne.

Hija podniosła się z pościeli. Zwinięty w kłębek Nehemiasz miauknął obudzony, unosząc łebek. Anielica pogłaskała go po grzbiecie.

- To mi jeszcze zostało, kocie. Magia. Moc. Dowiem się, kim jest ta Akne i czego ode mnie chce. Zawsze jakiś cel na początek nowego życia, prawda?

Nehemiasz zamruczał z aprobatą i znów zamknął oczy.

* * *

Kiedy stracisz wyczucie, pomylisz się, po prostu popełnisz błąd, czasem, w niektórych przypadkach, wszystko rozchodzi się po kościach, a nawet w konkluzji dobrze się kończy. Ale znacznie częściej za błędy przychodzi zapłacić. Słono. I nic tu nie zmieni, że czujesz się rozgoryczony, potraktowany z góry, odrzucony i skrzywdzony. Nie ma sensu niczego rozpamiętywać, szukać na siłę winnego czy głupio się obrażać.

Lepiej kornie pochylić głowę i zacząć działać. Pewnie niewiele da się naprawić, lecz spróbować trzeba. To twój cholerny obowiązek. Ocalić, co się da. Posklejać rozbite skorupy. Podjąć trud zwracania patykiem biegu piekielnej rzeki Flegeton.

Rzeki pełnej ognia.

Tak właśnie należy rozumieć słowo „powinność”. A w każdym razie Asmodeusz tak je rozumiał.

Kiedy zszedł Bramą Ościeni do Czwartego Kręgu Głębi, aż się zatrzęsł z obrzydzenia. Nie pamiętał, że jest tu aż tak paskudnie. Z burego jak brudny koc nieba sączyła się zimna mżawka. Na krzywych chodnikach lśniły oleiście kałuże. Nocą w deszczu ogromne, pokraczne, ponure gmachy urzędowe Otchłani wyglądały jak truchła zdechłych mastodontów. Nieliczne światła rozmywały się we wszechogarniającej ciemności. Latarnie uliczne wydawały się blade i odległe niczym dusze pokutujących. O tej porze metropolia trwała pogrążona w sennym letargu. Tylko od czasu do czasu z turkotem i upiornym zgrzytem przeciągnął w oddali wóz zaopatrzenia, przypominający monstrialny karawan pozbijany z resztek trumien, ciągnięty przez ciężkie, brunatne smoki. Mechaniczne rydwany i magomobile, wielkie, kopcące kłębami czarnego dymu limuzyny napędzane olejem i czarami, nie miały wstępu do dzielnicy urzędowej nawet za dnia.

Asmodeusz gorzko tego żałował, bo brnąć po kostki w wodzie, nie marzył o niczym innym niż suchej, wygodnej taksówce. Tymczasem między opustoszałymi gmachami rządowymi bezskutecznie wypatrywał bodaj powozu czy rykszy.

Minął budynek Ministerstwa Łez, Urzędu Cierni i Penitencjariu, a potem skręcił w Aleję Wiekuistej Udreki. Nawet on, demon wysokiej krwi, zadrżał lekko, gdy przechodził obok mrocznej, utkanej jakby z czarnych pajęczyn i lustrzanych szyb budowli Kongregacji Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości. Gmach bezpieki emitował z siebie nieustannie dawkę czarnej magii zdolną, jak głosiła plotka, w ciągu sekundy zamienić w jałową pustynię trzysta biblijnych Edenów na raz. W każdym razie na terenie budynku i w jego najbliższej okolicy rosły jedynie pokręcone, czarne, bezlistne drzewa, zwane potocznie pokutnikami, rodzące tylko długie jak szpon smoka ciernie oraz trujące owoce o barwie i kształcie kropel krwi.

Podobno każdy taki owoc oznaczał jedno życie zgasłe w piwnicach Kongregacji.

Zgniły Chłopiec wołał nie dociekać, jak naprawdę było. Zajmował co prawda bardzo wysoką pozycję w hierarchii Głębi, ale nie miał najmniejszego zamiaru kiedykolwiek podpaść bezpiece. Tamtejsi spece mieli haki i sposoby nawet na potężniejszych niż on.

Minął ponurą budowlę ze spuszczoną głową. Czekał go jeszcze przynajmniej półgodzinny spacer pustymi ulicami, zanim trafi do dzielnic mieszkalnych. A i tam prawdopodobieństwo złapania taksówki było nikłe. O tej porze żyła tylko Krwawa Jutrzenka, kwartał ulic położony nad samym brzegiem Acherontu, pełen knajp, tawern, burdeli, palarni smoły i siarki, nielegalnych kasyn i ringów walk za pieniądze. Cudowna dzielnica rozpusty i wszelkich niedozwolonych rozrywek. Zabawa trwała tam zwykle do świtu, stąd też pochodziła nazwa nadrzecznego areału. Gość, który miał dużo szczęścia, przeżywał tak długo, żeby przez zalane krwią oczy ujrzeć światło wschodzącego słońeczka. Nawet jeśli to był ostatni widok w jego życiu.

To właśnie do Krwawej Jutrzenki zmierzał Zgniły Chłopiec, który dla ostrożności wołał jednak nie przekraczać tamtejszej Bramy Ognia, wiodącej bezpośrednio z Piątego Kręgu, bo krążyły pogłoski, że każdy przybysz jest tam magicznie rejestrowany. Bezpieczniej więc było nie pozostawiać śladów i wejść normalnie, od strony portu.

Wielki Babilon nigdy nie był ładnym miastem. Ogromna, brudna, zaśmiecona metropolia rozłożyła się nad brzegami Acherontu niczym cuchnąca kolonia toksycznych grzybów. Formalna stolica, Pandemonium, była znacznie schludniejsza i ładniejsza, ale to tutaj toczyło się urzędnicze życie Głębi. Podobnie jak w Królestwie, na Czwartym Kręgu kończyły się terytoria dostępne dla zwykłych demonów. Poniżej mogli przebywać jedynie Mroczni oraz ich służba. Dlatego Wielki Babilon, przerośnięty niczym wykwitami pleśni licznymi budynkami użyteczności publicznej, pełnił w sumie rolę miasta stołecznego.

Gdy Asmodeusz wkroczył do mieszkalnej części aglomeracji, wielkie, szare, ciężkie kamienice natychmiast pochylały się nad nim jak powykrzywiane nagrobki. Wszędzie panowała niemila cisza, fasady były odrapane i brudne, okna zaciemnione. Nieliczne latarnie

broczyły mdłym, fosforycznym blaskiem trumiennego próchna. W powietrzu unosił się smród kopącego się oleju, niewywożonych śmieci i uryny. W śmietnikach buszowały śmigłe chimery i widmoszczury, wielkie i utuczone jak prosiaki. Jakiś demon przysnął, czy może umarł w tekturowym kartonie wciśniętym w załom w murze. Z pudła wystawały tylko chude, pokryte łuską bose nogi.

Zgniły Chłopiec z miejsca poczuł się nieswojo. Nie bał się, oczywiście. Tu nikt nie ośmieliłby się z nim zadrzeć. Raczej ogarnęło go przygnębienie i zniechęcenie.

Oto Głębia w swej całej codziennej krasie. Czy warto tak się o to bić? Tak zabiegać? O te zaniedbane kamienice, ponurych mieszkańców, brzydkie zaułki?

Jasne, że warto, stwierdził z determinacją. Bo to jedyne miejsce na świecie, które może nazwać domem.

Złapał jakąś krzywą, niemiłosiernie skrzypiącą rykszę dopiero u podnóża Góry Cmentarnej. Chuderlawy demon ruszył śpiesznym truchtem, rozchlapując kałuże, ledwo Asmodeusz zdążył podać adres. Rykszarz nie próbował zagadywać, komentować ani stręczyć, co bardzo odpowiadało Zgniłemu Chłopcu. Rozsiadł się wygodnie na sparciałym fotelu, starając się przybrać możliwie wyluzowaną pozę. Zawsze czuł się nieswojo w rykszy. Wydawało mu się, że wygląda nieprzyzwoicie głupio. Jakby porwano go, siedzącego ze spuszczonej gaciami na sedesie, i uniesiono w dal, gdzieś w wyjątkowo gwarne miejsce. Starał się więc rozglądać z obojętną miną, udając, że krępujące położenie nie robi na nim wrażenia. W pewnym momencie uśmiechnął się krzywo, ujrawszy na ścianie wymalowany krzepnącą krwią napis: „Runą mury Babilonu!”.

No cóż. Widocznie w tym mieście nie brakło jednak poczucia humoru.

* * *

Krwawa Jutrzenka rozsiadła się na brzegu rzeki niczym pijana dziwka, cała w kaskadach wyblakłych piórek i koronek. W wąskich uliczkach było gwaro, smrodliwie i pstro od krzykliwych barw. Z kolorowych szyldów łuszczyła się farba. Powyginane, strupieszate neony, prezentujące zwykle niepełny garnitur liter, niczym uzębienie stręczących na ulicach alfonsów, świeciły nikłym blaskiem. Spoza tandetnych, koralikowych kotar zasłaniających wejścia niezliczonych knajp i salonów masażu sączyły się ciężkie opary kadzidła, kiepsko maskujące odór nielegalnych palarni siarki. Prostytutki wszelkiej maści i ras łąsiły się do przechodniów. Niektóre miały za sobą stulecia wytężonej pracy, inne, najczęściej toczące wokół zaćpanym, nieprzytomnym wzrokiem, rzadko dorastały choćby do miana podlotka. Cuchnęły kwiatową wonią tandetnych perfum. Skąpe stroje poznaczone wysypką cekinów i dżetów odsłaniały wdzięki miodowoskórych dżinnów i dżinnii, białych sylfid czy smagłych demonic. Wszystkie te smutne dzieci ulicznych żądz prezentowały w uśmiechu zepsute zęby, kołysały wychudłymi biodrami, wyciągały ręce poznaczone konstelacjami krwawych

wybrowczyn. Wszystkie miały błyszczące, martwe źrenice, odbarwione włosy i sinawą skórę nałogowych narkomanów. Na każdym rogu stał przecież diler, gnom, sylf czy ifryt, gotów za parę miedziaków zaoferować promocyjną dawkę bilirubiny zmieszanej z ludzkimi łzami, najpopularniejszego środka odurzającego w Głębi.

W witrynach burdeli miejscowe madames wystawiały towar z wyższej półki. Mała sylfida ze znużeniem oplatała nogami metalową rurę, wyginając się w nieprawdopodobnych pozach. Obok przepiękny, młodzieńki dzinn o złotych oczach i purpurowych włosach, niemal nagi, obwieszony jedynie tanią biżuterią, z wdziękiem wykonywał taniec brzucha. Dzwoniły kastaniety i bransoletki na szczupłych kostkach. Skórzaste skrzydła, wytatuowane w motyle wzory, mieniły się złotem i szkarłatem.

Naprzeciw toczyły się walki chimer i bazylišków. Rozgorączkowany kibice zagrzewali swoje gady do boju. Fruwały pióra i wydarte łuski, z rąk do rąk przechodziły zatłuszczone banknoty. Chuderlawy gnom zbierał zakłady.

Na chodniku przykucnęła leciwa hydra, przed nią, na prowizorycznym ruszcie zrobionym z beczki po smole, kopały się w żarze ochłapy mięsa. Tłuszcz kapał, skwierczał na węglach, szaszłyki z wywerny i niewidzialne tusze widmoszczurów śmierdziały spalenizną i lekkim cugiem zgnilizny. Przepołowiona wzdłuż głowa Meduzy przypiekała się powoli, strasząc bladym, pobielającym okiem i koroną z grillowanych węży.

Nieopodal młoda demonica, brzydka jak listopadowa noc, pichciła w kociołku czerwoną, wściekle pikantną papkę z rybich głów i diablej papryki, najbardziej popularną przekąskę w Krwawej Jutrzence, zwaną juchą wiedźmy.

Po drugiej stronie ulicy, na prowizorycznym ringu, rosły, grubokościsty demon walczył na pięści ze zwinnym, miedzianym salamandrą. Asmodeusz zdziwił się nieco, bo mieszkańcy Krainy Ognia rzadko upadali tak nisko, żeby pracować w dzielnicach rozpusty. Tego musiała przycisnąć bieda albo został wygnany z rodzinnego kraju za jakieś poważne przewinienie. Zgnięty Chłopiec zatrzymał się na moment, żeby przyjrzeć się starciu. No tak, Salamandra miał gładko wygoloną głowę. Charakterystyczny wysoki grzebień włosów został wyrwany, pozostała po nim tylko nabrzmiała, porowata blizna. Widomy znak, że chodziło o poważny uszczerbek na honorze.

Biedak, nigdy już nie wróci do domu, pomyślał ze współczuciem Mod. Szkoda.

Salamandry uchodziły za lud dumny, bitny, niezawisły i nieprzytomnie wyczulony na punkcie swego pradawnego kodeksu postępowania. Kara utraty grzebienia oznaczała hańbę na całe życie.

Sytuacja na ringu zmieniała się błyskawicznie. Wielki demon atakował wściekle, salamandra uskakiwał, wciąż próbując osiągnąć przeciwnika zabójczym ciosem. Pięści Głębianina waliły jak kafary. Przycisnął syna Ognistej Krainy do rogu ringu i metodycznie wykańczał krótkimi, silnymi uderzeniami. Wydawało się, że nic nie uratuje salamandry, lecz ten wyczuł właściwy moment, gdy demon, pewny wygranej, nieco się rozproszył, i

niespodziewanie wyskoczył w górę, złoty niczym snop iskier. Jednocześnie uderzył kolaniem pod brodę demona, a potem, opadając, poprawił potężnym ciosem łokcia w czubek czaszki przeciwnika. Głębianin rozdziawił usta, zachwiał się i runął na piasek. Publiczność ryknęła jednym głosem. Salamandra uniósł triumfalnie ręce w geście zwycięstwa. Po twarzy i torsie, niczym struga roztopionej miedzi, płynęła krew. Żółte jak płomień oczy były nieprzytomne, zamroczone złudnym blaskiem bilirubiny.

Asmodeusz ruszył przed siebie, ale w sercu czuł dziwny smutek, jakby upadek dumnego salamandry miał być znakiem klęski. Nie tylko jego, ale i całej Otchłani.

Z otwartych okien barów dobiegała jazgotliwa muzyka, gromka jak trąby Jerycha. Akordeon rzeził niby zdychający Lewiatan, piskliwa trąbka kakofonicznie zawodziła do wtóru. Klienci darli się nie gorzej niż wokaliści. Zgniły Chłopiec miał wrażenie, że ktoś wbija mu w uszy zaostrzone patyki.

Na szczęście u wylotu uliczki dostrzegł kołyszący się szyld tawerny „Pod węzem i jabłkiem”. Namalowany żmij miał zbieżnego zeza, a w pysku trzymał coś, co wyglądało jak sine pośladki, choć zapewne w założeniu powinno być rajskim owocem.

Mod pchnął drzwi i natychmiast nadział się na brzuszysko potężnego wykidajły.

- Czego? - usłyszał.

- Srego - warknął. - Nie twój interes, gnoju.

Demon ryknął wściekle, ale w tej samej chwili osadził go ostry głos właściciela lokalu.

- Sem, ty parchata małpo, naucz się wreszcie rozpoznawać honorowych gości, bo łeb ci strącę z tego tłustego karku! Ani mi się śni żartować. Spadaj i nie rób smrodu!

Serastes, szczupły, wysoki Głębianin o niebieskich włosach i oczach mordercy, rozwarł szeroko ramiona.

- Aszmodai, przyjacielu! Co za wizyta! Wieki cię u nas nie widziałem. Jakże się cieszę!

- Daj mi wina - rozkazał Mod, wywijając się z uścisku. - Totec jest?

Serastes skrzywił się nieznacznie na dźwięk imienia współnika.

- U siebie w norze. Zawołać go?

- Nie. Sam zejść. Mam do niego sprawę.

Niebieskowłosa demon skinął tylko głową. Dawno nauczył się, że niebezpiecznie jest rozpytywać o sprawy Zgniłego Chłopca.

Naga sylfida w kusym fartuszku kelnerki podbiegła z pucharem pełnym aromatycznego trunku. Mod z przyjemnością pociągnął łyk ulubionego wina z Byblos.

Smakuje jak u mamy, pomyślał z ironią.

- Daj mi tam na dół flaszkę albo dwie, Serast - rzucił. - Pewnie trochę zabawię na dole.

* * *

Nie znosisz tego miejsca. I tego skurwysyna. Gdyby to od ciebie zależało, śmieć by

dawno wisiał. Ma na rękach tyle krwi, że przy tym Morze Posoki wydaje się małą kałużą. Dziewczęcej krwi, warto dodać. Dziecięcej. Niemowlęcej. Do wyboru.

Tak, zadusiłbyś ścierwo gołymi rękami. Wstyd ci, że to w ogóle jest Głębianin. A przy okazji najlepszy nekromanta, jakiego kiedykolwiek nosiła Otchłań.

Potrzebujesz go.

Niestety, potrzebujesz drania.

Smutne, ale prawdziwe.

Schodzisz brudnymi, betonowymi schodami w głąb jego królestwa. Do nory. Do ciągu mrocznych, wilgotnawych, cementowych piwnic. *De profundis*.

Na suficie mdło mruga jarzeniówka pełna wywerniej oliwy. Ściany są gołe, odrapane. Na nich mnóstwo przyczepionych pineskami wycinków z gazet. Skrawki wycięte ze starych wydań kroniki kryminalnej, „Głosu Piekieł”, „Dziennika Otchłani” i „Kurieria Siódmego Kręgu” zwijają się, łuszczą niczym złącząca skóra gada. Z każdego zdjęcia patrzy zmasakrowana, posiniąta, opuchła twarz trupa. Ofiary. Zamordowanego kadawra.

Puste, krwawiące oczodoły. Wywalone, sine języki. Obcięte nosy i uszy. Wyprute flaki. Odcięte dłonie. Otwarte klatki piersiowe i wyrwane serca. O tak, tego tu najwięcej. Mięsistych, martwych worków mięśniowych, całych w girlandach wyszarpanych tętnic i żył, w festonach skrzepów. Rozwartych niczym stare torby wnętrzości, białych wręg połamanych żeber.

Prostytutki, dzieci, wieśniaczki, krzepcy młodzieńcy, a nawet paru skrzydlatych, jednakowi w ohydzie śmieci, otwarci jak walizki odarte z tajemnic, martwi, zbezczeszczeni i zrównani z sobą brutalnym aktem morderstwa, sfotografowani, skatalogowani, przypięci do ściany jak preparaty anatomiczne.

Rysunki serc zdobią tynk wszędzie tam, gdzie nie ma wycinków. Nakładające się na siebie, brudnordzawe linie nakreślone kiedyś świeżą krwią. Płonące serca, serca przebite strzałą, mieczem, sztyletem, połączone, poszatutowane na plastry, poznaczone wyraźnymi śladami ugryzień.

A do tego strzałki, naprędcie nieczytelnym pismem nakreślone komentarze, pytania, wykrzykniki i obwiedzione kółkami flamastra szczegóły.

Kolekcja Toteca. Jego hobby. Album ze znaczkami śmierci. Anatomia morderstwa. Duma i chwała swego posranego właściciela.

Asmodeusz krzywi się z odrazą. Podchodzi do białego kredensu, który wygląda jak element wyposażenia dawnej apteki, i patrzy na resztę fetyszy. Związane w pęczki kłaczki włosów. Mętne płyny zamknięte w szklanych fiolkach. Strzępy bezkształtnych tkanek pływające w żółtym sosie formaliny. Guziki. Sprzączki. Kawałki sparciałych materiałów pokryte podejrzanymi brunatnymi plamami. Pokrzywione i połamane resztki tandetnej biżuterii. I coś, co przyprawia go o dreszcz grozy i nienawiści. Zabawki. Zniszczona szmaciana laleczka, która zdaje się płakać rozmazanymi oczami z grudek farby. Stara skakanka.

Drewniany piesek na kółkach, oblaży z barw. Skrzydlaty rycerz bez rąk i jednej nogi. Metalowy model magomobilu. Niemi świadkowie. Pamiątki po chwilach triumfu. Ulubione fetysze psychopaty.

Gdyby to ode mnie zależało, wyrwałbym chwasta, myśli Zgniły Chłopiec.

Odruchowo wyciera ręce o spodnie, choć i tak stara się niczego nie dotykać. Jakby mógł się skazić. Zarazić śmiercią i zbrodnią.

Na środku pomieszczenia stoi wielki, drewniany stół z blatem poznaczonym śladami rżazów i przypaleń, otoczony asystą kilku krzywych krzesel, ale Mod nie siada.

Metalowe drzwi prowadzące dalej, w głąb piwnic, są zamknięte, a Asmodeusz nie ma najmniejszej ochoty ich otwierać. Wie, co mógłby zobaczyć i boi się tego. Gdyby ujrzął na własne oczy resztę królestwa Toteca, prawdopodobnie musiałby go zabić albo zgodzić się na współdziałanie w zbrodni. Lub umrzeć. Stuka więc tylko energicznie, wywołując dudniący dźwięk, który przypomina bicie żałobnego dzwonu.

Nie czeka długo, aż za drzwiami rozlegają się kroki. Totec pojawia się, cały w uśmiechach na widok gościa, ściąga zbrukany czerwony fartuch.

- Mod, Mod we własnej osobie! Jak miło.

Asmodeuszowi wcale nie jest miło. Zaciska bezwiednie pięści.

Wyrwałbym chwasta. Teraz. Na Mrok, jak najszybciej.

- Witaj, Totec - mówi przez zaciśnięte gardło.

Xipe Totec, Nasz Pan Obdarty Ze Skóry, prastary demon, dawny bóg aztecki, psychopata i seryjny morderca, patrzy na niego szklanym, chłodnym wzrokiem. Jego pozbawione powiek, okrągłe, obracające się w krwawym mięsie oczodołów ślepie wydają się zupełnie zimne, jak u ryby. Przypominają gałki z porcelany wetknięte w dziury w masce, którą Totec nosi na twarzy. Masce z ludzkiej, głębiańskiej lub anielskiej skóry.

Sam demon jest tylko kłębem obnażonych mięśni, ścięgien i żył. Surowa, świeżo zdarta z ofiary skóra oblepia go niczym pianka do nurkowania. Wypreparowane dłonie dyndają u nadgarstków na kształt obrzydłych rękawiczek, gdy stwór zapraszającym gestem szponów wskazuje Asmodeuszowi krzesło.

- Siadaj, siadaj, proszę. Napijesz się czegoś? Serastes kazał przynieść wino.

Wielkie, nagie, nieosłonięte wargami zęby szczerzą się uprzejmie w otworze gębowym maski.

Napiję się, myśli Mod. Bo inaczej niechybnie się porzygam.

Xipe Totec odwraca się, sięga na półkę kredensu po omszałą amforę. Cudza skóra, niczym suknia balowa damy, odsłania krwiste, czerwone plecy demona. Wyraźnie widać sploty mięśni i ścięgien, węzlasty, podobny do sznura kręgosłup. Wierzchnia powłoka niczym gorset ściągnięta jest na wysokości łopatek, talii i bioder rzemieniami zawiązanymi schludnie na kokardki.

Asmodeusz podsuwa puchar, a potem chciwie pije chłodne, słodkawe wino.

Nekromanta siada przy stole, ale Zgniły Chłopiec wciąż stoi, wyprostowany jak kołek.

- Cieszę się, że dobry los sprowadził do mnie tak wspaniałego gościa, ale przeprowadzam właśnie kilka eksperymentów, nic wielkiego, takie małe badania, ważne tylko dla mnie, więc...

- Mam się streszczać, tak?

Wywraca oczami, aż Modowi robi się słabo.

- Nie, nic z tych rzeczy, skądże! Najwyższy Mroczny, prawa ręka samego imperatora, oby jego światło nigdy nie zagasło, zawsze jest dla mnie priorytetem! Jak mógłbym nie znaleźć czasu dla ciebie, Asmodeuszu. Zawsze jestem gotów ci służyć.

- To dobrze się składa, bo właśnie cię potrzebuję. Jutro o północy planuję przeprowadzić potężny rytuał i potrzebny mi do tego nekromanta.

Xipe Totec znów szczerzy szczękę w nieszczerym uśmiechu.

- Jutro? A... no, tego... To trochę mało czasu...

- Jakbyś zgadł, Totec. Właśnie czasu mamy bardzo niewiele. Jak na to wpadłeś?

Demon stara się ukryć wściekłe zgrzytnięcie zębów. Kocha Zgniłego Chłopca jak pies dziada proszalnego, ale nie śmie odmówić. Asmodeusz w Głębi jest potęgą.

- Oczywiście. Jutro o północy. Stawię się odpowiednio wcześniej. Oświeć mnie tylko, proszę, czego ode mnie oczekujesz, bo muszę się zawczasu przygotować.

Zgniły Chłopiec uśmiecha się krzywo, jednym haustem dopija wino i wyjaśnia, czego oczekuje.

Xipe Totec milczy przez dłuższą chwilę.

- To... to szaleństwo! - jąka wstrząśnięty. - To się nigdy nie uda!

- Okaże się jutro o północy. Gdybyś potrzebował czegoś szczególnego, wezwij mnie przez Oko Nocy.

Mod zgarnia amforę ze stołu i rusza po schodach na górę, nie pożegnawszy demona nawet skinieniem.

Zimne, gadzie oczy Toteca odprowadzają go wzrokiem pełnym nienawiści.

* * *

Dziura w ziemi jest tak wielka, że zmieściłby się tam smok wyścigowy. Wypełnia ją cuchnąca, krzepnąca powoli jucha. Zgniły Chłopiec woli się nie zastanawiać, skąd pochodzi i w czyich żyłach krążyła jeszcze niedawno.

Że też coś równie obrzydliwego szpeci mój ogród, myśli z niechęcią.

Dół z krwią wygląda jak upiorne oczko wodne. Sadržawka szaleńca. Brakuje tylko małej kaskady z posoki i latarenki zrobionej z kości ofiary. Feng shui Xipe Toteca.

Demon, ubrany w świeżą skórę, krząta się, rozlewając wokoło kolejne wiadra czerwieni. Schludne alejki i miłe rabatki z kielkującymi ziołami wyglądają jak podłoga rzeźni. Nie ma za

to żadnych pochodni, tajemnych znaków, pentakli, kręgów ognia ani magicznych przedmiotów. Tylko dziura w ziemi i wszechobecna krew.

Słońce zachodzi czerwono, jakby i ono się upaprało. Zapada z wolna za horyzont, a niebo na zachodzie zaczyna wyglądać jak krzepnący strup.

- Niedługo będziemy zaczynać - mówi Totec głosem pełnym napięcia.

Oczy widoczne w otworach maski są blade i pozbawione życia, źrenice nieruchome, małe jak łebki szpilek.

Mod zbywa demona skinieniem głowy. Nie ma zbyt wiele pojęcia o nekromancji. Do tej pory, zanim nie oświecił go były aztecki bóg, sądził, że rytuały należy przeprowadzać w środku nocy, a nie w chwilach przesilenia, o świcie lub zmroku, gdy granica między światami jest najcieńsza. To dla niego zbyt obrzydliwa magia. Chora. Skażona. W sam raz dla takiego śmiecia jak Totec. I innego, ogromnego śmiecia, którego niegdyś wyrzuciła poza obręb swego światła sama Jasność. Dla Cienia.

- Asmodeuszu? - Odarte ze skóry szpony ostrożnie dotykają ramienia Zgniłego Chłopca, spreparowana dłoń dynda jak oberwany epolet.

Mod z trudem opanowuje się, żeby nie strząsnąć z obrzydzeniem ręki demona.

- Coś nie tak?

- Wszystko - wyznaje rozpaczliwie Totec. - To się nie może udać. Obaj zginiemy. Wiesz, na co się porywasz?

- Jasne. Korzystam z usług nekromanty. Podobno najlepszego w Otchłani.

Demon wywraca ze zgrozą białka oczu.

- Odstąp, proszę. To nie jest zwykłe zadanie, a ty doskonale to rozumiesz. Pozwól, że wywołam dla ciebie kogoś innego. Kogo tylko zechcesz. Tereczasza, największego z wieszczów. Kassandrę. Nostradamusa. Którąś z Pytii delfickich. Nikolasa Flammela. Tego szarlatana i czarownika Crowleya. Mędrców Syjonu! Starca z Gór. Samego Johna Dee! La Veya, jeśli zechcesz!

- A czy którykolwiek z nich zna odpowiedź na moje pytanie?

Demon szczyrzy zęby w skwapliwym, służalczym uśmiechu.

- O tak! Na pewno. To wielcy magowie i autorzy wielu trafnych przepowiedni...

Mod mierzy nekromantę zimnym, ostrym wzrokiem.

- Powiedzieć ci, gdzie sobie możesz wsadzić przepowiednie, Totec? Ja potrzebuję faktów, a nie mętnych bzdur. Ruszajmy z tym koksem, pańska skórko. I nie próbuj mnie zwodzić, bo gorzko pożałujesz. Już o świcie Kongregacja Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości przetrzepie ci to małe podziemne królestwo, które tak kochasz, a ty skończysz jako kolejna jagódka na drzewie pokutnym! Ostrzegam!

Blefuje, nie ma przecież żadnych wtyk w bezpiece, ale dawny aztecki bóg nie może o tym wiedzieć.

Macha rozpaczliwie rękami, rękawiczki z ludzkich dłoni klapią nerwowo.

- Nie, nie! Nie rób tego! Posłuchaj, wiem, co zrobimy! Szymona Maga! Ściągnę ci Szymona Maga. On na pewno będzie wszystko wiedział! To największy czarodziej w Uniwersum! Ugiął się tylko przed mocą Syna! Dam ci go, poczekaj chwilę! Zaraz zatańczy, jak mu zagram, zobaczysz! Tak, nawet jego przyzwę jednym pstryknięciem palcami. Przysięgam.

- Przyzwij mi Ciebie. Antykreatora. Jest przecież od eonów martwy, chociaż nieśmiertelny. Musisz mnie wpuścić do umysłu Cienia. Rozumiesz?

Totec wygląda, jakby uszło z niego powietrze.

- Tak. Ale to szaleństwo. Czysty obłąd. Nie przeżyje tego żaden z nas.

Asmodeusz wzrusza ramionami.

- Mała strata. Po tobie na pewno nikt nie będzie szlochał. No dalej, zaczynaj, bo słońce całkiem już zaszło. Niedługo zrobi się na wszystko za późno.

- Dawno jest za późno. Dla nas - mruży pod nosem nekromanta. - Przygotuj się, Mod. To nie będzie miłe doświadczenie.

* * *

Robi się całkiem ciemno. Totec kazał wygasić nawet odległe światła pałacu Asmodeusza. W gęstniejącym mroku klęczący nad sadzawką krwi Zgniły Chłopiec zaczyna się czuć nieswojo. Smród juchy przyprawia go o mdłości.

Co chcę w ten sposób osiągnąć? - myśli. Prawdę. Stwierdzić, czyj rozkaz wykonuje Frey. Nikt nie ważyłby się nigdy spenetrować umysłu Jasności. Zresztą nie miałyby na to najmniejszej szansy. Antykreator to co innego. Perfidna chęć wysadzenia w powietrze Ziemi z pewnością lśniłaby pośród jego myśli niczym prawdziwa czarna perła. Jeśli w tej skażonej, nienawistnej jaźni nie ma śladów planu zniszczenia ukochanej planety Pana, za wszystkim stoi jednak Światłość. A to wiele zmienia.

Szczególnie dla Lucyfera i Głębi.

Xipe Totec stoi po drugiej stronie krwawego dołu, cały zbrukany posoką. Majaczy w ciemności niby paskudny posąg. Ręce ma uniesione w górę, mamrocze coś do siebie.

Mijają minuty i nic się nie dzieje. Nastrój grozy powoli mija, ustępując zniechęceniu. Były bóg urodzaju wygląda jak pajac, stercząc tak nad kałużą juchy. Wilgoć przenika przez materiał spodni Asmodeusza, moczy kolana.

Będę musiał wyrzucić to ubranie, stwierdza Chłopiec. Plamy nigdy nie dadzą się sprać. Co ja tu właściwie robię? Jeszcze chwila i przepędzę tego szarlatana, a potem wezmę długą kąpiel.

- Patrz w taflę! Nie rozpraszaaj się!

Głos nekromanty jest ostry, pełen napięcia.

Mod posłusznie odwraca wzrok ku dziurze z krwią. W mroku nieruchoma powierzchnia

wygląda jak rozlana smoła.

Szept. I słaby odgłos skrobania, jakby paznokcie szurały po czymś twardym i gładkim. Zgniły Chłopiec odruchowo porusza się, nasłuchuje. Widmomysz? Harpia z przetrąconym skrzydłem?

- Patrz na krew! - Tym razem głos Toteca drży, przypomina wysiłony jęk. - Patrz albo obaj zdechniemy, idioto!

Tafla sadzawki burzy się, jakby od dna odrywały się bąble trumiennego gazu. Albo jakieś wielkie, długie cielsko prześlizgiwało głęboko pod powierzchnią.

Krzyk. Krzyk. Rozdzierający wrzask konającego w męczarniach. Ktoś umiera z rozprutym brzuchem. Czuć smród rozerwanych wnętrzności. Trzaskają pękające kości. Ktoś umiera! Ktoś umiera i krzyczy!

Nie sposób pozostać głuchym na ten okropny dźwięk. Asmodeusz kołysze się, jęczy. Czuje szum i ucisk w skroniach. Chce wstać, uciekać, ale nie może. Nogi ma jak z waty. Z gumy. Zmartwiałe. Martwe. Trupie.

Zawodzące, potworne wycie. Jakby kogoś obdzierali ze skóry.

Jakby? Robią to właśnie! Teraz. Robią! Och, nie! Nie!

- Tak - szepcze czule znajomy głos, przepelnięty słodyczą i drzeniem. - Tak! Oczywiście.

Ryk. Wrzask. Krzyki. Eksplozja czerwieni. Krynica. Uzdrawiająca krynica, w której obmywasz się i odradzasz.

A potem nagroda. Zasłużona. Wyśniona. Tylko twoja.

Świeża, gorąca skóra. Wygląda jak wylinka węża. Pachnie śmiercią i strachem. Jest cała rdzawa od krwi. Jest piękna. Straszna. Nie chcesz jej. Pragniesz jej. Musisz, musisz naciągnąć ją na własne, drżące z pożądania ciało.

Teraz! Och, teraz! Już!

A na ziemi leży trup. Zewłok. Ścierwo złożone z samych ścięgien i mięśni. Zdechła tusza. Zdobycz.

Jak cudownie! Jak wspaniale. Poczwaraka przeobraża się w motyla. Masz w rękach życie i śmierć. Trzymasz je czule, delikatnie niczym najpiękniejsze istoty na ziemi. Takie są. Słodkie. Kruche. Bliźniacze.

Ty, stare, krwawe bóstwo, nekromanta, kanibal, dobrze wiesz, ile są warte. I jakie złudne.

Miażdżysz je w palcach, zwijasz w supeł, zgniatasz w jedną kulę. I wiesz już, kto wygra. Kto musi wygrać.

Śmierć.

Jak zawsze.

Śliski kamień. Śliski od krwi. Zimno. Ból. Groza. Krzemienisty nóż zagłębia się w piersi, tnie zebra, wbija w środek niczym okropne, tępe żądło. A tam przecież jeszcze jest życie. Bije. Pulsuje. Kurczy się i otwiera w spazmach przerażenia. Tłoczy skażoną strachem posokę.

Ale nie może zwyciężyć.

O nie.

Prawdziwa władczyni jest tylko jedna.

Życie nigdy nie pokona śmierci.

To jedyna wartościowa prawda.

- Nie! - dobija się ktoś w głębi twojej głowy. Ktoś mały i słaby. Niegdyś zwany Zgniłym Chłopcem. - Dość! Przerwij to, draniu! Wypuść mnie.

Uśmiechasz się, bo dobrze wiesz, że na to już za późno. Prawdziwa władczyni cię dostrzegła. I wcale nie ma zamiaru okazać łaski. Fala wzbiera. Jest lepka, dławiąca, czerwona i wściekła. Ofiara musi się dopełnić.

Ty, który byłeś kiedyś demonem Asmodeuszem, wpadasz głową w dół do studni pełnej krwi. Odwiecznego królestwa śmierci.

* * *

To puste królestwo. Czarne i puste. Nic tu nie ma. A jednocześnie pełno jest wszystkiego. Tego, co naprawdę istnieje. Co naprawdę ma znaczenie. Jedyne. Najważniejsze.

Więc ból. Na Otchłań, ileż tu bólu. Nigdy, nawet jako mieszkaniec Głębi, wyższy Mroczny, nie zdawałeś sobie sprawy z istnienia takiego praoceanu bólu. Męki. Czystego, nieskończonego cierpienia.

I strachu. Bo i strach tu oczywiście jest. Mnóstwo. Lęk. Szok. Przerażenie. Niemy, paraliżujący skurcz paniki. Spazmy szlochu.

Rozpacz. Głęboki, niepowstrzymany smutek. Rezygnacja. Depresja. Szaleństwo. Upadek. Na zawsze. Wiecznie.

Jedyna prawda.

Śmierć zawsze pokona życie, a rozpacz szczęście.

Widzisz je teraz, gdy przemierzają bezkresną pustynię ciemności. Widma. Korowód białych, zamazanych postaci.

Dziewczynka, nieledwie dziecko. Leży gdzieś w lesie, nieruchoma, biała. Oczy wpatrzone w bezkres nieba. Na szyi zasinałe ślady silnych, szerokich palców. Ileż mocy dała mężczyźnie, który ją zabił. Jaką siłę, jaką ekstazę. Niemal równą tej, którą wniosła do królestwa śmierci.

Inne dzieci. Wiele. Zabite, z maltretowane, zakatowane na śmierć. Ulubione lalki tutejszej władczyni.

Dalej, podążajmy dalej.

Natłok obrazów, natłok ciężkich, przytłaczających emocji. Kolejne widma. Coraz więcej. Pędzą i pędzą. Gromadzą się niczym mgła, chmura, zapowiedź sztormu.

Zbrodnie. Jedna po drugiej, migające w tempie szalonego wirnika. Krew. Poćwiartowane ciała. Głębokie rany. Pogruhotane kości.

Za mało. To wciąż za mało. Gnamy dalej, głębiej.

Choroba. Zaraza. Wyniszczone, konające ciała. Trupi odór. Trupi jad. Polowe lazarety. Schludne, białe, sterylne szpitale. Szopy naprędce wzniesione z blachy. Strzykawki, kroplówki, aparatura. Świątynie agonii i ich najpilniej strzeżone krypty. Chłodne, czyste pomieszczenia z drzwiami oznaczonymi wdzięcznym, tajemniczym napisem „Terminus”. Żeby nie budzić niepotrzebnych emocji.

Chichot kostuchy.

Jeszcze. Jeszcze!

Wojna. Wszędzie wokół panuje chaos. Wielkie umieranie. Jednoczesne oddawanie ducha w męce i zgrozie. Dziesiątki, setki tysięcy istnień krzyczą ze strachu w poczuciu końca.

Za mało! Za mało!

Druty. Pasiaki. Obozy zagłady. Łagry. Wychudłe, nieszczęsne postaci zamknięte za kłębami zasieków. Brudne piwnice pełne strachu i krwi. Smród uryny i łajna. Podziemne katownie, baraki śmierci, bunkry i izolatki.

Cierpienie przekraczające pojęcie. Zło. Podłość. Nienawiść. Czysta, niczym niewyflumaczalna potworność.

Krzyczysz. Bronisz się. Nie chcesz tego widzieć, odczuwać, dotykać. Uciekasz! Ale jesteś bez szans. Z tego królestwa nie ma ucieczki.

Umierasz. Dławisz się. Zalewa cię ekstaza i nędza ostatecznego okrucieństwa. Triumf zła. Jesteś demonem, nie potworem. Nie potrafisz tego wytrzymać.

Ale wir cię wciąga, ogarnia, niesie na sam dół, do głębi rozpacz i chorobliwej nienawiści.

A wtedy rozumiesz, że dotykasz umysłu Cienia.

* * *

Kroczysz przez mękę. Płyniesz przez bagno bólu. Dławisz się strachem. Przemierzasz pustynię smutku. Pustelnię samotności. Jesteś u źródeł rozpacz. Pastwisz się nad wszystkim, co żyje. Obchodzi cię tylko ekstaza śmierci.

Kochasz cierpienie. Nie własne. Innych. Innych. Całego Uniwersum.

Stajesz się nosicielem zarazy, zarzewiem wojny, sprawcą mordu. Chcesz krwi. Nie dla ostatecznego zniszczenia. Nie dla triumfu apokaliptycznego zła. Dla siebie.

Podtrzymujesz swoje istnienie dzięki euforii wywołanej zadawaniem bólu. Dzięki temu rośniesz. Czujesz. Uczysz się. Odczuwasz coś na kształt zimnej, stężalej radości. Jesteś od nich lepszy. Mądrzejszy. Bardziej wartościowy. Manipulujesz nimi. Rozdajesz raz cierpienie, raz skąpe skraweczki szczęścia tylko po to, żeby zaraz je odebrać.

Są glina w twoich rękach. Łajnem pod nogami. Pyłem na wietrze. Nie znaczą nic. Bawią cię i zajmują na chwilę. Znajdujesz przyjemność w tej grze. Ale w każdej chwili możesz ją

przerwać, żeby ich zmiażdżyć.

Jesteś potężny.

Mocarny.

Jesteś ich bogiem.

Nie możesz już oddzielić swej jaźni od jaźni Antykreatora. Toniesz w olbrzymim, chmurnym, chorym umyśle Boskiego Cienia. Odrzuconego, kalekiego, niedorozwiniętego bliźniaka Jasności.

Znajdujesz tam tylko zło i radość płynącą ze zła.

Nienawiść do Światłości i jej dzieła. Zawiść. Zazdrość. Poczucie krzywdy. Pragnienie niesienia śmierci i męki. Szaleństwo. Niszcząca, niekończąca się żądzę zemsty.

Ale ani śladu zbrodniczego planu zniszczenia Ziemi. Nie ma go tam. Nie widzisz niczego w tym rodzaju. Zamysłu. Przebłysku. Koncepcji. Bodaj przelotnej ochoty. Nie, Ziemia musi istnieć, aby ludzie mogli cierpieć. A z nimi także ich Stwórca, Jasność.

Widzisz to teraz wyraźnie, choć sam pozostajesz niedostrzegalny. Słabniesz. Jesteś już ledwo mgiełką wspomnień, strzępem osobowości.

Ale wiesz, że świat musi trwać, żeby mógł doświadczać bólu i śmierci. Na zawsze. Przez wieczność. Dla twojej pomsty i triumfu. Dla twojej siły witalnej.

Bronisz się ile sił, lecz Cię jest jak grząskie bagno. Im bardziej się wrywasz, tym szybciej cię wchłania. Choć nie odczuwa nawet twojej obecności. Wiesz, że umierasz zaduszony magmą jego mrocznej potęgi, chociaż nawet cię nie zauważył.

Nie zauważył! Jesteś zbyt mały. Nieważny. Po prostu cię nie postrzega. Nie wie, że ośmieliłeś się sięgnąć do jego umysłu. I nie wie nic o zniszczeniu Ziemi.

Nic.

Nic! Pamiętaj o tym! To niesłuchanie ważne. Najważniejsze w całym Kosmosie.

A on tymczasem knuje, miesi, przelewa, waży w myślach swoje nieskończone, wiecznie głodne zło, które wyciska z ciebie wszelkie siły życiowe, wysysa jak zgnieciony owoc, osusza i pochłania, ale nie uważa za stosowne dostrzec i zrozumieć, kim jesteś. Nie obchodzi go nic poza nim samym. Jest zbyt egoistyczny, zbyt zapatrzony w siebie. Kocha, hołubi i interesuje się tylko swym własnym, skażonym ego. Egocentryk doskonały.

I zły. Nieskończenie zły.

Giniesz, pochłonięty przez ocean mrocznej mocy. Rozpływasz się niczym masło na patelni. Twoje myśli rozrywają się, odsuwają coraz dalej od siebie, zalane Cieniem. Wiesz, że nie przetrwasz zetknięcia z jego umysłem. Wir wciąga cię coraz głębiej.

Do studni pełnej krwi.

Do nieśmiertelnego, dawno już martwego jądra zła.

Nie masz pojęcia, kim lub czym byłeś. Szybujesz w czerni. W bagnie. W ciemności. Pojedynczy kruchy przebłysk świadomości trzyma jeszcze twoją rozciągniętą, zmaltretowaną, rozdartą osobowość mniej więcej w jednym kawałku.

On nie wie. Cię nie wie o Freyu!

Musisz, koniecznie musisz wynieść tę wiadomość z piekła, jakim jest umysł Antykreatora. Potem umrzesz. Potem roztopisz się w nieskończonej nirwanie zła i nienawiści. Teraz musisz walczyć.

Opierasz się, ale równie dobrze źdźbło mogłoby przeciwstawiać się sile huraganu. Potężne tornado niesie cię coraz głębiej w szaleństwo myśli i odczuć Cienia. Jest jak światło. Oślepiające, czarne światło, które wysysa z ciebie duszę. Eksplozja mrocznej mocy oślepia cię, miazdzy, pozbawia życia.

Umierasz.

Nie wolno! Musisz wyrwać się i zanieść wiadomość. Jaką? Komu? Nie pamiętasz. To teraz nieważne. Walczysz.

Bęk! Bęk! Bęk! Wszystkie twoje wspomnienia, odczucia, pragnienia, marzenia zrywają się niczym liny zwodzonego mostu. Pęka i wali się w ciemność cały zrąb twojej osobowości. Ślepy, głuchy, tknięty amnezją umiesz już tylko bezmyślnie, po zwierzęcemu, opierać się ciężarowi umysłowości Antykreatora.

Jego szaleństwu.

- Nie! Nie! Nie! - ryczy ktoś obok.

Ktoś bezlitośnie, straszliwie torturowany, konający, wstrząsany drgawkami agonii.

Znasz go. Znałeś.

Jak przez mgłę pamiętasz oczy łyskające w otworach maski z ludzkiej skóry. Przekrwione teraz, wybałuszone z przerażenia.

- Nie! - wyje Totec.

I nagle potęga jego paniki dodaje ci sił. Czujesz uderzenie jego prymitywnego strachu, przemożnej woli życia. Razem, napieracie razem, żeby przetrwać.

Wtem mrok rozdziera się na moment, a ty wyrywasz się, wypadasz z wiru czerni i szybujesz poprzez niebyt, zbyt słaby, by odczuć radość. Jesteś zdruzgotany, chory, umierający.

Umierasz.

Jesteś.

Jesteś...

* * *

Ciemność. Wilgoć. Zapach krwi.

Asmodeusz leży w całkowitym mroku, dysząc z trudem, nierówno, płytko. Jest tak osłabiony, że nie ma siły myśleć. Słyszy swój słabiutki, zamierający puls. Stuk, stuk. Stuk. Stuk... Odchodzi. Umiera. Nie zostało mu wiele życia. Maca wokół siebie i niemal mdleje z wysiłku. Czy to żwir? Ziemia? Gałązki? Piach zbrukany lepką posoką?

Czy to jego ogród?

Nie wie.

Nie obchodzi go to.

Musi przekazać wiadomość. Inaczej wszystko będzie na nic. Ból, poświęcenie, śmierć.

Nie wolno mu skończyć, zanim nie znajdzie sposobu, żeby ostrzec Lucyfera. Lampa musi się dowiedzieć prawdy.

Głębia musi ocaleć.

Więc porusza się, powoli, niezdarnie, choć ciemność dookoła jest przesiąknięta męką, i czołga, rozpaczliwie, uporczywie, niczym zdychający robak, nadeptany chrząszcz. Nie ma w nim miejsca na nic więcej, tylko ten jeden zew. Przekazać wieści.

Czołga się, drze paznokciami mokrą ziemię, rzezi, płacze i jęczy przy każdym ruchu.

Umiera. To niezbiec pewne.

Umiera, lecz czołga się dalej przez zimną, nieprzebraną ciemność.

Rozdział V

Nie musisz mnie codziennie odprowadzać. - Hariel zdawał się nieco zakłopotany.

- Nie muszę, ale chcę. A to różnica.

Daimon z przyjemnością wciągnął do płuc chłodne, rześkie powietrze. Rozprostował barki. Świeże blizny na piersi i plecach jeszcze trochę ciągnęły, ale w sumie czuł się znacznie lepiej. O niebo lepiej. Drepczący obok koci anioł z trudem dotrzymywał mu kroku.

Był wczesny wieczór. Obaj skrzydlaci wracali właśnie z obchodu kocich piwnic, szop i kryjówek, który albinos odbywał niezmordowanie dwa razy dziennie.

Frey od czasu ataku Mambei upierał się, żeby towarzyszyć przyjacielowi. I naprawdę polubił te długie, spokojne przechadzki. Nie musiał wtedy przez chwilę myśleć o czekającym go zadaniu i odpowiedzialności.

Hariel opiekował się swoimi małymi poddanymi z troską i oddaniem. Doglądał młodych, leczył, przekazywał informacje, gdzie znaleźć dogodne miejsce do spania lub na jakich ulicach czy podwórkach dobrzy ludzie zostawiają miseczki z resztkami i mlekiem. Kto zbudował budkę na zimę albo wymościł karton szmatami i sianem. Które okienka piwniczne, garaże czy składziki są gościnnie otwarte dla zabiedzonych, zmarzniętych stworzeń. Ostrzegał przed psami i niebezpieczeństwami czyhającymi z rąk głupich lub okrutnych ludzi. Znał sekretne imię każdego kota, pamiętał ważne wydarzenia, dobre i złe, żył życiem zwierzęcych klanów i społeczności. Nigdy nie szczędził słów otuchy, pociechy lub pochwały. Rozsądzał kocie spory niczym najlepszy król, sprawiedliwie i łaskawie.

Był prawdziwym opiekunem i stróżem.

Żeby tak wszyscy w Królestwie wypełniali swoje obowiązki, pomyślał z uznaniem Anioł Zagłady.

Już mieli skręcić w cichy zaułek, gdzie niedawno pod stertą desek młoda kotka zwana Śnieżynką powiła zdrową czwórkę, gdy Hariel nagle pobladł jak tynk.

- Coś się stało! - szepnął. - Coś strasznego! Słyszę ją! Krzyczy! Biegnijmy!

Puścił się pędem, aż Daimon miał trudności, żeby za nim nadążyć. Wpadli za węgieł. Frey jednym spojrzeniem ogarnął sytuację.

Czarno-biała kotka, wygięta w pałąk, nastroszona niczym piorun kulisty, syczała wściekle i rozpaczliwie, zagoniona w kąt. Za nią tuliły się przerażone kociaki. Nie miała szans. Choć pragnęła z całych sił być wielką i groźną pumą, jaguarem, tygrysem, pozostawała tylko biednym, ogarniętym paniką i desperacją małym zwierzątkiem. Wielki, zwalisty nastolatek o byczym karku, rechocząc, dźgał ją kijem. Drugi, z głupawym uśmiechem na pysku, trzymał za obrozę charczącego, pieniącego się psa, który nie warczał, tylko ryczał z żądzy mordy.

Debil, który drażnił oszalałą ze strachu Śnieżynkę, odwrócił się do kumpla.

. - Jak dam znać, puść Rekxa. Zobaczysz, rozerwie te sierściuchy na strzępy! Ale będzie ubaw!

Drugi skinął niepewnie głową.

- No - wykrztusił, ale mocniej zacisnął palce na obroży rozwścieczonego psa.

Daimon poczuł kurczowy uścisk na ramieniu. Blade palce albinosa zaciskały się jak kleszcze.

- Nie! - jęknął Hariel z najgłębszą rozpaczą. - Nie! Och, na Jasność! Nic nie możemy zrobić! Nic! To takie straszne!

Twarz miał bezkrwistą, kredową. Wydawało się, że za chwilę zemdleje. Kotka cofała się pod ścianę. W oczach miała już tylko rozpacz. Wiedziała, że za moment ona i jej dzieci umrą.

Frey poczuł, jak w ułamku sekundy budzi się w nim wściekłość. Czas zamarzył, stopił się, płynął wolno jak melasa. Abaddon widział i ogarniał wszystko naraz. Lśniące od śliny zęby psa, tępą, rozradowaną mordę dręczyciela, pryszczę na nosie drugiego chłopaka, kocięta stłoczone pod stertą desek.

Nic nie możemy zrobić? Zobaczysz, Hariel. Zaraz się przekonasz, przyjacielu.

Moc niszczyiela, Tańczącego na Zgliszczach nie musiała się w nim budzić. Wystarczył zwykły, nieopanowany gniew wyższego Świetlistego. Furia Anioła Zagłady. Dał się jej ponieść z wściekłą rozkoszą.

Jeden ruch, jedno uderzenie skrzydeł i już był za plecami ludzkiego śmiecia, już ogarniał go swoim mrokiem. Czernią śmierci. Wyciągnął ramiona i widmowymi palcami schwycił ofiarę za potężny kark. Rozradowany uśmiech natychmiast zaczął blednąć, zniknął z okrągłej, bezmyślnej mordy. W oczach chłopaka pojawił się strach. Puścił kij, złapał się za klatkę piersiową i zaczął dyszeć. A Daimon wisiał nad nim, niczym gigantyczny, czarny nietoperz wampir i powoli, spokojnie miażdżył mocą, wysysając resztki życia. Wydawało się, że w ostatniej chwili młody człowiek spojrział w oczy niewidzialnego Abaddona i zobaczył tam otoczoną fosforycznym, zielonym kręgiem tęczówek nieskończoną wieczność Kosmosu, bo ryknął rozpaczliwie, schwycił się dłońmi za gardło i drgnął w przedśmiertnej konwulsji jak powieszony na stryczku. A potem znieruchomiał.

Frey pozwolił mu opaść na chodnik. Wtedy odetchnął i spojrział na psa. Wielki, czarny rottweiler kulił się w kącie, popiskując jak wystraszone szczenię. Anioł Zagłady wolno pokręcił głową. Pies przywarł do ziemi w ostatecznym przerażeniu. Daimon pochylił się nad zwierzęciem.

- Nie jesteś bestią! - tchnął mu w ucho łagodnie, ale rozkazująco. - Jesteś dobrym psem! Pamiętaj! Obserwuję cię. Zawsze będę cię obserwował.

Zwierzak odwrócił się na grzbiet, pokazując brzuch. W oczach miał tylko ulgę.

Drugi chłopak, oszołomiony i wystraszony, klęczał przy martwym ciele kolegi.

- Masa! Masa! Wstawaj! Co z tobą? - szeptał drżącym głosem, ale nie ośmielił się dotknąć trupa.

Masa leżał na ziemi, twarz miał fioletowosiną, oczy wybałuszone dziko. Oglądał już pustkę, w którą wysłał go gniew Abaddona.

Tańczący na Zgliszczach podszedł do ocalałego nastolatka, szarpnięciem uniósł mu brodę do góry, wpił w jego źrenice swoje bezdenne, pełne śmierci oczy. Chłopak zamarł, nie wiedząc, dlaczego czuje się nagle rozpaczliwie mały i słaby, bezwolny. Klęczał na chodniku, zapomniawszy nawet o zmarłym kumplu, przerażony i głęboko przekonany, że oto jakaś przemożna, nieznana, lecz surowa siła ocenia całe jego życie. Jeśli przejdzie test pomyślnie, przetrwa. Jeśli nie, umrze tu i teraz, nieodwołalnie, na zawsze. Jak Masa. Zaskomlał rozpaczliwie. Po policzkach płynęły mu łzy. Ale niewidzialny sędzia nie znał litości. Rozwarł szerokie, lśniące skrzydła tak, żeby ich cień objął chłopaka. Ten zachwiał się, przycisnął dłoń do serca.

- Nie - powiedział cicho Hariel. - Może coś jeszcze z niego będzie. Proszę. Jest bardzo młody.

Daimon niechętnie odstąpił o krok.

- Gdybym sądził inaczej, zabiłbym go od razu, bez wahania - oznajmił sucho. - W każdym razie więcej tego nie robi. Jeśli zapragnie dręczyć jakiegokolwiek stworzenie, natychmiast dostanie ataku paniki, przypomniawszy sobie dzisiejsze doznanie. Patrzyłem na niego zbyt długo. Może uznać, że to trauma po śmieci tego śmiecia, mnie to nie obchodzi. W każdym razie sprawa załatwiona raz na zawsze.

Trącił nogą martwego Masę.

- Pies jest do uratowania, jeśli trafi mu się porządny właściciel. To w sumie przyjazne i wierne zwierzę, tylko zbakierowane przez to ścierwo.

Hariel siedział na stercie desek, tuląc do siebie kocięta. Śnieżynka przywarła do jego nogi, wciąż zbyt przerażona, żeby drgnąć.

Pryszczaty chłopak leżał na trotuarze, szlochając. Był w głębokim szoku.

- Zabiłeś człowieka - wyszeptał albinos.

W oczach miał zdumienie i grozę.

Daimon sztywno skinął głową.

- Tak. Zabiłem też kilku skrzydlatych, Głębian, żołnierzy Cienia i innych istot. Taka jest moja natura, Hariel. Przynajmniej ta szmata nikogo już nie skrzywdzi. Nie pozostawi na szlaku swego podłego życia płaczącej matki, bitej żony, maltretowanych dzieci, zadrażnionych zwierząt. Czasem śmierć to wcale nie takie złe rozwiązanie. Przynajmniej według mnie.

Koci anioł westchnął, mocniej przycisnął do siebie kociaki.

- Pozbawiłeś życia syna Adama. Jako poddany Jasności powinienem być wstrząśnięty, potępić cię. Ale nie potrafię. Jestem stróżem kotów, a nie ludzi, więc dziękuję. Dziękuję z całego serca, Lahatiel.

Mimo woli Frey uśmiechnął się krzywym, złym uśmiechem. Jeden człowiek mniej, jeden więcej, pomyślał, skoro Pan postanowił, że i tak mam zgasić wszystkich. Co to ma za znaczenie?

- Zabierz koty dwie ulice dalej, na to podwórko, gdzie ostatnio pojawiły się miseczki.

Jeszcze dziś wieczorem przyjdzie tam młoda kobieta z córeczką. Wezmą Śnieżynkę do domu, odchowają małe, zostawią sobie kotkę i jedno kociątko, dwa oddadzą ciotce dziewczynki, która ma posiadłość pod miastem, a ostatnie zabierze babcia. Wszystkie znajdą ciepło, schronienie i miłość. No rusz się, przecież lepiej, żeby miały się gdzie podziać, a nie zdziczały na ulicy!

Hariel wydawał się bardziej poruszony prorocstwem przyjaciela niż śmiercią Masy.

- Skąd... skąd wiesz? - wydukał.

- Po prostu wiem. Zjawię się tam i skłonię kobietę, żeby tak postąpiła. Trafia do miłej rodziny, która kocha zwierzęta. Nie zaznają w życiu niczego złego. Umieję nie tylko zabijać, bracie. W końcu jestem wysokim rangą aniołem Pańskim. Pośłańcem Jasności.

Zabrzmiało to gorzko, ale Frey nie kłamał. Kiedy sięgał w przyszłość małej kociej rodziny mocą i magią Świetlistego, widział właśnie takie obrazki. Spokój, radość, sielanka. Nie miał pojęcia, jak to się ma do rozkazu zniszczenia Ziemi, ale właśnie to odczuwał, patrząc na popiskujące kotki. Może dla zwierząt czas po prostu inaczej płynie.

Hariel wstał, spojrzał przyjacielowi głęboko w oczy.

- Nie wiem, kim jesteś. I chyba nie bardzo chcę wiedzieć. Czasem naprawdę mnie przerażasz. Ale ufam ci, więc zrobię, co każeś.

Abaddon zerknął na ciemniejące niebo.

- Pośpiesz się zatem.

Albinos ostrożnie, z czułością wsadził młode Śnieżynki do kieszeni. Wyminął ciało, starając się nie patrzeć na nie. Kotka biegła tuż przy jego bucie.

- Lahatiel? Nie wiem, czy to dla ciebie ważne, ale jestem ci dozgonnie wdzięczny. Do śmierci. Cokolwiek się stanie.

Frey tylko skinął głową.

Ważne, przyjacielu, pomyślał. Nawet nie spodziewasz się jak bardzo.

* * *

Światło w komnacie było ciepłe, rozproszone, miękkie. Delikatnie ozłacało szerokie łóżko, nocną szafkę, fotel i postać siedzącego Głębianina.

- O Jasności, pomóż mu! Błagam. Ocal go, nie pozwól mu odejść. Czy zawsze wszystko musi się tak koncertowo spieprzyć? Czy zawsze ja muszę być tego przyczyną? Błagam, Panie, uratuj go. Chciał tylko naprawić mój błąd. Poświęcić się dla mnie. Nie możesz dopuścić, żeby przez to umarł! Pomóż mu, proszę...

Kołdry na łóżku poruszyły się nieznacznie.

- Nie jestem pewien, czy zwracasz się do właściwej osoby - szepnął słaby, lecz lekko drwiący głos.

Lucyfer zerwał się z fotela.

- A do kogo mam się, cholera, zwracać w beznadziejnej sytuacji?! Do Wielkiego Manitou? Mod? To ty? Żyjesz?

- Tak jakby.

Asmodeusz, blade, żółtawy na twarzy niczym kartka ze starej książki, słabo poruszył głową, jakby czegoś nasłuchiwał. Z trudem rozkleił powieki. Zamiast źrenic i fiołkowych tęczywek jego oczy pokrywał jednolity, rozbielony fiolet. W jednym strasznym przeblysku Lampa, pochylony nad pościelą, zrozumiał, że Zgniły Chłopiec jest ślepy.

Cofnął się odruchowo porażony, wstrząśnięty, przerażony. Lecz już po chwili dziękował losowi, że Mod nie widzi wyrazu jego twarzy.

- Na Mrok! Całe szczęście, że wreszcie się ocknąłeś! Minęły dwa dni, odkąd znaleźli cię w ogrodzie!

A ja cały czas tu siedziałem, chciałem dodać, ale przestraszył się, że to może zabrzmieć jak oskarżenie.

Asmodeusz nie odezwał się. Oddychał bardzo płytko i wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego. Wyglądał krucho jak kukielka z bibułki. Wydawało się, że za moment rozwieje się niczym duch. Lucyfer nie śmiał nawet go dotknąć. Wtem lodowata, mokra od potu dłoń wysunęła się z pościeli i po omacku poszukała ręki przyjaciela. Uścisk okazał się przeraźliwie słaby. Lampa poczuł, że serce w nim zamiera z żalu.

- Cień nie wie! - wyszeptał Zgniły Chłopiec. - Słyszysz? Nic nie wie!

Bredzi z gorączki, zmartwił się imperator Głębi.

- Oczywiście, że nie. Połóż się i odpoczywaj.

Asmodeusz drgnął jakby w bezsilnej próbie powstania z łóżka. Blade palce zacisnęły się mocniej.

- Luc, słuchaj, co mówię! On nie wie. Nie wysłał Freya! Nic takiego nie ma w jego umyśle. Nie znalazłem... nie... Rozumiesz? Dociera? To znaczy, że to Pan! Pan, Lampka!

- Tak! Rozumiem, rozumiem. Pan. Mod, uspokój się! To ci szkodzi!

- Twoja tępota szkodzi mi bardziej! Lampa, Światłość wysłała Abaddona! A ty... Apolyon... Odwołaj go. Natychmiast, słyszysz?

Lucyfer w jednej chwili pojął, że jeśli natychmiast nie uspokoi Asmodeusza, przyjaciel może umrzeć z wysiłku.

- Słyszę, Mod. Odwołam. Zaraz odwołam. Pan chce zniszczyć Ziemię. W porządku. To Jego sprawa, a nie Otchłani. Wypłacę się z tego. Już, za moment. Przyrzekam. Tylko leż spokojnie, bracie! Proszę.

Mod opadł głęboko w poduszki. Wyglądał jak własna kukła z wosku. Jakby już umarł.

Jasności, pomóż. Chroń go, pomyślał rozpaczliwie władca Pandemonium. Przecież nie dopuścisz, żeby zginął przeze mnie. Nie pozwolisz na to, prawda?

W tym momencie nie mógł znaleźć w sobie żadnej innej pociechy, żadnej nadziei poza miłosierdziem Pana. Ideały wolnomyśliciela i rewolucjonisty okazały się mniej warte niż funt

kłaków. Albo piór ze skrzydeł.

- Kiedy Totec przysięgał, że kazałeś mu wejść w umysł Antykreatora, nie mogłem uwierzyć - szepnął.

Na wargach Asmodeusza pojawił się blady cień uśmiechu.

- To ten drań przetrwał?

- Pewnie, że przetrwał. Jest tak przeżarty złem i samolubstwem, że dla niego taka podróż nie znaczyła więcej niż kąpiel w gnojówce. Mod, wariacie, dlaczego to zrobiłeś?

Głos był tak słaby, że ledwie słyszalny. Zgniły Chłopiec wyraźnie tracił siły.

- Dla Głębi.

Na Mrok, pomyślał gorzko Lucyfer. Oto, do czego doprowadziły moja ignorancja i próżność.

- Posłuchaj, Głębi nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Wycofam się ze wszystkich układów z aniołkami. Będziemy neutralni niczym Szwajcaria. Czyści i spokojni. Popatrzymy sobie na rozwój wypadków, poczekamy, umyjemy ręczki. Masz rację. Zawsze miałeś. Co nas obchodzi jakaś Ziemia? Niech się o to martwią skrzydlaci. A my tymczasem...

- Lampa - przerwał Zgniły Chłopiec z takim trudem, jakby każde słowo kaleczyło mu usta. - Idź poświecić gdzie indziej. Ja... muszę spać.

Pan Otchłani natychmiast umilkł.

- Tak - wykrztusił po chwili. - Oczywiście. Odpoczywaj. Zaraz przyślę do ciebie Rimmona. Czeka za drzwiami. W sumie, powinienem go od razu zawołać, ale sam wiesz...

Urwał, bo Mod już go nie słyszał. Znow zapadł w omdlenie.

* * *

Pod wieczór stan Asmodeusza tak się pogorszył, że ani Rimmon, naczelny lekarz Piekieł, ani Mumiasz, medyk pełniący funkcję zarówno w Głębi, jak i Królestwie, niczego nie mogli dla niego zrobić. Syn Samaela i Lilith co chwila wymiotował krwią i wyraźnie szykował się do opuszczenia tego Uniwersum.

Wezwani na pomoc magowie, w tym słynny Algivius, po kilku godzinach zabiegów także rozłożyli bezradnie ręce.

Zgniły Chłopiec umierał.

Lucyfer krążył po komnatach posepny i pogrążony w rozpacz.

- To niesprawiedliwe! - powtarzał w kółko, jakby sądownictwo miało tu cokolwiek do rzeczy.

W końcu w krańcowej desperacji wyszarpał z kieszeni Oko Nocy. Po kilku chwilach oczekiwania, które zdawały mu się wiecznością, mglista tafla rozmyła się wreszcie, ukazując zaspane i niezbyt zadowolone oblicze Gabriela.

- Lampa, jest środek nocy! Stało się coś?

- Tak! - imperator Głębi ryknął niczym huragan. - Asmodeusz umiera! Pofatygujcie tu natychmiast dupy, ty i Razjel, i uratujcie go albo zabiję was obydwu!

Dżibril pobladł.

- Co mu się stało? Razjel musi wiedzieć, żeby zabrać leki - wyjaśnił szybko, widząc wykrzywioną wściekłością twarz Lucyfera.

- Za pomocą nekromancji próbował wniknąć w umysł Cienia.

- Po co? - zdumiał się regent Królestwa.

- Potem! - wrzasnął Lampka. - Teraz musicie go uratować.

I rozłączył się.

Gabriel, nieco otumaniony, gapił się na puste Oko Dnia.

- Jak trwoga, to do archaniołów, co? - mruknął kwaśno, ale natychmiast wywołał w Oku obraz Księcia Magów.

* * *

Świt wydawał się szary jak całun. Zły. Nienawistny.

Lucyfer patrzył w podkrążone, zmęczone oczy Razjela. W sam lodowy błękit, teraz jakby przygasły i zszarzały.

- Jak to, nic nie możesz zrobić? - powtórzył osłupiały. - Ty, największy mag w Uniwersum, Pan Tajemnic?

- Tajemnica wskrzeszania z martwych nie została mi powierzona - wymamrotał archanioł.

- W każdym razie nie w tym przypadku.

Lampka jęknął, ale zaraz spróbował się opanować.

- Więc... to koniec? - wyszeptał łamiącym się głosem.

- Przykro mi.

Imperator Głębi zachwiał się, jakby miał runąć na dywan, ale Dżibril, dotychczas nerwowo bawiący się pierścieniem, przyskoczył i podtrzymał go. Posadził na fotelu, bezwolnego jak worek kartofli, a potem spojrział uważnie na Księcia Magów. Zielone tęczówki płonęły.

- Nie żyje?

- Kona.

- Ale jakaś iskra jeszcze się tli?

Razjel wolno skinął głową.

- No tli. Tyle że nie podtrzymam jej dłużej niż kilka, kilkanaście minut. Moja magia...

- Do diabła z nią! - regent Królestwa, zniecierpliwiony, machnął ręką. - Mod dotarł do umysłu Cienia, żeby dowiedzieć się, kto wydał rozkaz zniszczenia Ziemi. I przekonał się, że impuls nie pochodzi od Antykreatora. Zatem to zamysł Pana. Starając się zatrzymać Apolyona, zmusić Lucyfera, żeby go odwołał, działał więc w służbie Jasności. Jako Jej

lojalny sługa. Można w takim razie słusznie założyć... Raz, utrzyjaj go, jak długo się da! Ruchy! Już!

Błyskawicznym gestem wyciągnął z kieszeni Oko Dnia.

- Rafał! „Bóg Uzdrawia”! - krzyknął z całych sił, jakby Pan Uzdrawień mógł go usłyszeć przez okno. - No dalej, odbieraj! Rafael! „Bóg Uzdrawia”! Powtarzam, „Bóg Uzdrawia”! Kod czerwony! „Bóg...” no, nareszcie! Gdzie? W Głębi! Jasne, że dobrze słyszysz! Tak, pałac Asmodeusza! Natychmiast. Nie przyjmę sprzeciwu! Rozkaz regenta! Oczywiście. Ale pośpiesz się. Oko Dnia zaterkotało i zgasło.

- Przyjdzie.

Razjel pokręcił głową.

- Dżibril, to się nie uda. Zabije go!

Pan Objawień obrzucił przyjaciela chłodnym, zupełnie szalonym spojrzeniem.

- Zabije trupa? No, ciekawe. Co ty też nie powiesz? A umiesz go inaczej uzdrowić?

- Nie.

- No to czym ryzykujemy?

Nawet Księżę Magów musiał się zgodzić, że niczym. Rafael rozglądał się nerwowo. Gabriel krążył wokół niego niczym rozszoszczony wilk.

- Nie możesz? Musisz! - naciskał ostro.

Doprowadzony do rozpacz Pan Uzdrawień tupnął ze złością.

- Nie uczyłem się na kata, Dżibril! Ja lecę, nie zabijam. Zapomniałeś? Jeśli dotknę go mocą daną mi od Pana...

- Pan zdecyduje, czy pacjent powinien wyzdrowieć, czy nie - dokończył spokojnie Razjel.

- Pewno! Zaraz się tu osobiście zjawi, co? Oświeci nas wszystkich, oczyści nasze dusze i wejrzy w serca! To tylko uzdrawiająca siła. Ślepa. Ale nie skierowana do leczenia demonów, na litość Jasności! Co mam mu jeszcze zrobić? Oblać wodą święconą? Obrzucić hostiami? Jeszcze nie czuje się dostatecznie źle? Po pierwsze, nie szkodzić. Zrozumieliście? Chyba nie mogę mu bardziej zaszkodzić, niż tchnąć w niego energię Światłości.

- Spróbuj, zobaczymy - rzucił cierpko regent.

Rafał wyrócił oczami.

- A, eksperymenty na żywym organizmie! Wspaniale. I jak etycznie! Nie myślcie sobie, że się na to zgodzę! Uczestniczyłem w wielu waszych szaleństwach, ale nie umażę rąk niewinną krwią!

- Sam twierdzisz, że niewinną. - Spojrzenie Księcia Magów było czyste jak wiosenne niebo.

Pan Uzdrawień wbił ręce w kieszenie, jakby chciał zademonstrować, że będą je musieli wyłamywać siłą.

- Żądacie, żebym został mordercą!

- Nie! Chcemy, żebyś wreszcie, zamiast gadać, zajął się ciężko chorym pacjentem, zgodnie z tym, co ci nakazuje święty kodeks lekarski!

- Przestańcie się kłócić! - Lucyfer, który dotąd siedział nieruchomo na fotelu, ściskając skronie, wstał. - Jemu potrzebny jest spokój. On odchodzi, panowie. Mój przyjaciel, który oddał życie, żeby dowiedzieć się tego, czego wy nie potrafiliście odkryć, umiera. Skoro nie umiecie docenić poświęcenia, uszanujcie majestat śmierci. Choćby i demona.

Rafał niechętnie spojrział na leżącego w łóżu Asmodeusza.

Zgniły Chłopiec, żółty i wychudły, wyglądał jak mumia. Spod uchylonych powiek upiornie połyskiwały fioletowe półksiężycy ślepych oczu. Archanioł poczuł nagły przypływ współczucia.

Może i demon, pomyślał. Ale teraz tylko umierająca, cierpiąca istota.

- Lucyferze - odezwał się cicho. - Jeśli spełnię rozkaz regenta i spróbuję uzdrowić twego przyjaciela, a nie powiesz mi się, czy obarczysz mnie winą? Uznasz, że z premedytacją postanowiłem mu zaszkodzić?

Lampka zdołał tylko w milczeniu pokręcić głową.

Bursztynowe, złociste oczy Rafała zabłyśły. Patrzył z napięciem na imperatora Głębi, całkowicie ignorując archaniołów.

Jakby nas tu nie było, pomyślał z lekką niechęcią Gabriel.

- Chcesz, żebym spróbował? Zgadzasz się?

- Tak.

- Dobrze więc.

Podszedł do posłania chorego, uniósł ręce.

- Pan jest życiem i siłą. Pan jest radością i miłosierdziem. Jego słowo jest wieczne, Jego dobro uzdrawia.

Głos archanioła brzmiał słabo i niepewnie. Wszyscy obecni w komnacie wstrzymali oddechy. Ale nic się nie wydarzyło.

Razjel i Gabriel ze smutkiem spojrzeli po sobie. Twarz Lucyfera, i tak blada, nabrała barwy popiołu.

Tylko Rafał zdawał się trwać w skupieniu i spokoju.

- Pan jest życiem! - powtórzył mocniej. - Pan jest miłosierdziem! Zatrzymaj się, Asmodeuszu! Twój czas się jeszcze nie wypełnił. Wracaj!

Nic. Cisza panująca w komnacie była ciszą grobu.

Rafał pochylił głowę.

- Panie mój, Jasności! Jestem tylko narzędziem w Twych rękach. Nie moje sądy i wola, lecz Twoje. Przed Tobą nie ma wielkich i możliwych, mocarnych i pełnych władzy, są tylko prawi i złąkani. Ślepi i poszukujący. Zagubieni i cierpiący. Iskry Twojego własnego ognia. Kogo odrzucisz, będzie brnął w ciemności. Kogo przygarniesz, będzie żył!

Zamknął oczy, rozrzucił szeroko ramiona.

- Asmodeuszu, w imię Jasności, zostań z tymi, którzy cię kochają! Zostań z nami! Bóg uzdrawia!

Złote światło wybuchło w komnacie niczym granat. Oślepiło wszystkich, Gabriela powaliło na kolana. Płynęło spomiędzy rozwartych dłoni Rafała, otaczając Zgniłego Chłopca szczelnym, lśniącem kokonem. Blask zdawał się płynąć nieskończenie długo, spowijając umierającego niczym bandaż, a raczej całun. Ciało demona wyprężyło się, niemal lewitowało nad posłaniem, absorbując jasność. Asmodeusz wchłaniał złoto, wygięty w łuk, nieruchomy, ledwie widoczny w olśniewającej poświacie. Przypominał lalkę wrzuconą w płomienie.

I wciąż nie dawał najmniejszego znaku życia.

Kukielka w piecu ognistym.

Niegdysiejszy syn Lilith i Samaela. Demon. Teraz martwy niczym patriarcha Abraham.

Blask zagasł tak samo niespodziewanie, jak się rozpałił.

Rafał zachwiał się i jęknął, a potem usiadł na podłodze, bo nogi się pod nim ugięły.

Zgniły Chłopiec ciężko, bezwładnie upadł w pościel. Bardziej przypominał trupa niż ozdowieńca.

Nie udało się, pomyślał Gabriel. Przykro mi. Na Jasność, tak cholernie mi przykro.

Starał się nie patrzeć na zdruzgotanego, przygniecionego żalobą Lucyfera, nie wyobrażać sobie, jak to właściwie dalej będzie bez nieznośnego, kapryśnego Modo.

Później. Zmartwi się później. Teraz trzeba zadbać O sprawy Królestwa i Głębi, bo Lampka nie wydaje się do tego zdolny.

Księżę Magów pochylał się nad Panem Uzdrawień, pomagał mu wstać.

- Mamy go - wychrypiał niespodziewanie Rafał głosem chorego kruka. - Dżib, mamy go! Moc dana mi od Pana zawróciła go z drogi. Razjel, zabieraj się zaraz za to swoje hokus-pokus, bo to wciąż bardzo kruche życie!

Wszyscy przyskoczyli do łóżka.

Asmodeusz oddychał słabo, ale dość równo. Westchnął, zamrugał i spróbował otworzyć oczy. Błysnęły białka i fiołkowe tęczęwki.

- Taki długi korytarz - wymamrotał. - Długi. I ciemny. Niewygodnie iść.

A potem znów zamknął powieki i chyba stracił przytomność.

Razjel rzucił się biegiem po torbę z lekami, a imperator Otchłani odwrócił się szybko do okna, żeby nikt nie zobaczył, że płacze.

* * *

- Chyba przetrwa.

Razjel ciężko opadł na kanapę. Wydawał się zupełnie wykończony, ale w oczach miał jasny blask. Po raz pierwszy od chwili przeprowadzenia Hii sprawiał wrażenie uszczęśliwionego.

Pewno, pomyślał Gabriel cierpko. Gdy się jest skrzydlatym, dużo przyjemniej uzdrawiać, niż zabijać.

Siedzieli w ogrodzie zimowym Zgniłego Chłopca. Wokół rosły palmy, mrugały złotookie orchidee, powietrze skrzyło się od tęczyowych kolibrów. Mała kaskadka z kojącym pluskiem wpadała do wyłożonego otoczkami basenu. Rybki przypominały barwne płatki kwiatów wsypane do wody. W powietrzu unosił się nikły aromat cedru i cytrusów. Spomiędzy donic i zwartego gąszczu liści wychylały się podłużne, surowe twarze salamandrzych fetyszy. Wydawały się odlane z płynnej miedzi i słonecznego blasku. Mod zawsze lubił wyrefinowaną sztukę.

Postanowili tu odpocząć, bo wystrój oranżerii działał uspokajająco, a oni bardzo potrzebowali odrobiny spokoju. W kieliszkach bursztynowo połyskiwało wyborne głębiańskie sherry, którego znacznie już ubyło we flaszy, ale tace z wymyślnymi zakąskami pozostawały nietknięte. Nikt nie miał apetytu. Rafael wrócił do Królestwa już dobrą godzinę temu, lecz Pan Tajemnic dopiero przed chwilą ośmielił się odejść do łóżka chorego.

Napięcie powoli ustępowało, sflukane zacnym trunkiem. Archaniołowie i Lucyfer poczuli się przez chwilę prawie jak za dawnych czasów, gdy stanowili bandę młodych, oddanych sług Jasności. Znowu byli razem i na chwilę podziały na Głębian i skrzydlatych zdawały się nie istnieć.

Zrobiło się trochę nostalgicznie i tylko odrobinę niezręcznie. Pozwolili sobie przez chwilę utrzymywać klimat właściwy dla spotkania w gronie absolwentów, którzy nie widzieli się dobre kilka lat.

Słodko-gorzki smak utraconej na zawsze niewinności.

- Dobra, Luc. Asmodeuszowi już chyba nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, czas się zastanowić nad informacją, którą zdołał dla nas uzyskać niemal za cenę życia. Wiele wskazuje, że to nie Cień, lecz Pan powołał Daimona do tej niepojętej misji. Nie chcę w tej chwili wnikać po co ani dlaczego. - Regent gestem dłoni uciszył Lucyfera. - O tym pomyślimy później...

- O ile jakieś później nastąpi - wtrącił jednak władca Głębi ponuro.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać i przekonać się. Na tę kwestię nie mamy, zdaje się, wielkiego wpływu. Wyroki Jasności są niepodważalne, a Jej wola wypełnia się zawsze, niezależnie do naszych starań czy protestów. Jeżeli Pan faktycznie zarządził zniszczenie Ziemi, planeta ulegnie zagładzie. Pozostaje jeden drobny problem. Apolyon.

Lucyfer drgnął.

- No tak. Nie da się zaprzeczyć.

Archanioł na chwilę przestał bawić się pierścieniem i spojrzał na niego przenikliwie.

- Odwołaj go, Luc. Chyba rozumiesz, że w tej sytuacji...

- Rozumiem! Pewno, że rozumiem. I co z tego? Równie dobrze mogę sobie pokrzyczeć na puszczy! Aż do zdarcia gardła.

Razjel, który chyba na sekundę przysnął, natychmiast zerwał się do pionu.

- Co? Lampa, mówże do rzeczy! Jaka znów puszcza, do cholery?

- Smutna, samotna i ostateczna - warknął imperator Otchłani. - Bagnista, śmierdząca i zgniła. No co się tak gapicie, chłopaki? Nie padło mi na mózg. Po prostu nic nie mogę w tej sprawie zrobić. Próbowałem. On mnie nie słucha.

- Nie? - szepnęła osłupiały Książę Magów. - Przecież to niemożliwe! Apolyon ma tylko jednego zwierzchnika prócz Światłości, a jest nim władca pałacu Pandemonium, Pan Otchłani.

Lucyfer zaśmiał się gorzko.

- Ta, jasne. Tyle że nie zwierzchnika, tylko żalosego dupka. Zrobionego w konia frajera. Myślicie, że nie próbowałem go odwołać? Obiecałem Asmodeuszowi, że się z tego wypłacę. Doskonale wiedziałem, co zrobić. Wystarczyło zejść do lochów, stanąć w jego celi i przywołać drania z powrotem. Oczywiście przybył. Nie zajęło mu to nawet sekundki. Cały był z wiatru i ognia, sywał iskrami, wirując w powietrzu jak cholerne, małe, wredne tornado. W oczach miał tylko pogardę i szyderstwo. Nigdy jeszcze nikt nie patrzył na mnie w ten sposób. Jak na śmiecia. Powiedziałem, że odwołuję rozkaz. A on tylko się zaśmiał. Aż mnie ciarki przeszły. Rozkazałem mu słuchać poleceń władcy Pandemonium i zakazałem polować na Freya. Wtedy bydlak znów zaczął się śmiać i oznajmił, że jest zobowiązany słuchać rozkazów imperatora Piekieł, a nie jego kaprysów. Rozkaz zaś został wydany. Potem zniknął i nie pofatygował się z powrotem, choć omal nie straciłem głosu, stojąc tam godzinę jak palant i wykrzykując zaklęcia. Wróciłem do biblioteki, wertowałem księgi, odnalazłem prastare, zapomniane formuły magiczne i obwieszony pentaklami, ubrany jak kretyn w ceremonialne szaty cuchnące zgnilizną i naftaliną wróciłem triumfalnie do lochów. Widzę, że już zgadujecie, co uzyskałem? Nic. Błądą dupę. Drań nie raczył nawet powiać zasłoną nad drzwiami. Nie pokazał się, jednym słowem. Tak wygląda prawda, panowie. Nie potrafię zawrócić Apolyona. Może wy, z waszą wielką anielską magią umiecie coś zdziałać, bo ja jestem bezradny.

Razjel siedział blady i wstrząśnięty.

- Ja też. Jedynie ty masz jakikolwiek wpływ na Apolyona. Nikt inny w Królestwie ani Głębi nie może kontrolować jego mocy. Chyba że Pan. A Ten akurat wybył. Na parę tysiącleci. I tak się składa, że nie zostawił adresu.

Lucyfer zacisnął usta.

- Tylko nie prawcie mi tu kazań o odpowiedzialności i takich tam! Dzisiaj naprawdę źle bym je znosił.

- I tak się przydadzą jak umarłemu kadzidło. Co miało się spartolić, właśnie zostało spartolone. Najpotężniejsza, najbardziej destruktywna i niestabilna potęga w Uniwersum pędzi otóż na spotkanie Abaddona, Tańczącego na Zgliszczach, owładniętego manią rozwalenia Ziemi. Ależ będzie bal, panowie. Że proszę siadać!

- No to pięknie. - Gabriel ze złością uderzył dłonią w stół. - Co nam w takim razie zostaje?

Pan Tajemnic wzruszył ramionami.

- Nic. Ostrzec Freya. I zacząć się modlić. Naprawdę żarliwie.

Regent Królestwa obracał pierścień z taką furją, jakby zamierzał ukreć sobie palec.

- Ostrzec Daimona. Fajnie. Tylko jak? Numer z Hiją nie da się, niestety, powtórzyć. Kamaelowi też za cholerę nie zaufa. Mamy się z Razjelem przebrać za sylfidy i włączyć się po Ziemi, wieszcząc zagładę w nadziei, że coś z tych bredni dojdzie do Freya?

Lampka pokręcił głową.

- Nie przejdzie. Jesteście obaj zdecydowanie za mało cyncaci na sylfidy.

- Tym się nie przejmuj, Lampa. Chętnie wypcham się z przodu magiczną koszulą władcy Otchłani. Niech się do czegoś przyda, bo jak widzę, nie nadaje się nawet na szmatę do podłogi.

Razjel mimo woli wykrzywił usta w uśmiechu. Faktycznie, Pan Objawień w roli domokrażnej wróżki wyglądałby całkiem nieźle. Pewnie nawet lepiej niż Luc w paradnych szatach maga sprzed czasów Potopu.

- W porządku, chłopaki - powiedział jednak pojednawczo. - Teraz wszyscy jesteśmy zmęczeni. Coś wymyślimy. Wywiad, magia, szantaż, kumple, ktoś nas do niego doprowadzi. Wybaczcie teraz, idę zajrzeć do Asmodeusza, a potem chyba zasnę na stojąco. Oczy mi się zamykają z wyczerpania. Później pomyślimy, co zrobić. Napijcie się wina, odpocznijcie. Tylko, na litość Jasności, nie weźcie się aby za łby, dobra? Dość chyba mamy problemów.

Lucyfer i Gabriel milczeli ponuro, ale żaden nie zaoponował.

* * *

Ryży, rozczochrany, zachwycony Michał wpatrywał się miłośnie w treść wiadomości. Twarz miał rozpromienioną, w oczach pełno niebieskiego szaleństwa.

Litery były takie piękne, takie radosne.

„Panie, Apolyon podjął trop”.

Krótko, treściwie, ślicznie.

Pan Zastępów zaśmiał się w głos. Nie byłby szczęśliwszy, gdyby otrzymał prezent gwiazdkowy od samej Jasności. Wyszczerył się do ostatnich trzonowców.

- Wiedziałem - oznajmił samemu sobie. - Byłem pewien, że ten sukinsyn żyje! I wytropię go. I zniszczę. I odcisnę na nim sprawiedliwą pomstę! Nastanie dzień ognia i gniewu, a zło zostanie ostatecznie pokonane! Prawicą Pana!

Zacisnął dłoń w pięść, spojrzął na nią tak, jakby była najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widział.

O tak, to był wspaniały dzień. Wspaniały, wesóły dzień pełen nowych możliwości.

A Michael miał zamiar wykorzystać je wszystkie. Wykorzystać bez litości.

* * *

Tylko naprawdę durny i zawistny palant może sądzić, że jeśli jesteś regentem Królestwa, masz pełnię władzy nad wszystkimi skrzydlatymi, zawiadujesz Siedmioma Niebami, prowincjami olimpijskimi, Księżycem i planetami oraz całym chrzanionym Kosmosem w ogóle, powinieneś się czuć dumny, spełniony i szczęśliwy.

A tylko jeszcze głupszy krety jest w stanie założyć, że w czasach kryzysu twoje poczucie własnej wartości wzrasta, bo możesz wreszcie dać z siebie wszystko i wykazać się umiejętnościami rządzenia oraz słynną zimną krwią.

Brednie. Twoja krew wrze niczym gejzer, a w głowie kłębią się jedynie niewesołe myśli. Destruktywne. Brudne. Smutne. Wkrótce robi się z ciebie wiecznie zestresowany, nieustannie spięty, zawsze węszący spiski i problemy, pesymistyczny i psychotyczny bydlak.

Oddałbyś ten splendor, zaszczyty i celebry w jednej chwili z niewysłowioną ulgą. Przekazałbyś ten cały bałagan ze łzami szczęścia w oczach w litościwe, łaskawe dłonie Jasności.

Proszę, mój ukochany Panie, zabieraj sobie ten cuchnący szajs, dla mnie to znacznie za ciężkie.

Pewnie, Światłość się tym zajmie. A niby kto? Ty, zaufany, ulubiony archanioł? Podpora państwa? Filar sprawiedliwości? Prawy, dzielny, zawsze promieniejący blaskiem skrzydlaty o czystych rękach i niezłomnej duszy? Nominowany przez sam *Majestat regent*? Ha, ha. Zabawne, aż przepona boli.

Jesteś cynikiem, draniem, bezwzględnym suczysynem gorszym niż boss mafijny z Głębi. Na twój rozkaz nieraz przelewano niewinną krew, tuszowano zbrodnie, dopuszczano się niemalże świętokradztwa.

Gabryś, przyznaj, bracie, cuchniesz na odległość. W życiu nie ośmielił się stanąć przed obliczem Jasności. Nawet gdy wypała się gwiazdy. Niby modlisz się o powrót Pana, niby wyczekujesz Go jak zbawienia, ale o mało nie zemrzesz z lęku, gdy tylko pomyślisz, że naprawdę mógłby wrócić. Co wtedy uczynisz? Zwalisz Mu całe to skisłe błoto na kark, dumnie stwierdzając: „Robiłem, co w mojej mocy, Jasności”.

Pewno. To akurat widać. Co tylko się dało, spartoliłeś, zbrukałeś, zepsułeś i splugawiłeś.

A teraz dowiadujesz się najgorszego. Daimona posłała Światłość. Oczywiście, możesz się jeszcze łudzić, że wcale nie, że Asmodeusz pewnie za słabo przeniknął do umysłu Cienia, że Antykreator ukrywa swe zamiary, a może to spisek całkiem innej, nieznannej dotąd mocy. Kolejnego wroga rodzaju ludzkiego. Albo starej arystokracji z tą suką Pistis na czele. Tylko co to da?

Zawiodłeś, chłopie. Zawiodłeś na całej linii i dlatego, widząc twą nieudolność i podłość,

Opatrzność postanowiła wkroczyć, aby zakończyć ten żaloszny cyrk.

Pan posłał Abaddona. Abaddona posłał Pan. Ziemia zostanie zniszczona. Rozpocznie się niezły bal. Czasy Ostateczne nastaną. I wszystko jest przegwizdane.

Amen. Hosanna. Koniec i bomba.

Bardzo piękna piosenka. Piękna jak jasna cholera.

Jeszcze nie wierzysz, że eksperyment się nie powiódł i zostaje przedwcześnie zakończony?

Gabriel wierzył. Czuł tę straszną prawdę całym jestestwem.

Nie dali rady. On, regent, najważniejszy w Królestwie z woli Jasności, nie dał rady. Teraz można już tylko odsunąć się na bok i nie przeszkadzać w dziele zagłady. Ciszej nad tą trumną. Ciszej, na litość Światłości.

Objął rękami głowę i siedział, gapiąc się w przestrzeń. Nie miał nawet siły przejmować się uwolnieniem i posłaniem w świat Apolyona. Albo on, albo Frey. Któryś załatwi sprawę. Czy to istotne, jaki będzie destruktor? Skazaniec nie bardzo potrafi się zamartwiać tym, który kat wygra w warcaby godność egzekutora. Ten wyższy czy może ten tęższy?

Sześć do zera, panowie.

Łeb i tak zostanie ścięty.

Hajot Hakados usypiało niespiesznie w fioletowej poświacie zmierzchu, strojne w girlandy ulicznych latarni i kolie rozświetlonych okien. Widok za oknem wydawał się tak rozpaczliwie sielankowy, aż Panu Objawień zrobiło się mdło.

Już niedługo te wszystkie piękne budynki, ogrody i place zamienią się w dymiące zgliszcza. Tak jak trzecia planeta od słońca. Abaddon, Apolyon, jeden diabeł.

Wypełniło się, przyjacielu. Wypełniło i przelało czarę.

- No to pozamiatane - powiedział nadchodzącej nocy regent Królestwa.

* * *

Razjel wpatrywał się w misę płynnego złota z takim natężeniem, aż zawirowało mu przed oczyma.

Nic. Nadal nic.

Karty, kule, lustra, magiczne gadzety i sztuczki, nawet wywoływanie duchów nie doprowadziły do żadnych sensownych wniosków. „Famy” zdawały się bredzić, w lśniących taflach magicznych przedmiotów widział tylko pustkę lub rozmazane cienie, widma wielkich wieszczów i czarowników rozkładają bezradnie przejryste ramiona.

Słowem, nikt nic nie wie.

Głębiański film.

Pan Tajemnic miał opuchnięte powieki, chwiał się z niewyspania, nie jadł od doby z hakiem, ale nie zamierzał rezygnować. Tyle że arsenał czarodziejskich pomocy powoli

zaczynał się wyczerpywać.

Po raz pierwszy od wielu wieków Razjel nie miał pojęcia, co robić.

Nie umiał natrafić magią na żaden trop Freya. Co gorsza, Apolyon także był nieuchwytny jak mistral. Gdzieś, gdzieś w nieskończonej przestrzeni kosmosu powinni pozostawić po sobie choć ślad. Drobnny, cholerny odcisk mocy.

Nic.

Nic. Nic. Nic.

Żałosna pustka.

Książę Magów wstał, rozmasował zdrętwiały kark i podszedł do stołu. Na samą myśl, że miałby spędzić nad misą z alchemicznym złotem kolejne minuty, poczuł mdłości obrzydzenia.

Wziął do ręki karty, ukochane, własnoręcznie zrobione „Famy”, i bezwiednie zaczął tasować. Rozłożył, uważnie przyjrzał się układowi, a potem ze zniechęceniem odłożył talię.

Figury, filary i fanty zdawały się pogrążone w takim samym szaleństwie, jak cały świat wokoło.

Ha, potężny czarowniku, zdradź nam, co mówią karty! No, czemu milczysz, co? Gadaj zaraz, co zeznają te cholerne karty! Ale już!

Tyle że one nic nie mówią.

Błada dupa, bracie.

Chaos. Bezsens. Drwina.

Siwy dym i skrzypce, a zaraz potem napisy.

Koniec największego maga w Uniwersum. Nie potrafił nic zobaczyć ani zinterpretować. Skończył się. Wypalił i zgasł.

Panie Wielki Razjel, czas do grobu. Skrewiłeś pan. Wypadłeś z gry. Po tobie, przyjacielu.

Jeszcze raz z niechęcią zerknął na karty.

Z układu nic nie wynikało jasno. Jedno tylko było pewne ponad wszelką wątpliwość i powtarzało się uparcie, gdy tylko rozkładał „Famy”.

Michał nie został opętany przez Ciebie.

Fantastycznie. Hurra! Niesamowita wiadomość. Tylko dlaczego zachowuje się jak szaleniec?

Bo jest szalony, cierpliwie odpowiadały karty. Za sprawą Pana, choć jednocześnie całkowicie z pominięciem Boskiej mocy.

Razjel miał przemożną ochotę strącić kolorowe kartoniki ze stołu, podeptać je, a potem zacząć wyć. Głośno, wściekle, niczym wilkołak.

To nie miało sensu! Cienia sensu!

Ale powtarzało się niezmiennie, w każdym kolejnym rozkładzie.

Michaela opętała Jasność, choć jednocześnie zupełnie, zdecydowanie i całkowicie nie miała z tym nic wspólnego. Była o całe lata świetlne z dala od Pana Zastępów, nawet nie

ocierała się o niego rąbkiem, smugą mocy.

Nie miał pojęcia, co to znaczy.

Później się tym zajmie. Później.

To teraz jego ulubione słowo.

Szczerze mówiąc, miał ogromną ochotę schwycić za Oko Dnia, zaprosić Gabriela i upić się z nim na umór. Z całą pewnością regent nie był teraz w cudownym humorze, a towarzystwo przyjaciela, w dodatku blisko zamieszanego w cały ten bałagan, mogłoby na obu podziałać kojąco.

Już sięgnął do kieszeni, ale zamarł w pół gestu, gdy wyobraził sobie pojawiającą się w tafli, pełną nadziei i oczekiwania twarz Dżibrila.

Nie. Pan Objawień na pewno pomyśli, że ma dla niego jakieś wieści. Jakiegokolwiek.

A przecież nic nie miał.

Westchnął ciężko.

Dobra, sam się upiję, zdecydował, ale zamiast opuścić pracownię i wołać o wino, znów pochylił się nad nienawistną, złotą taflą.

* * *

Była już późna noc, ale w sypialni Asmodeusza wciąż paliło się światło. Lucyfer zapukał i bez zaproszenia wsunął się do środka. Zgniły Chłopiec siedział na łóżku, wertując grube książki oprawne w skórę wywerny. Miał na sobie zielony, jedwabny szlafrok haftowany w złote chimery. Włosy, nareszcie znów seledynowe, związał na karku w prosty, żołnierski węzeł. Jego cera wciąż kolorytem przypominała mokry gips, a na policzkach płonęły niezdrowe, ceglaste wypieki. Wyglądał, delikatnie mówiąc, tak sobie.

Na widok przyjaciela uniósł wzrok znad lektury.

- Mod, do licha, co ty właściwie wyrabiasz?

- Do licha, praktykuję jogę mefistofeliańską. Nie zauważyłeś? To dość łatwo stwierdzić. Jeśli ktoś trzyma na kolanach rozłożoną książkę i gapi się na nią z uwagą, zwykle oznacza to, że odcyfrowuje litery. Czyta, innymi słowy. Nie wszyscy są analfabetami, Luc. Wiem, smutne, ale prawdziwe. Spróbuj się z tym pogodzić.

Pan Otchłani usiadł na brzegu łóżka.

- Powinieneś odpoczywać. Ledwo się wywinąłeś. Naprawdę nie wiem, jak można być takim kretynem. Musisz dużo spać. Przynajmniej wtedy nie wywiniesz kolejnego durnego numeru.

- A ty pewnie przyniosłeś mi melisę na sen, co?

- Nie. Koniak prosto z Doliny Łez. - Lucyfer pomachał wyciągniętą z kieszeni flaszką. - Ale ty nie dostaniesz. Rekonwalescencja równa się abstynencja. Przykre, zdaję sobie sprawę, jednak spróbuj się z tym pogodzić, dobra?

Wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Zgniły Chłopiec fuknął jak rozzłoszczony kot.

- Rany, chłopie. To mój dom. A rządzisz się tu jak...

- Imperator Głębi. Nie wygłupiaj się, Mod. Naprawdę zrobiło się późno. Zostaw te papiery i postaraj się zasnąć. Dla dobra Otchłani.

- Dla dobra Otchłani je czytam. Szukam czegoś pocieszającego na temat Apolyona.

- I co? Znalazłeś?

Mod przeniósł wzrok na kartki i zaczął recytować:

- „A jest on poza czasem i z czasu nie pochodzi. Stoi po mrocznej stronie Światłości, choć jako jej sługa powołan będzie. Nie jest Alfą, lecz Omegą. Końcem końców. Niewypowiedzianą możliwością ostatecznego kresu. Pustką nieistnienia. Opcją naznaczoną smutkiem. Nie snem, lecz nicością. Krańcem wszelkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. A imię jego Klęska”. „Pisma Zeliusa Anachorety, eona eonów, Proroka Ciemności”. I jak? Doznałeś pocieszenia, bracie?

Lucyfer pociągnął solidny łyk koniaku z gwinta.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Ktoś, na kogo wołają Klęska, nie wydaje się szczególnie miłym kolesiem. Nie sędzę, żeby przyniósł ukojenie naszym skołatanim sercom.

- Ależ przyniesie. Na wieczność. Lampka, wyświadcź mi przysługę. Idź...

- Wiem, poświecić gdzie indziej. Nie tym razem, Mod. Daj mi te papiery, przejrzę je sam. A ty kładź się spać. Rozkaz imperatora. Dotarło?

Asmodeusz zawahał się. W sumie naprawdę czuł się zmęczony. A pisma i księgi nie dawały żadnych sensownych wskazówek. Co to jest, u diabła, „opcja naznaczona smutkiem”? Rzeczywiście, powinien dać spokój i odpocząć.

Z niechęcią zamknął okładki i podał gruby tom przyjacielowi.

- Masz. Usypia lepiej niż liczenie Boskich jagniąt przeskakujących przez Flegeton.

- Dzięki, zaraz się przekonam.

Pan Otchłani pozbierał ciężkie księgi i ruszył do wyjścia.

- Luc? Dziękuję.

- Za co? - zdumiał się Lampka.

- Za determinację w przywracaniu do życia pewnego przystojnego, bystrego, choć odrobinę kulejącego demona.

- A, o to chodzi. Głupstwo. Po prostu chciałem zobaczyć, jak Rafał smaży cię fajerwerkami. Było na co popatrzeć, naprawdę.

Wyszedł, zamykając drzwi. Odczekał moment, by się upewnić, że światło w szparze na progu zniknie.

* * *

Bała się. Okropnie się bała. Czuła, jak serce wpada w paniczne wibracje, dłonie się pocą, w uszach gwizdzą wicher lęku. Przycisnęła ręce do brzucha, bo zrobiło jej się niedobrze.

To była przecież wyspa. Ta wyspa.

Jej dom, zbezczeszczone, zniszczone, niegdysiejszy niczym zeszłoroczne śniegi.

Z każdym stawianym krokiem czuła narastające przerażenie. I jeszcze coś. Swąd. Silny, nieznosny swąd czarnej magii.

A jeśli nicość znów ją pochłonie? Jeśli tylko czyha, żeby otworzyć przed nią bladą otchłań nieistnienia? Wróciła tu, do miejsca swego uwięzienia, szaleństwa i samotności. Czy moc Razjela zdoła ją uchronić? Czy pusty, zimny, zamglony międzyświat znów po nią sięgnie, zagarnie swą utraconą, odebraną własność? A może już sięga?

Rozejrzała się nerwowo.

Ta cholerna mgła. Robi się gęstsza. Na Jasność, pomocy! Gęstnieje! Z pewnością gęstnieje!

Uspokój się! - nakazała sobie ostro.

Mocniej przycisnęła dłonie do podołka i zaczęła głęboko oddychać.

Uciekałaś, dziewczyno. Wyrwałaś się. Zostałaś uratowana przez dwóch wiernych rycerzy. Żaden smok nicości drugi raz cię nie zeżre. To tylko zniszczona, zdewastowana wysepka. Zwykły kamień posypany ziemią, a na nim powalony od huraganu las. I ruiny zamku.

Oraz ona.

Widmo.

Mściwy duch.

Straszna zjawą ze snu.

Akne.

Powiedziała, że nazywa się Akne.

Hija zatrzęsała się ze strachu, objęła ramionami jakby w nagłym przypływie zimna. Na litość Światłości! Przecież ona tu jest! Gdzieś między powietrzem a połamanymi drzewami. W opalizującej mgle. Niewidzialna, lecz obecna. Upiór w postaci chmury.

Staruszka. Zwykła staruszka. Zniszczona pracą, wiekowa skrzydlata. Ptak niebieski. Nikt.

Ale jeśli się ukaże, zemrę ze strachu, zrozumiała.

Tak, z pewnością, gdy tylko ujrzy widmową, przejrzystą postać, wrzaśnie i zemdleje. Jest co prawda wyższym magiem, Świetlistą, panią na tutejszym zamku, bękartem samego Uzejela, protegowaną regenta, wychowanicą Pana Tajemnic, była więźniarką tej cholernej wyspy, którą zna lepiej niż wnętrze własnej torebki z kosmetykami, ale i tak wrzaśnie i zemdleje.

Nie ma dwóch zdań.

A jednak po to tu przybyła, kurczowo ściskając w dłoni kawałek dywanu Cafniela, choć po wielekroć przysięgała, że jej noga nigdy nie postanie na przeklętej ziemi wyspy.

Dla niej. Dla tej starej. Akne.

Zamknęła oczy, jeszcze raz dla pewności obróciła w palcach wymiętą szmatkę latającego

kobierca. W razie czego natychmiast ucieknie. To nie trwa przecież nawet ułamek sekundy. Wystarczy zawołać: „Moc!”. Takie proste. Takie kuszące.

Zamiast tego jednak niemal bezwiednie otworzyła usta i wyszeptowała imię anielicy.

- Akne.

Odpowiedzią była cisza.

- Akne.

Znowu nic. Zatem głośniej i pewniej:

- Akne!

Słaby wiatr tylko zaszemrał pośród suchych liści zwałonego drzewa.

Kroczyła więc przez krajobraz smutku i pustki, cały czas nawołując, ale nic nie mąciło śmiertelnej ciszy dawno zgasłej wyspy. Widocznie staruszka była za słaba, żeby przebić się przez opar mgły w międzyswiecie. Nie dysponowała mocą, nie była czarnoksiężnikiem, więc pozostawało jej wieczne dryfowanie wśród zamrożonego czasu, bez możliwości przeniknięcia, choćby duchem, do rzeczywistości Uniwersum. Nigdy nie spojrzeć na las? Na ruiny zamku? Na niebo i chmury? Na otaczający wyspę ocean? Nie móc z nikim porozmawiać, nikomu ukazać się pod postacią bladego widma? Cały czas tkwić w mlecznej bieli pustki? Na Jasność, to straszne! Zbyt straszne.

Wzdrygnęła się. Doskonale pamiętała własne uwięzienie i marną pociechę, jaką niosła rozmowa z bliskimi, przepływanie ponad puszcza, obserwowanie pierwszych słabych, bladych pąków, odradzania się zieleni, stad morskich ptaków, ryb połyskujących w morzu. Obywać się nawet bez tego?

Zadrżała znowu.

Nieszczęsna, nieszczęsna Akne.

Nie czuła już ulgi, że staruszka się nie ukazała, tylko bezbrzeżny smutek. Musi się dowiedzieć, kim była ta skrzydlata. Co się tu stało. Czemu Razjel przez tak długi czas utrzymywał, że nie ma sposobu, by wydobyć swą wychowanekę z niebytu, a potem nagle zdecydował się przeprowadzić rytuał.

Rytuał. Tak, to tam powinna teraz pójść. Na miejsce tego przeklętego rytuału.

Szła więc, a raczej brnęła, ponieważ tafla czarnej magii spowijająca ruiny zamku i ogrodu była jak grząskie błoto. Bagnisko wciągające w głąbię.

Rozbolała ją głowa, poczuła ucisk w sercu, strach i niepewność. Powinna jak najszybciej uciekać. Natychmiast. Już. Jednak szła dalej, a tylko mokry od potu kawałek starej szmatki, ścisnany kurczowo w drżących palcach, niósł odrobinę pociechy.

Z każdym krokiem narastało w niej przerażenie.

- Tu nic nie ma! Nic nie ma! - przekonywała się na głos.

Rzeczywiście. Na ziemi pozostały tylko długie smugi spalenizny. I smród magii. Destruktywnej, okrutnej, bezwzględnej, ciemniejszej niż dusza Antykreatora. Swąd śmierci i zniszczenia.

Bała się. Na Jasność, jakże się bała.

Dotarła jednak do wypalonego w glebie i kamieniu kręgu, ukłękła i wysunęła dłoń. Palce tak się trzęsły, jakby była stojącą nad grobem staruchą.

- Akne - szepnęła, jakby skrzydlata mogła jej dodać otuchy.

A potem dotknęła smugi cienia.

Krzyk.

Zapach krwi. Smak krwi. Ciemność i straszliwy blask czarnego ognia. Golem z mięsa, kroczący poprzez mrok. Ofiarne tusze tańczące ostatni dance macabre. I oczy. Tysiąc oczu roniących łzy na skrzydłach zamordowanej Boskiej Bestii. Szczyt okrucieństwa i zbrodni. Morderstwo. Ohydne morderstwo.

Oto był klucz, który otworzył drzwi jej więzienia.

Wizja nie trwała dłużej niż mgnienie.

Była zamazana, chaotyczna, złowroga. Obrazy, kształty, odczucia, wszystko mieszało się i plątało. Lecz niosło w sobie rozpacz i grozę.

Hija klęczała na skraju wypalonego kręgu, ukrywając twarz w dłoniach.

- Nie pamiętam - powtarzała z bólem. - Nie pamiętam!

Ale bardzo długo trwało, zanim znalazła w sobie tyle siły, żeby podnieść skrawek upuszczonego dywanu, ścisnąć go i wyszeptać: „Moc!”.

Ponieważ zrozumiała, że wkrótce sobie przypomni.

Rozdział VI

Nie było cię! - wrzasnął oskarżycielsko widmokot, wyskakując z sarkofagu. - Zostawiłeś mnie samego! Bez opieki, zmarznięty, głodny i...

- Nefer, moje słodkie futro, przypominam, że jesteś zjawą. Duchem. Nie czujesz zimna ani głodu, kolego.

Zwierzak fuknął z oburzeniem i wygiął przezroczyisty grzbiet.

- Nudziłem się! Oraz martwiłem. Papuaska główka utknęła na dobre pod szafą, widmoszczury rozwiewały mi się w łapkach, a ciebie nie było!

Asmodeusz westchnął. Zapowiadała się dłuższa rozmowa.

- Chorowałem - uciał. - Dostałem gorączki, leżałem w łóżku, więc nie mogłem przyjść wcześniej.

- Widzisz? Miałem powody się martwić. Przez ciebie. Co by się ze mną stało, gdybyś umarł, co? Kto by mi wyciągnął główkę spod szafy? Jesteś nieodpowiedzialnym egoistą i tyle! Kiedy się bierze do domu kota, trzeba mu zapewnić odpowiednie traktowanie i opiekę. Pomyślałeś o mnie w ogóle? Pewnie nie! Leżałeś sobie w łóżku, a ja tu siedziałem sam, we dnie i w nocy, nawet bez głupiej włączonej lampki, a widmoszczury drwiły sobie ze mnie i rozwiewały się w łapkach!

- Jak rany - jęknął Asmodeusz. - Po co ja cię w ogóle uczyłem mówić? Mam teraz na karku wyrzekającego zwierzaka, w dodatku martwego od trzech tysięcy lat.

- Wcale nie uczyłeś mnie mówić! - obraził się widmokot. - Wcale! Byłem ulubieńcem Pani Bast, to ona ofiarowała mi dar mowy w uznaniu moich cnót i zasług. Mieszkałem sobie w świątyni, piastowałem godność najwyższego kapłana, jadałem na alabastrze i co piątek o zmierzchu, leżąc na stercie poduszek wysmarowanych gęsim smalcem i perfumą z kocimiętki, udzielałem porad oraz nauk mieszkańcom Czarnego Kraju.

- Akurat! Mówić potrafią tylko zwierzęta urodzone w Głębi albo chowańcy czarowników, jeśli ci mają fantazję rzucić na swoich pupili czar słowa. Ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Przywieźli mi ciebie hurtowo, w kontenerze z mało znaczącym egipskim chłamem, który dostałem jako bonus do większej transakcji. Obok wypchanego sokoła, zasuszonego szakala i baraniej głowy znalazłem sarkofag, zawierający mumię kotka, w której kołatała się jeszcze malutka, słaba, wycieńczona duszyczka. Wyciągnąłem ją magicznie, bo chciałem mieć zabawne domowe stworzonko, a potem, na swoją udrękę, nauczyłem mówić. Oto twoja historia, panie najwyższy kapłan na poduszkach z tłuszczu. A piątek dopiero jutro, więc na razie obędę się bez twoich porad i nauk.

- Nieprawda! Same okropne kłamstwa i przeinaczenia! Zabawne zwierzątko? Odrażające łgarstwa! Byłem ukochanym, zaufanym kotem Pani Bast, a ona drapała mnie za uszami i zawsze pytała o różne bardzo mądre rzeczy!

Nefer maszerował za Zgniłym Chłopcem z wyprężonym bojowo ogonem, nastroszonymi

wąsami i miną pełną najwyższego oburzenia, gdy tymczasem Mod próbował odsłuchać równocześnie wiadomości z komórki i automatycznej sekretarki.

Nie zadzwoniła. Ani razu.

Oczywiście, że nie. Przecież wyraźnie zaznaczyła, że z diabłami się nie zadaje. Może gdyby był aniołem. Ale nie jest. Urodził się chrzanionym demonem, takim też umrze i niech to wszystko cholera!

- Au!

Przejryste, lecz całkiem ostre pazurki wbiły mu się w łydkę.

- ...Obywać się tyle czasu bez twego towarzystwa! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Nie! Jasne, że nie. Przestań labidzić, Nefer! Nie mam czasu na głupie fochy. Jestem bardzo zmęczony i bardzo zajęty!

Widmokot z wrażenia aż usiadł na ogonie.

- Wrzeszczysz na mnie - powiedział z niedowierzaniem. - Zostawiasz mnie samego, podajesz w wątpliwość moją świetlaną przeszłość, kłamiesz, a potem jeszcze na mnie wrzeszczysz! Nieprawdopodobne. Że też dożyłem...

- Nie dożyłeś. Jesteś martwy jak król Salomon i królowa Saby. Dość tego, przestań mi wreszcie przeszkadzać. Muszę natychmiast odnaleźć Freya lub tego jego albinotycznego kumpla, stróża kotów miejskich, albo Głębię wezmą diabli, rozumiesz? To bardzo ważne, a ty mi się płaczesz pod nogami i miauczysz jak jakieś kanałowe kocię z patologicznej rodziny.

Lśniące oczy kota zwięziły się tak, że wyglądały niczym dwa księżycy w nowiu. Pojawił się w nich jakiś niebezpieczny, przekorny błysk.

- Co to jest „kanałowe kocię”, Mod? Nie brzmi zbyt ładnie.

- Nefer, przestań, bo szlaban w sarkofagu!

- Skoro tak, to chhhh! - oznajmił Nefer i bardzo obrażony wlaź na półkę z grimaarami.

Zgniły Chłopiec popadł w smętną zadumę. Siedział przy biurku, bębniąc palcami o grzbiet kamiennego skarabeusza. Prawdę rzekłszy, nie miał pojęcia, co robić. Jeszcze w Otchłani zebrał swoich najlepszych agentów i rozpuścił po całej Ziemi w poszukiwaniu Freya, a potem zdecydował się wrócić do antykwariatu, żeby być bliżej wydarzeń i pomóc w poszukiwaniach.

A przy okazji sprawdzić, czy aby nie dzwoniła Blanka.

Tak. To też był ważny powód.

Ale teraz utknął. Jak znaleźć Anioła Zagłady w tak cholernie wielkim stogu siana jak cała Błękitna Planeta? Wiadomo, że niedawno ukrywał się tu, w tym mieście, goszcząc u tego całego kociego albinosa. Lecz miasto to nie plac zabaw do gry w chowanego. Frey mógł być w tej chwili wszędzie. Także w Królestwie albo daleko w Sferach Poza Czasem.

Asmodeusz znów westchnął.

- Przestań bębnić i spuszczać powietrze, bo nie mogę spać - prychnął Nefer zaczepnie.

Ale Zgniły Chłopiec nie był w nastroju na kłótnie. Czuł się wycieńczony i zatroskany.

Niemalże zgębiony. Blanka się nie odezwała. Lucyfer nie potrafił odwołać asasyna. Głębi groziło niebezpieczeństwo, zaś Ziemi zagłada. W tym wszystkim on sam musiał dotknąć umysłu Cienia, o mało nie stracił życia, a ukochana kobieta najwyraźniej miała go gdzieś. W danej sytuacji nie chciało mu się tracić energii na sprzeczki ze zjawą domowego pupila.

- Hej, naprawdę się martwisz, co? - Nefer wychylił wąsy znad krawędzi półki.

- Tak, kocie, naprawdę. Mam poważne problemy, jeśli cię to ucieszy.

- Znowu się robisz paskudny i wredny! Brzydko z twojej strony. Jestem twoim słodkim, lojalnym kiciusiem i doskonale wiesz, że to, co martwi cię, martwi też mnie. Jeśli powiem ci coś pocieszającego, wstaniesz i wyciągniesz spod szafy papuaską główkę? Nudzi mi się trochę.

- Dobrze, wyciągnę ci ten cholerny, skurczony czerep, bo nigdy nie dasz spokoju. Gdzie on utknał?

- Pod gablotą z ceramiką Halaf. Nie chcesz usłyszeć, co mam ci do powiedzenia?

Zgniły Chłopiec ukucnął, a potem położył się na podłodze i wsunął rękę pod ciężki, staroświecki mebel.

Jeśli teraz złamie się nóżka, moje ramię zamieni się w krwawy naleśnik, pomyślał, macając wśród kłapci kurzu i eterycznych futerek zaniepokojonych widmoszczurów. Przed oczami miał akurat wykrzywioną szyderczo gębę rzeźbionego maskarona, który wyglądał, jakby życzył urbi et orbi wszystkiego najgorszego. Szafa zatrzeszczała złowieszczo, a jedna z nóżek chyba wygięła się bardziej niż inne. Mod wsuwał rękę coraz głębiej, przekonany o rychłym nadejściu ery marmolady z mięsa i kości.

W końcu natrafił na kosmaty, szorstki kłęb włosów.

- Masz, oto twój papuaski ludożerca.

- Super! - Nefer zeskoczył wdzięcznie z półki i zaczął trącać łapką brudnoszary, skurczony łebek.

Pogonił za nim pod stół, przewrócił się na grzbiet, kopnął parę razy tylnymi nogami, a następnie usiadł na zdobyczy, szarpiąc kłaki pazurami. Znudził się po chwili, porzucił zabawkę, przeciągnął się i polizał ogon.

- Słuchaj, mówiłeś, że kto ci był potrzebny dla ocalenia Głębi? Stróż czego właściwie? Kosów? Koców? Kocmołuchów?

- Kotów, Nefer. Nie wygłupiaj się, dobrze pamiętasz.

- Taki chuderławy, biały jak twaróg, ze szczotką do podłogi zamiast włosów?

Mod poderwał się z miejsca.

- Mały, czemu nic nie gadasz, skoro go znasz?! Pół Królestwa oraz drugie tyle Otchłani szuka tego skrzydlatego!

- Przecież kazałeś mi siedzieć cicho i nie przeszkadzać - oznajmił kocur z satysfakcją. - Przy okazji, nie, wcale go nie znam.

- Któryś dnia cię zaduszę - obiecał szczerze Asmodeusz.

Kotek prychnął.

- Proszę bardzo. Rozwięję ci się w łapkach niczym widmoszczur. To prawda, nie znam go osobiście, ale bardzo dobrze kojarzę jego ulubioną widmokotkę. Sterchacia to nadzwyczaj powabna, słodka koteczka o cudownie szmaragdowych oczach. Adorowałem ją trochę, ale mnie odepchnęła. Ciężko to przeżyłem, wiesz?

- Nefer!

- Nie kłamie, ledwo się pozbierałem!

- W jaki sposób dotrzeć do tej kotki?

- Zwyczajnie. Po prostu do niej pójde. Nawet zaraz. Poznaliśmy się na tingu. Pewnie nie masz pojęcia, co to są tingi? No właśnie! Żenujący brak troski i zainteresowania. Koty z dzielnicy, wsi, okręgu, mają swoje tajne zebrania. W noc tingu nie jest ważne, czy jesteś domowym kocurkiem, czy piwnicznym łowcą. Zbieramy się razem, odprawiamy sądy, przyjmujemy do klanów, rozsądzamy spory i oddajemy cześć naszym opiekunom, Pani Bast oraz Palucowi, Panu Mrocznych Ścieżek. Widmokoty spotykają się także. We własnym gronie. A że zwykle jest ono skromne, znamy się dość dobrze. No więc co mam przekazać Sterchatce?

Mod gapił się na swojego zwierzaka z niedowierzaniem i zachwytem.

- Nefer - wykrzyknął. - Ależ z ciebie mały drań!

Kotek wyprężył grzbiet i uśmiechnął się całym pyszczkiem.

* * *

A więc to jest ten słynny Mop, myślisz sobie, kiedy otwierają się drzwi antykwariatu i chudy, biały skrzydlaty niechętnie wsuwa się do środka.

Zatrzymuje się tuż za progiem, z dłonią wciąż zaciśniętą na klamce, patrzy spode łba, nieufnie i czujnie. Nie wygląda na żadnego zbira ani twardego faceta. Ot, zwykły niebieski ptak w średnim wieku, z bagażem przykrych doświadczeń i bolesnych rozczarowań.

Anioł stróż kotów miejskich. Dno, powiedziałbyś jeszcze niedawno.

A teraz patrzcie. Koleś, od którego może zależeć los Uniwersum. Chce ci się śmiać, takie to ironiczne, ale wolisz zachować powagę, bo jeszcze weźmie to do siebie i się obrazi.

Szara, przezroczysta kotka wychyla się zza jego nogawki. Nefer już pędzi i przyjaźnie trąca ją noskiem, a potem uprzejmie ociera się powietrzem, które zajmuje, o nogawkę albinosa.

- Wszystko prawdziwe - odzywa się twój gość z niechętnym zdumieniem. - Tyle magii, tyle mocy władowane w ten lokal tylko po to, żeby widziały go też dzieci Adama. Musisz być tam u siebie niezłą szychą, Głębianinie.

Patrzysz na jego zdumiewające łachmany, przypominające niedokładnie rozwinięty całun Łazarza, a potem dyskretnie zerkasz na swój elegancki garniak i starasz się serdecznie

uśmiechnąć.

- Szycha? Pewnie niejeden by tak powiedział. Nie znasz mnie?

Skrzydlaty krzywi się z niechęcią.

- Nie. I niech tak zostanie. U nas, w Niskich Niebach, nie kumplujemy się z Głębianami. Nie to, co w Wysokich, gdzie stare obyczaje, zdaje się, nieco zwietrzały.

Zabawny jest z tą programową niechęcią. Przecież to tylko zwykły niebieski ptak, śmieć z Królestwa. Myśli, że ktokolwiek będzie się przejmować tym, co uważa za słuszne lub niewłaściwe? Skąd się biorą tacy śmieszni, napuszeni skrzydlaci? Spod mokrego kamienia? Rozkładasz pojednawczo ręce.

- Tu jest Ziemia, bracie. Kolebka wolności. Nieważne, po której stronie stoisz, tylko jakie są twoje intencje.

Stoszy się jak zaniepokojony kot.

- Intencje? Chcesz mi wmówić, że wyższy Mroczny może działać w dobrej wierze?

- Jasne, jak najlepszej. Dobra, powiem wprost. Mam coś do Freya. Dosłownie dwa zdania. Bardzo mu się ta wiadomość przyda, naprawdę.

Zaskoczony, mruga oczami.

- Freya?

Ups, chyba sprzedałeś cudzy sekret. Trudno, uśmiechaj się i brnij dalej. Stało się.

- Wysokiego, czarnowłosego Świetlistego z bliznami na twarzy i dłoniach. Mieszkał u ciebie, zdaje się?

- Lahatiel? O niego ci chodzi?

- Jasne. Oczywiście, że o Lahatiela - gładko łykasz kłamstwo. - Ma wytatuowaną na policzku salamandrę. Przekaż mu, proszę, że Nagietek wysłał przeciwko niemu Tego, Który Jest Omegą. Zapamiętasz? To bardzo ważne. Twojemu przyjacielowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Być może śmiertelne. Musisz go ostrzec. To nie łągarstwo ani pułapka. Jestem po jego stronie. Po prostu ktoś bardzo potężny będzie wkrótce nastawał na jego życie. Jeśli zechce się spotkać z antykwariuszem, niech przyjdzie tutaj, obojętnie kiedy i o jakiej porze. Powtórz, dobrze?

Jasne, blade oczy Mopa robią się ciemne z lęku. Kiwa głową i posłusznie recytuje.

- Nagietek wysłał Tego, Który Jest Omegą. W co wy wszyscy jesteście wplątani?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, przyjacielu - mówisz szczerze. - Lepiej, żebyś nie wiedział!

* * *

Blanka Krammer siedzi nad stołem z narzędziami w dłoniach, ale robota jej nie idzie. Jest smutna. Smutna i rozbita. Dokładnie tak, jak może być tylko zakochana kobieta, której wymarzony facet okazał się draniem, kłamcą i diablem w dodatku.

Diablem. Boże, co za idiotyzm!

Sama nie wie, czy w to w ogóle wierzy. Lecz przecież widziała coś tamtego dnia. Coś przerażającego i nieludzkiego. Istota, w jaką zmienił się Saturnin! Wyglądał niby jak człowiek, ale... No właśnie. To cholerne „ale”. I tamten drugi. Tamto... coś? Stwór. Zjawa. Miał czerwone oczy. Nie, nie czerwone. Płonące. I skrzydła. Prawdziwe. Nie doklejone czy przymocowane. Ogromne, nietoperze skrzydła, na których z pewnością da się latać.

Chyba zwariowała. A może podał jej podstępnie jakiś narkotyk? Słyszała o koleśku, któremu dziewczyna podała z zemsty wywar na halucynogennych grzybach, wmawiając, że to rosół. Nigdy nie doszedł do siebie. Skończył w psychiatryku. No tak, przecież raczył ją tymi wystawnymi kolacjami. Godnymi królowej.

Uśmiecha się niewesoło.

Mógł coś dolać albo dosypać? Pewnie, że mógł. Tylko że Saturnin taki nie jest. Nie jest i już. Kochał ją. Kochał jak nikt przedtem na świecie. I wciąż dzwoni.

Nie dalej jak rano skasowała dwadzieścia trzy wiadomości od niego.

Skasowała. Słodkie, smutne, pełne namiętności słowa od diabła.

„Sympathy for the Devil”. Tyle że życie to nie piosenka Stonesów.

Włączyłaby telewizor, ale tam od wczoraj bez przerwy gadają o nadciągającym huraganie. Że idzie od morza, że to ogromna, nieokiełznana potęga, zupełnie niespotykana na tej szerokości geograficznej, w tym klimacie i na tym kontynencie. Jutro uderzy w miasto. Huragan. Ni mniej, ni więcej, tylko cholerne tornado. Jakby jego tu jeszcze brakowało.

Huragany, diabły i niekończące się przepowiednie o końcu świata. Wściekli się w mediach z tym końcem. Jutrzejsza burza ma być zwiastunem nadchodzącej zagłady. Dziś wichura, a następnie kosmiczna katastrofa. Zmiana biegunów magnetycznych Ziemi. Asteroida. Wytracona z orbity kometa, która już przemierza lodową pustkę zera absolutnego, furkocząc złotym ogonem, żeby rąbnąć prosto w trzecią planetę od Słońca i przemienić ją w kupę gruzu. Ma zbrodniczy zamiar zapuścić się akurat na peryferie galaktyki i trafić prosto w biedną, starą Ziemię. Bo tak sobie kiedyś ubrdali starożytni Majowie. Bardzo uprzejma kometa. Trafi dokładnie na koniec ich kalendarza. Czyli za chwilę dosłownie. Za parę miesięcy. Nawet Bożego Narodzenia nie będzie. Pech.

Lubi święta. Ale te nie zapowiadają się zbyt sympatycznie. Bez prezentów od diabła i dla diabła oraz kolęd śpiewanych tym jego ładnym, mocnym głosem. Ciekawe, czy demony śpiewają kolędy?

Nagle telefon odzywa się przeraźliwym głosem marcowego kocura. Przyszła kolejna wiadomość.

Blanka sięga po komórkę i kasuje bez czytania.

* * *

Razjel kiwa się nad misą z alchemicznym złotem. Oczy mu się zamykają ze zmęczenia.

Uciska kciukiem kąciki i przeciera powieki.

Oślepnę od tego cholerstwa, myśli z niechęcią.

I właśnie w tej samej chwili, gdy ma odstawić naczynie, na lśniącej tafli pojawia się obraz. Wyraźny, czysty i pewny.

- O, do czorta! - krzyczy Pan Tajemnic i chwyta za Oko Dnia. - Gabriel! Znalazłem go! Apolyon wali na Ziemię! Prosto do kryjówki Freya! Nie, nie da się już nic zrobić! Jest piekielnie blisko. Zaraz tam będzie! Tak, oczywiście, że schodzimy. Za moment się u ciebie zjawię, tylko zabiorę trochę sprzętu! Módl się, jeśli potrafisz, Dżibril. To wygląda diabelnie poważnie!

* * *

Lahatiel słucha tych bzdur o Nagietkach i Omegach i twarz mu się ściąga. Oczy robią się czarne i jakieś straszne. Kiedy się odzywa, głos ma bardziej ochryply niż zwykle.

- Hariel, pędź do Śmietniska i każ wszystkim ukryć się głęboko w piwnicach. Niech siedzą w domu i nie wyściubiają nosa. Wszystkie drzwi czy grodzie mają być szczelnie zamknięte. Zabierz koty w bezpieczne miejsce, najlepiej wyprowadź je z miasta. Ostrzeż wszystkie, te piwniczne i domowe też. Nie zapomnij o Małej i Zyziu. Upiory czy nie, też mogą oberwać. Robi się nieprzyjemnie.

Już ma się odwrócić i odejść, gdy łapiasz go za rękaw. Byłbyś wdzięczny, gdyby ktoś wreszcie raczył ci coś wytłumaczyć. Tak dla odmiany, na przykład.

- Słuchaj, co tu się, do licha, dzieje? Mam wystraszyć na śmierć przyjaciół, bo pomarańczowy kwiatek wypuścił gdzieś grecką literę? A może zgubił zegarek? Drogi, bo drogi, ale to tylko tarcza na bransoletce. Po co taka panika? Chłopie, to bredzenie wariata! Ten Głębianin wyglądał, jakby mu brakowało wszystkich w domu.

Nie słucha cię. Wcale nie słucha. Patrzy gdzieś w dal, fosforyczne, kocie oczy są jakby nieprzytomne.

- Zaprowadź mnie do antykwariusza. Albo nie, lepiej po prostu daj adres, a sam schowaj się naprawdę daleko stąd. Najlepiej poza miastem. Może zdążę się czegoś dowiedzieć, zanim ten sukinsyn nadleci.

Cierpliwość ci nieco siada.

- Lahatiel, bój się Jasności, bracie! Jaki znów sukinsyn?!

Wreszcie na ciebie patrzy, ale to trochę tak, jakbyś gapił się w lufę dwururki. Przełykasz ślinę i nie jesteś już pewien, czy naprawdę chcesz wiedzieć.

- Wicher, Hariel. Cholerny huragan.

- Wiatr? - powtarzasz głupio, ale nic innego nie przychodzi ci do głowy.

Uśmiecha się tym paskudnym grymasem drapieżcy.

- Właśnie. Pieprzony wicher zmian.

Razjel wpadł do prywatnych komnat regenta dokładnie w chwili, gdy Gabriel i Rafał porywali się z krzesel. Książę Magów ścisnął w dłoni spory kawałek latającego dywanu.

- Gotów? - spytał Pana Objawień.

Dzibril skinął głową.

- Tak. Możemy ruszać.

- Idę z wami! - zawołał Rafael, poprawiając przewieszoną przez ramię torbę z medykamentami.

Spojrzeni na niego ze zdziwieniem. Wcale nie mieli ochoty, żeby płatał im się pod nogami w czasie akcji.

- Lepiej nie. Tam będzie niebezpiecznie, a twoja moc na nic się nie zda Daimonowi - stwierdził autorytatywnie Razjel.

Ale Archanioł Uzdrawień nie zamierzał ustąpić. Wyciągnął z kieszeni swój skrawek dywanu i z miną pełną determinacji pokazał przyjaciołom.

- Nic mnie nie obchodzi wasze zdanie, chłopaki. Muszę lecieć i już!

Gabriel ruchem dłoni uciszył protest Pana Tajemnic.

- Rafał - powiedział spokojnie. - Apolyon może tam zrobić prawdziwą jatkę. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to za stwór. My powinniśmy być teraz blisko Daimona. Może zdołamy mu pomóc. Wolałbym jednak, żeby w Królestwie został ktoś zaufany, rozumiesz? Michał oszalał, nie wiadomo, jak postąpi. A Razjel ma rację. Twoje umiejętności nie działają na Abaddona, bo jest martwy, a nie żywy, więc...

- Nic nie pojmujesz, Dżib! - zdenerwował się Rafael. - Wiem, że nie uratuję Freya. Ja muszę pomóc ludziom! Ludziom, regencie! I skrzydlatym pozostałym na Ziemi. To mój obowiązek. Sam stwierdziłeś, że Apolyon zrobi tam rzeźnię na kijach! Idę, nie powstrzymacie mnie. Jestem Aniołem Uzdrawień, opiekunem ludzkości. Nie mógłbym spojrzeć w lustro, gdybym tu został i nic dla nich nie zrobił!

- Dżib! - syknął wymownie Razjel i postukał w nadgarstek, jakby to była tarcza zegarka.

- Dobra, schodzimy wszyscy! - zdecydował Gabriel.

Unieśli w górę skrawki dywanu i chórem zawołali:

- Moc!

* * *

- Ładny lokal. Stylowy. Mnóstwo zabawek z twojego dzieciństwa, co? Tym się teraz zajmujesz, Mod? Kolekcjonowaniem pięknych wspomnień? Trochę nostalgicznie, prawda?

Jakby słyszał małego Braksi. Szkoda, że się nie poznali. Mogliby zostać przyjaciółmi na zabój. Pasują do siebie.

- Nieźle wyglądasz jak na trupa - mówi Asmodeusz.

- Ty też, jak na człowieka - odpowiada Daimon.

Faktycznie, znów przypomina dawnego Anioła Zagłady. Ubrany na czarno, z włosami związanymi w krótki harcap, ogromny, smukły, z tym samym paskudnym błyskiem w źrenicach i krzywym uśmiechem drania.

Za nim stoi chudy, blady niczym kefir Hariel, który maskuje strach wyzieraający z oczu wysuniętą wyzywająco szczęką. Przywodzi na myśl odwrócony biały cień złowrogiej, czarnej sylwetki Abaddona.

Razem przypominają wielkie, groźne yang i malutkie, skurczone yin.

- Więc jak to wygląda, panie antykwariusz? Czemu Lampa miał fantazję sprowadzić mi na łeb tę zarazę? Co mu przyjdzie z mojej śmierci?

- Pragnę zauważyć, że jesteś tak samo martwy jak mój widmokot, przyjacielu. Poza tym to wcale nie Lampka go wypuścił, tylko Rudy we własnej osobie.

Daimon unosi brwi z udanym zdziwieniem.

- Dobrze. A ja, głupek, zawsze myślałem, że on słucha tylko władcy Pandemonium.

- Nagietek podpuścił Luca. Przykro mi. To się nie powinno zdarzyć. Gorzej, że nie ma żadnego sposobu, żeby odwołać rozkaz. Asasyn wypełni zadanie albo zginie.

- Jak miło z jego strony. Ambitny chłopak. Znaleźliście może jakieś jego słabe punkty? Upodobanie do muzyki organowej? Odsłonięte miejsce między łuskami pancerza? Duszę ukrytą w jajku, które jest w kaczcze pływającej w Jeziorze Płomieni? Cokolwiek, co może mi pomóc?

Zgniły Chłopiec rozkłada ręce bezradnym gestem.

- Przeczytałem wszystkie stare foliały i zwoje, w których jest choćby wzmianka o bydlaku. I nic. Naprawdę mi przykro, Daim.

Frey podchodzi do sterty koptyjskich gobelinów, rozwija ten przedstawiający zezowatego Gabriela z jedną nóżką mniej.

- Gustowny kilimek - mówi. - A Dżibril jaki podobny. Dobra, idę, bo wolę być daleko stąd, jak się zacznie zabawa. Nie chciałbym, żeby wichur uszkodził coś z tych twoich ślicznych drobiazgów, Mod.

Nie wiedzieć czemu, Asmodeusz czuje straszne wyrzuty sumienia. Gdyby był na miejscu, gdyby pilnował Lampki, nie doszłoby do tego. Niestety, za późno na żale. Ktoś słono zapłaci za jego niekompetencję, a tym kimś będzie akurat Frey.

Cóż za beznadziejna sprawa.

Apolyon go załatwi, myśli. Nie ma szansy. Daimon jest Aniołem Zagłady, a nie „kresem wypełnionym smutkiem”, czy jak to tam leciało. Apolyon to prastara, mroczna potęga. Szaleniec Boży. Moc spoza wszechświata.

A potem nagle przychodzi mu do głowy, że Frey już kiedyś walczył z podobną istotą. Kiedy stanął naprzeciw Antykreatora. I wygrał. Więc może jest odrobina światła w tym

tunelu.

- Słuchaj - mówi. - Nie tak dawno wkroczyłeś w Ciebie, a on cię nie pochłonał. Cofnął się przed tobą. Tak będzie i tym razem, zobaczysz.

Hariel nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Na jego twarzy pojawia się wyraz niedowierzania. Przygląda się podejrzliwie Tańczącemu na Zgliszczach z taką miną, jakby chciał o coś zapytać, ale milczy.

Abaddon uśmiecha się krzywo. Nie wygląda, jakby się bał, lecz jest spięty. Odkłada starannie złożony gobelin.

- Mała pociecha, Mod. Cholernie mała, wiesz?

Pierwszy, gwałtowny podmuch wiatru uderza w szyby antykwariatu.

- Czas na mnie - mówi Daimon.

Zgniły Chłopiec słyszy trzask zamykanych drzwi, choć w tej chwili jest w stanie myśleć tylko o Blance Krammer. Blance samotnej w swojej pracowni, w mieszkaniu, czy gdzie teraz przebywa, bezbronnej, niewiedzącej nic o zabójczej, złowrogiej istocie nadciągającej nad miasto na czele huraganu.

* * *

Już w szybę się wpatrz, już lepiej nie płacz, już w szybę się wpatrz, gdy powiem ci: „Patrz!”, bo Pan Apolyon właśnie leci tu!

Chyba nie będzie kołęd w tym roku. W każdym razie nie dla ciebie.

Stoisz i patrzysz, jak poprzez strumień sekund i atmosferę ziemską gna ku tobie przeznaczenie. Płyń na czele burzy. Oto czas zbiorów, przyjacielu. Dostaniesz to, co zasiałeś. Chaos i zniszczenie.

Huragan przychodzi z morza. Z głębokich lochów pałacu Pandemonium. Jakie to ironiczne. Nie spełnisz rozkazu Pana, nie podniesiesz Gwiazdy Zagłady nad ukochaną planetą Jasności, gdyż zabije cię najpotężniejsza, najbardziej niestabilna siła w Kosmosie, która przy okazji gotowa jest podpalić całe Uniwersum.

Może tak właśnie od początku stanowił Boski plan? Światłość wydała ci ten z pozoru dziwny nakaz po to, aby w konkluzji został uwolniony Apolyon, kres wszystkich rzeczy. Omega, nie Alfa. Kto wie? Pan przecież patrzy na przestrzeń i czas jak na piękny, gotowy przedmiot. Niewykluczone, że aktem ostatecznego zniszczenia po prostu wieńczy dzieło. Powstanie następny bibelot do kolekcji. Ziemia, od chwili stworzenia po moment zagłady. Krucha farfurka stworzona z przeszłości i zamrożonego czasu.

Nikt przecież nie pojmuje zamysłów i czynów Pana.

Niebo chmurzy się. Wiatr uderza natarczywymi palcami w szyby, bębni po dachach. Odległy grzmot brzmi jak odgłos śmiechu.

Nadciąga nieuchronne, opcja naznaczona smutkiem.

Aniele Zagłady! - mówi do ciebie burza. Szykuj się na śmierć!

* * *

Wicher się wzmagał. Ostre podmuchy szarpały drzewa, zrywały całe pęki liści i rozsypywały niczym powitalne konfetti. Konary trzeszczały, co chwila z hukiem spadała złamana gałąź. Wiatr, niczym pijany chuligan, tłukł wściekle w drzwi i okiennice, wkurzony, że nie chcą zaprosić go do środka. Alarmy samochodowe wyły z przerażenia, latarnie telepały się niczym w drgawkach strachu, szyldy i banery reklamowe dygotały, brzęcząc i stukając, jakby bały się, że zginą podarte niecierpliwymi dłońmi wichury. Ludzie kryli się w domach, pośpiesznie zatrzaskiwano rolety, ryglowano zamki.

Zbliżał się pan i władca huragan, wyraźnie w kiepskim nastroju. I miał ochotę poszaleć. O tak, zdecydowanie nadchodził, żeby zrobić w tym biednym mieście rozróbę, jakiej tu jeszcze nie widziano.

Dżinny, ifryty, skrzydlaci, demony oraz reszta niewidzialnego tałatajstwa także w panice zniknęła z ulic. Tyle że w odróżnieniu od ludzi dobrze wiedziała, przed kim umyka. Z północy, od strony morza, kroczył bowiem olbrzym owinięty w burzę. Okrywał się nawałnicą niczym szerokim płaszczem, a długie włosy, czerwone w blasku błyskawic, ciągnęły się za nim niby wichur. Jego gigantyczne ciało lśniło jak miedź. Rozbłyśki złota przebiegały po skórze, podobne ognistym iskrom. Szedł, otoczony przez posłuszny huragan, w samym sercu wypiętrzonych, skręconych na kształt monstrualnego leja trąby powietrznej sięgającej chyba samego Królestwa. Z lewej dłoni sywał na ziemię grad, z prawej potoki siekącego deszczu.

Apolyon. Ewentualność naznaczona smutkiem.

Daimon biegł przez opustoszały deptak w środku miasta, z oczami utkwionymi w chmury. Twarz wroga prześwitywała poprzez opar niczym fałszywe słońce.

Nie będzie łatwo, pomyślał rozpaczliwie Frey. Witaj, niebycie. Tym razem chyba zagoszczę u ciebie na dobre.

Nie miał miecza ani żadnej innej broni, lecz instynktownie wiedział, że oręż na nic by się tu zdał. Tak samo jak umiejętności wyniesione z ringów Stref Poza Czasem. Nie szykowała się żadna bijatyka, tylko starcie dwóch kosmicznych potęg. Tyle że wcale nie był na to gotowy.

Kątem oka dostrzegł jakąś skuloną, szarpaną wichurą postać, która z trudem przebijała się przez nieprzyjazne, rozszalałe powietrze. Wiatr starał się zerwać z niej jasny garnitur, oskalpować z włosów, czarnych niczym plama atramentu wokół bladej twarzy.

Asmodeusz.

A tuż za nim Hariel, kurczowo uczepiony latarni. Wyglądał jak kawał gazety, biała szmata okręcona przez huragan wokół słupa.

Na widok przyjaciół Daimon poczuł nagłą wściekłość pomieszana z lękiem.

Po cholere tu przysli? Przecie¿ wyra¿nie kazał im się ukryć! Do diabła, czemu nie posłuchali? Teraz będzie się musiał troszczyć także o ich bezpieczeństwo.

Odwrócił się z wysiłkiem, wyciągnął rękę w stronę Zgniłego Chłopca.

- Uciekajcie! - zawołał, starając się przekrzyczeć wycie wichru. - Nic tu po was! Słyszysz? Zmiatajcie! Ale już!

- Nie możesz walczyć tutaj! Nie w środku miasta! Jak to wytłumaczyć ludziom, na Mrok?!

Gdyby wiatr nie wciskał mu oddechu z powrotem do płuc, Abaddon roześmiałby się gorzko.

On mi nie daje wyboru, pomyślał. Nie widzisz, Mod? Rozmiażdzy mnie tam, gdzie będzie miał fantazję. Choćby na dziedzińcu chrzanionej katedry.

- Powiedz, że kręcą film katastroficzny! - zdołał krzyknąć, zanim kolejna z błyskawic nie rozplątała chmurnego nieba.

Olbrzym z deszczu, ognia i wichru zbliżał się nieubłagane.

Anioł Zagłady skulił się pod uderzeniem kolejnego potężnego podmuchu. Z trudem utrzymywał równowagę. Wicher niemal zwał go z nóg.

- Abaddonie! - odezwała się burza głosem gromu. - Wstań i walcz! Nadszedł czas, by tańczyć na zgliszczach!

Akurat, zrozumiał z goryczą Frey. Raczej potaćcować z kostuchą.

Nie czuł w sobie żadnej mocy sprawczej. Nie potrafił przejść w tryb bojowy ani przemienić się w Burzyciela Światów. Gdyby trzymał teraz w dłoni Gwiazdę Zagłady, broń milczałaby niczym zwykły oręż.

Pan opuścił swego wiernego sługę. Daimon był w tej chwili jedynie wyższym Świetlistym, zmuszonym do walki z potęgą nie z tego świata. Ale to przecie¿ znaczyło, że wciąż pozostawał mocarzem silniejszym niż jakikolwiek skrzydlaty. Niedysiejszym Rycerzem Miecza, Aniołem Zagłady. Abaddonem.

Witaj, smutku, pomyślał. Postaram się zgotować ci naprawdę godne przyjęcie. W końcu nikt nie spodziewa się żyć wiecznie.

Zatrzymał się pośrodku pasa¿u, zadarł głowę w górę i uśmiechnął się.

- Czy to dobry dzieñ, ¿eby umrzeć, Panie Omega?

Na ułamek sekundy zapadła ciemność, jakby oko cyklonu mrugnęło porozumiewawczo, a potem nastala cisza, zaskakująco głucha pośrodku ryku wichury. Burza wciąż szalała wokół, wrywając drzewa, przewracając samochody i zrywając wściekłymi podmuchami całe kawały dachów, ale obaj przeciwnicy stali naprzeciw siebie w plamie całkowitego spokoju. W martwym i pustym sercu rozwścieczonego huraganu.

- Doskonały - powiedział Apolyon.

Wyglądał teraz jak zwykły anioł, tyle że otulony w kokon ognia. Nawet najłżejszy podmuch nie poruszał długich, kasztanowych włosów. Złota twarz wydawała się pogodna i

nieruchoma. Z tym że nie miała w sobie nic z maski. Starożytny eon wydawał się po prostu rozluźniony i zadowolony. Jakby przyszedł na spotkanie towarzyskie. Jego gniew furkotał dokoła, siejąc burzę i gromy, lecz duch pozostawał w stanie niezmaconej równowagi, jakby wyzbyty wszelkich emocji.

Chyba że on wcale nie ma duszy, pomyślał Frey i poczuł niemiły dreszcz na plecach.

Czekał w napięciu na atak, ale Apolyon się nie poruszył. Roztaczał tylko nikły zapach ozonu. I uśmiechał się. Drań, cały czas się uśmiechał łagodnym, pobłażliwym uśmiechem godnym Buddy. Po złotej skórze ślizgały się strzępy płomieni.

Czas napinał się niczym źle naciągnięta struna, a oni stali naprzeciw siebie, podobni dwóm figurom w kościelnym zegarze, którego nikt nie nakręcił.

Daimon nerwowo przełykał ślinę. Czuł, że musi zaatakować pierwszy, choć jednocześnie wiedział, że w ten sposób popełni błąd. Spokój przeciwnika zaczął wytrącać go z równowagi.

Czego chcesz? - zastanawiał się usilnie. O co ci chodzi, złocisty bydlaku?

Apolyon wyglądał, jakby był pogrążony w jakimś transie czy medytacji. Iskry na jego ciele świeciły czerwono. Burza ponad ich głowami przybierała na sile.

Huragan zniszczy całe miasto! - pomyślał z rozpaczą Frey. Rany, na co ten drań czeka?

- Na chwilę, gdy Jasność zamknie oczy, Abaddonie. Na nastanie ciemności - powiedział najstarszy z eonów Pańskich i zaatakował.

* * *

Rafał, jaśniejący niczym gwiazda, biały w obłoku uzdrawiającej mocy, musiał używać całej swej siły, żeby walczyć z naporem wiatru. Archanioł Pański, jeden z najwyższych urzędników Królestwa, ulubieniec Jasności z trudem utrzymywał się na nogach. Był już tak wyczerpany, że obawiał się rychłej utraty przytomności. Zacisnął zęby i spróbował uspokoić oddech. Musi wypełnić posługę. Nie wolno mu się poddać. Światłość dała mu moc uzdrawiania nie po to, żeby ją marnował, siedząc w fotelu i zamartwiając się. Powinien być tu, w środku koszmaru, ratując, kogo się tylko da.

Bo to był koszmar. Straszny sen, z którego nie mógł się obudzić.

Centrum miasta powoli przeradzało się w gruzowisko. Dachówki z zerwanych dachów sypały się wszędzie niczym zabójcze, upiorne płatki diabelskich jabłoni. Wicher zdołał naruszyć lub częściowo zawalić niektóre słabsze budynki. Potłuczone szkło lśniło na chodnikach i jezdniach jak ostry, kanciasty grad. Odłamki szyb śmigły w powietrzu podobne lodowym szurikenom. Wściekły huragan ciskał poszarpanymi kawałkami blach, łamał latarnie, wyrwał z korzeniami drzewa. Zwalone na kupę, wywrócone samochody wyglądały jak zabawki krnąbrnego chłopca, który porzucił je z gniewem po przerwanej zabawie w rajd. Upadło kilka wiaduktów naziemnego metra. Zwalone pomniki dawnych bohaterów żałośnie padły na twarz przed nowym zwycięzcą, nawalnicą.

Ulicami lały się potoki wody. Wybijały studzienki, zalewając piwnice domów. Nurt niósł śmieci i błotnisty szlam. Śmierdziało wywaloną kanalizacją. Brakowało prądu, zerwane, zatopione kable miały się niby biblijne węże, sycząc błyskawicami wyładowań.

Rafał, kompletnie przemoczony, starając się osłaniać ramieniem twarz, szukał wśród gruzów rannych ludzi, skrzydlatych i nieskrzydlatych. Z coraz większym wysiłkiem odrzucał zgniecione auta, sterty cegieł i desek, złamane konary i kawały blach. Każda przerażona, poturbowana istota zostawała otulona leczniczym kokonem białego i złocistego światła, a następnie przeniesiona w bezpieczniejsze miejsce. Niewidzialni odpłacali błogosławieństwami lub podziękowaniami, pogrążeni w szoku i lęku ludzie nawet nie wiedzieli, że znajdują się w opiekuńczych ramionach archanioła, ale i oni nieco się uspokajali, nabierali sił i otuchy.

Tylko Rafał był już u kresu sił.

Ale tam, pod wywróconą kabiną ciężarówki, kulila się przecież jakaś kobieta z dzieckiem.

Pan Uzdrawień ruszył na pomoc, gdy nagle ujrzał, jak ogromny kawał falistej blachy odrywa się od dachu baraku i niczym gigantyczna, mordercza płaszczka naznaczona wesołymi plamami reklam hamburgerów płynie poprzez fale wichury prosto ku kryjówce matki i syna.

Rafał natychmiast skoczył, rozłożył skrzydła niczym ochronny parasol i w ostatniej chwili zdołał schwycić ostrą, kanciastą krawędź metalowej rai. Natychmiast spróbowała wyszarpnąć mu się z rąk, jak żywe i wściekłe stworzenie. Walczył z nią rozpaczliwie, czując, jak zadziory blachy kaleczą mu skórę. Jednak z całych sił trzymał upstrzony rysunkami Fast foodów, zabójczy latawiec, nie dopuszczając, żeby zwałił się z impetem na przerażonych ludzi.

Wtem z rozpaczą poczuł, jak blacha wyslizguje się z uścisku.

- Nie! - krzyknął z nagłą złością, a wtedy jakiś słaby głos z dołu zawołał, przekrzykując wiatr:

- Trzymam, skrzydlaty! Trzymam mocno! Razem, teraz!

Zmobilizował się do strasznego wysiłku i cisnął kawał metalu daleko w bok, tam gdzie nikomu nie zagrażał. Barwna płaszczka z brzękiem runęła na ziemię i znieruchomiła.

Zlany potem, umęczony archanioł spojrzał w twarz swego niespodziewanego pomocnika i ujrzał najbardziej szpetną demonicę, jaką widział w życiu. W dodatku całą umazaną szlamem, sadzą i krwią.

- Wiem, co robisz - powiedziała. - Znam się trochę na medycynie. Pomogę ci.

Skinął tylko głową. W tej chwili przyjąłby pomoc od samego Lucyfera.

- Glizda! Tutaj! - usłyszał za plecami.

Na stercie gruzu klęczał biały jak śmierć ptak niebieski, z dziwaczną fryzurą z czegoś, co przypominało bawełniane sznurki. Pochylał się nad nieprzytomnym aniołem stróżem.

Głębianka ze zdeformowaną twarzą natychmiast podbiegła ku rannemu, mocno kulejąc. Rafał, nie namyślając się dłużej, pośpieszył za nią.

Stróż wyglądał bardzo źle, obficie krwawił z rany na głowie, nogę miał wykręconą pod nieprawdopodobnym kątem. Demonica pośpiesznie zawiązywała mu na czole jakąś szmatę.

- Czekaj, ja spróbuję! - zawołał archanioł. - Bóg uzdrowia!

Trysnął snop leczniczego światła. W odpowiedzi niebo rozjarzyło się szyderczą błyskawicą i wybuchło śmiechem gromu.

* * *

To nie jest żaden cios ani snop światła, ani uderzenie gromu. To nie jest nawet moc, ani magiczna, ani nadprzyrodzona. Po prostu nagle znajdujesz się w powietrzu, pchnięty straszliwą siłą, a następnie walisz plecami w fasadę budynku, aż sypie się tynk. Zamroczony, osuwasz się na chodnik. Wydaje ci się, że pod żebrami, w miejscu, w które ugodził Apolion, masz dziurę olbrzymią jak nora smoka Chaosu. Z eleganckim, wysoko sklepionym wejściem i wyjściem wielkim niby jedna z bram Królestwa. A w środku powiewają twoje flaki okręcone dokoła połamanych szczątków kręgosłupa.

Próbujesz się pozbierać, ale nogi i ręce jakoś uporczywie odmawiają posłuszeństwa, a w płucach wyje i rzeźi ta sama burza, która szaleje wokół spokojnego niczym brązowy posąg, uśmiechniętego uprzejmie demona otulonego w ogień.

Nie jest dobrze, przychodzi ci do głowy. Wcale nie jest dobrze i nigdy jeszcze tak niedobrze nie było. Nawet podczas starcia z Antykreatorem. Szczerze mówiąc, to w ogóle nie ta liga. Ani trochę. Chyba nadszedł czas, żeby naprawdę powitać stan niebytu.

A on czeka, aż, gmerając w strugach błotnistej mazi jak nadepnięta pijawka, pozbierasz się i znów staniesz do tej tak zwanej walki. No czeka, drań, i chyba mało brakuje, żeby grzecznie podał ci pomocną dłoń. Nie rozumiesz go. Nie masz pojęcia, co robi ani o co mu chodzi. Nawet nie wiesz, w jaki sposób cię bije. Bo bije. Dotkliwie i mocno.

Znowu fruniesz. Pięknie szybujesz w powietrzu, żeby za mgnienie wieczności grzmotnąć o fasadę czegoś metalowego i kanciastego, tym razem prawym bokiem. A to kanciaste i boleśnie stalowe wbija ci się w środek, pomiędzy wręgi żeber, zaś żebra naprawdę nie mogą zrobić nic innego, tylko pęknąć. Przykro słyszeć ten trzask. Faktycznie przykro.

Znów się gramolisz, choć trzeba przyznać, że wolałbyś zostać tam, w mokrym szlamie, na dnie ulicy i ostatecznego upadku. A jednak się gramolisz, niesiony wielką, śmiałą, dumną żądzą walki Abaddona, byłego Rycerza Miecza, tylko po to, żeby choć raz, zanim zwalisz się na zawsze i zgaśniesz, choć raz dorwać tego złocistego myśliciela i trafić go w zadowoloną mordę.

Lecz nic z tego. Oczywiście nic z tego. On wyciąga tylko dłoń, jakby oganiał się od muchy. Od niechcenia. Pogodnie. Bo wszystko robi pogodnie, suczy syn.

Więc lecisz. Tym razem na głowę. To chyba była szyba, to, co tak ostro, złowrogo pękło. Choć może czaszka. Leżysz na bruku i nie potrafisz tego wykluczyć. Tak, czaszka oczywiście mogła się potłuc. Na drobne kawałki. Odłamki fałszywego lustra. Pył na wietrze.

Kolebie ci się w głowie, w ustach czujesz żelazisty smak krwi, nie ma już wcale kolorów, została tylko czerń i biel w otoczce fosforycznej zieleni.

I on.

Który sypie iskrami.

Który pochyla się nad tobą z twarzą pełną łaski i chwały.

Który żyje i króluje na tle nieba, przybrany w czerwoną, złudną aureolę włosów.

Który kroczy na czele burzy.

I ma się świetnie. Świetnie, bo nie zdołałeś go osiągnąć nawet jednym ciosem.

Zaciskasz zęby, choć wydaje ci się, że od tego popękają i wypadną, a potem wstajesz. Znów wstajesz, na chwiejnych nogach, których kości chyba przemieniły się w dym i chmurę bólu, żeby popłynąć przez kołyszący się wszechświat i zmacać go jeden raz. Chociaż jeden raz.

Teraz.

Blisko było. Tak żałośnie, rozpaczliwie, smutno i blisko. Nie, nie uchylił się, oczywiście. Nie musiał. Po prostu tchnął. Rozwarł usta, a strumień ognia i mocy, który z nich popłynął, porwał cię jak prąd strumienia suchy patyk i miotnął tobą daleko w tył. Na coś kamiennie twardego. Zabójczo zaostzonego. Coś, co masz właśnie wewnątrz klatki piersiowej, niestety.

Nazywają to, zdaje się, latarnią. Kawałkiem latarni, słupem czy jak tam wolicie. Duża część tego wystaje ci teraz z lewego boku. A reszta, obawiasz się, wciąż tkwi w chodniku.

Niedobrze.

Nie-do-brze.

Gaśnie i czerń, i biel, i jaskrawa zieleń, a wszystko zalewa ciemny niczym wino z Byblos szkarłat. Nie ma już barw. Została tylko połyskująca, sypiąca iskrami śmierć.

Apolyon.

Golem z ognia i ostatecznego kresu.

Pogodna, wyzbyta emocji nicłość.

Bez pragnień, bez porywów duszy, bez cierpienia, ale i bez radości.

Ewentualność naznaczona smutkiem.

Która właśnie w tej chwili cię zabija.

Uśmiechnąłbyś się z ironią, gdybyś nadal panował nad mięśniami twarzy. Bo rozumiesz już, czemu czas tańczenia na zgliszczach dobiegł końca. Dlaczego ciemność ma nieprzeniknioną twarz antycznej rzeźby, a Pan Omega medytuje, wpatrzony w dal.

Ponieważ pustka nie może być ani dobra, ani zła.

Ani jasna, ani mroczna.

Ani ważna, ani błaha.

Ani miłosierna, ani rozumna.

Tylko ostateczna.

Przepełniona całkowitą nicością.

Nijaka.

I dlatego to jest tak cholernie smutne.

Wtedy Apolyon znowu uderza, a ty wiesz, że nadchodzi koniec, lecz mimo to nie martwisz się. Bo póki Jasność sama nie zechce zamknąć oczu, Omega-nie-Alfa pozostanie tylko ewentualnością naznaczoną smutkiem.

* * *

- Widzisz ich gdzieś?! - Gabriel aż posiniał od krzyku.

- Nie! Ani śladu! Pewnie są w sercu nawałnicy, ale za nic tam nie dotrzemy! - Chudy, wysoki Razjel wyglądał jak strach na wróble w poszarpanym przez wichur odzieniu.

Z eleganckiego płaszcza zostały smętne strzępy, mokry warkocz furkotał w powietrzu niczym ogon złowróbnego, czarnego latawca.

Deszcz, o ile to możliwe, jeszcze przybrał na sile. Dżibril widział przyjaciela niewyraźnie i krzywo, jakby patrzył przez dymne szkło kiepskiej jakości. Księżę Magów stał na szeroko rozstawionych nogach, gestykulując zaciekle, jakby kłócił się z burzą. Niebo odpowiadało wściekłymi podmuchami grzmotu i sinymi zygzakami błyskawic. Wyładowania przypominały starożytne hieroglify, lecz regent był pewien, że wyrazy, które nawałnica wypisuje na burym tle chmur, z pewnością należą do tych niecenzuralnych.

- Dżib, nie gap się! Pomóż! - okrzyk Razjela wytrącił Pana Objawień z odrętwienia.

- W czym, na litość Pańską?

- Uciszej burzę! To osłabi Apolyona!

Gabriel miał ochotę gorzko się zaśmiać. Mokre włosy chłostały go po twarzy, z trudem utrzymywał równowagę, nasiąknięte, przemokłe skrzydła ciążyły niczym dwa worki zalanego wodą pierza. Uciszyć burzę? Dobrze, Raz. Naprawdę niezłe.

- Przeceniasz mnie! Znam się na magii jak Noe na skutnictwie!

Pan Tajemnic obrócił ku niemu wykrzywioną irytacją, zlaną deszczem twarz.

- Nie magią, skrzydlaty! Mocą wyższego Świetlistego!

Regent klepnąłby się w czoło, gdyby wiatr nie próbował wyłamać mu rąk ze stawów. Jasne! Trzeba wykorzystać dar panowania nad żywiołami Ziemi. Nie wpadł na to do tej pory chyba tylko dlatego, że nawałnica wywiała mu mózg.

Wzniósł do góry ramiona i natychmiast poczuł wściekły, pełen nienawiści opór burzy. Jakby próbował gołymi rękami okiełznać którąś z Boskich Bestii. Napał jednak mocniej, nieustępliwie, a oszalały ze złości wichur i dyluwialny deszcz musiały się lekko ugiąć pod naciskiem mocy archanioła.

To będzie ciężka noc, pomyślał, starając się zagarnąć w ramiona rozwścieczoną siłę natury i tak jak Razjel stanąć do walki z huraganem.

* * *

Blanka nigdy nie bała się burzy. Nie przerażały jej ani grzmoty, ani elektryczne fajerwerki błyskawic. Ale teraz blada, skulona, trzęsa się ze strachu pod kołdrą. Bo to nie była zwykła burza. Rany, na pewno nie. Oglądała kiedyś w wiadomościach migawki przedstawiające egzotyczny tajfun. Kilkumetrowe palmy przygięte do ziemi, połamane i zmotłozone niczym motelki do kurzu w rękach psotnego dziecka. Domy wyrwane z korzeniami fundamentów, ściany i dachy latające w powietrzu niczym osobliwe lotnie. Tak jak teraz.

To się przecież nie dzieje w Europie! Nie na północy! Tu jest cholernie spokojny klimat. Żadnych wulkanów, trzęsień ziemi albo, na Boga, nie wiadomo skąd wytrząśniętych tornad!

Piorun znów grzmotnął gdzieś okropnie blisko. Chyba nie w dach?! Nie, niemożliwe. Podobno nie słycać wtedy huku, a jej niemal popękały bębunki w uszach.

Naciągnęła kołdrę na głowę, jakby była małą dziewczynką. Nie obchodziło jej, że to głupie i infantylne. Nic nie obchodziło. Przecież i tak nikt nie zobaczy.

Bo jest tu sama. Całkiem sama.

Chociaż wolałaby, żeby obok znalazł się ten nieznośny, okropny Saturnin. Wariat. Niby-diabeł. Oszukaniec. Ten Saturnin, czy też Asmodeusz, wszystko jedno. Byle tylko był. Ale w mieszkaniu czaiła się jedynie zła, głucha pustka. Pustka samotnego strachu.

Blanka oddychała szybko i płytko pod ciepłymi falami kołdry. Nie miała pojęcia, że wcale nie jest sama, a wokół jej domu krąży umęczony, pracowity tłum.

Gdyby dysponowała teraz wzrokiem zdolnym oglądać rzeczy nadprzyrodzone i wyjrzała przypadkiem przez okno, zobaczyłaby niezliczone dżinny, mokre, udreżone, walczące z wiatrem i deszczem, w poszarpanych, nasiąkniętych wodą złocistozielonych barwach Zgniłego Chłopca, podtrzymujące balkony, gzymsy i attykę z amorkami, podpierające ściany, osłaniające okna i drzwi kamienicy, toczące szalony bój o utrzymanie w całości dachu i wszystkich kominów.

A na dole, na ulicy, ujrzałaby antykwariusza Saturnina Markolfa, po kolana w wodzie z wybitych studzienek, który ochryplym ze zmęczenia głosem, prośbami i groźbami zmusza swoje ifryty i dżinny do jeszcze większego wysiłku.

Lecz nie wyjrzała i tylko czasem wydawało jej się, że wichura zawodzi i płacze niemal ludzkim głosem, jakby się skarżyła.

* * *

Zrobiło się cicho. I bardzo spokojnie. Nie było nieba ani horyzontu, tylko opalizująca, świetlista szarość. Wszechobecny, mleczny opar. Ciepły, łagodny, lecz nieprzenikniony, niczym nadzwyczaj gęsta, przyjazna mgła. Chyba w czymś takim utknęła niegdyś Hija. Zamknięta w niebycie między światami. Ale to nie był ostateczny kres, tylko wąska, dostępna jedynie magom przestrzeń, dzieląca wymiary rzeczywistości.

Czy tak wygląda śmierć? Jak nieskończony międzyświat?

Powinien wiedzieć, do diabła. Umierał przecież wiele razy. Ale nie miał pojęcia.

Poruszył się ostrożnie i krzyknął ochryple z bólu. Zdecydowanie nie powinien próbować wstać. To był błąd. Głupi i naiwny. A mówią, że śmierć niesie wybawienie od cierpień. Niespodzianka, cholera.

Chyba że trafił do piekła. Osobliwego miejsca potępienia dla nieposłusznym i złych aniołów, jakie nie miało przecież prawa istnieć. Zaraz, ci ze skrzydlatych, którzy odeszli z błogosławieństwem Pana powinni znajdować wieczne schronienie na Błękitnych Łanach. Pozostali, nie dostąpiwszy łaski, mieli się do końca czasu błąkać między Ziemią i Królestwem jako niespokojne duchy, niewidzialni ani dla ludzi, ani istot nadprzyrodzonych. Nikt nawet słowem nie wspominał o przykrych doświadczeniach z mleczną mgłą.

Paskudna sprawa.

- Tylko z pewnego punktu widzenia - powiedział Apolion.

Pojawił się nagle z nicości, niby skrzydlaty objawiony oślicy Balaama. I pewnie nawet ona nie miała bardziej zdziwionej miny niż Daimon.

Więc to nie koniec? - pomyślał niechętnie. Po śmierci też zamierza spuszczać mi łomot? A to pięknie.

Tymczasem Omega stał spokojnie, owinięty skrzydłami niczym płaszczem i, oczywiście, uśmiechał się zagadkowo.

- Czemu się nie cieszysz, Abaddonie? Zwyciężyłeś!

- Co?

- Wygrałeś. Odniosłeś zwycięstwo. Pokonałeś mnie. To nie powód do radości?

Frey z niechęcią odwrócił wzrok.

Na kpiny się świrowi zbiera. Nie nauczyli go tam, w ostatecznej pustce, że to świństwo kopać leżącego?

- Nie rozumiesz, tak? Walczyłeś ze mną niczym Jakub ze Światłością, ale tak naprawdę niczego nie pojąłeś. Pozwól więc, że ci wytłumaczę.

Przykucnął obok Daimona i spojrzał mu prosto w twarz oczami pełnymi blasku i śmierci. Były tam wirujące galaktyki, płonące planety, eksplodujące słońca i jasność nie do pojęcia, i mrok pierwotnej nicości, i ostatni oddech tysięcy milionów istot, i czern nieskończonych grobów, a nad tym wszystkim gradową chmurą wisiały stada głodnych sępów niby strzępy podartych sztandarów.

On jest kompletnie szalony, zrozumiał nagle Anioł Zagłady. Bardziej szalony, niż

którykolwiek z nas ośmieliłby się przypuścić. Może i nosi w sobie ostateczną pustkę, ale tylko dlatego, że potrafi ją spowić w szczelny kokon zupełnego wariactwa. Oto tajemnica Omegi.

- Tak - zgodził się Apolyon. - W pewnym sensie. Widzisz, cokolwiek się stanie, śmierć w tym Uniwersum jest tylko częścią gry. Kiedy już skonacie, kimkolwiek tam jesteście, skrzydlatymi, ludźmi, demonami, duchami żywiołów czy inną hołotą, dokądś idziecie. Mam na myśli gdzieś dalej, w zaświaty. Zawsze coś na was czeka. Błękitne Łany, Raj, Pola Ogniste, wszystkie te Avalony, Edeny, Elizja, Wyspy Szczęśliwe, Hadesy, Nirwany czy Gehenny. W każdym razie coś. Kraina, w której, lepiej lub gorzej, dalej będziecie istnieć. Jako duch, dusza, cień, widmo, mara czy roztopiony w niebycie pierwiastek życia. Jak tam wypadnie. Niektórzy z was w to wierzą, inni, na przykład skrzydlaci, wiedzą na pewno. Nawet ci, którzy odrzucają wiarę w zaświaty i naiwnie sądzą, że po prostu znikną, obracając się w proch, nie negują, że świat nadal będzie trwał bez nich. Że coś pozostanie. Pamięć. Wspomnienia. Stare fotografie. Drzewo posadzone przed domem. Pula genów. Cokolwiek. Tymczasem ja jestem śmiercią ostateczną. Rozumiesz?

Zachichotał, jakby powiedział coś niesłychanie zabawnego. W jego strasznych oczach eksplodował wszechświat i rozpadł się na tysiące iskier.

Daimona przeszedł zimny dreszcz.

Tymczasem Apolyon pochylił się tak, że prawie muskał wargami ucho Freya.

- Powiem ci prawdę. A ty słuchaj, Aniele Zagłady, bo to duża rzecz. Tak duża, aż trudna do połknięcia. Za chwilę zdradzę ci tajemnicę Omegi. Bo cię lubię. Bo cię nienawidzę. Bo jesteś mi obojętny. Głęboko skrywany, praktycznie bluźnierczy sekret. Prawdę o tym, kim jestem. A ty będziesz musiał dalej z tym żyć. Słuchasz? Słuchasz uważnie? Nie mdlejesz ani nic z tych rzeczy? Dobrze. Widzisz, jestem kłęską. Porażką Jasności. Czymś w rodzaju osobistej, smutnej śmierci samego Pana. Czyż Światłość nie zawiera w sobie wszystkiego? Także ewentualności naznaczonej smutkiem? Rozumiesz, takiej, że się nie uda. Że plan przemieni się w katastrofę. Że coś nie pójdzie zgodnie z przewidywaniami. Kłapa. Koniec. Przegrana. Jestem końcem gry, Abaddonie. Z nakazu Jasności podlegam teoretycznie rozkazom władcy Pandemonium. Co za ironia, czyż nie? Ten, który się zbuntował, który zaciekle walczył z Panem, negocjował Jego decyzje i plany, domagał się ustąpienia z Białego Tronu, zgodnie z Jego wolą, być może, będzie kiedyś musiał przekazać mi ostateczny rozkaz. Oznaczający koniec Światłości, lecz równocześnie zagładę wszystkiego. Cóż za gorzkie zwycięstwo dla Pana Otchłani. Doczeka się tego, o co tak usilnie zabiegał, tylko po to, żeby w chwili triumfu zniknąć na zawsze. To niezwykle zabawne, prawda?

Daimon z trudem przełknął ślinę. Nie wierzył. Po prostu nie wierzył. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w twarz Apolyona, żeby przekonać się, że starożytny eon nie kłamie. Pustka nie jest zdolna do kłamstwa.

Freyowi zakręciło się w głowie. Chciał krzyknąć albo śmiać się jak wariat, albo uciec

gdzieś daleko. Jednak milczał. Mówił za to Omega. Natchniony, szalony i, niestety, wiarygodny. Złote iskry pełgały po jego miedzianej skórze, rdzawe włosy falowały niespokojnie wokół głowy, jakby były pełne elektrycznych węgorzy.

- Jestem zawsze i wszędzie. Przenikam wszechświat niczym sama Światłość. Obracam się nieustannie w kosmicznej pustce, buzuje w sercu czarnego ognia. Czekam. Może kiedyś nadejdzie chwila, gdy Pan mnie przywoła. Może podejmie decyzję. Może ze znużeniem i rozczarowaniem zechce zamknąć powieki. A wtedy koniec! Wielkie bum! Gra skończona. Jestem ostateczną możliwością, Abaddonie. Na wypadek gdyby Jasność postanowiła zgasnąć. A teraz słuchaj! Słuchaj najpilniej jak potrafisz. Bo oto wyjawię ci najlepsze. Jeden jedyny raz w dziejach Uniwersum pojawiła się istota zdolna mnie pokonać. Nie mogło być inaczej, skoro narodziła się tożsama z Jasnością. Raz w ciągu trwania czasu Syn pokonał ostateczną możliwość. Zgasił ją w sobie. Odrzucił. Nie poddał się pokusie. Ale i Jemu zajęło to trzy dni! Aż trzy dni, aniele. Nie potrafiłbyś bronić się przede mną nawet ułamka sekundy. Żadne stworzenie nie jest do tego zdolne. Jednym tchnieniem pochłonę miliony światów, jeśli mój czas nadejdzie. Ale ciebie nie potrafiłem zabić. Nie mogłem. Rozumiesz? Dociera do ciebie waga tego, co mówię?

- Nie - szepnął oszołomiony Daimon - Nie. Ja nic...

Apolyon zachnął się. Po raz pierwszy miedziana maska jego twarzy wykrzywiła się, poruszona nagłym uczuciem. Tyle że Frey nie był w stanie stwierdzić, co to za emocja. Gniew? Radość? Irytacja? Nie miał pojęcia.

Nawet Cię nigdy nie był tak obcy i straszny jak ta istota. Ostateczna możliwość. Groza.

Tymczasem tamten uspokoił się w mgnieniu oka. Patrzył na Abaddona żrenicami pełnymi zmierzchu. Schyłku. Krańca. Nie można było wytrzymać tego spojrzenia. Anioł odwrócił wzrok.

- Tańczący na Zgliszczach, nie mogę cię zabić. Próbowałem, a każda z tych prób unicestwiłaby miliony innych. Pokonałeś mnie. Pokonałeś Omegę. Dokonałeś niemożliwego. Ciesz się zatem, ponieważ otrzymałeś jawny znak. Twoje wątpliwości powinny zniknąć, skrzydlaty. Nie rozumiesz? Nadal? Nie w twojej mocy powstrzymać Ostateczność. Mówiłem, że może to zrobić jedna osoba w Kosmosie. Pan. Pan cię chroni, Abaddonie. A skoro to czyni, pragnie, abyś żył i wypełnił rozkaz. A może nie? Może rozkaz wcale nie pochodzi od Niego, a chce cię utrzymać przy życiu z całkiem innej przyczyny? Któż przeniknie Jego zamiary? Ja wiem jedno. Wygrałeś. Żegnaj więc, Aniele Zagłady. I módl się o to, żebyśmy nie spotkali się nigdy więcej. Odchodzę, choć będę o tobie pamiętał. Czekając samotny, choć do głębi pełen wszystkiego, będę pośród pustki i chaosu nieustannie szeptał twoje imię. Miano kłęski. Czuwaj, Abaddonie. Czuwaj nieprzerwanie! Ja umiem czekać.

Otoczył się ogniem niczym pochodnia, zabłysł cały, zagrzmiał wyładowaniami burzy i zniknął.

Daimon pozostał sam. W jednej chwili rozwiła się też srebrna mgła i Anioł Zagłady

spadł, boleśnie zderzwszy się z ziemią. Zdołał tylko stwierdzić, że wokół jest mokro, twardo i nieprzytomnie boleśnie. A potem zemdłał.

* * *

Skończyło się. Nie mogli uwierzyć, że naprawdę się skończyło. Chmury skłębiały się i lada chwila mogło pokazać się słońce, jakby nie rozumiało, że to wysoce nie na miejscu.

Miasto przypominało krajobraz po bitwie. Zniszczenia wyglądały na straszne, niemal zabójcze, ale Rafał wiedział, że wystarczy kilka dni pracy służb miejskich i wszystko wróci do względnego porządku. Wzburzona woda rwąca fiordami ulic już przecież opadała. Burza uszkodziła wiele dachów, powybiła szyby, wydusiła stare okiennice i rolety, nadszarpnęła niektóre budynki, jednak to wszystko da się jakoś naprawić.

Miasto przetrwało.

Większość rannych była już jako tako opatrzona, na ulice wyjechały karetki i zespoły medyczne. Strażacy, żołnierze, ratownicy i lekarze zaczęli powoli ogarniać cały ten chaos. Uzdrowicielska moc Rafaela uratowała niezliczoną ilość ludzi i nie ludzi, a wielu innym dodała sił i odwagi do walki z żywiołem.

Trzyosobowe, samozwańcze komando ratunkowe rodem z Królestwa i Głębi było jednak u kresu sił. Rafał siedział ciężko na zwalonym kawałku ściany, a Glizda i Hariel po prostu leżeli na mokrym gruzowisku, dysząc ciężko.

Archanioł spojrzał na bladą, wycieńczoną twarz demonicy, tak okropnie szpetną w nowym, ostrym blasku dnia nieprzesłoniętego wiekiem burzowych chmur, aż ścisnęło go pod sercem. W jednej chwili zrozumiał, co powinien zrobić, choć był tak wykończony, że nie umiał myśleć o niczym poza snem. Choćby i tu, na tej brudnej, mokrej ulicy.

Była Głębianką, ale co z tego? Już nie umiał patrzeć na to tak ostro jak dawniej. Wiele się zmieniło. Doprawdy wiele. Nigdy by nie przypuścił, że przyjdzie mu ratować ludzi z oddaną pomocą zwykłego niebieskiego ptaka i kalekiej mieszkanki Otchłani. Ale dobro pozostawało dobrem niezależnie od tego, kto je wyświadczał.

Od zawsze wierzył w moc miłosierdzia, wybaczenia i pojednania. Uchodził za najłagodniejszego i najbardziej prawego z archaniołów. Czy jednak nie poddawał się pysze, sądząc, że tylko Królestwo ma monopol na dobre uczynki? Gardził Głębianami i bał się ich. Może dlatego, że nie chciał bliżej poznać żadnego z nich. Poświęcenie Asmodeusza wstrząsnęło nim bardziej, niż chciał przyznać. A teraz ta biedna, prosta demonica pokazała mu, czym jest oddanie bez oczekiwania na nagrodę. Bo i co mogła za to otrzymać? Ryzykowała życiem i zdrowiem tylko po to, żeby nieść pomoc obcym istotom. Tak zwyczajnie, prosto. Aby się przydać. I nie dostała nic w zamian oprócz obrażeń i zmęczenia.

Spokój sumienia, odpowiedział sam sobie. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Radość płynącą z niesienia pomocy. Czy czegoś więcej można oczekiwać od prawego

poddanego Jasności? Czy wszyscy skrzydlaci podołaliby takiej próbie?

Wiedział, że nie.

Znów spojrzął w twarz Glizdy. Biedactwo. Była tak boleśnie brzydka. Czy to właściwe, żeby piękna dusza mieszkała w tak oszpeconym ciele? Do licha, czy nie powinien wykorzystywać swego daru zgodnie z wolą Jasności? Miłosierdzie i pojednanie. Bo to przecież Bóg uzdrawia, prawda?

Podjął decyzję. Powinien przynajmniej spróbować. Chociaż zapytać. Teraz.

Chciał się odezwać, ale tylko się rozkaszał. Gardło miał zdarte od krzyku, jakby ktoś przeciągnął je od wewnątrz pilnikiem.

- Glizda? - przemówił wreszcie głosem, którego mógłby pozazdrościć sam Daimon. - Tak się nazywasz, prawda?

- No. - Demonica nawet nie odemknęła powiek.

- Bardzo mi pomogłaś. Dziękuję. Bez ciebie i Hariela nie dałbym rady. Wasza pomoc wiele dla mnie znaczy, naprawdę. Zwłaszcza twoja. Jesteś z Głębi, a zachowałaś się lepiej i odważniej niż całe zastępy anielic.

- E tam!

Rafał poruszył się nerwowo. Czuł, że zaczyna tracić pewność siebie. To była trudna i delikatna sprawa. Ale postanowił chociaż przedstawić propozycję.

- Posłuchaj. Pewnie zauważyłaś, że jestem archaniołem. Ale nie tak światowym jak Razjel czy Gabriel. Rzadko opuszczam Królestwo, prawie nie bywam na Ziemi, ostatni raz na dłużej bawiłem tu bardzo dawno temu, gdy świat był jeszcze młody, towarzysząc w podróży chłopcu imieniem Tobiasz. Ale to były inne czasy. Całkiem inne. Mówią, że jestem staromodny, konserwatywny. To prawda. Wiele rzeczy, podobno zupełnie zwyczajnych dla innych Świetlistych, mnie szokuje, dziwi albo przeraża. Mam raczej tradycyjne poglądy. Nie znam wielu Głębian. Prawdę mówiąc, nieco się was obawiam. To chyba naturalne, prawda?

Urwał, uśmiechając się smutno. Glizda chyba wcale go nie słuchała. Leżała na gruzowisku, wciąż dysząc z wysiłku. Miała otwarte usta i zamknięte powieki.

Rafał stłumił westchnienie. Nikt nie obiecywał, że pójdzie łatwo.

- Dobrze, mniejsza o mnie. Chciałem tylko zaznaczyć, że nie znam się specjalnie na współczesnym świecie, zwłaszcza relacjach Królestwo - Głębia. Ale ostatnio wiele się zdarzyło. Uczestniczyłem w niezwykłych wydarzeniach i spostrzegłem, że na niektóre sprawy patrzyłem z tępym uporem głupca. Rozumiesz, jak ślepiec.

- Aha - mruknęła obojętnie.

Nie bardzo ją obeszło, co powiedział. Prawdę mówiąc, Hariela również nie.

Rafael nerwowo wyłamał palce. Trzeba było wreszcie przestać głądzić i przejść do sedna, ale nie miał pojęcia jak.

- Widzisz - ciągnął z trudem. - Wiele się zmieniło. Ja się zmieniłem. Bardzo. Myślę... to znaczy, przypuszczam, że mógłbym ci pomóc. Rozumiesz? Moją mocą. To znaczy nie moją,

ale daną mi od Pana. Bo to Jego wola realizuje się poprzez moje ręce. Tylko Jego. Widziałaś, jak to działa, prawda? Byłaś przez cały czas świadkiem, więc...

Podniósł wzrok i napotkał zdumione, pełne napięcia spojrzenie Hariela. Albinos uniósł się na łokciu i szarpnął demonicę za rękaw.

- Glizda, nie zasypiaj! Posłuchaj, co on mówi. Posłuchaj tylko!

Głębianka niechętnie odemknęła powieki i ziewnęła szeroko. Wyglądało to tak, jakby jej upiorna twarz postanowiła pęknąć wszcz.

- Coś tam o starych czasach, nie?

- Nie - szepnął Hariel. - Wcale nie, Glizda. Ten Świetlisty chce cię uleczyć. Rozumiesz? Naprawić ci twarz, i nogę, i skrzydła. Jak tamtym rannym. Tak? To właśnie powiedziałaś, prawda? Spróbujesz ją uzdrowić. Masz moc, żeby to zrobić. Oboje widzieliśmy! Słyszysz?! Glizda, słyszysz, co on mówi?! Pomoże ci!

Demonica usiadła gwałtownie. Wytrzeszczyła oczy, otwartymi ustami łykała powietrze, jak ryba, która wypadła z akwarium. Ale gdzieś na dnie źrenic zapaliły się dwa szaleńcze, jasne błyski, które płonęły niczym sama Jasność. Błędne ogniki nadziei.

- Jak... jak? - jąkała. - Niemożliwe!

- Możliwe - szepnął Rafał znacznie mniej pewnie. Teraz już nie był w stanie zaręczyć, że to dobry pomysł. - Do tej pory sądziłem, że moc uzdrawiania dotyczy wyłącznie ludzi i skrzydlatych. Że Głębianina spaliłaby na popiół. Ale musiałem zmienić zdanie. Niedawno, bardzo niedawno, uleczyłem pewnego Mrocznego bardzo wysokiego stanu. Umierał, więc regent kazał mi zaryzykować i... on wyzdrowiał. Ma się doskonale. Jest gdzieś tutaj, prawdopodobnie. On...

Hariel szarpnął się nerwowo za dredy.

- Zaraz, to znaczy, że to się wiąże z jakimś ryzykiem? Nie jest tak różowo, co?

- Nie - przyznał archanioł. - Do tej pory pomogłem tylko jednemu mieszkańcowi Otchłani. Był konający, ale w pełni odzyskał zdrowie. Nie wiem, co się stanie, gdy skieruję moc na Glizdę. Wierzę, że miłosierdzie Pana ją uleczy, bo miłość i dobro nie rozróżniają granic. Jednak jest Głębianką, więc nie mogę ręczyć, że nie tylko jej nie uzdrowię, ale nawet zabiję. Tak wygląda prawda. Wybaczcie, lecz nie mógłbym spokojnie żyć, gdybym nie przedstawił tej propozycji. Decyzja jednak należy do Glizdy i tylko ona może ją podjąć.

Demonica, blada jak całun, z trudem przełknęła ślinę.

- Mówisz, że możesz naprawić mój wygląd? Nogę? Kalekie skrzydła? Twarz? Sprawić, że miałabym normalną twarz?

Ostatnie słowo było ledwie słyszalne. Rafał zadrżał z żalu i współczucia, słysząc, ile w tym brzmiało bólu i nadziei. Skinął tylko w milczeniu głową.

- Ale może się nie udać, a wtedy umrę, tak?

- To niewykluczone.

Szalone błędne ogniki skuliły się i zgasły. Glizda opuściła ramiona, usta jej zadrżały.

- Więc nic z tego. Nie zaryzykuję.

Hariel aż podskoczył.

- Na litość Pańską, dlaczego?! Glizda, błagam, pomyśl! Przecież raz mu się udało! Zastanów się tylko. Ryzyko nie wydaje się duże. Proszę, przecież całe życie o tym marzyłaś! Żeby być zdrową. Zdrowa! Glizda, słyszysz, jak to brzmi! Nie bój się, będę przy tobie. Gdyby coś szło źle, odepchnę cię i sam wleżę w to światło. Przysięgam! Nie wolno ci zmarnować takiej okazji. Zacisnęła zęby.

- Nie. Nie chcę.

Albinos chwycił ją za ramiona, siłą obrócił ku sobie.

- O niego ci chodzi, tak? O Banię. Boisz się, że Bania zostanie sam, prawda?

Demonica nagle zaczęła się trząść, spod zamkniętych powiek popłynęły łzy.

- Tak nie wolno! Nie wolno! Nie można nikomu robić czegoś takiego! Dawać nadzieję, a potem... potem...

Rafał nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Do licha, nie o to mu przecież chodziło. Tymczasem Hariel nie wypuszczał przyjaciółki z objęć.

- Glizda, słuchaj. Słuchaj, proszę. Ja się nim zaopiekuję. Przysięgam. Na życie kotów przysięgam. No powiedz, czy jestem nieuważny, nieodpowiedzialny, lekkomyślny, leniwy? Czy źle się opiekuję kociętami? Czy kiedykolwiek zaniedbałem jakiś miot? Czy zapomniałem o najbiedniejszym, najsłabszym kociątku? To co, myślisz, że nie dam rady zająć się jednym małym Głębianinem? No już, nie rycz. Słyszysz, zrobię to, przysięgam. Ale i tak nie będzie potrzeby, rozumiesz? Wrócisz do niego, zdrowa i śliczna. Tak? Tak, Glizda?

- Nie wiem! Nie wiem...

Pan Uzdrawień delikatnie dotknął ramienia kociego anioła.

- Nie naciskaj na nią. W końcu tu chodzi o jej życie. Musi zdecydować sama.

Hariel odwrócił się lekko zirytowany.

- Właśnie, sama! Nie wolno jej ciągle myśleć o innych. Nigdy nie miała wyboru. Wszyscy zwalali jej na głowę własne kłopoty. Bania nawet nie jest jej rodzonym dzieckiem!

- Co nie znaczy, że mniej go kocha albo mniej się o niego troszczy.

- Tak. Pewnie. Przepraszam. Ja tylko...

- Przestańcie się kłócić nad moją głową! - krzyknęła. - Zostawcie mnie! Muszę pomyśleć.

Wyrwała się z ramion albinosa i odeszła w głąb zrujnowanej ulicy. Hariel miał smutną i zdetonowaną minę.

- Nic z tego. Jak zwykle. Znów się dla kogoś poświęci.

Rafał pozwolił sobie na westchnienie.

- Poświęcenie to wielka rzecz, przyjacielu. Nigdy nie powinno być bezwartościowe. Ale ja myślę, że nic nie jest przesądzone. Zobaczysz.

Koci anioł nie wyglądał na przekonanego.

Cholerny deszcz. Cholerne mokre błoto. Burza ucichła, ale centrum miasta wyglądało jak rozdeptana makieta.

Asmodeusz brnął ulicami, szukając Freya. Blanka przetrwała bezpiecznie, więc mógł spokojnie zostawić ją pod opieką dzinnów. Nawałnica odeszła, a to znaczyło jedno. Walka się skończyła. I ktoś ją zapewne wygrał. Pytanie kto.

Ważne pytanie.

Prawdopodobnie najważniejsze.

Zgniły Chłopiec wolałby, żeby to był Daimon. Nawet jeśli oznaczało to wyrok dla Ziemi. Trudno, potem coś się wymyśli. W każdym razie to coś, ten stwór naznaczony smutkiem czy innymi emocjami nie powinien zwyciężyć. Tego był naprawdę pewien.

Rozglądał się uważnie, szukając Anioła Zagłady.

Albo jego ciała, pomyślał ponuro.

Zaraz, tam, obok złamanej latarni, leży coś dużego i czarnego. Wygląda jak wielka, przetrącona wrona. Te stalowe skrzydła. Na Mrok!

- Daimon! - krzyknął ile sił w płucach.

Ale ciemny kształt nie poruszył się ani nie odpowiedział. Asmodeusz puścił się biegiem, kulejąc mocno.

- Frey! Daim! Żyjesz? Co z tobą?

Przyklęknął przy nieruchomym ciele przyjaciela, próbował obrócić go twarzą ku sobie. Abaddon jęknął głucho.

Przynajmniej żyje, ucieszył się Zgniły Chłopiec. Rękami umazanymi błotem i krwią podtrzymał głowę skrzydlatego. Daimon wyglądał jak nieboszczyk. Zapadnięte, podsiniate oczy, policzki szare jak tynk, szerniałe usta.

Kiepsko z nim, stwierdził z troską demon.

- Hej, widzisz mnie? To ja, Mod. Trzymaj się, zaraz sprowadzę pomoc.

Abaddon rozchylił powieki.

- Nie! - wychrypiał.

Asmodeusz spojrzał na niego jak na wariata.

- Co „nie”?

- Nie... Razjel i Gabriel...

- Jasne, w porządku. Tylko twoja brygada. Ten biały mop i jego kumple. Może być? Tylko się nie denerwuj. Boję się, że za chwilę rozpadniesz się na kawałki.

- Ciekawe... też się... trochę obawiam. Miło... cię widzieć... stary.

- Ja też się dziwnie cieszę. Co z tamtym? Dorwałś go? Zginął?

Wargi anioła drgnęły, jakby próbował się uśmiechnąć lub skrzywić z bólu.

- Omega? Poszedł do diabła. Znaczy... do Pandemonium.

- Jasne! Fantastycznie. Wiedziałem, że dasz radę załatwić drania!

Daimon zakaszłał i wypluł nieco krwi.

- Rany, Mod. Nic nie wiesz. Ależ mi spuścił łomot!

Asmodeusz machnął ręką.

- Nieważne. Żyjesz, a ja zaraz sprowadzę moje dzinny. Zabiorą cię w bezpieczne miejsce i opatrzą. Ty się po prostu trzymaj i o nic nie kłopot. W porządku?

Daimon nie odpowiedział, tylko znów przymknął oczy.

* * *

- Wróciłam - oznajmiła Glizda.

Wciąż była bardzo blada, ale wydawała się spokojniejsza. Rafał i Hariel popatrzyli po sobie z napięciem. Koci anioł nieznacznie, ze smutkiem pokręcił głową.

- No i zdecydowałam. Nie gapcie się tak! To nie cyrk ani bijatyka. Widzicie, od dzieciaka taka jestem. Pokręcona. Kuleję, mam krzywe plecy, skrzydła całkiem do niczego. Tu nawet nie chodzi o tę okropną gębę. Przywykłam, trudno. Ale teraz jestem jeszcze całkiem młoda, a i tak trudno mi robić różne rzeczy. Coraz trudniej. Wykrzywiam się coraz bardziej, jak milionletnia starucha, niedługo musiałabym chodzić o lasce. Może wkrótce w ogóle przestanę przestawiać giry. Hariel, proszę, nie wytrzeszczaj tak oczu, jakbyś miał zacząć ryczeć. Wiem, co mówię. Nie skarżyłam się nigdy, bo po co? Kto miałby mi coś na to poradzić? Ale teraz jest inaczej. Mam wybór. I szansę. Widzicie, problem w tym, że jeśli nie spróbuję, mogę wcale nie dać rady wychować Bani. Jak sobie poradzimy? Małe dziecko i niechodząca kaleka. Ładny bal, co? Więc zdecydowałam. Zaryzykuję. Ale tylko wtedy, jeśli Hariel przysięgnie, że zajmie się małym. Postanowiłam wam zaufać. Obydwu. I co wy na to?

Albinos wyciągnął do Glizdy drżące z emocji ręce, uściskał ją mocno.

- Młoda, przysięgam. W razie czego Bania będzie miał ze mną lepiej niż moje koty. No jak? Wierzysz mi? Prawda, że wierzysz? Ale nie myśl teraz o tym. Będzie dobrze, słyszysz? Na pewno!

Spróbowała się dzielnie uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko dziwny grymas.

- Ja o wszystkim muszę pomyśleć. Właśnie teraz. A ty jak czujesz? Dasz radę coś zrobić? Uda się?

Rafał z powagą skinął głową.

- Ja wierzę w Światłość. Ufam Jej. To nie ja cię uleczę, tylko Ona. Nigdy się nie zawiodłem, pokładając wiarę w Jej wyroki. Dla Jasności liczy się dobro, miłość, oddanie i miłosierdzie. Dlatego jestem niemal pewien, że odejdiesz stąd zdrowa.

Przygryzła wargę.

- No dobra, zaczynaj!

Rafał pochylił się ku niej, ścisnął za ramię.

- Naprawdę tego chcesz? Nie śpiesz się. Wsłuchaj się w siebie. I dopiero podejmij

decyzję. Czy jesteś gotowa przyjąć potęgę Jasności? Zaufać Jej?

Przygryzła wargę.

- Tak. Zrób to. W tej chwili.

- Dobrze - zgodził archanioł.

Wyciągnął przed siebie dłonie i cicho, lecz dobitnie powiedział:

- Bóg uzdrawia!

Światło buchnęło jak płomień z dyszy silnika odrzutowego. Rafael aż się zachwiał na nogach. Biały, oślepiający blask uderzył w demonicę. Krzyknęła. Fala światłości zamknęła się nad nią, ogarnęła ogromnym, strzelającym w niebo słupem najbielszego lśnienia.

Hariel i Rafał aż się odruchowo cofnęli, mrużąc ślepe od blasku oczy. A gdzieś tam, pośród olbrzymiego wrzeciona pałającej bieli, niewidoczna, zamknięta, lewitowała Glizda.

Jasności, pomyślał archanioł z nagłym lękiem. Nie spał jej! Błagam, nie spał!

Ale potężna struga światła nie gasła. Przeciwnie, jakby się wzmagala. Teraz już Rafała ogarnęło prawdziwe przerażenie. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem płynęła przez jego ręce taka ilość mocy.

Jasność objawiła swą potęgę. Nie wiadomo tylko, czy była to siła gniewna, czy dobrotliwa.

Gdy zgasła nagle, obaj skrzydlaci mrugali, zupełnie oślepieni. Przed oczami wirowały im czarne i czerwone płatki.

A na ziemi, na zabłoconym gruzowisku, leżało nieruchome ciało.

- Nie! - krzyknął Hariel i rzucił się ku Gliździe.

Panie, tylko nie to! Nie to! - jęknął w duchu Rafał.

Koci anioł już unosił wątlą, wiotką postać, obejmował i tulił w ramionach. Chyba płakał.

Rafał poczuł, że sam wolałby umrzeć. Nie śmiał się zbliżyć.

Masz swoje dobro, swój miłosierny uczynek, pomyślał z goryczą. Widzisz, jak się przysłużyłeś jasnej stronie? Chyba już lepiej nie można, żałosny głupku!

Nigdy jeszcze ciężar winy nie wydawał mu się tak przytłaczający. Chciał się zapaść w błoto i gruz, przestać istnieć, zamienić się w gada, wyć i szlochać.

Nie udało się. Nie mogło się udać. A on, idiota, tak się pysznił, tak ufał. Jest wszystkiemu winien. Winien tej śmierci. Bezrozumny kretyn. Morderca. Mroczni pozostaną Mrocznymi, a skrzydlaci poddanymi Pana. Tak musi być, tak było od wieków. To właściwy podział, ustanowiony przez Jasność. Kim, u diabła, był, że pragnął to zmienić? Zadufanym w sobie pyszałkiem. Idiota. Świętym od piętnastu boleści. A teraz może sobie tylko skoczyć z Siódmego Nieba na ten głupi łeb, wprost na bruk Limbo.

Lecz wtedy Głębianka słabo poruszyła skrzydłami.

Żyje! - zrozumiał archanioł w przyływie szalonej radości. Dzięki ci, Panie! Niewysłowione dzięki!

Podbiegł i zobaczył. A potem osunął się na kolana.

Glizda, blada i oszołomiona, macała się po twarzy. Hariel próbował pomóc jej wstać. Policzki miał mokre od łez. Odwróciła się, ukazując Panu Uzdrawień całkiem przeciętne, niezbyt urodziwe oblicze. Oczy wydawały się ogromne, nieprzytomne i zdumione.

- Czyja... - wyjąkała. - Czy...?

- Tak! - wykrzyknął stróż kotów. - Jesteś piękna! Glizda, jesteś piękna!

Nogi jej nie utrzymały i znów upadła na gruzowisko. Albinos miotał się nerwowo, przeszukując sterty śmieci.

- Masz! Masz, popatrz! - Wcisnął jej w dłoń odłamek brudnej, lustrzanej szyby.

- Nie - szepnęła słabo. - Nie teraz. Potem. Nie mogę.

Odrzuciła lusterko, lecz w tym samym momencie w srebrnej tafli kątem oka ujrzała przelotnie zamazane, blade odbicie. I natychmiast zemdląła.

Rafał i Hariel rzucili się ją cucić.

Rozdział VII

Obudziła się z dusznego, ciężkiego snu. Wokół, na podłodze i pościeli, walały się rozrzucone karty, różdżki, rytualne sztylety, lustra, kryształowe kule i mnóstwo innych magicznych przyborów. Posadzkę pokrywały skomplikowane pentakle i znaki. Z dwóch kadzielnic sączył się słodki, dławiący dym.

Był jak całe jej poprzednie życie. Cukierkowy, żłudny, mdlący i nieprawdziwy.

Bolała ją głowa. W ustach czuła posmak goryczy.

Bo już wiedziała.

Wiedziała, w jaki sposób i po co jej ukochany, zaufany wychowawca, nauczyciel i wzór, Razjel, Pan Tajemnic, sprowadził ją z niebytu. A nie była to tajemnica, którą naprawdę pragnęłyby odkryć.

Rozpłakałaby się, gdyby łyzy dawno nie wyparowały. Serce anielicy stało się nagle wyschłą sadzawką. Pustą niecką, pokrytą splekaną ziemią i szumowiną ze szlamu.

Podniosła się z łóżka, wbiła palce w gęstwę kobaltowych włosów.

Na Jasność, ależ była głupia i naiwna. Aż strach pomyśleć. Zmarnowała tyle lat na czczą zabawę i dziewczęce mrzonki. Ale przyszedł czas, by dorosnąć. Teraz musiała na nowo nauczyć się żyć. Tym razem naprawdę.

Jestem marionetką w rękach dwóch szalonych lalkarzy, zrozumiała z żalem. Śliczną, nakręcaną lalką. Zabawką. Podrzutkiem, który otrzymał nagle dwóch nieprawdopodobnych, zapatrzonych w siebie ojców. Oby nikogo więcej nie dosięgło takie przekleństwo w postaci najpotężniejszych, najbardziej wpływowych istot w Królestwie grających rolę opiekunów i stróżów.

A przecież ich kochała. I nie miała najmniejszych wątpliwości, że oni także darzą ją uczuciem. Prawdziwym i szczerym. Po prostu skrzydlaci nie nadają się na rodziców. A anielskie bękarty na dzieci i wychowanków.

Smutne. Smutne, samotne i ostateczne.

Westchnęła ciężko. Tak, powinna porozmawiać z Razjelem. Jak najszybciej, choć nie będzie to miła ani łatwa rozmowa. A potem musi pomyśleć o przyszłości. O tym, co potrafi i co mogłaby robić.

Sama. Nareszcie sama.

Smutna.

Samotna.

I wolna.

* * *

- A, witaj znowu, szlachetny centurionie. Że też tak szybko przyszło nam znów się

spotkać. Nie wiem tylko, czy dla ciebie to szczęście, czy pech!

Ja wiem, pomyślał ponuro Daimon. I nie mam żadnych wątpliwości.

Spojrzał na brązową, sękatą twarz starego leprechana, poznaczoną sinymi wybroczynami tatuaży, i doszedł do wniosku, że chyba wolałby znów zobaczyć nad sobą oblicze Apolyona.

Ale medyk uratował mu niedawno życie i zanosił się na to, że znów ma zamiar się za to zabrać. Powinien więc czuć choć śladową wdzięczność.

A przecież nie czuł.

Dziny Asmodeusza dobrze o niego zadbały, jednak na magicznej medycynie, zwłaszcza tak wyrafinowanej, żeby poskutkowała w wypadku Abaddona, znały się jak Mojżesz na orientacji w terenie. Hariel też nie umiał wiele, a sam Zgniły Chłopiec był lepszym hazardzistą niż lekarzem.

W sumie i tak wiele dla Daimona zrobił. Ukrył go przed archaniołami i znalazł mu schludne, bezpieczne lokum na Ziemi. A potem ściągnął tego cholernego karła całego upapranego w niebieskie spirale, z nieodłączną obstawą dwóch ogoniastych ślicznotek.

- Nie przejmuj się, o wojowniku światła. Tym razem nie jest tak źle jak poprzednio. Po prostu paskudnie wygląda. Lecz wkrótce staniesz na nogi, zapewniam.

- Kiedy wepchniesz mi do środka odpowiednią ilość błota i patyków?

Uśmiech na starczych wargach, suchych, splekanych niczym kora, wyglądał dużo drapieżniej niż groźne grymasy obu syczących wściekle banshee.

- Och, nie! Mylisz się, szlachetny centurionie! Tym razem najskuteczniej podziałają płonące kłaki z grzbietu dzika, truchło suszonej ropuchy i nieco rozartych z pokrzywą wilczych jagód. I to właśnie zamierzam wetknąć ci do środka, jeśli już pytasz.

Frey zdusił jęk i zacisnął powieki. Zapowiadał się długi, męczący dzień.

* * *

Kiedy jesteś regentem Królestwa i stajesz na skrzydłach, fikając nogami, żeby ogarnąć, utrzymać i opanować cały ten bałagan zwany Kosmosem, może niestety nadejść taki moment, gdy musisz wszystko przemyśleć od nowa. I wyciągnąć wnioski.

Gorzkie wnioski, bywa.

Trudne do przełknięcia.

Ponieważ istnieje możliwość, że od początku popełniałeś błędy. Mimo najlepszych chęci. A dobrymi chęciami to są wybrukowane ulice Głębi, jakbyś zapomniał. Całymi tonami najczystszych intencji.

Nadchodzi więc czas, gdy trzeba usiąść, pogрузić się w ponurych rozmyślaniach, a potem spróbować wszystko odkręcić.

Dla Gabriela ten czas właśnie nadszedł.

Regent Królestwa długo dumął w samotności, sącząc złocisty muszkat z południowych

stoków Edenu, aż fioletowy wieczór zamienił się w noc, a potem znów w błądliwy świt o barwie rozgniecionych malin. A potem mógł już tylko sięgnąć po Oko Dnia.

- Mod? - spytał.

Zaspany demon ziewnął.

- Oj, wcześniej się tam bierzecie do roboty w tym Niebie, Dżib. Chyba że tylko regent taki obowiązkowy.

- Obowiązek to moje drugie imię. Słuchaj, muszę porozmawiać z Freyem.

W fiołkowych oczach Zgniłego Chłopca zabłysł złośliwy ogień.

- No, rychło w czas. Tylko wiesz co? Tak mi się wydaje, że on wcale nie chce z tobą gadać. I raczej nie ma się czemu dziwić, nie?

Gabriel westchnął ze znużeniem.

- Tak, wiem. Powinienem wcześniej go wysłuchać, podyskutować, spróbować coś zrozumieć, a nie rzucać się i oskarżać, że zwariował. Kupę rzeczy powinienem zrobić inaczej. Może nawet inaczej się urodzić. W innym miejscu i czasie. Ale wyszło jak wyszło. Słuchaj, Mod. Przekaż mu coś ode mnie, dobra?

- No?

Dżibril umilkł na moment, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Chcę mu oddać miecz. Powiedz, że regent Królestwa pragnie oddać Abaddonowi bezprawnie zagrabioną Gwiazdę Zagłady. Powtórzysz?

- Rany! - stęknął Asmodeusz. - No, zaskoczyłeś mnie, chłopie. Tego się nie spodziewałem. Naprawdę. Tyle że on się nie czuje najlepiej. Apolion zrobił z niego pasztet z truflami. Oraz pewną ilością mchu, sierści dzika i zdechłych płazów, obawiam się.

- Co?

- Nic, nieważne. Powiem mu jeszcze dzisiaj. Czekaj na odpowiedź, Dżib. Ja bym doradzał nieco cierpliwości.

Uśmiechnął się krzywo.

- Dzięki, Mod. Śpij dobrze, nie przeszkadzaj sobie - powiedział Pan Objawień i rozłączył się.

A potem pewną ręką nalał sobie kolejny kieliszek muszkatu.

No i już.

Stało się.

Dokonało.

Mane, tekel, fares.

Teraz pozostawało tylko czekać. A to wcale nie wydawało się regentowi łatwe.

* * *

Chce oddać miecz. Chce dać ci znowu w ręce Gwiazdę Zagłady. Regent Królestwa. Twój

przyjaciel Gabriel. „Zagrabioną bezprawnie” - zdaje się, powiedział. A przedtem ścigał cię, truł czarną magią, okrzyknął szaleńcem, wykorzystał przeciw tobie swoją utraconą ukochaną, nasłał bezwzględnych szpiegów na twoich przyjaciół, zmusił do ucieczki z domu i tułaczki po Ziemi. Więc co mu się nagle stało? Nadszedł czas skruchy? Argumenty go przekonały? A może to kolejna pułapka?

Nie wiesz. I nie masz pojęcia, co zrobić.

Właściwie szkoda, że ten mistyczny asasyn cię nie zabił. Za którymś razem w końcu powinieś naprawdę zginąć. To nie fair, że ciągle wtrąca się do tego Jasność ze swymi dziwnymi planami. Omega powinien cię załatwić, wtedy przynajmniej nie miałbyś na sumieniu życia wszystkich twoich przyjaciół.

Bo zabijesz ich. Wiesz już, że to zrobisz. Wykonasz wyrok wydany na Ziemię. Posłuchasz rozkazu. Musisz. Nie masz innego wyjścia. Żywy czy martwy, zrobisz to, co nakazała Światłość. To nic, że potem prawdopodobnie odbierzesz sobie swoje nieważne, głupie nieżycie. To bez znaczenia. Zrozumiałeś, co musi się stać.

Zdradzisz ich.

Bo gdybyś się zbuntował, odmówił, odszedł, zdezerterował, zdradziłbyś Pana.

Który z takim pietyzmem i oddaniem budował cały wszechświat, projektując każdy najmniejszy kwiatek, każdego owada, liść, kwazar i mgławicę.

Który, będąc wszechwładnym i wszechpotężnym, pracował tak długo i usilnie, aż się zmęczył i musiał odpocząć.

Który, pełen smutku i miłości, przewidział ostateczną ewentualność, wziął pod uwagę możliwość poniesienia klęski.

Który puścił wszystko w ruch i pozwolił, aby zaistniały równocześnie przypadek i wolna wola.

Który jest jedynym światłem, jakie nie może zgasnąć.

Poświęcisz przyjaciół, bo inaczej musiałbyś zdradzić Jasność.

A tego nie potrafisz zrobić.

Po prostu nie potrafisz.

* * *

Daimon czuł się lepiej. Był obolały i słaby, ale jego stan się poprawiał. Dokładnie jak przewidział ten stary, paskudny leprechan. Doznał w walce wielu urazów, miał połamane żebra, zwichnięte ramię, mnóstwo stłuczeń i obrażeń, lecz żadna z ran nie była naprawdę poważna. W każdym razie nie dla Anioła Zagłady. Na szczęście okazało się, że ułamany trzon latarni przebił tylko skórę i mięsień, nie uszkadzając narządów.

- Za kilka dni będziesz chodził - oznajmił wytatuowany znachor, a Frey czuł, że to może być prawda.

Nieźła perspektywa, nawet za cenę sierści z dziczyzny wepchanej do flaków.

Zwłaszcza że otoczenie, w którym przebywał, choć bezpieczne i spokojne, nie sprzyjało ozdrowieńczym i pozytywnym myślom. Było na to ciut za spokojne i zbyt melancholijne. Otóż Asmodeusz umieścił rannego przyjaciela u swego zaufanego pasera, gнома imieniem Zetos, kolekcjonera i znawcy starożytności, który miał przytulne i niezbyt szeroko znane lokum w magazynach Muzeum Historii Naturalnej. Obszerne piwnice wypełniały wysokie pod sklepienie regały z czarnego drewna, nieprzyjemnie przypominające nisze grobowe. Zwłaszcza że były szczelnie wypchane imponującą kolekcją mumii.

Suche, schludne truposze spoczywały w wiecznym spokoju na półkach, niczym podróżni, którzy wyprawili się w wieczną drogę kuszetkami z nieskończonym rzędem piętrowych łóżek. Zwykle zachowywały się bez zarzutu, choć Daimon czasem nie był pewien, czy kiedy zamyka oczy, żeby się zdrzemnąć, nie przeskakują w pośpiechu z miejsca na miejsce. W każdym razie ledwo próbował przysnąć, coś zaczynało szeleścić podejrzanie sucho i papierowo, a nie były to widmoszczury.

Posłanie Abaddona zostało wciśnięte w kąt, obok wyjątkowo jaskrawo pomalowanego sarkofagu. Z przeciwległego rogu szczyrzył się wesóło spreparowany szkielet jakiegoś nadzwyczaj zębatego potwora i równie dobrze mógł to być smok jak dinozaur. Na podłodze, w każdym wolnym miejscu, piętrzyły się tekturowe kartony pełne kości, a u powały, na półkach, stały na przemian słoje z formaliną, w których gniły przeróżne wyłupiaste i pazurzaste istoty, oraz czaszki tknięte wszelkimi możliwymi mutacjami. Puste oczodoły nadawały im wyraz melancholijny i zatroskany zarazem, jakby martwiły się stanem zdrowia Abaddona i nie dawały mu dobrych rokowań.

W sumie wszystko byłoby w porządku, gdyby nie unoszący się w pomieszczeniu cuszek zgnilizny i terpentyny.

Anioł Zagłady leżał, wpatrując się w sufit i usilnie rozmyślając, co, u diabła, począć z propozycją Gabriela, gdy skrzypnęły drzwi i do piwnicy wsunęła się drobna postać. Nie odwrócił wzroku, przekonany, że to właściciel tego panoptikum, stary jak grzyb Zetos, który sam uderzając przypominał rozwiniętą z bandaży mumię, gdy cichy głos nieśmiało zapytał:

- Hej, nie śpisz? Mogę wejść?

- O rany! - Daimon aż uniósł się na łokciu. - Nie! Niemożliwe! Jak?! Glizda, wyglądasz fantastycznie! Nie poznałem cię. Cieszę się. Naprawdę. Nawet nie wyobrażasz sobie jak! Ależ z ciebie laska! Chodź bliżej, muszę się przyjrzeć.

Demonica wydawała się zakłopotana.

- E tam, ładna mi laska. Mam płaski nos i... Och, na Mrok, nawet nie umiem powiedzieć, co się ze mną dzieje tam, w środku. Ja... no wiesz. Okropnie się boję, że wstanę rano, a to zniknie. Obudzę się i nagle stwierdzę, że to był tylko sen.

Abaddon popatrzył na nią z powagą.

- Kto to zrobił? Kto cię wyleczył?

- Ten archanioł, twój kumpel chyba. Taki niski, szczupły, w brązowym ubraniu. Miły gość, chociaż trochę niezyciowy. Znaczą staroświecki. Ale i tak narysowałam sobie kredą na ścianie jego portret i codziennie mówię mu „dzięki, dzięki, dzięki” parę tysięcy razy.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Nazywa się Rafał? - upewnił się Frey.

- No. Tak chyba podobnie.

- To nie masz się czego bać. Przysięgam. Uleczył cię na zawsze. To Pan Uzdrawień, a nie jakiś magiczny szarlatan.

Glizda odruchowo dotknęła policzków.

- Naprawdę? Nie ściemniasz?

- Nigdy bym cię nie okłamał w takiej sprawie. Masz mnie za jakiegoś żłoba? Nie martw się, mała. Wyglądasz ślicznie i zawsze już tak będzie.

- Rany, czasem nie mogę uwierzyć! Przyszłam ci podziękować, bo gdyby nie ty, nie poznałabym tego Rafała. I dalej wyglądałabym jak przypalona pizza.

Przysiadła na brzegu łóżka. Jej zupełnie przeciętna, niezbyt ładna twarz promieniała. Nie stała się wcale piękną, a przecież wydawała się niemal urodziwa. Daimon poczuł nagły ucisk w sercu.

Na zawsze. Powiedziałem: „tak będzie na zawsze”. Akurat. Krótkie się okaże to „zawsze”. Aż nie wstanę na nogi i nie rozwalę tej planety na kosmiczny pył. Jasności, jak możesz chcieć czegoś takiego? Jak doszło do tego, że wydałaś ten cholerny rozkaz?

Nie rozumiał. Ale przecież powinien spróbować coś zrobić, żeby się uratowała. Odwołać się do jej uczuć macierzyńskich, pogadać o Bani. Dla tego małego zrobi wszystko. Nawet wyniesie się z powrotem do Głębi.

- Posłuchaj - zaczął z trudem. - Zrób coś dla mnie. Dobra? Wyprowadź się ze Śmietniska. Zabierz Banię i uciekaj do Otchłani. Tu... tu stanie się coś strasznego. Na całej planecie nie znajdziesz bezpiecznego miejsca. Ona, no, jak to powiedzieć, może ulec zagładzie. Wkrótce. Bardzo niedługo. Zabierz dzieciaka i zwiewaj. Dla jego dobra. I twojego też.

Ze zdumieniem popatrzyła w kocio zielone, udreżone oczy Abaddona i wolno pokręciła głową.

- Jak ty nic nie rozumiesz, Lahatiel. Dla mnie nie ma Otchłani. Nie i już. Cokolwiek się stanie, tam nie wrócę.

Schwycił ją gwałtownie za rękę i aż skrzywił się z bólu.

- No dobra. Więc Strefy Poza Czasem! Dam ci namiar na przyjaciela, pomoże wam! To lanista, ale przyzwoity gość. Musisz uciec, Glizda. Inaczej ja... Inaczej wszystko pójdzie na marne. Ty, Hariel, Jomjael, musicie ocaleć. Nie rozumiesz?! Ziemia wyleci w powietrze! Nic nie mogę na to poradzić. To woła Jasności, do cholery! Nikt na świecie nie może się jej sprzeciwić!

Spokojnie wysunęła dłoń z jego uścisku.

- Lucyfer mógł.

- No i super! Popatrz tylko, jak skończył! Zafundował nam wszystkim Głębię. Innymi słowy, piekło, Glizda.

- I mój dom, z którego uciekłam.

- Więc wróć tam, na litość Jasności! Jesteś Głębianką! Tam jest twoje miejsce. Nie tutaj, na Ziemi. Zabierz tam Banię i wychowaj na uczciwego mieszkańca Otchłani.

Popatrzyła na niego niemal z politowaniem.

- Lahatiel, coś ci wytłumaczę. Jesteś wariat i dziwak, ale cię lubię. Wiem, że od stworzenia mieszkałeś w tym swoim Królestwie, więc nie dziwię się, że nie masz wcale pojęcia o świecie i życiu. Dzieciak w magicznej mgle. Świetlisty pełen głupich ideałów i równie głupich uprzedzeń. Mam go wychować na uczciwego Głębianina? Czyli co według ciebie powinien robić? Kłamać? Namawiać do złego? Kusić? Zabiegać o te jakieś dusze, na których punkcie macie chyba potężnego świra? No co? Ma być bezwzględny, okrutny, zły i cyniczny? Ma przeklinać Jasność i znajdować radość w dręczeniu innych? Tak jak każdy uczciwy Głębianin, nie? Co ty wiesz o Głębi, chłopie? Same bzdety! Stek bredni. Tam jest tak wielkie zło, że nie potrafisz go ogarnąć. Żyj tam dranie i świnię, i nieskończone sukinsyny. Istoty bez serca i duszy. Diabły. Ale także tacy jak my. Jak Jomjael, Kłak, Symeton, Zara, Myk, Szmina, Lolo i cała reszta bandy ze Śmietniska. Jak moja matka i ojciec, siostra, Głębianie, którzy nam pomogli uciec na Ziemię, i inni, biedni, zgnębieni, niepewni życia swego i bliskich. Dla was, w Niebie, demony. Dla mnie krewni, przyjaciele, bracia. Uczciwi Głębianie. Dobrze sobie, co? Może i jesteśmy odpadkami, my, ze Śmietniska. Chłłamem. Hołotą. Śmieciami wyrzuconymi z Otchłani. Słabeuszami. Tymi, którzy odpadli, przegrali. Ale honor mamy. Tak, Świetlisty. Właśnie honor. Nie będziemy już nigdy uciekać ani przed Mrokiem, ani przed Jasnością. My swoje przeżyliśmy. Nauczyliśmy się wiele. Więc jedno ci powiem. Nie przyłożymy ręki do zła! Zbyt wiele go dookoła, wiesz? Co ma się stać, się stanie. Nie opuścimy swojego domu, nie będziemy się tułać ani po Głębi, ani po Strefach. Ma być ten twój koniec, to będzie. A Bani do tego nie mieszaj! Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam!

Daimon ze znużeniem zamknął oczy.

- Wybacz. Po prostu chciałem, żeby było mi trochę łatwiej. Ale nic z tego. Jasność zawsze postawi na swoim.

Glizda z troską spojrzała na jego wycieńczoną, mizerną twarz. Delikatnie musnęła dłoń anioła.

- No już. Nie gniewam się wcale. Tylko tak mnie czasem nosi, kiedy nic nie rozumiecie, wy, z Królestwa.

- Ty też nic nie rozumiesz, mała. Ziemia zostanie zniszczona. Zginiecie tutaj. Nie zniosę, jeśli coś ci się stanie. Albo Harielowi, Jomjaelowi czy Bani. To za trudne, za ciężkie dla mnie. Nie wiem, co robić.

Uśmiechnęła się całą swoją nową, brzydko-ładną twarzą.

- Nic nam się nie stanie. Zobaczysz. Będzie dobrze. Nie przejmuj się tak. Zdrowiej. Zawsze jest jakieś zawsze, nie? Naprawdę cię lubię, wiesz? Ale teraz muszę lecieć, bo Lolo został z Banią, a razem cały dom przewrócą do góry nogami. Jeszcze przyjdę.

- Przyjdź.

Przyjdź, żebym znów cię nie przekonał. Żebym popatrzył, jak chodzisz prosto i uśmiechasz się normalnymi ustami. Jak umiesz i lubisz żyć. Jak istniejesz.

A potem cię zabił.

Rozpłakałby się, gdyby umiał, ale Abaddon, Tańczący na Zgliszczach, egzekutor Pański, nigdy jeszcze nie doświadczył łaski płaczu.

* * *

NIE DO WIA-RY!

Niemożliwe! Nie wierzysz własnym oczom. Co to ma niby być? Żart? Jeśli tak, to kiepski, do diabła!

Mniesz w rękach ten cholerny raport i czujesz, jak niesie cię potęga gniewu. Jesteś jak żeniec z sierpem w dłoni. Bezlitosny i sprawiedliwy. Gotów wypełnić ten wraży kąkol, wyszarpać go gołymi rękami. Oddzielić wreszcie ziarno od plew. Owce od tryków. Rozpocząć dni grozy i chwały. Oczyszczyć winnicę z martwych, zatrutych pędów.

Nadchodzi czas, by zatroszczyć się o wszystko samemu.

Wziąć ster we własne ręce.

Apolyon przegrał. Wrócił do lochów Pandemonium, nie zabiwszy Freya.

Ktoś zawiódł, oszukał, ukartował z góry tę niewiarygodną klęskę. Pewnie oni. Przekłęci archaniołowie. Zdradliwe kundle. Dawno już wyrzekli się prawdy i Pana. Dlatego Światłość odeszła. Odwróciła się od nich z obrzydzeniem.

Nie ma się czemu dziwić. Są jak zakafa. Zgniły owoc. Kwas drażący opokę.

Trzeba ich zniszczyć.

On, Michał, „Któż jak Bóg”, Pan Zastępów, powyrywa te chwasty, oczyści Królestwo i sprawi, że Jasność powróci.

Bacz, by dom twój był czysty i schludny, lampy zapalone, a szata godowa uszykowana. Bo nie znasz dnia, gdy On nadejdzie!

Michał zamierzał czuwać przygotowany. Zrozumiał, co teraz powinien zrobić. Rozpocząć długi i trudny proces uzdrowienia Królestwa. Usunąć uzurpatorów z tronu, skończyć niegodne i zdradzieckie układy z Głębią, przywrócić chwałę i należną cześć Zastępom.

A przede wszystkim zabić Freya. Szaleńca opętanego przez Mrok. Ślepe narzędzie w dłoni Antykreatora. Zanim zdąży wprowadzić w życie morderczy, niszczycielski plan zagłady Ziemi.

Tak, trzeba go natychmiast zabić.

Tylko że tym razem nie posłuży się cudzymi rękami, lecz zrobi to osobiście. Jak wtedy, gdy stanął do walki z Lucyferem i strącił go na samo dno Otchłani. Ale nie będzie już taki litościwy. Czas litości się skończył. Zgładzi Freya, nawet gdyby miał go dobić, nie popełni po raz kolejny błędu miłosierdzia. Tak jak powinien był zadać ostateczny, zabójczy cios powalonemu, zwyciężonemu Niosącemu Światło. Wtedy losy świata potoczyłyby się inaczej. Nie powstałaby Głębia, zakąła Królestwa. Teraz nie wolno mu się zawahać. Dawna przyjaźń nic nie znaczy. Pył na wietrze. Frey musi zginąć. Jeśli będzie trzeba, zadusi go gołymi rękami.

Poczochrał ręką gęste, rude kędziory i rozpromienił się.

Och, na Jasność, czemu nie uczynił tego wcześniej, zamiast wysługiwać się tym stukniętym Apolygonem?

Zabije Anioła Zagłady.

Poniesie mu śmierć.

Zjawi się, cały w bieli i złocie, niczym żywy sztandar Chwały Królestwa, aby zniszczyć zło. Przybędzie w barwach słońca i łez, sam jak słońce, potężny, oślepiający i groźny, a pozostawi po sobie płacz i zgrzytanie zębów.

A będzie to lament nieprawych i grzesznych.

Bo Światłość zawsze musi zatriumfować.

Już on o to zadba. Prawy rycerz Pański. Jedyny uczciwy archanioł.

Roześmiał się na głos.

Zabić Freya. To takie łatwe i takie kuszące. Dlaczego tak długo nie wpadał na ten wspaniały pomysł?

- No Abaddonie - mruknął uradowany. - Zagram na twoich przeklętych kościach przepiękne rekwiem!

* * *

Tego dnia morze było wzburzone. Błady, zielonkawy turkus nabrał głębokiej barwy zieleni, piana na grzbietach fal była wysoka i biała niczym beza. Mare Nectaris nigdy nie potrafiło gniewać się na serio. Stać je było tylko na sporadyczne fochy i kapryśne przypiływy.

Teraz wylewało swoje żale na cudownie szafranową, prywatną plażę przylegającą do kompleksu wypoczynkowego regenta Królestwa. Wiatr nadszarpnął nieco parasole z rafii i księżycowej trawy, ale to tylko nadawało brzegowi romantycznie rozwichrzonego charakteru.

Spoza muru, tak oślepiającego jak zaspą najczystszej śniegu, wychylały się rozczochrane fryzury palm. Ponad szczytem parkanu wodospadem zieleni i ognia przelewał się złotokap. Żółto-pomarańczowe płomienie kwiatów powodowały, że wyglądał jak krzew gorejący. W ogromnym ogrodzie, wśród egzotycznej roślinności, kryły się wygodne,

obszerne pawilony, niewidoczne od strony plaży.

Gabriel cenił sobie zarówno luksus, jak i komfort odosobnienia.

Nie nie zakłócało spokoju piaszczystej laguny. Wiatr szemrał do siebie w listowiu, rzewnie zawodziły księżycowe ptaki. Nikt by nie przypuścił, że zaledwie o parę kroków stąd rozciąga się gwarny, elegancki i drogi kurort. Tylko białe jak obłoki odległe żagle majaczące na horyzoncie przypominały, że w pobliżu rzesze majątnych skrzydlatych spędzają zasłużone wakacje.

Hija, ubrana w piękną, letnią suknię bez ramion, ostatni krzyk mody rodem z Królestwa, kroczyła po piasku, jakby to był dywan w pałacu regenta. Kobaltowe loki spięta z tyłu kunsztowną spinką, choć nie zabrała ze sobą nieodzownej dla damy koronkowej parasolki od słońca.

Mimo barwnego, wykwintnego stroju zdawała się Księżciu Magów dziwnie surowa, niemal postarzała.

Na Jasność, pomyślał, poczuwszy nagły zimny dreszcz. Jakżeż przypomina teraz Pistis Sophię. To samo dostojęństwo, powaga i wystudiowane ruchy. Gdzie się podziała moja mała, słodka Hija? Czyżbym zabił ją bezpowrotnie?

Półanielica szła w milczeniu, zasłuchana w szum fał albo własne myśli, a Pan Tajemnic nie śmiał jej przeszkadzać. Prawdę mówiąc, bał się tej rozmowy.

W pewnej chwili jego dawna wychowanka schyliła się po piękną, różową muszlę, przez moment ważyła ją w dłoni, a potem cisnęła w turkus niespokojnego morza. Gdy się odwróciła, jej twarz była niewzruszona i skupiona.

- Razjelu, ja wiem - powiedziała.

Archanioł pobladł.

- Tak. Domyślałem się, że to odkryjesz.

Mimo woli nieznacznie uniosła ze zdziwieniem brwi. Spodziewała się zaprzeczeń albo przynajmniej butnych oświadczeń, że na nic nie ma dowodów. Istotnie, nie miała. Jednak Razjel ją zaskoczył.

Skinęła tylko głową.

- Mogłabym cię oskarżyć, wiesz?

- Spodziewam się.

Westchnęła i popatrzyła na fale.

- Myślisz, że to zrobię?

- Nie wiem.

- A jak sądzisz?

Razjel wzruszył kościstymi ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

- Zawsze starałaś się być uczciwa, skarbie.

Jej oczy zrobiły się tak samo pełne płomieni jak gałązki złotokapu.

- Broniłbyś się? Zaprzeczał?

- Tak.

Skrzywiła się ironicznie.

- Dla dobra Królestwa, prawda?

Lodowy błękit wytrzymał napór złotego płomienia.

- Oczywiście. Tylko dla tej jednej przyczyny, choć pewnie zarzucisz mi kłamstwo.

Zachnęła się.

- Wciąż masz mnie za idiotkę, choć ostatnio wiele się nauczyłam. Musiałam, Razjelu. Zmusiliście mnie do tego. Dobrze wiem, że obaj z Gabrielem popełnicie każdą podłość w imię Siedmiu Nieb. Choćby to był odrażający mord.

Pan Tajemnic nawet nie odwrócił wzroku.

- Myślisz, że łatwo mi z tym żyć?

To Hija spuściła oczy.

- Nie wiem. Wydajesz się twardszy niż skała Pandemonium.

- Ja też wiele musiałem się nauczyć, słońce.

Buńczucznie wyciągnęła podbródek.

- Także jak zabijać przyjaciół?

Uśmiech Pana Tajemnic wyglądał jak cięcie brzytwą.

- Nie. Do tego nigdy bym się nie posunął.

- Więc zaprzeczasz, że chcieliście z Dżibrilem zabić Freya? Że ściągnęliście mnie z niebytu tylko po to, żeby go dorwać? Nie chodziło o żadne leczenie ani aresztowanie. Pragnęliście go raz na zawsze usunąć. Nadal tego chcecie, tak?

Książę Magów zatrzymał się, wbił ręce w kieszenie.

- Moja droga, cokolwiek roi ci się pod tą kobaltową czupryną, mogę przysiąc na Białym Tron, że nigdy nie mieliśmy żadnych morderczych zamiarów wobec Daimona. Chcieliśmy mu tylko pomóc. Za wszelką cenę.

Zamrugła, jakby miała się rozplakać, ale dzielnie powstrzymała łzy.

- Nie bacząc na mnie, prawda?

- Tak. W pewnym sensie tak.

Anielica znów schyliła się po muszlę. Morze było tak kojąco zielone, że aż raziło oczy. Razjel patrzył na piękną, różową skorupę po dawno zgasłym ślimaku w dłoni swojej dawnej wychowanki i czuł się tak samo martwy, zwapniały i pusty w środku.

Jeszcze trochę i pęknię, pomyślał ze zdziwieniem.

Jednak wiedział, że tę rozmowę wygra. Zbyt dobrze znał Hiję.

- Zdradziłam go - powiedziała bezbarwnym głosem. - Wszyscy go zdradziliśmy.

Razjel milczał.

Odeszła o kilka kroków, pozwalając, żeby fale obmywały jej trzewiki i skraj sukni.

- Nie wniosę oskarżenia - oznajmiła morzu. - Nie dlatego, że nie mam dowodów, ale dlatego, że nie chcę. Nie musisz się niepokoić.

- Nie niepokoję się, Hija. Ani przez chwilę nie czułem z tego powodu zaniepokojenia.
Zacisnęła dłonie w pięści.

- Och, dlaczego zawsze jesteś taki kamienny, taki opanowany! To nieznośne!

- Ale użyteczne.

Tym razem jej rysy wykrzywiła wściekłość.

- Dla Królestwa, co?

- Dla Królestwa - potwierdził spokojnie.

Nad brzegiem przeleciał klucz lamii. Klangor brzmiał melancholijnie i groźnie jednocześnie.

Hija spojrzała na Razjela, jakby był gnijącym ścierwem.

- Mam warunki - oświadczyła.

Przerzucił warkocz z pleców na ramię.

- Słucham.

Złote oczy były jak dwie słoneczne tarcze.

- Jaką zbrodnię popełniła Akne?

Pan Tajemnic drgnął, zaskoczony.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

Uśmiechnęła się gorzko.

- Zapominasz, zdaje się, że tym razem warunki stawiam ja.

- Dobrze. To w sumie niska cena za twoje milczenie. Otóż Akne, jeszcze jako młoda anielica, zakochała się bez pamięci. W Królestwie to niedopuszczalna zbrodnia. Tym bardziej że jej wybrankiem był pewien Głębianin. Uciekli razem głęboko do Stref Poza Czasem. Tam żyli w wiecznym strachu, ale i w szczęściu. Jak myślisz, warto posunąć się do czegoś takiego?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Razjel, na litość Pańską! Zachowujesz się jak mój dawny mentor! Do diabła, nie pora na filozoficzne przypowieści!

W głębi duszy ucieszył się, że ją zirytował. Wciąż jeszcze bezbłędnie wiedział, jak tego dokonać.

Spróbował się łagodnie uśmiechnąć, choć w tej rozgrywce nie było miejsca na sentymentalne wspomnienia.

- Przepraszam. Stare nawyki. W końcu Akne powiła syna. Dla całego Uniwersum najgorsze nasienie z możliwych. Bękart demonia i anioła. Potwora. Nie było łatwo ani jemu, ani im, jak mniemam.

Hija starała się dzielnie trzymać, ale bardzo zbladła.

- Zapomniałeś powiedzieć, że sama powinnam dobrze rozumieć jego sytuację.

Potrząsnął głową.

- Nie zapomniałem. Po prostu nie uznałem za stosowne. Jesteś mądrą dziewczyną, Hija.

Tanie gry z tobą nie przejdą.

- Jakiś ty taktowny! - sarknęła.

- Od tysiącleci pracuję jako dyplomata, skarbie.

Tym razem spojrzała na niego z jawną nienawiścią.

- Do rzeczy!

- Wychowywali go jak najlepiej mogli, ale krew zwyciężyła. Wyrósł z niego bandyta, drań i podły sukinsyn. Nie miał względów dla nikogo. Zabijał dla pieniędzy, lecz przede wszystkim przyjemności. Pojmaliśmy go i skazaliśmy na śmierć.

Zadrżała, jakby przewiał ją lodowy podmuch.

- Nie - szepnęła. - Niemożliwe.

Oczy Księcia Magów były zimniejsze, niż kiedykolwiek mógłby być wichur z samej Antarktyki.

- Ależ tak. Obiecałem, że go uwolnię, jeśli Akne dobrowolnie zastąpi cię w międzyświecie.

Hija milczała długo. Kiedy się odezwała, jej głos był słaby i złamany.

- Oczywiście nie dotrzymałeś obietnicy.

- Oczywiście dotrzymałem. Nigdy nie łamię danego słowa.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Na Jasność, a ja byłam pewna, że cię dobrze znam, Razjelu.

Wiedział, że zabrzmi to okrutnie, ale tylko to mógł teraz powiedzieć.

- Chciałem, żebyś tak sądziła, Hijo.

Morze i piasek, i palmy wydały się nagle brzydkie i tandetne. Pomyślał, że anielica zacznie płakać, ale ona miała rysy jak granit.

Granitowa rzeźba z nagrobka, uświadomił sobie z bólem. Wolałby, żeby nigdy nie doszło do tej rozmowy. Wolałby nie mieć za sobą tylu wieków w ćwiczeniu chłodu i opanowania. Może w ogóle nie istnieć. Tak, to wydawało się najlepszą opcją.

- Przemyślałam wszystko - odezwała się w końcu. - Uznałam, że otworzę magiczną praktykę w Limbo. Jak każdy uczciwy, zarabiający na siebie czarownik. Umieć przecież dostatecznie wiele. Muszę się usamodzielnic. Nie przyjmę od was innej pomocy niż lokal w przyzwoitej dzielnicy i podstawowe czarodziejskie wyposażenie. Będę na siebie zarabiać. Koniec z mieszkaniem na jakichś bajkowych, wyizolowanych wyspach. Nie jestem waszą zabawką, Razjelu. Już nie.

To prawda, pomyślał ze smutkiem. W dodatku sami popsuliśmy swoją śliczną lalkę. Naszego słodkiego aniołka.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Możesz przecież... dalej się kształcić. Przyznaję, jesteś znakomitym magiem, ale dobrze wiem, że twoim marzeniem była dalsza nauka. Oczywiście już nie pod moim okiem, tylko innego wybitnego czarodzieja. Pogadam z Algiviusem, może on...

Spojrzała na niego z jawnym zdumieniem.

- No nie! - przerwała. - Nie wierzę! Ty wciąż się o mnie martwisz! W dodatku szczerze. Jesteś nieprawdopodobny, Razjelu. Przecież musisz zdawać sobie sprawę, że w tej sytuacji to śmieszne, głupie i żałosne!

- Oczywiście, że się o ciebie martwię. Limbo nie jest ani bezpiecznym, ani miłym miejscem. W każdym razie nie dla Świetlistej wychowanej w Królestwie. Praktyka może przecież poczekać. Nie musisz się troskać o utrzymanie. Gabriel i ja...

- Muszę! Pewnie, że muszę, a ty wreszcie powinieneś to zrozumieć! Książę Magów, powiernik największych i najstraszniejszych tajemnic w Kosmosie nie powinien być aż tak bezrozumny. Jestem dorosła. Jedyne, co mogę zrobić, to odejść, zacząć własne życie. Inaczej obaj z Gabrielem mnie zniszczycie. Nie rozumiesz?

Archanioł przygryzł wargę. Uśmiechnął się blado.

- Rozumiem. Chyba. Ale i tak powinnaś wszystko przemyśleć na spokojnie.

- Przemysślałam, uwierz mi. I uznałam, że na początek Limbo będzie lepsze niż Głębia czy Strefy - krótkim gestem uciszyła jego protest. - Tak, rozważałam przeprowadzkę do Otchłani. Jestem przecież omalże upadłą, owocem grzechu, anielskim bękartem, zatem więcej mam wspólnego z dolnymi krainami niż choćby Pierwszym Niebem, ale doszłam do wniosku, że jeszcze nie czas. Może nigdy, to się okaże, gdy zacznę pracować. Bo zacznę, a wkrótce zyskam należną sławę i pozycję, zapewniam, choć twoja mina mówi dobitnie: „Dziewczyno, nie dasz rady”. Dam, Razjelu. Ponieważ jednego naprawdę udało ci się dokonać podczas gry ze swoją żywą zabawką. Nauczyć mnie magii.

- Tak. Faktycznie. Udało się.

- Więc jak? Dostanę lokal i czarodziejskie wyposażenie? Tyle mi się przecież od was należy, drogi wychowawco.

Archanioł gładko połknął gorzką pigułkę.

- Dostaniesz - potwierdził spokojnie. - Zadbam, żebyś otrzymała wszystko, co potrzebne do otwarcia przyzwoitej praktyki.

- Dziękuję. - Znów odwróciła się w stronę morza.

Milczała dłuższą chwilę, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale nie znajdowała słów. Razjel nie przerywał. Potrzebowała czasu, żeby stłumić emocje i dokończyć rozmowę.

- A Daimon? - spytała w końcu zielonego, kapryśnego Mare Nectaris. - Jak się czuje?

Fala z pluskiem uderzyła o brzeg, ochlapała anielicę białą pianą, lecz to Książę Magów odpowiedział.

- Lepiej. Apolyon nieco go poturbował, ale na szczęście niegroźnie. Dochodzi do siebie.

Hija odwróciła się i spojrzała wprost w oczy Pana Tajemnic. Złoto jej tęczywek było równie wzburzone jak morze.

- Jak myślisz, wypełni ten szalony rozkaz?

Razjel westchnął.

- Nie wiem - powiedział szczerze. - Pewnie tak, jeśli go Michał nie powstrzyma.

Drgnęła zaskoczona.

- Michał? Dlaczego, na Jasność? Co on ma do tego? Jest Panem Zastępów, a nie regentem! Gabriel powinien decydować w tej sprawie.

Pierwszy raz od początku spotkania archanioł ośmielił się położyć dłoń na ramieniu Hii. Ucieszył się, że jej nie strąciła.

- Nie może, skarbie. Michael wypowiedział posłuszeństwo. Zarzuca nam nieudolność i działanie na szkodę Królestwa. Zupełnie nie rozumiem, co się z nim dzieje. To wygląda na napad szaleństwa. Uparł się za wszelką cenę zatrzymać Daimona. To on pragnie go zabić, słońce. Tak bardzo, że graniczy to z obsesją.

Przestraszyła się. Widział to w jej oczach, w nagle pobladłych policzkach, zaciśniętych ustach. Mimo wszystko Anioł Zagłady nadal nie był jej obojętny.

- Czy on wie? Ostrzeżliście go?

Pan Tajemnic skinął głową.

- Tak. Asmodeusz przekazuje mu wszystkie ważne wiadomości.

- Zaufał Zgniłemu Chłopcowi, a wam nie? - zdziwiła się.

Archanioł uśmiechnął się niewesoło.

- Na to wyszło, skarbie. Też nie jestem zachwycony. Wszyscy popełniliśmy mnóstwo błędów.

- Niektórzy więcej niż inni. Jesteś pewien, że on wie o Michaelu? To okropny przeciwnik, wyszkolony wojownik, najlepszy rycerz w Królestwie, walczył z Lucyferem i strącił go na dno Otchłani...

- A Daimon pokonał Ciebie, a potem Apolyona. Nie martw się. Jest przygotowany. Rudy go nie zaskoczy.

- No właśnie! Dopiero co stoczył straszny pojedynek z tym demonem z głębi Mroku, jest ranny i...

- I dorosły - wtrącił Razjel. - Doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji, Hija.

Parsknęła ze złością.

- Nie zaczynaj mnie pouczać! Te piękne czasy się skończyły.

- Przepraszam. Wspominałem już, stare nawyki.

Znów obróciła twarz ku morzu, ale teraz cisza zrobiła się ciężka jak gład narzutowy. Obecność Razjela wyraźnie zaczęła ją irytować i krępować.

- Pójdę już - odezwał się w końcu.

Skinęła głową.

- Dobrze. Wolalabym zostać sama.

Jeśli kiedykolwiek mógł objąć ją i przytulić jak dawniej, to ta chwila rozmyła się i uciekła wraz z falami odpływu. Pozostawało tylko odejść.

- Powodzenia, skarbie.

- Dziękuję, magu. Nie wspominaj mnie źle.

Grymas żalu wykrzywił na moment szczupłą, kostyczną twarz Pana Tajemnic.

- Nie będę, Hija. Na pewno.

Zostawił ją samą na złotej plaży, pod bladym, błękitnym niebem Księżyca, bo dopełnił się czas jej dzieciństwa i jego złudzeń.

Miał nadzieję, że anielica zdoła poukładać sobie życie. Że obaj z Gabrielem nie skrzywdzili jej za mocno.

Wierzył w to.

Nic innego mu nie pozostawało.

* * *

- Nie! To nie do wiary! - krzyknęła wściekle, bezskutecznie próbując zatrzaskać drzwi.

Zgniły Chłopiec zawczasu wsunął stopę w szparę.

- Proszę! Chcę tylko porozmawiać!

Niebieskie oczy Blanki pociemniały od furii.

- I posuwasz się do oszustwa, podszywając się pod klienta! Fantastycznie! Nie dość, że wariat, to jeszcze krętacz i kłamca!

- Tak, bo bardzo chciałem cię zobaczyć. Blanka, błagam! Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego!

- Niby co? Że tak naprawdę jesteś królem Salomonem, który nocami przebiera się za Batmana? Twoim zadaniem jest zbawić ludzkość od Ponurego Żniwiarza, odwiecznego wroga słonecznego Mitry? Nie, dość tego! Wychodzisz albo wzywam policję!

- Nawet nie wszedłem - zaoponował, ale tylko silniej napała na drzwi.

- Saturnin, ja nie żartuję. Jeśli się teraz nie cofniesz, nie zechcę nigdy więcej widzieć cię na oczy!

W fiołkowych tęczęwkach demona zapalił się czujny błysk.

- Czyli w innych okolicznościach mogłabyś, tak?

Zacisnęła ze złością usta. Wyglądała teraz jak biblijna Judyta i Asmodeusz wcale nie był pewien, czy nie odcięłaby mu łba, gdyby miała w rękach coś sensowniej szego niż pędzelek.

- Na pewno nie wtedy, gdy będziesz mnie nachodził, udając klienta. To żalosne, wiesz?

Może i tak, pomyślał w duchu, ale inaczej w ogóle byś ze mną nie gadała. Postanowił, że nie będzie się upierał, że faktycznie bardzo mu zależy, żeby dokleić etruskiemu wojownikowi utracony nos, tylko powie prawdę.

- Wiem, przepraszam. - Czasem lepiej uderzyć w pokorny ton. - Po prostu nie znalazłem innego sposobu, żeby się z tobą skontaktować. Nie odbierasz telefonów, mejli, esemesów. To był desperacki pomysł, ale przynajmniej wypalił.

Błękitny lód zaczął odrobinę topnieć.

- No dobrze, to czego chcesz?

- Porozmawiać.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Miała na sobie długą zieloną spódnicę i jakąś czarną bluzkę w dawno wyblakłe kwiaty, powalaną farbami we wszystkich kolorach wiosny, a na włosach zakutała niezbyt udany turban z apaszki w grochy, tak że przypominała stukniętą wersję Tytanii w wydaniu przedszkolnej trupy teatralnej.

I tak wyglądała fantastycznie.

- To zasuwasz. Bardzo proszę.

Rozejrzył się niepewnie. Stał na ulicy przed pracownią, a Blanka przemieniona w ukwieconą walkirię blokowała wejście.

Sytuacja była gorzej niż kiepska.

- Daj się zaprosić na kolację! - wypalił rozpaczliwie.

Przewróciła oczami.

- I co? To już? Niby to „bardzo ważne”?

- Nie. Ważne będzie na kolacji.

Pokręciła z politowaniem głową, ale z satysfakcją stwierdził, że jest zaintrygowana. Nawet jeśli spodziewa się czegoś tak głupawego jak grupa zawodzących *mariachi* i tandetne oświadczyły w knajpie, to nie przepuści okazji, żeby je spektakularnie odrzucić.

- To jak? Przyjdiesz?

- Na pewno nie dzisiaj.

- Dobrze, jutro.

Wydeła wargi.

- Jutro też nie.

- W porządku. W takim razie pod koniec tygodnia.

- O matko! Aleś ty namolny!

Pozwolił sobie wyszczerzyć w uśmiechu zęby.

- Namolność to mój znak firmowy.

- No dobra - burknęła wciąż naburmuszona. - Dajmy na to, że przyjdę. Pewnie jestem po prostu głupia, a ty okażesz się w końcu stukniętym seryjnym mordercą. Wyglądałeś mi na takiego już od tamtego numeru z mitreum.

Mylisz się, kotku, pomyślał Asmodeusz. Z seryjnym mordercą, w dodatku azteckim demonem, uprawiałem niedawno nekromancję.

Ale nic nie powiedział. Czasem lepiej przemilczeć niektóre kwestie.

- Zadzwoń, żeby się umówić. Odbierz, bo inaczej będę próbował całą noc.

- Idź już! - fuknęła, machając lepkiem do werniksu pędzlem. - Inaczej wszystko mi zaschnie i cała robota na nic.

Poszedł, oczywiście. Po wielu wiekach doświadczeń z damami różnych ras i rodzajów wiedział intuicyjnie, kiedy nie warto przeginać.

Może słodkie ptaszki, które nieśmiało zaczęły mu śpiewać w duszy, to nie były jeszcze skowronki, ale w każdym razie nieźle dawały radę.

Szedł sprężysto, prawie nie kulejąc. Do licha, w końcu będzie miał przynajmniej kilka dni na to, żeby pomyśleć, jak oznajmić Blance, że świat czeka ostateczna i definitywna katastrofa, ale on może ją ocalić, proponując wygodne, wieczyste życie w piekle.

* * *

Rozłożyła karty jeszcze raz. Spojrzała na układ, rozburzyła dłoń i znów zaczęła tasować. Wykładała każdy kartonik ze skupieniem i wymuszonym spokojem. Znów to samo. Niebezpieczeństwo. Poważne niebezpieczeństwo.

Czarne świece syczały, płomień był niespokojny. Strzelał iskrami, raz przygasając, raz znowu rwąc się w górę, ku wysoko sklepienemu sufitowi. Miał sinoniebieską barwę, aureę klęski.

Długie, wychudłe cienie kładły się na ścianach niczym głodne duchy.

Hija zadrzała.

Po raz kolejny nad głową Daimona zbierały się czarne chmury. Burza. Burza wokół Anioła Zagłady. Tyle że tym razem miała na imię Michał.

Zgarnęła talię.

Jest ostrzeżony, pomyślała z goryczą. I dorosły.

O tak, z pewnością. Ale nie wie, że Pan Zastępów nie jest w pełni sobą. Jego serce wydaje się osnute mrokiem, czarne niczym Księżyc w momencie zaćmienia. Jak to Razjel ujął? Obsesja? Na Jasność! Raczej całkowite szaleństwo! Michael ma w głowie jedną myśl. Zabić Abaddona. Nie śpi, nie je, wygląda jak nawiedzony. Dzikus Boży. Wojownik słonecznego światła. I niczym piec hutniczy żarem, promieniuje żądzą mordy na Daimonie. Płonie w nim tylko to pragnienie. Obsesja? Litości! Michał jest jak upiór napełniony blaskiem. Bo to światło w nim buzuje, nie ciemność. Tylko co z tego, jeśli ta jasność to tylko czysta destrukcja? Groza wybuchu jądrowego? Eksplozja umierającej gwiazdy? Oślepia go, powoduje, że wszystko, co widzi, wydaje mu się czarne. Kładzie się cieniem na duszy. Nie ma, nie może mieć nic wspólnego z prawdziwym światłem Pana!

Ale ma wiele z losem wszechświata. Od tego, kto zwycięży, zależy, co stanie się z całym Uniwersum.

Widzi to wyraźnie, ilekroć stawia „Famy”. Pojedynek Daimona z Michałem okaże się kluczowy dla dalszego istnienia świata. Także Głębi i Królestwa. To sąd Boży, a ona nie jest w stanie przewidzieć rozstrzygnięcia. Rezultat jest rozmyty, osnuty mgłą, kompletnie nieczytelny.

Należy do dziedziny Jasności.

Jedno pozostaje pewne. Nie skończy się na zwykłej przepychance. Freya czeka walka na

miarę niegdysiejszego starcia Pana Zastępów z Lucyferem. A konsekwencje okażą się równie poważne.

Na Biały Tron! Musi natychmiast ostrzec Daimona, z czym naprawdę będzie miał do czynienia!

Pozostawało pytanie jak? Nie przypuszczała, żeby zechciał się z nią zobaczyć, zresztą kosztowałoby to zbyt wiele zachodu. Asmodeuszowi nie miała zamiaru zaufać. Prawdę mówiąc, Razjelowi też nie.

Ale od czego była magiem?

Jej usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu, gdy uświadomiła sobie, od czego zacznie samodzielną karierę wiedźmy. Od powrotu do przeszłości. Tak jakby zamykało się jakieś koło, wypełniało nieznane przeznaczenie, ukazując jej nową drogę.

Do wolności i emocjonalnej pustki.

Poczuła się dziwnie, przypomniawszy sobie, że już kiedyś próbowała tego sposobu. Wtedy, tak dawno temu aż trudno uwierzyć, w innym życiu innej Hii i Anioła Zagłady, prowadził ją Gabriel, Pan Snów. Teraz już nie potrzebowała jego wsparcia. Miała rację. Wiele się nauczyła przez ten czas.

Zamknęła oczy.

Czas zanurzyć się w materię snu, uznała.

* * *

Spisz. I śnisz.

Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, jednak nie możesz się teraz obudzić. Świat wokół ciebie pęka od barw. Ocieka złotem, czerwienią, kobaltem i olśniewającą bielą. Ale wydaje się płaski, niczym wycięty z tektury landszaft. Horyzont jest dziwnie krótki, perspektywa zdeformowana. Nie przypomina nawet dekoracji w teatrze, tylko rycinę nasyconą kolorami.

Rozpoznajesz te pocięte kratownicą linii, nienaturalnie wybrzuszone wzgórza, doliny, na których dnie lśnią okrągłe jak oczko pierścionka jeziora, ciemnozielone gęstwy narysowanego lasu.

To krajobraz z kart wróżebnych.

Jesteś w świecie „Fam” Razjela.

Na blaszonym niebie, pokrytym emalią jaskrawego błękitu, wisi nisko ogromne, złociste słońce. Ma lwią twarz, a jego promienie to płomieniste miecze. Otwiera usta i wydaje syk podobny do dźwięku spuszczonej pary. Ostrza płomieni zaczynają wirować, szkarłat i mandaryńska żółć migają w szaleńczym tańcu, aż émi ci się przed oczami.

Na scenie najbliższego wzgórza toczy się walka. Stwór o kształtach pantery, lecz barwach feniksa naciera na krępego, przysadzistego zwierza, który przypomina niedźwiedzia z piekielnego bestiariusza. Kocur ma płaski, niemal gadzi łeb, zwężone oczy pełne ognia. W

znacznie za szerokiej, rozwartej aż po uszy paszczy łyskają białe iglice zębów. Po płowej, złotej, miedzianej sierści niczym iskry pełgają cętki. Pazury, długie, zakrzywione jak pałasze abordażowe, siekają w powietrze wokół prawie niedźwiedzia. Ten wymachuje łapami podobnymi do nabijanych kolcami maczug. Jego brunatne, ochrowe, cynobrowe futro jest poskręcane w skłębione kłaki. Toporny łeb przywodzi na myśl bojowy młot. Kły są krzywe jak haki.

- I wystąpią przeciwko sobie wojownik blasku i rycerz powinności, aby stoczyć zażarty bój - oznajmia lwie słońce. - A jeden nieść będzie przed sobą miecz, a drugi gałąź oliwną.

W tym momencie oba stwory stają pewnie, z gracją, na tylnych łapach i zaczynają fechtować. Omalże niedźwiedź dzierży w łapie płonący oręż, gadzia pantera odpiesa ataki konarem o czarnej korze i liściach srebrzystych, wąskich niby mizerykordie.

- Świat cały wstrzymać musi oddech na tę chwilę. Albowiem ważą się jego losy z wyroku Tego, Który Stanowi - brzmi zgrzytliwy, mechaniczny głos z nieba. - Gdy zwycięży miecz...

Brunatny potwór wbija ostrze w pierś złocistego. Kocur upada, jego cielskiem wstrząsają drgawki, sierść momentalnie staje w płomieniach. Niedźwiedź rzuca się na przeciwnika, rozszarpuje mu brzuch i pożera wątpia, nie czekając, aż zgaśnie blask w wąskich, okrutnych ślepiach pantery.

- ...nastanie czas mroku i pokuty. Lecz jeśli zwycięstwo odniesie pokój...

Koci drapieżca zrywa się na łapy, skacze na zaskoczonego niedźwiedzia i powala na ziemię. Straszliwe iglice kłów zatapiają się w brunatnych kłakach. Schwycony za gardło brązowy potwór szarpie się, rozpaczliwie bije maczugami kończyn, ale wkrótce nieruchomieje.

- ...zapanuje miłosierdzie i nikt już nie będzie baczył na winy, nikt nie ustali kar. Zapowiedź wygranej jest bliska. Kto jednak dostąpi zaszczytu kłęski? Kto przyjmie brzemię zwycięstwa? Oto zagadka wszechświata!

Oba zwierzęta wstają, kłaniają się wdzięcznie i rozchodzą w swoje strony. Słońce o twarzy lwa podjeżdża w górę na linie z najdłuższego promienia, a na jego miejsce opada srebrzysty i niebieski księżyc o krągłym obliczu, ogromnych, zaciśniętych powiekach i drobnych, jakby zapuchniętych od płaczu usteczkach.

- Ona przybywa, ona przybywa, ona przybywa, ona przybywa - szepcze Księżyc płaczliwym głosem.

W powietrzu rozlega się przeciągły jęk, wizg czy trzepot. To taki dźwięk, jakby mnóstwo ciem postanowiło nagle rzucić się w słońce.

I wtedy zza horyzontu wyjeżdża migotliwy, mieniący się barwami zmierzchu rydwan, zaprzężony w dwa jaskrawoniebieskie smoki. Na rydwanie króluje dziewica, przybrana w gwiazdny pył i granatową noc. Jej włosy są jak chmura na wieczornym niebie. Tylko oczy mają blask zagubionych w ciemności ognisk. Na głowie nosi koronę ze srebrzystych i błękitnych jaszczurek. W jednej dłoni dzierży różdżkę zwieńczoną kobaltowym kocim

łebkiem, w drugiej trzyma ostry, koralowy róg skręcony w spiralę.

Patrzysz osłupiały na to zjawisko i nagle zdajesz sobie sprawę, że pojazd składa się z tysięcy kolibrów, szczepionych z sobą dziobami i nóżkami, nieustannie trzepoczących skrzydłami. Niespodziewanie jeden ze smoków przybiera postać ogromnego, niebieskiego kocura. Jego ślepia świecą czystym złotem.

Rozpoznajesz go. To Nehemiasz, kot Hii. W tym samym momencie drugi smok staje się błękitnym jednorożcem, a ty rozpoznajesz twarz dziewczyny otulonej nocą.

- Daimonie - mówi Hija. - To ja. Poznajesz mnie?

- Tak - udaje ci się wykrztusić.

- Przeniknęłam do twego snu, żeby cię ostrzec. Nie mam zbyt wiele czasu, to wyczerpująca magia. Posłuchaj, Michał oszalał. Jest bardzo groźny. Za wszelką cenę usiłuje cię zabić. Wkrótce dojdzie do pojedynku. Pamiętaj, on nie odpuści. Jest opętany Blaskiem. Nie wiem, jak to możliwe, nie rozumiem, co się stało. W żadnym wypadku nie lekceważ go! To wojownik słońca! Proszę, uważaj na łyzy! Na słońce i łyzy, Daimonie!

Gdzieś z tyłu rozlega się ogłuszający huk, całe blaszane niebo robi się naraz białe.

- Burza! Burza idzie! Biada nam! - krzyczy Księżyc.

W tej samej chwili wzgórza zapadają się w dół, niebo zaś staje się morzem, w którym pływają do góry brzuchami martwe, pokraczne ryby.

Rydwan Hii pośpiesznie dryfuje za horyzont. Anielka wychyla się, macha rozpaczliwie rękami, ale jej głos cichnie.

- To od tego pojedynku może zależeć los świata! Nie od twego starcia z Apolionem, lecz z Michałem. Zrozumiałam to, stawiając karty i oddając się wróżebnym snom. Nawet Razjel nie zdaje sobie sprawy, jakie to ważne. Walka z Omegą to nie był żaden omen, nie była nawet próba, lecz zwykły przypadek. Plan go nie uwzględniał. Teraz będzie inaczej. Pamiętaj, to nie los decyduje, ale ty! Uważaj! Błagam, Daimonie, uważaj na siebie!

- Dziękuję - szepcesz. - Dziękuję, skarbie! Postaram się!

Ale na scenie szybko zapada zmrok.

- *Nighrebo*. Owo się przepełniło. Etap przemiany skończony. *Caput mortuum* znaczy zaciemnienie - oznajmia Księżyc obrażonym tonem i ucieka w górę.

Morze wzbiera, kotłuje się, a potem spada w otchłań. Zostaje tylko ciemność.

Budzisz się w łóżku w kącie magazynu mumii, a szkielet zębatego smoka szczyrzy się do ciebie szyderczo, w mroku nocy białawy jak duch.

* * *

- Jak to za ciężka?! - krzyczy wprost w Oko Nocy rozwścieczony Asmodeusz. - Katedra w Chartres ma być za ciężka dla ekipy, która w jedną noc postawiła pałac Salomona?! Absurd! Szlachetny Abdul Mekkenie, nie pouczaj mnie, błagam! Jasne, biorę pod uwagę, że

budownictwo starożytnego Bliskiego Wschodu nieco różniło się od gotyku! O to niech cię głowa nie boli, w posiadłości nad Jeziorem Płomieni mam mnóstwo miejsca. Oczywiście należy postawić magiczną atrapę. Nie wierzę, Abdul Mekkenie! Chyba nie chcesz popsuć naszych, doskonałych jak dotychczas stosunków. Potrzebuję tylko pięciu, sześciu, no, siedmiu najważniejszych! Co to jest dla ciebie marnych parę katedr?! No pewnie, że kolońska także! Aha, i Święty Wit w Pradze. Nie ma mowy! Koniecznie. Mediolańska? Dobrze, zastanowię się. Te halowe kościoły nigdy nie miały wdzięku prostej, trójnawowej konstrukcji. Tak, jeszcze się odezwę. I z tobą, drogi przyjacielu.

Wcisnął do kieszeni Oko tylko po to, żeby zaraz wyszarpnąć je znowu.

- Amszasa? - W tafli ukazuje się smągła, śmiertelnie znużona twarz dżinna. - No nareszcie! Czemu od razu nie odbierasz?

- Ponieważ na twój świątły rozkaz, o wielki, nadzoruję właśnie wykonanie dokładnej kopii Placu Świętego Marka, Słońce Mroku, panie mój, Aszmodai.

- Dobrze, dobrze. Tylko nie zapomnij o galerii Rumaków Lizypa. W rogu, tuż przy wejściu, znajduje się maleńki fresk. Na oko jakieś *quattrocento*. Odwrócona dziewczęca główka. Nadzwyczaj wdzięczna. Muszę ją mieć. Ściągnij ten wizerunek jak najostrożniej. Mówiłem ci już wczoraj, ale w tym rozgardiaszu jeszcze gotów byłbyś zapomnieć.

Dzinn wykrzywia się boleśnie, jakby Zgniły Chłopiec go kopnął.

- O nieoceniony, racz wybaczyć, ale twój niegodny sługa nigdy nie zapomina słów swojego Słońca.

- W porządku, przypominam tylko. Jak prace?

- Mozolnie posuwają się naprzód. Błagam o litość, lecz tak ogromne przedsięwzięcie...

- Dobra, mozolcie się dalej. Możesz wracać do roboty.

Syn pustyni kłania się głęboko.

- Dzięki, o panie. Bądź pozdrowiony, Skarbie Orientu, cesarzu wśród książąt Otchłani...

Asmodeusz, nie słuchając, wyłącza Oko.

W mieszkaniu nad antykwariatem panuje straszny bałagan. Wszędzie, na podłodze i meblach, stoją paczki, pakunki i kartony. Poniewierają się papiery pakowe, pudła, zwoje taśmy klejącej i bąbelkowej folii. Cały dywan tonie w zaspach styropianowych groszków. Śliczne dzinnije i ifrytki, ubrane w zieleń i złoto jak cała służba Asmodeusza, niestrudzenie pakują i zabezpieczają dziesiątki drobnych, kruchych, artystycznych przedmiotów.

Zwinne, brunatne palce cierpliwie owijają w gazety i bibułę biżuterię z Ur, jaja Faberge, scytyjskie złoto, secesyjne brosze Lalique'a, miśnieńskie farfury i wikińskie sprzączki, które znikają w nienasyconych gardzielach kartonów. Przypomina to trochę karmienie ropuchy posiekaną dżdżownicą.

Blanka opowiadała mu kiedyś, że w szkole, gdy była małą dziewczynką, musiała się opiekować wylosowanym zwierzątkiem z kącika biologicznego. Na nieszczęście przypadła jej w udziale afrykańska ropucha, której trzeba było pęsetą wpychać do paszczy

poszatkowane na kawałki dżdżownicy. Piekielne bydlę miało apetyt jak wygłodniały tygrys, a biedna Blanka po jakimś czasie dostawała torsji nawet na widok makaronu.

Teraz pudła pochłaniają niezliczoną ilość małych, białych pakunczków niczym tamten afrykański płaz.

Zgniły Chłopiec pochyła się nad stołem, w skupieniu przeglądając listę dzieł sztuki i zabytków, które zamierza uratować z ginącej Ziemi, w sumie dłuższą chyba niż święta rzeka Jordan.

Pod nogami płacze mu się nieustannie Nefer, miaucząc rozdzierająco.

- Nie zapomnij mojego sarkofagu, bez niego źle sypiam! I miseczki na mleko, tej najładniejszej, w której królowa Hatszepsut trzymała maść na spuchnięte powieki! I papuaskiej główki! Niech cię Mrok broni zapomnieć główki, błagam! Aha, i przede wszystkim nie zapomnij mnie!

Asmodeusz brodzi po kolana w bezcennych zbiorach, nie zważając na wrzeszczącego widmokota. Na szczęście nie musi się obawiać, że potknie się o jego przezroczyście ciało.

Sytuacja przypomina totalny chaos. A zaledwie pierwsze paręset punktów z listy udało się dotychczas określić i uznać za załatwione.

Najbardziej znane i okrzyczane dzieła sztuki sąsiadują tu z drobiazgami i zupełnie zapomnianymi cudami, które Zgniły Chłopiec kiedyś widział i uznał za piękne. Podkreślone na czerwono „pole z wronami” i „gwiazdzista noc” znajdują się zaraz obok pompejańskich fresków oraz maleńkiej, rzymskiej figurki śpiącego amorka, znajdującej się chyba w Muzeum Kartagińskim. Wenecy Saraceni bijący w dzwon są przemieszani z kosmicznymi kocurami Lucińskiego, obrazami Fridy Kahlo i uśmiechniętymi tygrysami Celnika Rousseau.

„Pisarz” z Luwru o nieprzeniknionych oczach i starożytnej twarzy jest zapisany zaraz obok chłodnego, bystrego Jana de Leeuw pędzla van Eycka oraz nieskończonej liczby Breughli, Boschów i Vermeerów z Delf. „Myśliciel” Rodina i śpiący satyr Baudolini stoją ramię w ramię z płaczkami z grobu Bertolda Śmiałego i krzywymi, wyłupiastymi posążkami babilońskich orantów.

Średniowiecze, renesans i barok lecą niemal hurtem. Krwawymi śladami podkreśleń znaczone są Cranachy, Caravaggio, bracia Limburg. Dalej prerafaelici, Moreau, Böcklin i reszta symbolistów. Surrealiści, dada, amerykańscy hiperrealiści.

Asmodeusz ma już czerwoną mgłę przed oczami. Boli go głowa, najchętniej by się położył, zdrzemnął choć chwilę. Ale tak wiele cudownych dzieł, pięknych przedmiotów zasługuje na uratowanie. Jeśli Ziemię szlag trafi, ten nieoceniony skarbiec wyleci w powietrze.

Na Mrok, w życiu na to nie pozwoli.

Wirywa z kieszeni Oko Nocy.

- Hassan?

Ifryt kłania się z szacunkiem.

- Panie?

- Czy tryptyk „Ukrzyżowanie” Grunewalda już szczęśliwie ukradziony?

- Nie, o litościwy. Zerik jeszcze nie złamał zabezpieczeń.

- Nie kpij ze mnie, Hassan. Śmiesz twierdzić, że synowie Adama posługują się magią, żeby zabezpieczyć swoje dzieła sztuki?

- Panie mój, gdzieżbym śmiał drwić z twego majestatu! - Oliwkowa twarz ifryta robi się szara z lęku. - To święty obraz, o świątły. Strasznie dużo wokół niego modlitw i wody święconej. Ciężko się przebić. Szamsu tak się poparzył, że trzeba było skierować go z powrotem do Głębi.

- A, faktycznie. Zapomniałem - mityguje się Mod. - Dobrze więc, pracujcie dalej.

- Tak, panie. - Hassan znów składa głęboki ukłon i tafla Oka ciemnieje.

Zgniły Chłopiec siada ciężko przy stole, przysuwa sobie karafkę z winem z Byblos. Do diabła, tyle jeszcze zostało do zrobienia. Najgorzej mają chyba ekipy najbardziej zaufanych dzinnów, Malika, Abdul Beja, Azrika i Szamszija, które muszą w ciągu najbliższej nocy ukraść cały Luwr, Muzeum Watykańskie, Tate Gallery i Prado, a następnie sprytnie podmienić, na magiczne makiety. Całe kompleksy budynków wraz ze zbiorami. Nie ma czasu na wyciąganie poszczególnych kolekcji. Lepiej od razu zgarnąć wszystko. Cholera, nie wolno zapominać o Abdul Mekkenie, który ratuje katedry. I jeszcze Zulfiku i Mehmucie. Im zostało zadanie gwizdnięcia Tadż Mahal oraz Angkor Wat.

Po namyśle Mod zrezygnował z prób ocalenia piramid. W końcu i tak są przereklamowane. Z Tenochtitlan prawie nic nie zostało, więc trudno. Czasu zostało niewiele, lepiej położyć na nich krzyżyk, zwłaszcza że już w szesnastym wieku udało mu się zgarnąć do swojej posiadłości całe przepiękne El Dorado z okresu największej świetności.

Uśmiecha się, przypomniawszy sobie, ile miał ubawu, kiedy ci wszyscy zwariowani konkwistadorzy i łowcy przygód padali jak komary na szlaku, poszukując bezskutecznie Złotego Miasta, które już od dawna cieszyło jego oczy w Głębi.

Teraz, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie miał w ogrodzie prawdziwy park ziemskiej rozrywki.

Sorry, sorry! Świątynię sztuki.

Ach, do diabła! A główka Teje? Czy nie zapomniał aby o figurce królowej?

Rzuca się do notatek, nerwowo przegląda listę. Nie da rady zgarnąć w całości Muzeum Egipskiego w Berlinie. Na Mrok, a tam przecież jest zgromadzona prawie cała Amarna! Fatalnie. Ale portret Teje przecież gdzieś tu był, na pewno zaznaczony na czerwono. Zaraz obok głowy Nefertiti. Uff, dobra. Jest. Kto ma go zabrać? Hasmad. W porządku, to zaufany, bystry ifryt. Powinno pójść jak z płatka. Wezwie go później przez Oko i na wszelki wypadek przypomni o Teje. I malowidła ze starym cieślą. Koniecznie.

Wtedy terkocze magiczny komunikator.

- No?

Z dna Oka wypływa niewyraźna, zamazana twarz ifryta. To Adad.

- Szlachetny, „Madonna w grocie” też?

- Jasne, że też! - krzyczy Mod. - Nie przepadam za Leonardem, ale jego wkład w historię sztuki jest niepodważalny! Zabieraj każdą wersję „Groty”!

- Jak rozkażesz - szemrze ifr i połączenie się urywa.

Asmodeusz w zamyśleniu bawi się pustym kieliszkiem. Cały czas walczy z przejmującym wrażeniem, że zapomina o czymś bardzo istotnym.

Co jeszcze? Co powinien uratować?

Jedyna dobra odpowiedź brzmi: wszystko.

- Mnie! - piszczy spod stołu widmokat. - To ja, ulubiony kocur pana! Pamiętaj o mnie, dobra?

Mod ignoruje wrzaski zwierzątka.

Rany! - myśli z rozpaczą. A ten święty, co się boczył na lwa? Kolumnowy krużganek, mnóstwo złota, za krótka perspektywa i król zwierząt, który wygląda jak nieudana małpa? No, ten długi obraz na desce? Włoski czy francuski? Nie, na pewno włoski. Wczesne *trecento*. Gdzie on się znajdował? W Watykańskim? Cholera, nie jest pewien. Ale tak, raczej w Watykańskim. Czyli w porządku, uratuje się razem z całym muzeum.

Jeśli plan wypali.

Na Mrok, jeszcze tyle roboty! A czas się kończy.

- Hej, Mod - mówi od drzwi skonfundowany Hariel.

Brodzi po kostki w styropianowych fasolkach i z rosnącym zdumieniem gapi się na sterty pakunków.

- Wyprowadzasz się?

Wyrwany z zamyślenia Zgniły Chłopiec mruga oczami, jakby chudy skrzydlaty z mopem włosów na głowie był jakąś zjawą z zaświatów.

- Jasne, razem z całym dorobkiem ludzkości wartym zapamiętania. Ledwie za kilka dni Frey rozwali Ziemię i całe to dobro pójdzie w cholerę. Po moim trupie pozwolę, żeby się sztuka marnowała. Ratuję, co się tylko da. Inaczej nie mógłbym spojrzeć na siebie w lustrze. Hej, chłopie? Co ci jest? Dobrze się czujesz?

Koci anioł nie robi się błąd, tylko jakoś niezdrowo siny. Usta mu drżą, oczy są nieprzytomne i szalone.

- Nie - szepcze. - Nie Lahatiel! Nie wierzę!

I wtedy wstrząśnięty Asmodeusz uświadamia sobie, że on nic nie wie. Nic nie wie, na Mrok!

Gdyby mógł, połknąłby chętnie własny język.

Ale jest za późno. Stało się.

- Czeka! - woła za wybiegającym albinosem. - Hariel! Wytłumaczę ci, o co chodzi!

Lecz Hariela już nie ma w pracowni.

Pędzi ulicą, jakby go harpie goniły.

* * *

Od razu wiesz, że coś się stało.

Od razu domyślasz się co.

Ta jego twarz, szara, ściągnięta, straszna. Błede oczy, teraz pociemniałe, pełne grozy i niedowierzania. Usta zaciśnięte jak sznur z węzłami, jak supeł. Policzki bez krwi, białe niczym stearyna. Wygląda gorzej niż mumie.

Wygląda jak śmierć.

- Chcesz to zrobić! Naprawdę chcesz! - mówi oszołomiony.

Ale w tonie głosu już słyhać rodzący się gniew, a ty wiesz, że to, czego tak bardzo się obawiałeś, właśnie nadeszło. Rozchodzi się w tobie niczym fala uderzeniowa, koziółkuje jak pocisk dum-dum.

Musisz to przyjąć wprost w siebie. Musisz wytrzymać. Ciebie nie stać na wściekłość. Nie wtedy, gdy stoi przed tobą, taki błady i zamarty. Zamarznięty.

Trup.

Zdradzony przyjaciel. Oszukany. Niedowierzający. Zdruzgotany.

Hariel.

- Dlaczego?

- Bo Pan tego chce - odpowiadają twoje usta.

- Pan? To szaleństwo! Opanuj się!

- Jestem opanowany jak nigdy.

- Kim ty właściwie jesteś, co? Bo nie nazywasz się Lahatiel, bracie.

Zatruty ten brat. Krwawy. Gorzki niczym piołun.

- Nie. Jestem Daimon Frey, Abaddon. Anioł Zagłady. Destruktor.

Cofa się o krok. Teraz w oczach ma pogardę i obrzydzenie.

- Kat.

- Tak.

Albinos kręci głowę, jego wargi wykrzywia szydery grymas.

- Rany, co za towarzystwo dla biednego, głupawego ptaka niebieskiego. Frey. Żywa legenda. Wielki wojownik i bohater Królestwa. Destruktor. Oprawca! I kłamca, który ze strachu przyjął cudze imię, żeby oszukać i omamić durnych matolek z dna Limbo. Jakichś aniołów służebnych, uciekinierów z Głębi, strzygi, zmory, chłam. Błoto, śmieci. Nieważne odpadki. Co to dla niego wykorzystać ich, otworzyć, a potem porzucić jak zużyte puszki.

- Hariel, przestań.

Celuje w ciebie białym, chudym palcem. Głos mu się rwie z gniewu i bólu.

- Bo co? Zabijesz mnie? Uciszysz na zawsze? I tak masz zamiar to zrobić, więc proszę

bardzo! Przynajmniej nie zginę jak tchórz!

- Miałem was zabrać bezpiecznie do Limbo. Wszystkich. Choćby i siłą. - Nie wiesz, jakim cudem jeszcze jesteś w stanie mówić.

Hariel zaczyna się śmiać. Histerycznie i wściekle.

- No proszę, łaskawca! Zabierze śmieci do Limbo! Siłą. Bo jakżeby inaczej? Dokładnie jak przystało na wielkiego Świetlistego. Daimona Freya, Tańczącego na Zgliszczach. Nie mam zamiaru tego słuchać. Rzygać mi się chce. Idź, odtańcz ładnego kankana na naszych mogiłach, przyjacielu.

Kolejna porcja jadu. Następna fala uderzeniowa. Zniesiesz to. Zniesiesz wszystko.

Albowiem się dopełniło.

A ty zbierasz, co zasiałeś.

Syf, zgniliznę i smród. Odór tchórzostwa i zdrady.

Brawo, Abaddonie. Brawo!

- Wiesz, co ty chcesz zrobić? - Ten oskarżycielski palec jest gorszy niż najgroźniejsza broń. - Chcesz zniszczyć życie! Popatrz, ile go tu jest wokoło. Wszędzie. Życie. To, co najważniejsze na świecie. To, czego każdy skrzydlaty powinien bronić do ostatniego tchu! Nie gasić, panie jakiś tam Abaddon. Chronić. Za wszelką cenę.

Milczysz przez chwilę. Żujesz wstyd. Ma pałący smak żółci.

- Wola Pańska...

- Wola Pańska?! - wrzeszczy z furją. - Fanaberia raczej! Nic mnie nie obchodzi czyja! Światłości czy Mroku! Życie chcesz zniszczyć, Frey! Kolebkę, epicentrum życia. Moją Ziemię. A ja, idiota, ci pomagałem! Pomagałem katu! Mordercy. Mnie masz fantazję zabić! Glizdę, Banię, Jomjaela, Zyzia. Chcesz zabić koty! Widziałeś kiedyś martwego kota, Świetlisty? I co, taki to piękny widok, żeby aż Jasność go pragnęła? Nieżywe dzieci, kocięta, psy, ludzie. Pomarłe ptactwo niebieskie, jakieś dżinny, nieistotne gnomy, geniusze, Głębianie. Ludzie. Całe mnóstwo ludzi. Wszyscy. Dociera do ciebie?! Wszyscy ludzie, jakich Pan stworzył!

Nie wiesz, dlaczego nie milczysz. Nie rozumiesz, jakim sposobem masz jeszcze słowa do wypowiedzenia. I złość. Tak, nieodzowną, wierną wściekłość, która chroniła cię nieraz.

- A może do ciebie nic nie dociera?! Może Jasność ma już dość patrzenia na zło i nędzę? Chce wreszcie z tym skończyć? Może tak naprawdę to wielki początek? Dni radości, Królestwo Niebieskie, które zapanuje nad całym Uniwersum? Obiecane wybawienie? Koniec wszelkiej podłości, niesprawiedliwości i biedy. Czyż nie było zapowiadane? Nikt nie zna zamiarów Pańskich, Hariel. Jedno jest pewne. Światłość nigdy nie niszczy, nie zabija. Tworzy. Gdzie twoja ufność, skrzydlaty?

Albinos wygląda, jakby chciał ci splunąć pod nogi.

- Ufność? Nie, Świetlisty. Ja za dużo widziałem, żeby ufać. Jestem stąd. Z Ziemi. Błota i krwi. A ty? Co ty wiesz? Nie jesteś nasz. Obcy. Z pałaców, ogrodów, bulwarów. Od fontann

pełnych żywej wody i basenów wykładanych perłami. Tam, z góry. Z cudownych Wyższych Nieb, do których szmaty takie jak ja nie mają w ogóle wstępu. Co ty wiesz o życiu? Dla was liczy się tylko władza, polityka, wpływy. Rozgrywka. Gra. Zabawa towarzyska. Kto dziś będzie na rydwanie, a kto pod? Jesteś wielkim panem. Dworakiem. Rycerzem. Szlachetnie urodzonym wybrańcem Jasności. Nie powinniśmy ci ufać! Nigdy.

- Ale zaufaliście. Ty zaufałeś.

Jego mleczone, błękitne oczy są teraz jak dwie flary. Jak skumulowane błyskawice.

- Tak. I to był największy błąd mego zasranego życia.

Odwraca się ku drzwiom i odchodzi. Nie zatrzymujesz go.

Nie ma już nic do powiedzenia.

Cisza.

Cisza jak w trumnie.

Tylko mumie chichoczą szyderczo papierowym, szeleszczącym śmiechem nieboszczyków, a szkielet smoka w kącie szyderczo zgrzyta zębami.

Abaddonie, dopełnia się. Czas się dopełnia. Aby alchemiczna przemiana mogła się dokonać, trzeba coś spalić na popiół, zniszczyć, zabić. Wtedy ołów zaświeci czystym złotem.

Tylko że wokół jedynie *caput mortuum*. Łeb umarlaka. Zaciemnienie. Mrok.

* * *

Pękaty, przysadzisty budynek pompowni w mdłym świetle wieczoru wydaje się rdzawy, jakby ociekał krzepnącą krwią. Na ten widok aż ściska cię pod żebrami.

Śmietnisko.

Dom.

Teraz także twój, w pewnym sensie.

Tyle że nie wracasz jako syn marnotrawny, ale niszczyciel. Ponury Żniwiarz. Kosiarz z sierpem w dłoni.

Pan Nagła Śmierć.

I nie przypuszczasz, żebyś był mile widziany. Już nie.

Jomjael stoi przed drzwiami, niczym strażnik, dobry duch, ochroniarz, bóstwo opiekuńcze, które nie wpuści za próg zła. Demonów. Ciebie.

Więc nawet nie próbujesz wejść.

Jego twarz jest nieprzenikniona, przypomina maskę z żelaza. Kikuty jego skrzydeł sterczą groteskowo, niemal żałośnie.

Bo co może zrobić jeden szlachetny, kaleki Głębianin wobec nadchodzącej zagłady?

Masz w sercu nóż, a ten nóż obraca się i dźga jak wściekły. Niestety, nie zadaje śmierci. Śmierć masz przynieść ty.

Stajesz przed obliczem byłego komandosa i trudno ci uwierzyć, skąd wzięłeś tyle tupetu,

żeby ośmielić się tu przyjść.

Ale rozumiesz też świetnie, że musisz spróbować. Wykorzystać ostatnią szansę. Ponieważ przybyłeś tu, by błagać.

To twoja Canossa, dumny, hardy Rycerzu Miecza. Nie masz pokutnego wora ani bosych stóp, za to ciagniesz za sobą brzemień winy. Wstyd. Żal.

I determinację.

Jomjael milczy, więc zaczynasz pierwszy.

- Jest u was Hariel? W domu nie zastałem ani jego, ani kotów.

Z kamienia jest ten demon. Głos mu nawet nie zadrży.

- Przyszedł parę godzin temu. Ale nie ma zamiaru z tobą gadać, Świetlisty.

Robisz krok do przodu, a on stoi bez ruchu, nie cofa się. Słup blokujący bramę. Nieugięty stary żołnierz.

- Posłuchaj - mówisz ze zdenerwowania tak głucho i ochryple, że z trudem sam się rozumiesz. - Posłuchaj mnie. Zabierz ich stąd, Jomjael. Zabierz do Limbo, Stref Poza Czasem, dokądkolwiek, byle szybko. Proszę. Pomogę wam. Mam środki, przyjaciół. Tylko ich zabierz, na litość Pańską!

Krzyżuje ręce na piersi.

No pasaran!

Jasne, rozumiesz to w jednej chwili.

- Dlaczego? - pyta spokojnie.

Milczysz.

Milczysz. Skończyło się. Dopełniło. Szansa przepadła. Nie odejdą stąd.

- Bo jesteś Aniołem Zagłady, tak? Rozwaliłeś moje miasto, co jeszcze zamierzasz rozwalić?

- Ziemię.

- Ziemię? Tę Ziemię? Całą cholerną planetę?! Czemu, na Mrok?!

Gdzieś rodzi się przelotne zdziwienie, że Hariel mu nie powiedział. Ale zaraz gaśnie.

- Na rozkaz Pański, Jomjaelu. Ja...

Aż się wzdraga, lecz głos wciąż ma zimny i spokojny niczym zamrznięta woda.

- Na rozkaz? Cały kłopot z wami, skrzydlaci, polega na tym, że nie myślicie. Gdybyś myślał, zbuntowałbyś się przeciw jawnej głupocie i okrucieństwu.

- Nie mogę. Nie zdradzę Jasności. Gdybym się zbuntował, stałbym się Głębianinem.

Jasne, stalowe oczy Jomjaela na chwilę stają się straszne.

- Tak jak ja, Abaddonie?

Nie chcesz wałki. Pragniesz tylko, żeby przeżyli.

- Zabierz ich stąd! Proszę. Błagam. Mogą ocaleć. Nie jest jeszcze za późno.

Demon wzrusza ramionami.

- To ich dom. Zrobią, co zechcą.

Odruchowo wyciągasz dłoń, chcesz go schwycić za ramię, lecz się odsuwa.

- Ale przynajmniej daj im wybór! Powiedz, że zorganizuję ucieczkę! Ostrzeż ich, dobrze? Tu są dzieci, biedacy, uciekinierzy...

Odwraca się bez słowa.

- Jomjael? Proszę! Poczekaj!

Patrzy na ciebie jak na coś, co długo gniło.

- Po co? Nie ma już nic do powiedzenia. Teraz zamknę drzwi domu, które niebacznie otworzyłem kiedyś przed tobą. Zamknę i nie otworzę więcej. Nigdy tu nie przychodź, Niszczycielu.

Trzask. Zamka, a potem zasuwę.

Stoisz sam w ciemności.

Destruktor.

Abaddon.

Śmierć.

* * *

No jasne, że to meksykańska knajpa. Hacjenda ubrana i umalowana w straszliwe barwy żółci, czerwieni i fioletu. Na ścianach majowskie zygzaki, sombrero, gitary i bukłaki z tykwy. Pod sufitem ciężko fruują drewniane, kolorowe jak folder reklamowy anioły. Mają wyłupiaste oczy i obwisłe usta notorycznych pijaków. Na ławach kłębią się pasiaste pledy i poduchy z wizerunkami kaktusów. W kącie gipsowy osioł patrzy na gości osowiałym wzrokiem. Rany, brakuje tylko wypchanego sępa.

I czarno-srebrnej tandety pod postacią grupy zawodzących *mariachi*.

Niech ich sobie Blanka wypatruje na horyzoncie. Proszę. Dla ciebie wszystko, mój skarbie.

Ale żarcie dają tu niezłe. I całkiem dobre *mojito*. A Mod pamięta, że ona lubi ten koktajl.

Na początku szło całkiem niezłe. Zadziwiająco niezłe. Siedzieli, pili drinki, jedli i doskonale się bawili. Jak dawniej. Jakby nic nie zaszło.

Widział w jej oczach, w jej twarzy, że chce zapomnieć. Zepchnąć pod dywan incydent z Braksim, uznać za niebyły, wystartować od nowa.

To wydawało się cholernie kuszące. Tak kuszące, że niemal uległ. Pewnie, dużo lepiej byłoby nie pamiętać. Szcherzyć zęby w czarownych uśmiechach, wysilać intelekt na inteligentne riposty, opowiadać zabawne dykteryjki i w ogóle straszyć wszystkie pióra uroczego amanta.

Po prostu zapomnieć.

O końcu świata.

Dobre, nie?

Jasne, mógł zakładać, że zdąży ją zgarnąć tuż przed katastrofą, nic przedtem nie mówiąc. Ot, porwie w ostatniej chwili i zanieś bezpieczną do Głębi. Romantyczne. I śmiałe.

No dobra, ale co, jeśli nie zdąży?

Chwila nieuwagi, wielkie bum i panna Krammer poszybuję w pustą, czarną otchłań Kosmosu wraz z resztkami planety. Fajnie, jeśli w jednym kawałku.

Na Mrok, nie wolno mu ryzykować.

Dlatego siedzą teraz w ponurym milczeniu ponad zielonymi, rozmazanymi resztkami *guacamole* i złotymi trójkątami serowych nachosów, a wokół atmosfera tężeje niczym galareta z pekari.

- Więc twierdzisz, że niedawny huragan powstał dlatego, że w centrum miasta twój serdeczny przyjaciel, Anioł Zniszczenia, toczył walkę z jakimś starożytnym demonem? A ponieważ wygrał, wkrótce Ziemię czeka totalna zagłada. Bo on, znaczy ten twój przyjaciel, za pomocą specjalnego świetlnego miecza rozwali planetę na kawałki, tak? Jak Luke Skywalker Gwiazdę Śmierci? Dobrze rozumiem?

Głos Blanki jest chłodny niczym marcowy strumień, nienaturalnie spokojny i gładki.

Mod spogląda w niesamowicie niebieskie oczy, w których widać więcej furii niż strachu, i wzdycha głęboko.

- Nie. To znaczy tak. Daimon na rozkaz Jasności ma zniszczyć Ziemię. Wkrótce. Nie wiem dokładnie kiedy, chociaż bardzo niedługo. Ale ja mogę cię uratować. I twoich bliskich, jeśli chcesz. Ojca, matkę, kota, psa, braci, kogo tylko zapragniesz.

- Moi rodzice nie żyją - mówi, jakby chciała dodać: „Na szczęście, bo moja znajomość z tobą pewnie by ich zabiła”.

- Przykro mi. Chociaż to akurat nie ma znaczenia. Zabrałbym ich bez problemu. Słuchaj, chcę, żebyś się jak najszybciej spakowała. Zostało niewiele czasu. Lepiej, jeśli przeniesiesz się do Głębi od razu. W ten sposób zmniejszymy ryzyko...

Pochyla się, wpatruje w niego arktycznym błękitem.

- Zaraz, do Głębi, to znaczy do piekła, tak?

Kiepsko to zaczyna wyglądać. Prawdę mówiąc, fatalnie.

- Eee... no tak. Z waszego punktu widzenia. Ale tam jest naprawdę ładnie. A ja mam wpływy i mnóstwo kasy. Właściwie jestem szarą eminencją Otchłani. Lucyfer to mój najlepszy przyjaciel, zobaczysz, bardzo się ucieszy na twój widok. To fantastyczny gość, sama się przekonasz. Na pewno się polubicie.

- Polubimy? Z Lucyferem? Księciem Zła? Szatanem? - mówi Blanka głosem, od którego krzepnie i zaczyna się psuć *guacamole*. - Bo to fajny gość. Twój przyjaciel. Boże!

- Właściwie to wszyscy go oczerniają, a nie mają podstaw. Lucek nie chciał niczego złego, w sumie nawet nie pragnął wszczynać buntu przeciw Jasności. Jakoś tak samo wyszło. Naprawdę to zrobił go Samael. Ryży Hultaj. Mój szanowny tatuś, nawiasem mówiąc. Podły sukinsyn. A Lampa to po prostu dobra dusza. Może czasem jest nieco zagubiony, ale to

wspaniały facet, naprawdę. A w Biblii nawet nie chodziło o niego, tylko króla Babilonu. Wiesz, objawienie świętego Jana, „najjaśniejsza gwiazda, która spadła”. Dopiero potem komentatorzy średniowieczni doszli do wniosku, że chodzi o Lucyfera, bo jego imię znaczy „Niosący Światło”. Dlatego w Głębi mówią do niego Lampka. Ale na wszelki wypadek nie wyskakuj z tym za często, bo jeszcze się zrazi... bywa dosyć przeczulony na punkcie przezwisk.

Blanka mruga z niedowierzaniem oczami.

- Na początku myślałam, że jesteś uroczy. Potem, że trochę stuknięty. Ale to są objawy kliniczne, wiesz? Nie znam się na tym, lecz to mi wygląda na zaawansowaną schizofrenię. Nie rozumiem, jakim cudem w ogóle wypuścili cię z zakładu zamkniętego. Przykro mi. Okropnie przykro. Zależało mi na tobie. W jakimś sensie dalej zależy. Od dawna nie jesteś mi obojętny. Jednak nie czuję się gotowa na tak trudny związek. Jesteś ciężko chory. Musisz zadbać o siebie. Leczyć się. Może jeszcze da się coś zrobić, jakoś ci pomóc.

Wyciąga rękę, żeby chwycić ją za nadgarstek, ale Blanka natychmiast cofa dłoń. Bardzo szybko. Za szybko. Jakby mógł ją zarazić brzydką chorobą.

- Zaraz, przecież mnie widziałaś! Prawdziwego mnie, Asmodeusza, a nie Saturnina Markolfa! I mojego brata, Abraksasa! Pamiętasz? Przestraszyłaś się go. Mogę, w każdej chwili mogę znów się przemienić. Na dłużej. Zobaczysz, jak wyglądam, a potem zabiorę cię do Głębi. Na krótką wycieczkę, żebyś się przekonała, że mówię prawdę. Blanka, proszę, nie odchódź!

Ale ona już wstaje, gniewnym, szybkim ruchem sięga po torebkę. Nie słucha. Nie chce słuchać. Jeśli obawiała się nieszczęsnego pierścionka zaręczynowego lub podobnego numeru, nie mogła się poczuć bardziej zawiedziona.

Bo to wszystko nie tak, nie tak...

Mod po raz pierwszy żałuje wyboru tej knajpy, takiej gwarnej i kolorowej. Powinien zabrać ją do jakiegoś kameralnego miejsca. Przyćmione światło, mało gości. Tutaj nie zaryzykuje przecież przemiany. Żeby ją przekonać, nie wystarczy zrzucić magicznego przebrania tylko na moment. Najlepiej gdyby zechciała się z nim spotkać w pracowni lub mieszkaniu, ale na to nie ma co liczyć.

- Blanka, przynajmniej spróbuj mnie wysłuchać! No przecież widziałaś Braksa! Nie wypieraj się.

Sznuruje usta.

- Nie wiem, co widziałam. Coś. Może nic. Przywidzenie. Chwilowa halucynacja. Ale nie diabła, rozumiesz? W to się nie dam wrobić! Żegnaj, Saturnin. Ja... miałam nadzieję... sądziłam... Nieważne!

Raczej wybiega, niż wychodzi, a Zgniły Chłopiec wie, że nie chce, żeby widział, jak płacze. Nie goni jej, nie zatrzymuje. Co by to dało? Szarpaninę na ulicy. Skandal. Awanturę. Nie więcej.

Dopija resztkę wina, patrząc w zielone, pobrużdżone oblicze *guacamole*. Trudno, nie udało się. W końcu nie liczył na jakiś spektakularny sukces. Ale nie podda się. Nie pozwoli jej zginąć. Zaciska pięści.

O nie, tym razem to się tak nie skończy. Uratuje Blankę. Za jej zgodą lub nie. Teraz zapłaci spokojnie rachunek, każe wezwać taryfę, a w domu zaraz weźmie Oko Nocy, wezwie swoje najwierniejsze dżinny i postawi na posterunku pod jej domem zaopatrzone w najlepszy latający dywan, jaki ma w kolekcji. W razie najmniejszej oznaki niebezpieczeństwa, fruuu... i Blanka ląduje w Głębi.

Nie czas na fochy, moja panno. Po wszystkim jeszcze mi podziękujesz, myśli i wysącza do dna kieliszek.

Na drewnianej scenie, pod sennym okiem gipsowego osła, pojawia się pękaty, wąsaty kolo w ogromnym sombrero o barwie przejrzalej pomarańczy. W ręce znacząco dzierży mandolinę.

Najwyższa pora się zmywać.

Rozdział VIII

Wygląda jak dawniej, myśli Gabriel z pewnym zdziwieniem. Zupełnie tak samo. Wcale nie sprawia wrażenia szaleńca. Ani trochę.

Patrzy w suchą, krogulczą twarz przyjaciela, w oczy bez dna obwiedzione fosforycznymi, zielonymi kręgami tęczy. Na ciemne jak kosmos włosy splecione w krótki harcap, tatuaż z salamandrą zdobiący policzek.

Daimon ma na sobie czarny strój rodem z Głębi, dobrze dopasowany i skrojony. Wysokie buty z klamrami, skórzaną kurtkę. Widocznie Asmodeusz zadbał, żeby prezentował się przyzwoicie.

- Witaj, Dżib - mówi tak dobrze znajomym, ochryłym głosem.

Spotkanie odbywa się w parku, w chłodnym cieniu pochylonych, pokręconych ze starości drzew, wśród dobrze utrzymanych klombów i kojąco zielonych trawników. Trochę to dziwna sceneria, żeby przekazywać sobie Gwiazdę Zagłady, oręż niosący Ziemi śmierć, ale za to miłsza niż ponury cmentarz albo gigantyczne wysypisko.

Wygodne ławeczki na wdzięcznie krzywych nóżkach zachęcają, żeby usiąść. Nieliczne starsze panie szydełkują lub czytają romanse. Ktoś spaceruje z psem. Dzieci obsypują się piachem z piaskownicy i plaskają po głowach łośpatkami. Nad nimi pochyla się z troską jakaś znużona anielica stróż.

Zwykła, ziemna sielanka.

Gabriel naprawdę nieco głupio się czuje.

Co to ma być? Wodewil? Za chwilę wypomadowany tenor wyskoczy zza drzewa i zaintonuje: „Siedzie pod tym klonem regent z Abaddonem”?

Idiotyczne wrażenie.

- Dobrze cię widzieć, Daim.

Usta Anioła Zagłady wykrzywiają się w ironicznym uśmiešku. Wygląda jak wilk, który przed chwilą zeżarł przynętę, lecz uniknął paści.

- Naprawdę? A to niezłe.

- Masz - odzywa się Razjel i wyciąga w obu rękach pudło z bronią.

Frey ostrożnie odmyka wieko. Jego twarz pozostaje niewzruszona.

- Zastanawiałem się, w jaki sposób udało ci się jej dotknąć, Raz.

Pan Tajemnic wzrusza kościstymi ramionami.

- Po prostu jestem niezłym magiem. Skąd wiedziałeś, że w sejfie wisiała podróba?

Wilczy uśmiech pogłębia się. Nie, jasne, że Daimon nie ma zamiaru zdradzać Panu Tajemnic sekretu Gwiazdy. Na wszelki wypadek. Kto wie co się jeszcze wydarzy?

- Po prostu jestem całkiem niezłym Aniołem Zagłady.

Razjel uśmiecha się niewesoło, lecz ze zrozumieniem.

Nie czas na okazywanie zaufania. Niestety nie.

Masz ją. Trzymasz w dłoniach. Słyszysz, jak skarżą się i przeklinają zaklęte w niej dusze. Teraz znów jesteś kompletny. Cały. Wypełniony potencjalną mocą niszczenia.

Prawdziwy Abaddon.

Wysłannik Bożego szaleństwa. Albo miłosierdzia.

Nie wiesz. Nie dano ci łaski wiedzy.

Możesz już spokojnie wykonać rozkaz.

Możesz zabijać.

W imię Pańskie.

A potem tańczyć na zgliszczach.

Do upadłego, do śmierci.

* * *

- Co teraz zrobisz? - pyta z napięciem Gabriel.

Daimon unosi miecz, przygląda mu się z uwagą, jakby oceniał, czy przyjaciele nie wyszczerbili lub inaczej nie uszkodzili ostrza.

- Nie wiem. Muszę pomyśleć.

- Nic cię już nie powstrzymuje. Możesz wsiadać na Piołuna i zbierać w sobie siłę destruktora.

Frey opuszcza broń, jego oczy robią się czujne i niespokojne.

- Przecież Piołun od początku trzyma z wami. Nie ma go tu teraz, więc sądziłem, że nie chce mnie widzieć...

Razjel i Gabriel patrzą po sobie, a policzki Abaddona bledną gwałtownie.

- Nie trzyma z nami, Daim - mówi Razjel. - Byliśmy pewni, że ukrywa się wraz z tobą na Ziemi.

- Nie, na Mrok!

Pan Tajemnic podnosi uspokajająco ręce.

- Dobra, znajdziemy go. Tylko się nie denerwuj!

Nie denerwuj?!

Anioł Zagłady patrzy z niedowierzaniem na miecz, a potem po twarzach archaniołów. Bezwiednie zaciska i prostuje palce.

Piołun.

Najwierniejszy towarzysz.

Który nigdy go nie zawiódł.

Z którym przemierzał odległe, kosmiczne szlaki na krańcach świata.

Z którym wjechał głęboko w Cień, żeby pokonać Antykreatora.

Z którym dzielił niezliczone trudy i niebezpieczeństwa.
Który niejednokrotnie uratował mu życie.
Teraz samotny, porzucony, być może uwięziony lub martwy.
Bo w niego zwątpił.
Tak łatwo, od razu, bez zastanowienia.
Kolejny zdradzony przyjaciel.
Wstyd, żal i smutek. Znowu do zakarbowania w niechlubnej kolekcji Abaddona.
- Daim? Daim! Już dobrze. Znajdziemy go, przysięgam - mówi z troską Razjel, a Freyowi nie pozostaje nic innego, tylko starać się w to uwierzyć.

* * *

Jest trochę jak dawniej. Ale niezupełnie. Czasami wydaje się, że czas się cofnął, nic szczególnego nie zaszło. Lecz zaraz potem zapada długa, krępująca cisza. Ciężka. Naładowana pretensjami i żalem.

Trochę jak metronom. Cyk i znowu jest dobrze, nawet można się śmiać, napomykać o czymś, co miało miejsce dawno temu, żartować i pić, a potem znowu cyk i wszystko pokrywa cienka warstwa lodu. Szron nieufności.

- Mój agent go znalazł. - Razjel skubie końcówkę warkocza, ale stara się uśmiechać krzepiąco. - Michał go porwał i więzi w budynku sztabu generalnego.

- Cholera!

To źle. Trudno o bardziej strzeżone miejsce niż ten pieprzony sztab. W samym sercu nowego wojskowego imperium Pana Zastępów.

- Wyciągniemy go - obiecuje Gabriel. - Niech no tylko skończy się ta afera.

Mimowolnie odsłaniasz kły. To nie afera, do diabła. Interwencja Pana na taką skalę to dla ciebie coś w rodzaju awantury, Dżib?

Milczysz jednak. Czasem lepiej milczeć.

Szron między wami nawarstwia się i kostnieje.

- Nie ma mowy! Potrzebuję go teraz.

- W porządku - to oczywiście Głos Rozsądku Razjel. - Postaram się obmyślić jakąś akcję ratunkową.

- Byle szybko.

Błękitne oczy Pana Tajemnic są czyste i nieprzeniknione.

- Zrobię, co w mojej mocy, Daim.

Gabriel poprawia się w fotelu. Siedzicie w knajpie „Pod Urzniętym Noem”, w prywatnym gabinecie szefa. Podobno to dobry kumpel Asmodeusza. Wystrój przypomina raczej klasyczny pub niż biblijny korab. Ciemna boazeria, zielony aksamit, sztychy przedstawiające sceny myśliwskie i marynistyczne. Miła, stonowana elegancja. W sam raz na pojednanie z

dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Lub jatkę w stylu irlandzkich gangsterów.

Okaze się, co wyjdzie.

- Nie wiem, czy stać nas na ten pośpiech. W końcu Piołun siedzi już tyle czasu, że parę dni go nie zbawi.

Gdyby wzrok mógł dawać w mordę, Pan Objawień już trzymałby się za rozkwaszony nos.

- Sugerujesz, że miałem go w szczerej dupie, a teraz nagle mi zależy, tak?

- Nie sugeruję. Po prostu...

- Cisza! Zamknijcie się obaj! - Razjel podnosi głos. - Dobra, Daim. Wyciągnę dla ciebie Piołuna. Załatwione? Starczy?

Stać cię tylko na skinienie głową.

- No to pięknie. Dogadane. Ratujemy konia - burczy Gabriel bez zachwytu. - Raz, daj znać, jak tylko coś wymyślisz.

Wyraźnie nie bierze cię pod uwagę. Jesteś jak gdyby z klucza, z góry odsunięty, co nieco cię wkurza.

- Idę z wami - oznajmiasz dobitnie.

Przyglądają ci się, jakbyś nagle obrósł pąklami.

- Nie ma mowy - protestuje regent. - Nie wolno ci się pokazać w Królestwie. I to gdzie, w sztabie? Chcesz się pchać prosto w łapy Michała? Czy przyszło ci do głowy, co by się stało, gdyby cię dorwał? Za duże ryzyko.

Spokojnie zapalasz papierosa.

- Piołun to mój przyjaciel. Nie mam zamiaru siedzieć na tyłku, kiedy potrzebuje pomocy.

- Aleś się ocknął! - warczy Gabriel. - Tak się sadzisz, jak to wypełniasz bezpośrednią wolę Jasności, a pozwalasz, żeby wszystko szlag trafił tylko po to, by ukoić kwilące sumienie. To dopiero pięknie!

- Dżib, nie przeginaj, bo przypomnę ci, jak ty się odniosłeś do Pańskiego nakazu! To się bunt nazywa, wiesz, stary?

- Panowie, proszę! - grzmi Razjel.

Dobra, milkniecie, ale patrzycie spode łba.

- Kto i dokąd pójdzie, a kto nie, zdecydujemy, kiedy już wymyślę jakiś sensowny plan. Na razie nie ma się o co kłócić. Może wszystko załatwi nasz wywiad. Jeśli stwierdzą, że tak będzie bezpieczniej, nie dopuszczę, żebyście niepotrzebnie ryzykowali. Obaj, rozumiecie? W tej chwili priorytetem jest wydobycie z ciupy Piołuna. Ktoś się nie zgadza?

Wszyscy się zgadzają.

Przecież siedzisz tu z przyjaciółmi, popijasz piwo i palisz pety.

Czysta sielanka.

- Matko, co to znowu jest? - pyta regent.

Wpatrujecie się ze zdumieniem we flaszkę postawioną na stole przez Razjela. W mętnej, żółtawej cieczy pływa coś, co przypomina wybrakowanego konika morskiego, ewentualnie zdeformowany embriion zebry. To coś przygląda wam się zasnutymi bielmem, wyłupiastymi oczami kijanki. Co chwila drga nerwowo jakby w ataku czkawki.

- Koniunkulus - odpowiada Razjel. - I radzę uważać. Nie stłuczcie aby butelki. Cholernie się namęczyłem, żeby go stworzyć. Do tego jest potrzebna naprawdę zaawansowana magia.

- Będziemy go pokazywać w cyrku dziwołagów?

Pan Tajemnic patrzy na regenta z urazą.

- Dżib, użyj czasem głowy do myślenia, dobra?

Podchodzisz do stołu i ostrożnie stukasz palcem w szkło. Stworek nie reaguje.

- On chce podmienić tę żabę na Piotuna - wyjaśniasz.

Pan Objawień minę ma pełną wątpliwości.

- Wśród żołnierzy Michała pewno mało się trafia ichtiologów, jednak nie sądzę, żeby...

- Nie wygłupiaj się, Gabriel. Chyba nie czas na to! - irytuje się Razjel.

Wygląda na padniętego, jakby kilka dni nie spał. A przecież od waszego ostatniego spotkania minęło ledwo kilkanaście godzin. Książę Magów dotrzymał słowa. Pośpieszył się.

- Wcale się nie wygłupiam. Tylko nie pozwolę, żebyśmy ryzykowali, realizując wymyślony na poczekaniu, niedopracowany i, wybaczone, Raz, zupełnie wariacki plan.

No tak. Znow się zaczyna. Przecież kłóćcie się o to już od dobrej godziny.

- Jest dopracowany. I najlepszy, na jaki nas teraz stać.

- Najlepszy?! Na Jasność! Razjel, czy ty słyszysz, co mówisz?

Niespecjalnie się dziwisz, że Gabriel jest wściekły. Prawdę mówiąc, mimo że bardzo chciałbyś uwolnić Piotuna, nawet ty masz wątpliwości. W sumie określenie tego planu słowem „wariacki” wydaje się bardzo delikatne. On jest, niestety, kretyński. Zupełnie jakby jego autorem był nie Pan Tajemnic, a niezbyt rozbawiony przedszkolak. Wygląda na sabotaż albo produkt zaćmionego umysłu.

Ale błękitnooki archanioł wygląda i zachowuje się jak zawsze. Spokojnie, pewnie i fachowo.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że mój pomysł może się wydawać dziwaczny. Ale uwierz mi, wiem, co robię. Dżibril, w porównaniu ze mną znasz się na czarach jak Abel na grzybach. Mam zamiar użyć nadzwyczaj trudnej, potężnej magii. Sugestii ponadzmysłowej połączonej z zaawansowaną wiedzą alchemiczną. Wybaczone, lecz w tym momencie to jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy. Jeśli chcemy uwolnić konia, musimy postąpić tak, jak sugeruję, albo odpuścić.

Pan Objawień wygląda, jakby miał go zaraz szlag trafić. Stara się opanować, ale kiedy się odzywa, jego głos aż łamie się ze złości.

- Dobra, w takim razie podsumuję, a ty sprostuj, jeśli coś nie będzie się zgadzać. Za

pomocą latającego dywanu my trzej, ty, Daim i ja, mamy się po prostu przenieść do zamkniętej części stajen, tam, gdzie Michał trzyma Piołuna. Hop i jesteśmy. Bez przebrania, ochrony, dodatkowej broni. Jak kęski podane wprost na widelcu, tak?

Razjel potakuje skinieniem, a oczy Gabriela robią się wąskie i niebezpieczne.

- Aha, fajnie. Następnie ty zaczynasz swoje hokus-pokus i nagle nikt nas nie rozpoznaje. Dla tej bandy żołnierzy, a nawet samego Michała w razie czego, jesteśmy zupełnie neutralni. Niemal niewidzialni. Któryś z nas, ja lub Daimon, wlecze ze sobą dywan. Cały, zaznaczam, bo inaczej nie uniesie ciężaru trzech skrzydlatych i rumaka bojowego. Idziemy do boksu, gdzie znajduje się spętany magią Piołun, a wtedy ty podajesz się za weterynarza. Wezwał cię Pan Zastępów, żebyś ocenił stan zdrowia więźnia. Czy ja coś źle mówię? Popraw mnie, proszę, bo nie wierzę własnym uszom.

- Nie ma potrzeby. Na razie wszystko świetnie zapamiętujesz - głos Księcia Magów jest chłodny i pozbawiony emocji.

- Doskonale. Zatem jedziemy dalej. Wkraczamy do boksu, ty tłuczysz butelkę, uwalniając tę uroczą żabę, którą ja bym pewnie ładniej ulepił. Ona rośnie, udając Piołuna, ty szybciotko zrywasz magiczne pęta kępujące konia, tymczasem zaś Abaddon błyskawicznym ruchem zarzuca na niego dywan, wszyscy chwytamy się frędzli i pospołu krzyczymy: „Moc!”. Łądujemy bezpiecznie w twojej, uprzednio sprzątniętej i przygotowanej pracowni, a potem śmiejemy się radośnie i klepiemy po plecach. Ta-dam! Spada kurtyna, wszyscy szczęśliwi, można iść do domu. Tak to ma z grubsza wyglądać, Raz?

Pan Tajemnic zakłada nogę na nogę.

- Tylko z grubsza.

- Fantastycznie, co? - Regent patrzy na ciebie wzrokiem bazyliuszka, ale jedyne, co możesz, to wzruszyć ramionami.

Bracie, ja tu gram rolę buntownika bez powodu. W dodatku Piołun to mój koń. Raczej cię nie poprę.

- Więc wyjaśnij mi łaskawie, co pominąłem?

- Z samej akcji niewiele - przyznaje Razjel. - Chodzi raczej o pewne założenia.

- Na przykład takie, że musimy obaj iść z tobą, inaczej się nie uda, tak? - głos Gabriela robi się jadowity jak gniazdo żmij.

- Będę potrzebował zużyć ogromnie dużo mocy. Prawdopodobnie więcej, niż sam posiadam. Nie wykluczam, że nie znajdę innego wyjścia, tylko zaczerpnąć sporo energii od was. Obydwaj jesteście skrzydlatymi obdarzonymi olbrzymią potęgą. Wyższymi Świetlistymi. Tylko od kogoś takiego mogę pobrać moc tak, żeby go nie skrzywdzić. Dużo lepiej, gdyby było was trzech. Brałem pod uwagę Rafała, ale doszedłem do wniosku, że się nie zgodzi. Zatem musicie mi wystarczyć.

- Wiesz, że to wygląda na tani chwyt? Prostą sztuczkę. Jakby wymyślił to Michał w swoim aktualnym stanie. Szalony, genialny plan trąconego Pana Zastępów.

- Sugerujesz, że Razjel przeszedł na stronę Michaela? - pytasz z niedowierzaniem.

Dzibril obraca się jak podcięty.

- Nie. Mam tylko wrażenie, że wszyscy wokół świrują. Zachowują się jak potrąceni przez merkawę.

- Też odnoszę takie wrażenie, Dżib. I to od dawna.

Spuszcza wzrok.

- No dobra, ale dlaczego Razjel nie użył tej swojej wielkiej magii sugestii na przykład podczas walki z Antykreatorem?

- Bo nie działa na taką skalę. Zresztą umysł Cienia to odrzucony fragment osobowości Pana. Myślisz, że mógłbym mierzyć się czarami z kimś miary Jasności? Choćby i kalekiej czy złej? - Razjel nie wydaje się szczególnie dotknięty oskarżeniami przyjaciela. W ogóle jest odległy i zimny niczym mgły nad zniszczoną Gomorą.

- W porządku. Dajmy na to, że rozumiem. Ale może mi wyjaśnisz, skąd ten weterynarz? Od kiedy Michael tak się interesuje stanem zdrowia kopytnych więźniów?

Razjel wzrusza kościstym wieszakiem ramion. Ostatnio chyba jeszcze schudł. Ubranie wisi na nim jak na kołku.

- To nie ma znaczenia, Dżib. Wszystko jedno, co im wmówię, byle choć trochę trzymało się kupy. Zresztą Michał ostatnio tak zdziwaczał, że każda głupota by przeszła.

- No tak, prawda. - Po raz pierwszy Gabriel nieco odpuszcza. Na jego twarzy widać wahanie. - Nie uważasz jednak, że akcja jest zbyt niebezpieczna? Co wtedy, jeśli wpadniemy w ręce żołdaków Nagietka?

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. Dodatkowo zaopatrzę nas w kawałki dywanu. W razie czego natychmiast zwiewamy. Aha, jedna ważna rzecz. W pracowni, na stoliku, będą stały fiolki z lekarstwem. Kiedy tylko bezpiecznie wylądujemy, podajcie mi natychmiast dwie dawki. W razie gdybym stracił przytomność, znajdziecie też strzykawkę, już wypełnioną płynem.

- Po co ci to? - Regent w jednej chwili wzmaga czujność.

- Tłumaczyłem, że to nadzwyczaj wyczerpująca magia. Będę potrzebował czasu, żeby odzyskać siły i dojść do siebie.

- Czasu? I lekarstw, tak? Tylko tyle czy jeszcze powiesz mi, że coś ci grozi? Możesz, na przykład, od tego umrzeć?

- Mogę.

- No nie! To zupełne szaleństwo. Ja na to nie pozwolę!

Nawet tobie robi się nieswojo. Razjel wydaje się za spokojny. Ale w oczach ma dziwny ogień. I jakby prośbę.

Pozwól mi to zrobić. Zaufaj mi, Daim. Potrzebuję tego. Potrzebuję wreszcie dokonać czegoś dobrego, czegoś szalonego, jak dawniej. Wiem, co myślisz, ale to nie tak. Już nie dają rady być wrednym sukinsynem w imię Królestwa. Pomóż mi, dobra?

Nie jesteś w stanie określić, czy słyszałeś go w umyśle, czy ci się zdawało. Przechodzi cię nagły dreszcz. Spoglądasz na dawnego przyjaciela i widzisz w jego twarzy ogrom bólu. I winy.

Lekko, niemal niezauważalnie pochylasz głowę. Dobra, Raz. Spróbuję. Naprawdę spróbuję znów ci zaufać.

Na białych, zaciśniętych wargach Księcia Magów na sekundę pojawia się uśmiech. Lecz zaraz gaśnie.

Gabriel nerwowo bawi się pierścieniem.

- Wybacz, Daimon, ale w tej sytuacji jestem przeciw. Razjel nie powinien tyle ryzykować tylko dlatego, żeby uwolnić Piołuna. Będzie nam potrzebny tutaj, kiedy katastrofa już się wydarzy. Wyobrażasz sobie skutki wybuchu Ziemi? Miliony dusz, które nagle zaczną służyć do Raju albo, niech Jasność broni, po prostu znikną, przestaną istnieć? A co ze skrzydlatymi i resztą nadprzyrodzonych? Przecież dobrze rozumiesz, że nie damy rady ich ewakuować. To był pic, który ci sprzedałem, żeby zyskać na czasie. Na Mrok, taka akcja trwałaby pewnie całe wieki! Nie wiemy, co nas czeka. Nie domyślamy się nawet, co się potem będzie działo. Pan Tajemnic jest mi potrzebny. Cały, zdrowy i sprawny. Koniec kwestii, panowie. To rozkaz regenta. Piołun musi poczekać na uwolnienie.

- Nie ma mowy - to Książę Magów stanowczo protestuje, nie ty.

Gabriel ma oczy okrągłe ze zdziwienia.

- Daimon musi wystąpić w pełnym rynsztunku destruktora, konno i zbrojno. Inaczej nie ma szans. Nie wiem czemu, nie pytajcie mnie. Oto jedna z tajemnic, którą znam od stuleci. W chwili gdy ważą się losy świata, Abaddon ma stanąć do rozgrywki tak, jak przykazał Pan. W pełni gotów. Dlatego pójdę ratować konia, Dżib. Z twoją zgodą lub bez.

- Na Jasność. - Regent jest wstrząśnięty. - Więc ty od początku wiedziałeś, że wypełniają się właśnie Czasy Ostateczne? To czemu tak bardzo chciałeś powstrzymać Daimona?

- Wcale nie wiedziałem! - Wreszcie Razjel pozwala sobie na wybuch emocji. - Oczywiście, że nie! To absurd! Sekret brzmi tak: „Wojownik blasku i rycerz powinności staną do walki o losy świata”. Skąd miałem przypuszczać, że rycerz powinności to Abaddon, a wojownik blasku akurat Michał? Nie miałem pojęcia, że proroctwo w jakikolwiek sposób odnosi się do tej konkretnej sytuacji.

- Ale teraz już wiesz, tak?

Pan Tajemnic wzdycha ciężko.

- Studiuję magię, Gabrielu. To kapryśna i trudna nauka. Lecz masz rację, po wielu trudach i porażkach dowiedziałem się tego, co właśnie wam wyjawiałem. I niczego więcej.

- Rany!

Tak, to naprawdę świetny komentarz. Jedyne.

Regent Królestwa uparcie potrząsa jednak głową.

- Na litość Pańską, Razjel, zrozumi! Nie wolno ci leżeć bez przytomności, kiedy Daimon

stanie do walki z Michałem. Któremuś może być potrzebna pomoc.

- Ty nie rozumiesz, Dżib - głos Księcia Magów jest pełen znużenia. - Nikt nie może pomóc żadnemu z nich. Nawet ja.

Gabriel w milczeniu szarpie i obraca na palcu pierścień. Wygląda, jakby go poraził piorun.

- Daimon musi zdecydować - mówi Pan Tajemnic. - Teraz wszystko zależy od niego. Znowu. To chyba klątwa.

Nie chcesz tego. Nigdy nie chciałeś, a wciąż stajesz się katalizatorem zmian. Dziką kartą. Tańczącym na zgliszcach tego, co kochałeś i ceniałeś.

O tak. To na pewno przekleństwo. Nie masz wątpliwości.

- Wyciągamy Piołuna.

- Dobrze się czujesz? Jesteś na siłach podjąć akcji?

Ostrożnie dotykasz dziurawego boku. Boli, ale dasz radę.

- Tak. Wchodzę w to.

- Dobrze, więc dziś wieczorem. Po co tracić czas.

Razjel sięga po butlę z omalże zebra.

- Idę z wami - decyduje natychmiast Gabriel.

No i pięknie. Trzej muszkietierowie znowu razem. A z nieba przyświeca im śliczna gwiazdka.

Zagłady.

* * *

Jest środek nocy, ale dziedziniec sztabu świeci mnóstwem latarni. To nic. Nie przeszkadza.

Razjel czuje się wspaniale. Znowu żyje. Jest tak cholernie pięknie, że mógłby tutaj zginąć. Robiąc coś pożytecznego. Dobrego. Jednoznacznie właściwego.

Nie krzywdząc nikogo. Ratując.

Uśmiecha się trochę jak szaleniec, a trochę niczym dziecko, które podkrađło się w nocy do choinki pełnej prezentów.

Bo to nie będzie czarna magia, wcale nie. Potężna. Trudna. Niemal niemożliwa. Ale nie mroczna. Piękna.

- Moc!

Tuż przy nim lądują przyjaciele. Gabriel. I Daimon. Ten sam Daimon, który cały czas podejrzewał, że Pan Tajemnic chce go zamordować, a teraz zdecydował znów mu zaufać. Nie fajnie? Cudownie!

Frey ma nieco niepewną minę na widok wyszczerzonych radośnie zębów archanioła. Ale przecież nie ma się czego bać. Moc jest z nimi. Na pewno.

Stoją na dziedzińcu we trzech, regent i Abaddon spięci i czujni, Razjel wyluzowany jak nigdy.

Teraz, właśnie teraz zostali dostrzeżeni. Robi się nieco zamieszania, dwaj żołnierze z obnażonymi mieczami biegną w ich kierunku, krzycząc groźnie:

- Stać! Stać!

Uśmieć się można, bo przecież żaden z przybyszów się nie porusza. Po co tyle nerwów, panowie? Odprężcie się. Zrelaksujcie. Spokojnie.

Razjel powoli, jakby z wysiłkiem unosi dłoń. Potężna wiązka magii aż wstrząsa jego ciałem. Ma wrażenie, że kości szkieletu wibrują śpiewnie. Za chwilę chyba pękną wiązania w tkankach i Pan Tajemnic zamieni się w krwawy pył.

Ale moc płynie.

- Wszystko w porządku, chłopcy. Wracajcie na posterunek. To nie są ci archaniołowie, których szukacie.

Na Jasność, jaki czarowny ten głos. Łagodny, kojący, niczym słowa samej Królowej. Żołnierze uśmiechają się życzliwie. Ich rysy się wygładzają, pięknieją. Machają przyjaźnie rękami i odchodzą do swoich spraw.

Mimo późnej pory na dziedzińcu jest mnóstwo skrzydlatych. Sami wojacy pod bronią.

Dłoń Daimona bezwiednie wędruje ku rękojeści miecza, ale rozpromieniony, świetlisty od blasku Razjel kręci głową, powstrzymując przyjaciela.

- Nie trzeba. Nie zwrócą na nas uwagi.

Kiedy on się nauczył tak mówić? Jakby sam Metatron nucił dziękczynną pieśń.

Abaddon nie uspokaja się jednak. Wciąż jest nerwowy i napięty. Za to cały dziedziniec rozplywa się w błogości. Żołnierze pozdrawiają się z szacunkiem, przemawiają uprzejmie cichymi, miłymi słowami. Kłaniają sobie nawzajem, otwierają drzwi, podtrzymują ciężkie przedmioty. Ich twarze promieniają radością.

Istny dom wariatów.

- Przepraszam, gdzie znajdę więźnia Piołuna? Jestem lekarzem niebiańskiej konnicy, przysłanym z polecenia Pana Zastępów. Nazywam się Sardanapal. Ocknij się, żołnierzu. To wcale nie jest regent Królestwa i poszukiwany Abaddon, tylko pomocnicy weterynarza. On nie trzyma latającego dywanu, lecz worek ze sprzętem medycznym. Więc gdzie znajdę Piołuna, przyjacielu?

Zagadnięty oficer, młody, lekko pryszczaty o zadartym nosie i łagodnych, zdziwionych oczach barwy czekolady, otwiera i zamyka usta jak akwariowa rybka.

- Tamtędy, panie. Tamte wysokie odrzwia, a potem do końca korytarza.

- Dziękuję jak najuprzejmiej, dzielny wojaku. Niech cię Jasność prowadzi. A przy okazji nakopie do tyłka za zdradę regenta.

Razjel jest blady, na policzkach ma ceglaste rumieńce, po skroni spływa strużka potu. Ale uśmiecha się cudnie, szeroko, szczerze. Hipnotyczny ten uśmiech. Mocarny. Młodzieniec

kłania się i odchodzi.

- Ruszamy.

Biegną przez podwórze, dopadają bramy. Trzeba się śpieszyć, bo Pan Tajemnic zaczyna się chwiać na nogach. W nozdrza uderza zapach stajni. Niespokojne rumaki parskają, uderzają kopytami o podłogę.

- Dobrze konisie. Milutkie, zajęte własnymi sprawami, ciche i senne konisie. Przecież już bardzo późno. Dobranoc.

Na Jasność, ależ to działa. Razjel czuje wzmagający się nacisk magii. Jakby coś odkształcało go w środku, napierało. Jego kości chyba się kruszą, żyły rozciągają, przez całe ciało przebiegają drgania mocy. Oddycha płytko i szybko. Byle tylko starczyło mu sił.

Stajnia uspokaja się. Konie cichną, sennie pochylają łby. Niektóre kładą się w boksach.

Dobranoc. Dobranoc, kochane koniki.

Tylko gdzie ten Piołun?

Tam. Za kolejnymi drzwiami i grubym przepierzeniem. Doskonale go wyczuwa. Jest przecież teraz kondensatorem mocy, żywym czarem.

- Otwórz tę furtę, chłopcze. Wpuść weterynarza wraz z pomocnikami.

Uśmiech. Uśmiech. Drętwieją mu szczęki. Co gorsza też stopy i dłonie. To nic. Już niedługo. Byle do boksu, gdzie czeka Piołun.

Wartownik, stary kapral, waha się. Gapi się nieufnie, na twarzy ma wyraz oszołomienia. Musi być z natury podejrzliwy niczym sam niewierny Tomasz. Niedobrze. Więc trzeba coś na to poradzić.

Ruch ręki. Na Mrok, ile go kosztuje. Jakby musiał się przebijać przez krzepnący beton. Gęste, płynne żelazo.

- Otwórz, proszę. A potem odpocznij. Zdrzemnij się na przykład. Świetny pomysł, prawda?

Szczęk klucza w zamku. Doskonale, udało się.

Tylko Razjel słabnie. Przed oczami widzi konstelacje czarnych i czerwonych plam. Ledwo powłóczy nogami. Magia spala go od wewnątrz. Słyszy w skroniach nieustanny syk płomienia. Drgania mocy.

Magia śpiewa.

Magia nuci.

Na Jasność, jak potężnie i radośnie.

- Razjel? Co z tobą? - Twarz Gabriela, napięta, wystraszona.

- Nic, nic. W porządku - szczerzy się wesoło.

Musiał na chwilę odjechać. Potrząsa głową, jakby chciał wytrząsnąć z uszu melodię mocy.

Dobra, gdzie koń?

Daimon już obmacuje wielką gródź, bada zatrzaśnięte drzwi, potężne, czarne zamki.

- Auć! - Odskakuje i trzepie w powietrzu oparzoną dłoń. - Te cholerne zawory są obłożone zaklęciem!

Pewnie, że są.

Pan Tajemnic uśmiecha się szeroko, coraz szerzej. Wydaje się, że za chwilę kącki ust popękają, a szczęka oderwie się od czaszki.

- Odsuńcie się - nakazuje.

Ruch. Samymi palcami. Dotknięcie syczącej, płynnej magmy czaru i zamki odskakują posłusznie. Radośnie. Oczywiście, że radośnie.

- Jestem weterynarzem, przyjaciele. Przyszedłem uleczyć rumaka. Ależ skąd, wcale nie nazywam się Razjel i nie jestem prawą ręką obecnego tu regenta. Weterynarz i pomocnicy. Tak trzymać, kochane chłopaki. A wy co? Jeszcze nie w łózkach? Tak późno, jesteście tacy zaspani, przewracacie się z potrzeby odpoczynku. No już, szybciotko. Kładźcie się na tym miękkim, pachnącym sianku. Dobranocka. Karaluszki pod poduszki. Słodkich snów. O tak. Dzielne, mądre dzieciaki. Spać!

Obaj wartownicy odkładają broń, pośpiesznie układają się na słomie. Mają takie rozradowane, zadowolone twarze. Będą spać jak niemowlaki. Nie mija mgnienie i słychać lekkie pochrapywanie.

Razjel opiera się o ścianę, dysząc ciężko. Skórę ma popielatą, niezdrową. Rumieńce wsiąkły, pozostawiając na policzkach sine plamy zapadlisk. Tylko oczy, oprawne w czarnoniebieskie otoczki wybroczyn, lśnią czystym, przepelnionym szczęściem błękitem.

Pan Tajemnic wygląda teraz jak trup na haju. Jakby został całkowicie przepelniony i przepalony miłością. Jakby spopielala go Jasność.

- Na litość Pańską, Dzib, musimy wracać! Dość tego. Razjel zaraz tu skona - to głos Freya.

Nawet nie wystraszony. Przerażony.

Księżę Magów uśmiecha się i potrząsa głową.

- Otwórz boks. Koń tam jest.

Więc Abaddon posłusznie otwiera.

- Piołun! - woła i wpada do środka.

Wielkie konisko, spętane siecią magicznych lin niczym żywy baleron, jest wychudzone, skołtunione jak niewyczesany pers i bardzo wściekłe. Poza tym wygląda dość żwawo.

- *O Tańczący, mój pan, bodajby robale żarły jego zakażoną duszę! Jakże się cieszę, serdeczny. Długośmy się nie widzieli!*

- Nie teraz. Potem mi przywalisz. Razjel już ledwo żyje.

- Nie - protestuje przepelniony łaską, szczęściem i miłością Pan Tajemnic. - Jeszcze nie.

Podchodzi do rumaka, maca zmierzwioną grzywę, lekko zapadłe boki i zaczyna zrywać magiczne więzy.

Uderzenie mocy aż przygina go do ziemi. Gdyby nie złapał się grzywy, upadłby. W

głowie słyszy tylko wysokie, wibrujące arie śpiewane przez moc. Źle widzi. Przed oczami wybuchają fajerwerki czaru. Tkanki w ciele pękają, zmieniają się w czerwony pył. Pan Tajemnic krwawi magią.

- Razjel? Słuchaj, bracie, kiepsko z tobą. Może wyjdiesz? Poradzimy sobie jakoś.

Archanioł patrzy na Abaddona nieprzytomnie. Jego tęczęwki buchają błękitem. I magią. Takim strumieniem magii, aż Daimon jest zmuszony opuścić wzrok.

- Ale ja nie dam rady bez was. Lekarstwa. Pamiętajcie o lekarstwach, dobra?

Jeszcze tylko dwie liny krępują drżącego, nagle dziwnie spokojnego Piołuna, gdy rozlega się stukot butów i do stajni wpada niemłody oficer. Na jego czerstwym obliczu maluje się zarówno wściekłość, jak i zaskoczenie.

Daimon zdaje sobie sprawę, że już go kiedyś gdzieś widział. Czy to nie Kalawiel? Jeden z tych bardziej zaufanych podwładnych Michaela?

- Co tu się dzieje?! - wrzeszczy przybyły. - Zdrada! Aresztować ich!

Ale wartownicy tylko wzdychają słodko przez sen, młodszy obraca się na drugi bok.

- Dlaczego chcesz aresztować weterynarza, który bada stan zdrowia więźnia na wyraźne polecenie Pana Zastępów, drogi dzielny oficerze? - mówi Razjel głosem rajskiej fontanny.

Kalawiel otwiera usta, mruga, jednak tym razem coś nie idzie zgodnie z planem, gdyż w tej samej chwili na jego czole pojawia się groźny mars, a dłoń wędruje ku głównej rękojeści.

- Abaddon - skrzeczy słabym głosem. - Gabriel! Brać ich!

- Zgaszę go - syczy Daimon i wyskakuje do przodu.

- Nie! Mój czar szlag trafi, jeśli rozlejesz krew. - Księżę Magów wydaje się przytomniejszy. I silniejszy. - Czeka! Kalawielu, mój kochany bracie. Co ty wyrabiasz? Czemu nastajesz na biednego, starego, nieszkodliwego weterynarza? Przestań, proszę. Natychmiast!

Robi w powietrzu serię gestów, porusza palcami, a Frey nagle czuje potężny odpływ energii. Zawrót głowy, słabość, miękkie kolana i wtedy rozumie, że Razjel czerpie z niego siłę.

- Uśmiechaj się, przyjacielu. I śpij. Śpij długo, słodko, spokojnie. Gniew cichnie, zasypiasz. Emocje gasną. Zasypiasz. Pamięć ulatuje. Zasypiasz. Tak. Teraz.

A stary żołnierz, niczym zwierzę trafiony zatrutą strzałką, powoli osuwa się na podłogę. Wargi ma rozchylone, na brodę zaczyna kapać ślina. Oczy wywracają się w głąb czaszki. Wygląda raczej, jakby tknął go poważny atak, a nie ochota na sen.

Łup. Ciało bezwładnie ląduje na ziemi.

- Czy on zmarł? - pyta zaniepokojony Gabriel.

- Nie - szepcze Pan Tajemnic z głębokim znużeniem. Jest tak blady i zlany potem, że prawdopodobnie za chwilę straci przytomność. - Choć pewnie ma niezłą amnezję. Daimon, dywan. Szybko.

- Już! - Barwny kilim ląduje na grzbiecie Piołuna, lecz Razjel osuwa się po ścianie.

Jego palce niemrawo grzebią w kieszeni, zeszywniałe, bez czucia. W końcu udaje się namacać obłą szyjkę butelki. Archanioł trzyma naczynie niepewnie, słabo. Wystarczy je stłuc. Wystarczy upuścić na posadzkę stajni.

Wzdęty, żabi koniunkulus w kolorze błota niespokojnie miota się w brudnawej cieczy. Palce Razjela rozluźniają się, butla spada.

Brzdęk!

Rozleciała się na kawałki. Doskonale.

Nieudany embrion zebry w tej samej chwili zaczyna puchnąć. Wygląda jak nadmuchana żaba. Jakby zaraz miał pęknąć. Brzuch rozdyma mu się monstrualnie, tępa głowa o wyłupiastych oczach wydłuża i rozszerza, nogi wysuwają teleskopowo. Groteskowy stwór rośnie, osiągając szybko wielkość przeciętnego osła. I puchnie dalej.

- Spadamy - szepcze Księżę Magów, padając na kolana.

Gabriel podnosi przyjaciela, podtrzymuje, chwytą za rękę, wplątuje zeszywniałe palce we frędzle dywanu.

- Teraz.

Daimon przytakuje skinieniem i obaj równocześnie wołają:

- Moc!

* * *

Trzask. Jakiś stoliczek niefortunny odstawiony za daleko od ściany łamie się pod kopytami Piołuna. Trudno zrobić dość miejsca dla bojowego rumaka parasim w miejscu tak zagrożonym jak pracownia Księcia Tajemnic.

- Jesteście? Cali i zdrowi? - pyta nerwowo regent.

- Tak.

- *Zostawiłeś mnie! Posądziłeś o zdradę i porzuciłeś jak zużyte siodło! Niczym dziurawy bukłak! Abaddonie, jakżeś mógł!*

- Piołun, tak mi przykro! Wybacz, bracie. Zbyt łatwo w ciebie zwątpiłem.

- *Zaiste* - głos konia jest pełen gorczy.

- Przestańcie! - krzyczy Gabriel. - Razjel odpływa! Widzicie gdzie te cholerne strzykawki?

Faktycznie, Pan Tajemnic leży na podłodze, siny, nieruchomy. Wygląda jak trup. I nie oddycha. Zdaje się, że wcale nie oddycha. Na litość Pańską!

Regent pochyla się nad przyjacielem osłupiały, bezradny. Daimon miota się po pracowni, szukając leków.

Na Jasność, gdzie te cholerne strzykawki? Na stoliku. Mówił, że na stoliku. Cholera!

Bo one leżą na posadzce. Szczątki stolika. Tam fragment blatu, tu urwana, rozdeptana nóżka. Kawałeczki barwnej inkrustacji błyszczą na podłodze niczym polne kwiatki. I jeszcze

coś błyszczący. Odłamki szkła.

Na Jasność! Odłamki szkła i metalowa igła. Nie! Tylko nie to!

Frey rzuca się na kolana, grzebie w resztkach niegdysiejszego stolika. Wszędzie stłuczone szkło. I jakaś gęstawa, zielona ciecz.

Niedobrze. Strasznie niedobrze.

- *Tam!* - głos Piołuna jest stłumiony, przestraszony. - *Za tobą, pod kawałkiem blatu!*

- Szybciej! - krzyczy Gabriel. - Na Jasność!

- Wezwij Rafała! - odpowiada Abaddon. - Prędeż!

Jego palce już sięgają pod rozbity mebel, macają, dotykają chłodnej gładkości szkła. O Panie, spraw, żeby to była strzykawka, nie fiołka! Niech to będzie strzykawka!

- Rafał! Rafael, na litość Pańską, odpowiadaj! - ryczy Dżibril w Oko Dnia.

Jest. Strzykawka. Nie stłuczona, cała. Dzięki ci, Jasności.

- Mam! - Daimon triumfalnie unosi rękę, demonstrując pojemniczek z igłą pełen zielonkawej cieczy.

Obaj z regentem klęczą nad Razjelem. Ponad ich głowami zagląda wystraszony Piołun, posapując z przejęcia. Obrzucają się bezradnymi spojrzeniami. Żaden z nich nie ma najmniejszych doświadczeń z medycyną.

Gdzie ten cholerny Rafał?

Książę Magów leży bez ruchu, powieki ma sine, skórę w barwie popiołu.

Nic nie wskazuje na to, żeby przez ten czas znowu zaczął oddychać. Nic, do diabła.

- Ty - szepcze Gabriel. - Ja nie dam rady.

Abaddon dzierży strzykawkę niczym mizerykordię.

Spojrzenie ma przerażone i niepewne.

- Jak? Tak po prostu go dźgnąć?

- Nic nie mówił, więc chyba tak. Daimon, szybciej. Przecież on umiera.

Chyba już umarł. W końcu nie oddycha, na Jasność!

- Czekaj. - Regent bierze bezwładną rękę przyjaciela, odsuwa błękitny rękaw, odsłaniając szczupłe, żylaste przedramię - To się chyba tak robi. Widziałem kiedyś, jak Rafał szczepił dzieciaki w Limbo.

No właśnie, gdzie jest ten cholerny Rafał?

- Nie znajdę żyły!

- Nie musisz. Wal!

Więc dobrze, dobrze! Ręka mu drży, gdy wbija igłę głęboko w mięsień, naciska tłoczek. Zielona ciecz znika wewnątrz Razjela. Teraz wyciągnąć strzykawkę i po wszystkim. Naprawdę po wszystkim, bo Pan Tajemnic się nie rusza. Na Jasność, wcale się nie porusza. Wcale.

- Nie - szepcze Gabriel. - Nie! Błagam!

- Yyyyyy!

To Razjel. Razjel, który niespodziewanie unosi się do pionu, niczym Nosferatu wstający z trumny, wisi przez chwilę w powietrzu, a potem spada na podłogę z łoskotem i wdziękiem wora kartofli.

- Raz? Razjel?

Nic nie wskazuje, żeby pierś Pana Tajemnic unosiła się choćby w słabiutkim oddechu. Archanioł nadal wygląda jak truposz świeżo wyjęty z grobowca.

- Dawaj Oko. - Abaddon przypomina sobie stary, ziemski sposób.

Gabriel posłusznie wyciąga komunikator. Daimon pochyla się i przytyka lustrzaną taflę do ust Księcia Magów. Jest. Błady, ledwo widoczny obłoczek pary.

- Żyje! On żyje, Dżib. Będzie dobrze.

- Dobrze - powtarza oszołomiony regent. - Dobrze. Oczywiście.

- Moc! - słyszą za plecami i na podłodze pracowni ląduje dość zdetonowany Rafał. - Zdaje się, że mnie wzywałeś, Gabrieliu?

- Zdaje się, że to było z godzinę temu, Rafael! - warczy wściekle regent.

- Na Jasność, co jest z Razjelem?! - Pan Uzdrowień wydaje się zszokowany.

- Lepiej - mówi głośno i wyraźnie Księżę Magów, a potem znów traci przytomność.

* * *

- Co to jest?! - głos Michaela drga z wściekłości. - Cóż to, u diabła, ma być?!

- Więzień, panie. Wierzchowiec parasim. - Strażnik nic nie rozumie.

Jest wystraszony i skonfundowany. Patrzy na zwierza w boksie i widzi, tak jak zwykle, wielkiego, czarnego, spętanego magią konia.

Nie to, co ogląda Michał.

Z pewnością nie.

Bo w stajni zamiast Piołuna stoi, chwiejąc się na cienkich, patykowatych nogach, coś, co przypomina ogromnego osła, z którego jakiś szaleniec obdarzony mocą miał fantazję zrobić rybkę fugu.

Stwór ma monstrualny, wzdęty brzuch. Sinawa, szara skóra jest gładka, napięta jak na bębnie. Od baloniastego tułowia odchodzi chuda szyja, z długimi, kostnymi wypustkami zamiast grzywy, zwieńczona tępym, baniatym łbem, o długich oklapłych uszach i wyłupiastych gałach ropuchy. Zwierz nie ma wcale pyska, tylko trąbkę jak konik morski.

Rozkraczone, chude kończyny o chorobliwie opuchłych stawach z trudem są w stanie unieść ciężar cielska. Z tyłu zamiast ogona tkwi wiecheć macek.

Wierzchowiec parasim. Dobrze sobie.

Michał, cały rozplamiony blaskiem, przypomina pochodnię gniewu. Twarz ma białą, nienaturalnie wykrzywioną. Oczy ciskają gromy. Rude włosy, falujące niczym ogień, jakby przepojone wewnętrzną elektrycznością, jaśnieją wokół głowy archanioła złudną aureolą.

Gesty są przesadne, pozy dziwaczne, głos afektowany.

Wygląda jak nawiedzony mocą, stuknięty, barokowy posąg ołtarzowy.

- Razjel! - syczy, jakby słuwał trucizną. - Czuję tu smród jego czarnoksięstwa! Nie, na Jasność! Nastał oto koniec tej hańby i grozy! Czas ukrócić bezbożne praktyki upadłych! Wojownik Blasku szykuje się do walki. Słońce powstaje, aby mógł nadejść deszcz oczyszczających łez. Zbroję! Natychmiast szykujcie mi zbroję, padalce! Ostatnia kropla przebrała miarę! Pan Zastępów rusza skruszyć zło ostrzem swego miecza!

Lecz gniewny głos archanioła od dawna już odbija się od pustych ścian boksu, gdyż wartownik, przerażony jawnym atakiem szaleństwa swego przełożonego, uciekł na dziedziniec.

* * *

Wiesz, że ten moment nadszedł. Możesz się łudzić, że wybrałeś się na niewinną przejażdżkę na Piolunie, żeby uspokoić myśli. A Gwiazdę Zagłady zabrałeś z sobą tylko dlatego, żeby nikt jej nie doprowadził. Bo czujesz się lepiej, mając broń przy boku.

Oczywiście możesz znów uciec.

Stchórzyc.

Opowiadać o powinności i lojalności. Bogato i długo.

Powolywać się na brzemień winy, ciężar odpowiedzialności. Nie do zniesienia. Zgoda. Tylko co z tego?

Znów dać się ponieść fali wątpliwości i żalu.

Są słuszne, na Jasność, są przecież słuszne!

Rozpaczać i drzeć o przyjaciół.

Rozpaczać i drzeć o los wszystkich istot na Ziemi.

Dobra, wolno ci. Ale to niczego nie zmieni. Zwłoka będzie jeszcze bardziej bolesna.

Bo słyszałeś Głos.

Głos Pana.

I niczego nie jesteś władny zmienić. Wszyscy, których pokochałeś, zostali ostrzeżeni. Wszyscy, których masz unicestwić, zostaną osądzeni. Nie pozostało ci nic, tylko wysłuchać swego serca.

Tego, w którym rodzi się sprzeciw, wściekłość, żal i wątpliwości.

Tego, w którym mieszka pewność, że Pan przemówił i obwieścił ci swą wolę.

Serca lojalnego zabójcy.

Piolun milczy. Tobie też nie chce się gadać. Nie ma o czym.

Powinność. Gorzkie słowo. Trujące.

Pędzicie przez mrok odwiecznego kosmosu. Obok przelatują, furkocząc ogonami, szalone, wiecznie roześmiane komety. Aniołowie chóru Potęg trudzą się nieustannie, żeby

planety i słońca chodziły bez zgrzytów po gładko naoliwionych, ustalonych u zarania dziejów trajektoriach. Żadna nie może wypaść z orbity, zboczyć choć o kawałek z trasy ustalonej i zaprojektowanej przez samą Jasność.

Nie wiesz, jak to się stało, lecz nagle stwierdzasz, że znajdujesz się w pobliżu ziemskiego Układu Słonecznego. Widzisz żółtą, płonąca gwiazdę, obiegającego ją maleńkiego niczym stulony pąk Merkurego, wiecznie chmurną Wenus w woalce mgieł i tę błękitną, szklaną kulkę, którą Pan ukochał szczególnie.

Tak bardzo, aby pragnąć jej śmierci.

Niedługo Ziemia zniknie. Rozsypie się na szklane, niebieskie odłamki. Gwiazdny pył.

Czy to oznacza, że zwycięży ostateczność naznaczona smutkiem? Raczej nie poznasz odpowiedzi na to pytanie, chłopie.

Coś ci się widzi, że nie.

Moment się zbliża. Nadchodzi. Czujesz go niczym falę mocy płynącą poprzez Kosmos. Nie da się przed tym uciec. Jesteś aniołem i musisz słuchać rozkazów Światłości. Inaczej czeka cię upadek. Życie Głębianina.

Buntownika.

Przeniewiercy.

Zdrajcy.

Teraz, przelotnie, może i pragniesz tego. Odrzucić miecz, nie usłuchać nakazu Blasku. Samemu strącić się do Otchłani. Wieki w Mroku. Ostateczna porażka.

Ale przecież On jest miłością. Czy uczyniłby zło? Czy jest do tego zdolny? Ty masz tylko jedno zadanie, skrzydlaty. Ufać. To takie trudne?

Tak. Śmiertelnie trudne.

Jednak zostaje ci tylko zagryźć wargi, płakać i pokładać ufność. Szlag cię trafia z rozpacz, lecz teraz możesz zrobić tylko to. Ufać.

Ufać, ufać i błagać.

Nie musisz nic mówić. Piołun sam przyspiesza, instynktownie. Dotykasz rękojeści miecza. Czy to teraz? Czy już? Broń milczy. Głosy umarłych dusz są stłumione, przypominają lekki poszum bez słów. Dłoń niepewnie błądzi po głównej.

- Patrz! Z lewej, od wschodu!

Piołun chyba oszalał, żeby teraz cię rozprasać! Zerkasz jednak we wskazanym kierunku, a tam, niczym drugie słońce, wstaje gwiazda. Płynie ku tobie, powiększa się, wyraźniej, a ty czujesz nagle ukłucie w sercu.

I wściekłość. I pragnienie wybuchnięcia ironicznym, gorzkim śmiechem.

Bo już rozpoznajesz, kto ku tobie bieży, konno i zbrojno, poprzez czerń wiecznego Kosmosu.

Zatem nic ci nie zostanie oszczędzone. Zupełnie nic.

* * *

*Na horyzoncie gwiazda jaśnieje
Złotem i miedzią. Anioł spiżowy
Konno i zbrojno pędzi po niebie,
A rdzawe pukle lśnią wokół głowy.*

*Archanioł Gniewu, mąż nieugięty,
W barwy przybrany słońca i szłochu,
Rusza, by zniszczyć pomiot przeklęty,
Po miecz ognisty sięga przy boku.*

* * *

Osadzasz Piołuna, koń drobi nogami w miejscu, odsłania zęby, charczy. Z pyska leje się piana. Ślepią są przekrwione, złe. Czujesz, jak drży z powstrzymywanego gniewu. Rumak pragnie walki, chce zemsty. Ale ty nie.

Na Jasność, ty nie!

- Michał - krzyczysz. - Opamiętaj się! To szaleństwo! Nie widzisz, na litość Pańską?

Pan Zastępów wstrzymuje zmęczonego Klingę. Koń sprawia wrażenie przygnębionego i niechętnego, ale jest posłuszny.

Natomiast jeździec wydaje się opętany. Twarz, wykrzywiona w groteskowym grymasie, pała. W oczach mieszka nienawiść. I blask. Aż broczą blaskiem. Rude włosy powiewają niczym proporzec. Postać jest olbrzymia, pełna siły. Złota zbroja inkrustowana srebrem, magiczna zbroja, opatrzona formułami błogosławieństw i scenami z Wielkiej Bitwy Braterskiej, opina potężny tors. Muskularne ramiona osłaniają karwasze i bojowe rękawice. Nagolenniki chronią nogi, stopy tkwią w szerokich strzemionach wojskowego siodła. Skrzydła lśnią na przemian srebrem i złotem, tknięte czarem nietykalności. Przywodzą na myśl dwa ogromne bojowe sztandary.

W barwach słońca i łez.

Strzeż się słońca i łez, Abaddonie, powiedział Księżyc.

Nie bardzo masz jak, bo potędze pełnej zbroi rycerza parasim możesz przeciwstawić gołe ręce i skórzaną kurtkę pożyczoną od Asmodeusza. I Gwiazdę Zagłady.

Michał uśmiecha się złośliwie.

Co się dzieje z tym skrzydlatym, na Jasność? Oszalał?

Rusza ciężkim truchtem wprost na ciebie. Patrzysz mu w oczy, z których dosłownie wylewa się chorobliwy, dziwaczny blask.

Teraz już nie masz wątpliwości. Tak, pewnie, że oszalał. Szkoda, że w tych dość

przykrych okolicznościach.

Nie chcesz z nim walczyć.

A tym bardziej nie chcesz go skrzywdzić.

Ale teraz widzisz już jasno, że pewnie będziesz musiał.

* * *

*I oto staje w blasku swej chwaty
Wojownik Światła, źrenice płoną,
Pierś wzniosłą kryje puklerz wspaniały,
Ognisty oręż dzierżą ramiona.*

*Dzielnie naciera żołnierz, co w walce
W całym wszechświecie nie ma równego,
Aby powalić podłego zdrajcę,
Co przyjaciela grał fałszywego.*

* * *

Atakuje. Ten wariat naprawdę atakuje. Wyciągnął już z pochwy ognisty miecz, płomienie ślizgają się po ostrzu. Klinga rusza, kopyta grzmia niczym werble. Niewiele ci to pomoże, że w umyśle słyszysz głos miedzianego konia:

- *Wybacz, Abaddonie! Nie znajduję innego wyjścia. Nie zdradzę swego rycerza.*

Mógłbyś powiedzieć: „nie ma sprawy”, gdyby nie pędząca na ciebie góra mięsa, stali i kompletnego szaleństwa.

Piołun chrapie wściekle, wali po bokach ogonem, niczym rozzłoszczony tygrys.

- *Głupcze!* - krzyczy. - *Zrzuć go! Dla jego własnego dobra! Na Mrok Przedwieczny, nie widzisz, że jest opętany?!*

- *Nie mogę, bracie! Zrozum!*

Klinga nie może. I przeprasza. Mała pociecha, nie? Michał jest już tak blisko, że omiata cię żar jego szaleństwa. Gorejący oręż jest większy i cięższy od Gwiazdy Zagłady. Na oko tak o połowę. Musisz się przygotować, żeby odeprzeć cios i nie poharatać Nagietka.

Na litość Pańską, to chyba jakaś farsa.

Lekko uderzasz piętami, Piołun natychmiast wystrzela do przodu niby czarny pocisk. Trzask. Żelazo napiera na żelazo. Miecz Michaela płonie. Jego pociemniałe z nienawiści oczy także. Teraz. Obróć, odeprzyj, niech Gwiazda ześlizgnie się po jego ostrzu. Nie za głęboko, żeby nie zahaczyć o biodro archanioła.

Piołun robi pół piruetu, zgrabnie odskakuje w bok.

Dobra. Michał przeszedł obok, nawet cię nie drasnawszy. A najważniejsze, że sam nie wie, jak do tego doszło. Przecież miał cię rozłupać na połowę. Miga ci w przelocie zaskoczona, wykrzywiona gniewem twarz Pana Zastępów. Klinga, wyższy i masywniejszy niż twój wierzchowiec, nie daje rady wyhamować. Musi zatoczyć szeroki łuk, żeby uderzyć znowu.

Czekasz z Gwiazdą Zagłady w dłoniach.

Na Michaela.

Tego Michaela, którego znasz od zarania dziejów, którego miałeś za zaufanego przyjaciela. Wspólnika. Sojusznika.

Z którym tyle razy śmiałeś się, piłeś, konspirowałeś, przelewałeś krew za ukochane Królestwo.

Gdyby ktoś powiedział, że przyjdzie ci z nim walczyć na śmierć i życie, chyba ci przepona pękła ze śmiechu.

Michał, rozwiany, skrzydlaty, płomienisty i posagowy, jakby wypadł z kart samego Milтона, atakuje znowu.

* * *

*Znaszli oblicze tego mocarza,
Który bez lęku śmiało napiera,
By z bluźnierczego stracić ottarza
Wroga Jasności, nieprzyjaciela?*

*Ten otulony słońcem i łzami
To Pan Zastępów, rycerz Światłości.
Zaś w czerń spowity, szpetny bliznami
Zwie się Abaddon, księżę podłości.*

* * *

Napiera na ciebie. Jego ciosy spadają niczym uderzenia kafara. Jest silny. I cholernie dobry w tym, co robi. Pan Zastępów. Największy szermierz Królestwa. Faktycznie, niestety. To, że umysł ma zaćmiony niczym księżyc w nowiu, nie znaczy, że zapomniał, jak się walczy.

Ty też jesteś niezły. Dajesz radę. Odpierasz jego sztychy, nie pozwalając się zahaczyć. A to niezły sukces w tej sytuacji. Naprawdę.

Sęk bowiem w tym, że nie chcesz zrobić mu krzywdy. A on tobie tak.

- *Głowa!* - krzyczy ostrzegawczo Piołun.

Pochylasz się w ostatniej chwili, płomień ognistego miecza liże cię po włosach niczym oswojony smok. Ale w rzeczywistości nie jest wcale przyjazny. Ma za zadanie zabijać.

Mógłbyś teraz ciąć Michała w odsłonięty bok, ale nie wolno ci tego robić. Więc znów starasz się odbić jego ostrze w górę i zanurkować pod nim. Wywijasz się, zwodzisz, prześlizgujesz pomiędzy uderzeniami. Tańczysz. Pięknie tańczysz na zgliszczach przyjaźni.

* * *

*Walczą. Szczęk mieczy grom przypomina,
Iskry błyskawic ostrza ze stali
Toczą, mrok nocy oręż przecina,
Gdy się mocarze w boju spotkali.*

*Chmura skrzydlata, płomień wcielony,
Tak bije Michał, Światła Prawica.
Cios, i Abaddon w ramię trafiony
Szttychy odpiera jak błyskawica.*

* * *

Zwrot, uderzenie, odbicie, zwrot.

Jesteś zmęczony. Bolą cię nadwerężone zebra i dziura pod nimi, która chyba właśnie się rozwiera i zaczyna trochę krwawić.

Trzask. Szczęk, uderzenie. Żelazo występuje przeciw żelazu. Szczepia się, ślizga, napiera. Płomienie z ognistej klingi Michaela parzą ci palce, osmalają włosy. A on cały czas atakuje. Coraz trudniej odpierać wściekłe, szybkie, nieprzytomnie silne ciosy. Ręce ci mdleją.

Brzęk, ślizg, pchnięcie, odbicie.

Na Jasność, drań jest niespożyty. W ogóle nie traci sił. Wydaje się, że właśnie wstał świeżutki o poranku i ćwiczy sobie szermierkę wraz z ulubionym kumplem.

Wydaje się.

Jest obok, cały w srebrze, złocie i chwale Królestwa, sypiąc ciosami, jakby miał sześć rąk. Starożytne bóstwo, anielski Śiwa w szale niszczenia. Książę niezłomny. Dzielny rycerz walczący z potworem. Masz tuż przed sobą jego roześmiane, wariackie, oczadziałe oczy. Nie widzisz w nich ani krztyny zdrowego rozsądku. Tylko czyste szaleństwo w kolorze oszałamiającej ultramaryny.

Naciera, naciera, naciera.

- Michał! - krzyczysz ochryple, desperacko. - Przestań! Co cię opętało, do czorta?!

Śmieje się, pełen blasku i chwały, pewny rychłego zwycięstwa nad złem. Znaczy tobą.

Wrażym Abaddonem Niszczycielem. Mordercą planety.

Uderza, uderza, uderza.

Bronisz się, bronisz, bronisz.

Ach! Cholera! Dostał cię. Smagnięcie gorąca, nagły ból w lewym ramieniu, jakby ukąsił cię zębaty drapieżca. Głęboko sięgnęło. Czujesz, że mięsień jest przecięty do kości, tkanki otwierają się jak kwiat obrócony ku słońcu.

Słońcu i łzom.

Krwawisz, krwawisz, krwawisz. Michał uderza, a ty wiesz, że za chwilę polecisz z siodła w mrok Kosmosu.

- *Frey! Panie i przyjacielu!* - głos rumaka jest jak wybuch w twoim umyśle.

Nagle unosisz się w górę, zamiast spadać, a Piołun wykonuje ten swój szalony, niemożliwy, zdumiewający odskok, jakby był cholerną antylopą, a nie ogromnym wierzchowcem parasim.

Miecz ognisty przepływa o tchnienie obok twojej twarzy, niczym zjawa z płomienia i stali, a kopyta Piołuna z potworną siłą opadają na powierzchnię utwardzonego, anielskiego traktu. Czujesz, jak to straszne uderzenie rozchodzi się po ciele konia, aż chwiejesz się i omal nie spadasz.

Na Jasność, musiał sobie połamać pęciny! Światłości, po prostu musiał!

- Piołun! - krzyczysz z rozpaczą.

- *Dobrze!* - charczy z trudem. - *Jest dobrze!*

I podrywa się do dalszej walki.

* * *

*Zwarli się. Charczę bojowe konie,
Cofa się anioł w czernie spowity.
Żołnierz Światłości już laur na skronie
Niemalże wdziewa, sił niespożyty.*

*Okrzyk się wielki z ust mu wrywa
I z lwim tym rykiem śmiało uderza,
Wraży Abaddon walkę przegrywa,
Zmiażdżony dłonią cnego rycerza.*

* * *

Kiepsko się robi. Spycha cię z traktu, zmusza do nieustannego cofania. Dąży do jak najbliższego zwarcia, strzemię w strzemię, żebyś nie miał dokąd uciec, wywinąć się,

wykorzystując zwrotność Piołuna. Jesteś cholernie zmęczony. Tracisz dużo krwi. Czujesz, jak przesiąka rękaw, potem bok. Dziura pod żebrami na pewno się otworzyła.

Cały jesteś w czerwieni i czerni. Diabelskich kolorach.

Dopadnie cię. Dopadnie was, bo koń też już dyszy z wysiłku.

Szczęk, szczęk. Uderzenie, uderzenie.

Do diabła, omal nie łamie ci nadgarstków.

Michał. Gwiazda zaranna. Wojownik w chwili rozkwitu. Teraz naprawdę ktoś powinien go wykuć w marmurze. Albo namalować. Taki jest świetlisty, złoty, błyszczący. Sztandary jego skrzydeł powiewają zwycięsko, triumfalnie. Twarz ma barokową, nienaturalnie wykrzywioną w grymasie radości i gniewu.

Kocha walkę. Uwielbia. To jego żywioł.

Walczy ze złem. Zawsze ze złem. Tylko ze złem.

Z tobą.

Szepieni strzemionami, zlepieni końskimi bokami, kręcicie się w kółko, w powolnym, śmiertelnym kontredansie. Jak na osobliwej karuzeli.

Kary koń.

Rudy koń.

Czarny rycerz.

Złoty rycerz.

Od dębu,

Od marchwi,

Od śmierci,

Od chwały.

Karuzela z aniołami.

I już wiadomo, który zwycięży. Ten większy, modry, złoty i srebrny, jak sen o wiecznej sprawiedliwości. Ten w barwach słońca i łez.

Prawy rycerz Pański.

* * *

Lecz nagle cóż to? Płaczcie, Niebioso!

Skrzydlaty heros w siodle się chwieje,

Blednie i słania pod strasznym ciosem.

Którzy ufacie, zbądźcie nadzieję!

We krwi i pocie skapan Abaddon

Miecz triumfalnie w górę unosi.

Michał, skrzydlatych chluba i radość,

Wali się z konia, łaski nie prosi.

* * *

Przegrywasz. Tracisz siły. Za moment ognista zjawa Michałowego miecza pozbawi cię życia. Tak się to kończy, gdy ktoś opowiada się po złej stronie. Występuje w diabelskich barwach. Czerń i czerwień muszą runąć pokonane przez srebro i złocistość.

Przez blask słońca i czystość łez.

Czy nie takie są odwieczne reguły rozgrywki?

Michael nie bawi się już w wyrafinowane sztuczki. Po prostu grzmoci orężem, jakby to był cep. Wydaje mu się, że gra w jakichś jasełkach czy co? Łup przez łeb złego Abaddona!

Mój Daimonie, za twe zbytki idź do piekła, boś ty brzydki.

Cieszy się. Widzisz, jak się cieszy, że cię zabija, i robi ci się słabo z obrzydzenia. Cokolwiek wstąpiło w twego dawnego przyjaciela, z pewnością nie ma nic wspólnego z Jasnością.

Trzask! Szczęk! Trzask!

Wali bez opamiętania, niczym głupie, złośliwe dziecko, które uparło się psocić. Nie poznajesz go. W ogóle nie jesteś w stanie go rozpoznać. To obca istota. Opętana.

Bliskość zwycięstwa odziera go z resztek rozumu. To już nie wielki wojownik, wytrawny szermierz, tylko prymitywne zwierzę. Tłucze, bije, gromi, rozwala.

Jego miecz wiruje w powietrzu, tańczy bez sensu, byle mocniej uderzać. I w tym leży twoja szansa.

Czujesz, że długo już nie dasz rady odpiierać tej młócki. Przyjmujesz jeden po drugim nawałę ciężkich, mocarnych ciosów. Ramiona masz ulepione z bólu i poparzeń, tors i boki z zakrzepłej krwi.

Michaela ogarnia szal bitewny. Obnaża zęby, jakby warczał. Jest nietknięty, potężny w swojej magicznej zbroi, kuloodporny. Tylko ty obrywasz przy tej zabawie, dlatego okazuje się taka fajna.

Zamierza się niedbale, nieuważnie, odsłaniając lwią głowę z grzywą szafranowych włosów. Lekceważy cię. Lży samym wyrazem twarzy, błyskawicami ciskanymi z oczu. W ogóle się ciebie nie lęka. Któż by się bał wrażego Abaddona?

I wtedy unosisz miecz, obracasz, uderzasz. Gwiazda Zagłady śmiga w powietrzu, wąska, piękna, jak atakująca żmija. Nie chcesz go zabić. Mimo wszystko nie pragniesz jego śmierci, dlatego to obciążona elegancką, stalową kulą rękojeść twojej broni uderza w skroń Pana Zastępów.

Dźwięk jest głośny i paskudny.

Michael chwieje się w siodle, wyraźnie zamroczony. Szalony, płonący błękit jego tęczęwek przygasa, ruchy stają się powolne. Unosi miecz, ale nie potrafi się dobrze

zamachnąć.

Za to ty potrafisz. Wkładasz w ten cios resztki sił, modląc się, żeby słoneczna zbroja wytrzymała. Tniesz go przez pierś skosem w dół, żeby zepchnąć z konia.

Michał otwiera szeroko oczy, zaskoczony, wciąż oszołomiony, a ty patrzysz, jak wali się posąg. Ogromna srebrzysta i złota statua w kształcie rosnącego, pięknego anioła. Łamią się i składają chorągwie skrzydeł, wyniosła sylwetka składa wpół, nogi wypadają ze strzemion i żałośnie, zabawnie sterczą przez ułamek sekundy nad łękiem.

Jeszcze мгновение i z łomotem zrzuconego złomu Pan Zastępów ląduje na twardym trakcie.

Upadek mocarza wstrząsa Kosmosem. Gwiazdy drżą, komety zlatują się z piskiem i chichotem.

Klinga stoi na rozkraczonych nogach, potrząsając zdumionym łbem. Nie może uwierzyć, że jego pan przegrał. Że leży sromotnie na ziemi, pojękując słabo. Miecz ognisty wypala w trakcie cuchnącą spalenizną dziurę.

Czujesz, jak Piołun drży ze zmęczenia, gdy powoli, z wysiłkiem zsuwasz się z jego grzbietu.

- Michał? W porządku? Nic ci nie jest? - to twój własny głos, tak ochrypliły ze zmęczenia, że brzmi niczym odgłos przerdzewiałego silnika.

Twarz twego przyjaciela, wroga i niedawnego przeciwnika wykrzywia się w grymasie furii i nienawiści. Aż się cofasz, bo bije od niego czarny blask wściekłości.

Wydaje się, że zaraz wybuchnie wiązką przekleństw, on jednak sięga niemrawo do biodra. Uchylasz się odruchowo, pewien, że za chwilę w twoją stronę śmignie nóż.

Jednak palce Michaela zaciskają się na brudnej szmatce, a usta układają w kształt słowa: „Moc!”.

Archanioł znika.

* * *

*Tak w otchłań runął największy z wojów,
Aż jęk się poniósł przez kosmos cały.
Abaddon wraży, kosiarz pokoju,
W mrok bieży, syty zemsty i chwały.*

*O Ziemi miła, bliski twój koniec!
Skrzydła swe czarne jak kir rozkładasz,
Kacie planety, zły Abaddonie.
Biada ci, świecie, po trzykroć biada!*

* * *

Piołun okropnie kuleje. Stawia nogi ostrożnie, z wyraźnym trudem.

- *Abaddonie?*

- Wszystko w porządku. Wracaj do Królestwa. Potrzebny ci lekarz.

- *Tobie też. Krwawisz.*

Faktycznie. Całe ramię i bok oblepia krzepnąca, rudziejąca posoka.

- Nic mi nie będzie. Zaraz zabandażuję cię. Idź, Piołun. Ja muszę zostać sam.

- *To teraz? Tuż po walce? Przecież nawet Jasność odpoczywała po stworzeniu.*

Patrzysz mu w oczy. Tak, ale tym razem nie będzie stworzenia, lecz zniszczenie.

- Muszę wykonać rozkaz Pański. Przyjacielu, już czas. Zrozum, to zadanie powinienem wykonać sam. Wracaj do Królestwa. Klinga ci pomoże.

Wierzchowiec Michała stoi z boku ze spuszczoną głową. Nie śmie spojrzeć na Piołuna.

- *Nie pragnę cię teraz porzucić.*

Uśmiechasz się krzywo.

- A ja nie pragnę rozwałać Ziemi. Obaj nie mamy za wiele do powiedzenia, co?

- *Czasem słowa nie są istotne.*

- *Idź, proszę. Klinga, zabierz go.*

Rudy koń podsuwa się o krok.

- *Abaddonie, ja...*

Uciszasz go ruchem dłoni.

- Wiem. Jesteś wierny. Mimo wszystko. A to cholernie trudne.

Nie odpowiada. Piołun podchodzi ku niemu, kuśtykając jak zajeżdżona chabeta. Ciężko ci na to patrzeć.

- *Żegnaj, bracie - wyrywa ci się nieopatrnie.*

Koń staje jak wryty.

- *Nie! - krzyczy. - Wróć! Inaczej nie odejdę!*

Ależ idiota z ciebie. Debil numer jeden. Po coś to powiedział? Sam sobie narobiłeś problemów.

- *Musisz. Rozkaz Jasności...*

- *Nie! - Łupnięcie kopytem o ziemię, od którego aż ci się robi słabo ze strachu o jego nogi. - Czyliż więzy przyjaźni słabsze się mają okazać niż siła powinności? Wróć! Przysięgnij!*

No pięknie.

- Oczywiście, że wrócę. Nie utrudniaj, proszę.

Nie daję się zwieść. Jest wściekły. I przerażony.

- *Przysięgnij!*

Patrzysz na miecz, na Gwiazdę Zagłady, którą przed chwilą wznosiłeś przeciw

przyjacielowi.

- Dobrze - mówisz. - Przysięgam. Na oręż Abaddona. Zadowolony? Ale idźcie już. Naprawdę muszę być sam.

Wreszcie usłuchał. Wlecze się kopyto za kopytem, kulejąc, za Klingą. Nawet nie odwraca łba.

To dobrze.

Nie wie, biedak, jak bardzo dobrze.

Zostajesz wreszcie sam, z brzemieniem swojej powinności.

* * *

Blanka Krammer gapi się w telewizor, nie wierząc własnym oczom. Wszędzie, na każdym programie to samo. Czerwone banery, na paskach u dołu ekranu krzycząca nagłówkami panika. W studiu eksperci, naukowcy, astronomowie, astrologowie, ksiądz.

Reportaże z największych miast świata, migawki pełne biegających bezładnie, wystraszonych ludzi.

Zamieszki. Demonstracje feministyczne, ekologiczne i religijne. Walki uliczne. Ludzie wzywający bogów. Ludzie błagający bogów. Ludzie przeklinający bogów.

Wieszczę, prorocy, duchowni, aktywiści. Antyglobaliści. Komuniści. Rasiści. Politycy. Mnóstwo gadających niedorzeczności polityków. Istne teatr paniki.

To wasza wina!

Nie, właśnie, że wasza!

Efekt cieplarniany. Odwrócenie biegunów Ziemi. Kataklizm ekologiczny. Przepowiednia Majów. Przepowiednia Nostradamusa. Przepowiednia Sybilli! Protokoły Mędrców Syjonu! Spisek Watykanu! Zatruliście planetę, dranie! Matka Gaja wreszcie się mści! Zmiecie ludzi ze swej powierzchni! Dofikaliście się, śmieciarze i truciele.

Spadaj ze swoją planetą, zielony porąbie! To cholera leci z kosmosu, debile!

To przez was, to przez was, to przez was!

Módlcie się i pokutujcie!

Za wasze grzechy, za wasze grzechy, za wasze grzechy!

Strach. Wszędzie strach i groza.

Sypią się pytania.

Panie profesorze, skąd się wzięła ta kometa?

Nie kometa, asteroida.

Meteor.

Odprysk kosmicznego śmiecia.

Jądro ferrytowe i otoczka z lodu. Nie, wcale nie! Kawał międzygwiazdnej skały. Wytracony z orbity. Nie ma żadnej orbity, dryfuje w pustce.

Jak to możliwe, że nie został wcześniej zauważony?

Konsternacja.

Nie wiem.

Nie wiem.

Nie wiemy.

Czy uderzy?

Być może.

Prawdopodobnie.

Niewykluczone.

Kiedy?

I tu zaskakująco zgodni.

Zaraz. Wkrótce. Jutro. Dziś. Za chwilę.

Co to będzie oznaczać dla całej planety?

Kataklyzm.

Katastrofę.

Zagładę.

Koniec.

Finito.

Pozamiatane i zagrabione. Ziemia nie przetrwa. Nawet szczury. Nawet karaluchy.

Świat przestanie istnieć.

Co robić? Co robić?

Nic. Modlić się. Umrzeć z godnością.

Blanka sięga po drinka z campari i wody sodowej. Nie panikuje, nie płacze. To wszystko jest zbyt irracjonalne. Abstrakcyjne. Nie do uwierzenia. Można się bać choroby, wypadku, zbrodniarza, wojny, ale globalnego kataklyzmu? Po co? Poziom szoku jest zbyt wysoki.

Patrzy na telefon. Nie, do cholery, nie będzie do niego dzwonić. Jak to powiedział ten wysoki w okularach? Umrzeć z godnością. Idź do diabła, Saturnin.

Nawet kosmiczna zagłada nie spowoduje, że uwierzę w te twoje brednie.

Komórka jest cicha i ciemna. Jak noc. Jak pustka czarnego wszechświata, przez którą pędzi ku Ziemi kamienna czy ferrytowa śmierć.

Ku Blance Krammer.

Jej wygodnej kanapie, plazmowemu telewizorowi i szklance z campari.

Dlaczego ten przeklęty telefon nie dzwoni? Przecież z całej duszy pragnie odejść w jego objęciach, przytulona, kochana, pocieszona i pełna wybaczenia.

A tak będzie musiała umrzeć sama.

Jak każdy zwykły, samotny, przerażony człowiek na tej cholernej planecie.

Dziny w mieszkaniu Blanki, skulone, przyczajone, niepewne, czekają na sygnał.

Amhad podnosi wzrok, patrzy znacząco na przywódcę.

- Już?

- Jeszcze nie. Czekać na znak.

Czekają.

Gdzieś tam, w górze, Daimon Frey, Anioł Zagłady, zbliża się do Ziemi z uniesioną do ciosu Gwiazdą Zagłady.

* * *

Wypełnia go moc. Pcha przed sobą, wydyma jak żagiel, powoduje, że rośnie i olbrzymieje niczym starożytny kolos. Cały świat się kurczy, zawęża, pędzi w zawrotnym tempie.

Daimon płynie przez atmosferę na czele kosmicznego wichru. Jest teraz golemem z chmur, olbrzymem utkanym z energii i ektoplazmy. Głową sięga stratosfery. Skrzydła kładą cień na całą planetę. Czarny warkocz furkocze niczym ogon komety. Twarz jaśniej niż słońce.

Staje się procesem fizycznym, katalizatorem zmian, wybuchem jądrowym, zimną fuzją.

Ale serce ma zmarznięte, martwe jak asteroida. Ferrytowe jądro w otoczce lodu.

Bo siła, która go popycha, nie jest tchnieniem Pana.

To nie Jasność.

Z pewnością nie.

Ale też nie Mrok. Natychmiast rozpoznałby przepelnione złem, zbrodnicze oddziaływanie Cienia.

Ani magia. Żaden mag nie dysponuje taką potęgą.

To nieznana, potężna emanacja, wibracja niesłychanej siły.

Czy zły? Czy dobry? Nie potrafi ocenić.

Nie wie, z czym ma do czynienia. Nie rozumie, co się właściwie dzieje.

Jest inaczej niż kiedykolwiek przedtem. Miecz milczy. Nie napęła się światłem Pana, nie przemawia, nie ożywa z rozkazu Jasności.

A moc, która wypełnia ciało, choć powoduje przemianę, z pewnością nie pochodzi bezpośrednio od Światłości. Frey staje się Abaddonem, destruktozem, Tańczącym na Zgliszczach, Aniołem z Kluczem do Czeluści, lecz nic nie przebiega tak jak zwykle.

Zniknęła pewność, poczucie spełnianego obowiązku, przekonanie, że wykonuje wolę swojego Pana.

Tym razem Jasność nie dotknęła swego Anioła Zagłady.

Nie położyła mu uspokajająco dłoni na ramieniu, nie przeniknęła wprost do duszy, wlewając w nią otuchę i siłę. Pozostawiła strach, wątpliwości i grozę.

I ciężar decyzji.

Teraz wszystko zależy od ciebie, skrzydlaty. Zajrzyj do swego serca. Co tam znajdujesz, prawy Rycerzu Miecza?

Lecz ono pozostaje ściśnięte, zimne i martwe.

Żelazo i lód pośród pustki Kosmosu.

Dlaczego Gwiazda Zagłady milczy? Czemu nie wypełnia się mocą? Panie, pomóż! Ratuj, bo nie wiem, co zrobić!

Ale Jasność nie odpowiada.

A Ziemia przybliży się, jest już na wyciągnięcie ręki. O uderzenie serca. O cios miecza.

Daimon przepływa ponad światem, ogląda go niczym kalejdoskop. Powiadają, że w chwili śmierci całe życie wyświetla się człowiekowi przed oczami jak film.

Anioł Zagłady patrzy teraz na ostatni dokument przed zgonem planety.

Pod nim przesuwa się rozległy step. Stado gnu i zebra pędzi w popłochu zieloną laguną sawanny. Ludzie tłumnie wylegli przed chaty z gałęzi i suszonego łąjna, zadzierają głowy, patrzą w niebo. Ich skóra jest czerwona od glinki, włosy splecione w misterne warkoczyki. Twarze zatroskane, poważne. Starzec dzierżący rzeźbioną laskę mierzy nią w kopułę bladego błękitu. Kobiety podbiegają do dzieci, tulą je, biorą na ręce. Długorogie, garbate krowy porykują ze strachu. Mężczyźni, chmurni i źli, patrzą po sobie bezradnie.

Nic nie można już zrobić. Nic. Przesądzone.

* * *

Postrzępione, szare szczyty gór, ostre granie, białe łąty lodowców. Klasztor wydaje się przylepiony do zbocza. Trwa pogrążony w ciszy. Tylko dzwonki wiatrowe płaczą ledwie dosłyszalnie. Płoną kadzidła. Spokój jest jak głęboka, nieruchoma, przejrzysta woda. Mnisi w szafranowych i purpurowych szatach szykują się na nadejście wieczności.

* * *

Irbis, śnieżna pantera, pełnym niepokojem porykiwaniem przywołuje swoje młode. Dwa puchate kociaki bawią się, pacając łapkami i podgryzając wzajemnie. One nic nie przeczuwają. Tylko matka oblizuje się nerwowo, bije ogonem, co chwila wstaje i okrąża maluchy. Lecz przed niebezpieczeństwem, które nadciąga, nie sposób się obronić. Instykt ostrzega, by była czujna, więc uderzeniem puchatej, szarej łapy karcie kocięta, żeby za moment przygarnąć je do siebie i chronić własnym ciałem.

* * *

Sucho. Ziemia spalona, spękana. Kopulaste dachy pustelni przypominają termitierę. Święci o smągłych, pociągłych twarzach i oczach, w których odbija się nieskończoność, spoglądają ze ściennych malowideł. Płoną świece. Monaster jest jednak pogrążony w ciemności. Brodaci, ubrani na czarno mężczyźni śpiewają w starożytnym, zapomnianym języku, błagając o miłosierdzie nad światem i polecając swe dusze Bogu.

* * *

Powietrze jest gęste. Lepkie niczym zakrzepła woda. Parno. Dżungla poci się deszczem. Kolorowe ptaki przywodzą na myśl latające kwiaty. Kwiaty wyglądają jak przycupnięte na gałęziach papugi. Mały wrzeszczą z przestachu. Jaguar, największy wśród szamanów, przemyka między gęstwiną liści. Spośród zieleni mrugają nerwowo tysięczne oczy jego cętek.

Czarownik o terakotowej twarzy, całej pokrytej siecią zmarszczek niczym pęknięty i połatany garnek, przemawia do swego plemienia. Gestykulując i potrząsając berłem z czaszką piżmoszczura na szczycie, przekonuje swoich, że nadszedł koniec. Tasurinczi Stwórca postanowił unicestwić świat. Słuchają w skupieniu. Pytają, czy słońce spadnie i czy to dlatego, że za wolno wędrowali przez las? Wszyscy przecież wiedzą, że tylko od nieustannej wędrówki zależą losy słońca i świata. Szaman rozkłada bezradnie ramiona. Nie wie, lecz to niewykluczone. Może okazali się słabi i leniwi. Prowadzili zbyt osiadłe życie, budowali chaty, zakładali poletka, zamiast zbierać i polować. Kto zrozumie, jaka jest przyczyna gniewu Tasurinczego? Siadają więc na ziemi, zapalają fajki. Niektórzy kładą się w cieniu, pomiędzy liśćmi, przygotowując się na śmierć. Nie ma już nic do dodania. Trzeba czekać.

* * *

Katedra. Kamień zastygły we wzniosły kształt chorału gregoriańskiego. Wieże zwracają się w stronę odwiecznego błękitu, niczym modlitwy wiernych. Witraże jaśniejają blaskiem szkarłatu, kobaltu i złota. Ludzie wypełniają kościół niczym rozlana po posadzce barwna fala. Powtarzają słowa, które przez wieki niosły otuchę przerażonym i skrzywdzonym. Nikt nie krzyczy, nie lamentuje. Tylko od czasu do czasu odzywa się stłumiony szloch. Modlitwa płynie w górę, ku granatowemu sklepieniu pełnemu namalowanych złotem gwiazd, ku tęczowej belce zwieńczonej sceną pasyjną.

Ku niebu. Zawsze ku niebu.

* * *

Na ulicach pełno jest krzyku. Strachu, płaczu i złości. Zablockowane w korkach samochody trąbią. Ludzie pędzą po chodnikach i jezdniach, w rozpaczliwej próbie

zgromadzenia wokół siebie wszystkich swoich bliskich. Matki szukają dzieci, mężowie żon, synowie ojców i krewnych. Panuje gigantyczne zamieszanie, potęgowane przez globalny exodus.

Wszędzie, pojedynczo i grupami, synowie Ziemi z zawiniątkami, torbami, walizami, laptopami, tobołami i komórkami przy uszach szykują się do ewakuacji.

Uciekają.

Chociaż nie mają dokąd.

* * *

W domach jest mnóstwo ciszy. Tylko telewizory terkoczą. Ludzie siedzą w milczeniu, przytuleni. Większość nie wierzy. Przecież wcale nie jest pewne, czy to draństwo uderzy w Ziemię. Jeszcze parę dni temu nikt go w ogóle nie zauważył, żadne przyrządy i skomplikowane urządzenia mądrali naukowców nie zarejestrowały niczego groźnego. Nie wiadomo nawet, czy przeleci tak blisko, żeby spowodować jakieś zakłócenia. Może przez chwilę będą zaburzenia w sieci komórkowej i telewizji satelitarnej. Nic więcej.

Jak zwykle media wszystko rozdmuchały. Bzdury, przepowiednie, katastrofy, byle tylko podnieść oglądalność. Bydlaki własną matkę ugotowałyby w rzygowinach dla prestiżu i kasy.

Nie panikujmy.

Trzeba przeczekać.

Przeczekać.

Czekać.

- W razie zderzenia z asteroidą wszyscy zginiemy - wieszczą jednym głosem telewizory.

* * *

We wszystkich państwach świata podziemne schrony, te stare, pamiętające nuklearny cień lęku, i te współczesne, naszpikowane nowoczesnością, wypełniają się politykami i żołnierzami. Tu także mnóstwo jest strachu, wściekłości, wzajemnych oskarżeń i broni.

Głęboko w trzewiach Ziemi, otoczeni potęgą betonu oraz stali, czekają w zbiorowych grobowcach na uderzenie kosmicznej katastrofy, osobiście pogrzebawszy się żywcem i odprawili ostatnie rytuały pożegnalnych mów do narodu.

* * *

Daimon patrzy na ten ostateczny film z pogrzebu planety, poszczególne sceny przewijają się przed nim niczym akty prastarego teatru kabuki. Migawki z chwili zagłady.

Płacz, poruszenie, strach, desperacja, kontemplacja, skupienie, lekceważenie, beztroška.

Ludzkie emocje. Zwierzęce emocje.

Także anielskie.

Zrozumiałe, zwykłe, w pełni uzasadnione, dlatego tak straszne.

Tylko przyroda z takim pietyzmem zaprojektowana dłonią Jasności wciąż pozostaje świeża niczym róża w dniu bitwy. Oceany przelewają się przed oczami Freya pełne życia i niezgłębionych tajemnic. Góry wznoszą się majestatycznie, ubrane w białe szuby lodowców. Stepy są gładkie, zielonkawe, niczym miękka wykładzina, lasy przypominają elegancki, kosmaty dywan. Żółty i czerwony przestwór pustyni lśni w słońcu.

Wszystko to wydaje się tak oszałamiająco piękne i odwieczne. Tak doskonale i właściwe, że sama myśl o zniszczeniu tej wspaniałości niesie tylko grozę.

Nie mogę tego zrobić, myśli przerażony.

W tym samym momencie świat kurczy się, umyka, zwija. Kończy się ostatni film o Ziemi. Lecz happy endu, niestety, nikt się nie spodziewa. Reżyser postanowił nakręcić dramat.

Anioł Zagłady stoi w pustce, w głębokiej, lodowej czerni Kosmosu, wznosząc ku górze Gwiazdę Zagłady. Ukochana planeta Pana znów jest niebieską kulką z mlecznego szkła. Bibelotem. Tandetną farfurką. Tak łatwą do skruszenia, do rozbicia.

Wystarczy tylko opuścić miecz.

Miecz, który uparcie milczy, nie rozjarza się mocą Jasności. Jest równie martwy jak otaczająca Daimona ciemność odwiecznej przestrzeni międzygwiazdnej.

NIE MO-GE!

Nie dam rady!

Nie ważę się na to! - myśli w popłochu.

Miecz nawet nie drgnie, nie zalśni słabym poblaskiem Jasności.

Daimon Frey stoi nieruchomo, z paniką w ściśniętym, osłabłym sercu, czekając na jakikolwiek znak.

Tymczasem anielskim traktem, poprzez mrok Kosmosu, kroczy powoli wysoka postać.

Krew w żyłach destruktora znów ożywa na chwilę.

Panie, błagam, niech to będzie ktoś od Ciebie! Nie śmiem nawet marzyć, że Ty w osobie Syna lub sama Królowa, ale niechby choć Metatron, Twój ulubiony skrzydlaty. Proszę, proszę, niech to będzie Metatron! Niech się uśmiechnie i powie, że wyrok odwołany. Niech zacytuje opowieść o Abrahamie i Izaaku. Niech powoła się na Twoje miłosierdzie. Niech przywoła w pamięci łaskę, która spłynęła w końcu na wygnanych z Raju Adama Kadmosa i Pramatkę Ewę. Niech zawoła: „Bu! Aleśmy cię przestraszyli razem z Panem, co, chłopcze? Żebyś widział swoją minę. No już, zmykaj do domu! Oczywiście, że nie będzie żadnej zagłady. Ale niezły wam wycięliśmy numer, prawda?”.

Niech...

Przybysz ma skrzydła. Lecz to nie Metatron. Ani Apolyon zwany Omega. Ani Królowa

lub ktokolwiek ze świętych. To...

- Razjel! Na litość Pańską, co ty tu robisz?

Książę Magów zbliża się powoli, z wysiłkiem, w milczeniu, a w duszy Abaddona ożywa nagła, szaleńcza nadzieja.

Razjel. Pewnie, że tak, kretynie! Przecież jest Panem Tajemnic, powiernikiem Księgi. Zna wszystkie przepowiednie i sekrety Uniwersum. Oczywiście, że to za jego pośrednictwem Jasność postanowiła interweniować, żeby odwołać rozkaz! A ty, idioto, sądziłeś, że pofatyguje się do ciebie osobiście!

Śmieszne!

Na twarzy Daimona pojawia się szeroki uśmiech ulgi, otwiera ramiona, chcąc uściskać przyjaciela.

Raz, stary, dlaczego tak późno? Jeszcze moment i nie byłoby co zbierać.- O rany, tak się cieszę, że cię widzę. Wiedziałeś od początku czy dopiero teraz objawiła ci się właściwa natura przepowiedni? Nie, chyba nie wiedziałeś. Inaczej nie próbowałbyś mnie zgasić czarną magią, wariacie!

Ale oblicze archanioła jest ściągnięte, poważne i znękanе.

Radość Daimona gaśnie jak ogarek, w sercu budzi się niepokój.

- Raz? - pyta niepewnie.

- Musiałem przyjść. Wybacz, po prostu musiałem.

- Co się stało? Powinieneś odpoczywać, dochodzić do zdrowia.

Lekki uśmieszek, gorzki jak skrzywienie z bólu.

- Widzisz, Daim, wezwał mnie obowiązek. Powinni mnie tak nazywać. Razjel Wiecznie Obowiązkowy. Fajnie, co?

- Gabriel wie, co kombinujesz? Gdzie on jest?

- Na Ziemi. Ja też tam zaraz wracam. Lepiej z hukiem wylecieć w powietrze, niż okazać się nieudolnym regentem i jeszcze gorszym doradcą.

Frey patrzy na wysoką, chudą sylwetkę przyjaciela, teraz zgarbioną, jakby postarzałą.

- Nie masz dla mnie dobrych wieści, co?

Książę Magów wolno kręci głową.

- Nie. Przyszedłem, żeby się upewnić. Daim, jesteś w stanie przysiąc na Jasność, że to nie Antykreator przez ciebie przemawia? Że się nie pomyliłeś? Byłeś tak blisko Cienia w walce o Królestwo. Pokonałeś go, ale nawet głębiańskie dzieci wiedzą, że Cię odciska swoje piętno na każdym, który się do niego zbliży. Nie patrz tak na mnie! Ja muszę mieć pewność! Muszę, Frey!

Poczułbyś gorycz i żal, i złość nie do opanowania, gdyby nie to, że oczy archanioła są pociemniałe od udręki i znużenia. Już nie błękitne, mętne jak zmacona woda.

Blade oczy starca.

- Raz, odchodząc, Pan obdarował nas, skrzydlatych, wolną wolą. Ciężki to podarunek.

Niełatwo sobie z nim radzić. Teraz dostajemy coś jeszcze. Coś, co od wieków jest radością i przekleństwem ludzi. Ufność i wiarę. My, mając Pana cały czas w Królestwie, nigdy nie dostępowaliśmy łaski wiary. Wiedzieliśmy i już. Starczyło. Jasność była z nami, czuwała i chroniła, my wypełnialiśmy Jej wolę. Teraz musi być inaczej. Nadszedł czas próby także dla nas. Trzeba nam uwierzyć, że Światłość wie, co robi. Że zawsze wybiera dobro. Długo nad tym myślałam. Cholernie długo. To nie było łatwe dla kogoś, kto przez całe życie machał mieczem, pił wino i miał miłe poczucie wyższości należne każdemu Świetlistemu, jako wybrańcowi samego Pana. Razjel, bracie, powiedz, naprawdę wierzysz, że Jasność dopuści do zagłady Ziemi, jeśli tego nie pragnie? Że będzie beczynnym patrzeć, jak Jej Anioł Zagłady, opętany przez Cień, rozwała najukochańszą, najważniejszą planetę w Uniwersum, czy raczej go unicestwi? Gdziekolwiek jest, sądzisz, że nie powstrzyma jatki na niewyobrażalną skalę? Skoro tysiące lat temu ulitowała się nad jednym, zwykłym dzieciakiem imieniem Izaak? Skoro włożyła tyle trudu i miłości w projekt pod nazwą Ziemia? Tylko dlatego to robię, rozumiesz? Tylko dlatego!

Razjel zakrywa dłońmi twarz. Wygląda, jakby ktoś go uderzył.

- Na Jasność! - szepcze. - Na Jasność! Więc dobrze... Daim. Idź, zrób to. Zawierz Światłości. Wypełnij powinność. Ja... ja zawsze próbowałem jedynie... ocalić to, co pozostało po Jej zniknięciu. Za wszelką cenę zachować równowagę. Być może jestem nie tylko głupcem, ale i ślepcem. Żegnaj. Chciałbym wierzyć, że się jeszcze zobaczymy. Postanowiłem cię powstrzymać, ale teraz... Idź. No idź. Nie będę ci przeszkadzał.

Ciężko patrzeć, jak odchodzi, taki zgnębiony.

Zostajesz sam ze swoim lękiem. I ufnością.

Kłękasz, opierasz czoło o głównię miecza, pochylasz twarz. Słyszysz łkania i wyrzekanie dusz, które unicestwiłeś, niczym odległy poszum roju.

- Panie, tylko Twoja wola! - mówisz cicho. - Ja nic nie znaczę. Tylko Ty, aż po krańce czasu.

Wstajesz, unosisz miecz. Jest martwy i zimny. Światłość nie wlewa się ani w ostrze Gwiazdy Zagłady, ani w twoją duszę.

Chwała Królestwa, której Wieczność strzeże,

Myśmy Jej służki, myśmy Jej żołnierze...

Ziemia leży u twoich stóp. Wydaje się mała jak piłka. Błękitna i zielona. Bańka z dymnego szkła, marzeń i wiary. Kolebka wszelkiego życia.

...Garścią popiołu życie nasze spłonie

W Chwale Królestwa, przed Tym, co na Tronie.

Jesteś Abaddonem. Tańczącym na Zgliszczach. Destruktorem. Aniołem Zagłady. Dzierżysz Klucz do Czełusci.

Ale przede wszystkim, zawsze i wszędzie, jesteś prawym rycerzem Pana.

Zamykasz powieki i zadajesz cios.

Gwiazda Zagłady wbija się głęboko w Ziemię.

Blask wybucha niczym umierające słońce. Zgniatą cię, przepala, spopiela.

Krzyczysz, upadasz na kolana, zasłaniasz ramieniem oślepienie oczy.

Wreszcie Światłość przemówiła i ożywiła miecz. Nieprzytomne, białe światło zalewa cały Kosmos. Objawia się moc Pana. Potężniejsza niż kiedykolwiek.

Jesteś tak blisko, że czujesz, jakbyś umierał. Blask przenika przez ciebie, prześwietla, jakbyś był kliszą. Podmuch Boskiej siły miażdży cię, niemal unicestwia.

Z trudem oddychasz, słaniasz się, przewracasz.

I płaczesz.

Płaczesz z ulgi i szczęścia.

Bo oto na Ziemię poprzez wbity głęboko miecz destruktora spływa moc Jasności. Najczystsza, najpełniejsza potęga, wypełniając całą planetę światłem miłosierdzia, łaski i miłości.

Ziemia jest jak puste naczynie, w które wlewa się obfitą strugą przebaczenie, nadzieja i siła Światła. Pan znów nasycą błękitną kulkę duchem i mocą, a poprzez nią całe Uniwersum. Gasnąca energia życiowa świata znowu może rozkwitnąć.

Ponownie staje się Światłość.

* * *

Panika ustaje. Ludzie patrzą na siebie, mrugają ze zdziwieniem oczami.

To już? Przeszła bokiem? Zmieniła trajektorię? Przefrunęła i tyle? W ogóle nie było żadnej komety? Błąd teleskopów? Zaburzenia satelitów? Pomyłka naukowców?

Nieważne. Nieważne!

Nieistotne, kim jesteś, co myślisz i jak wyglądasz. Fajnie być człowiekiem! Nawet jeśli teraz trzeba będzie pozbierać cały ten bałagan.

Niektórzy się śmieją. Inni padają sobie w ramiona. Tańczą na ulicach. Porzucają tobołki i transparenty. Wszędzie święto!

Jak pięknie! Boże, jak pięknie jest żyć!

* * *

Gdzieś w odległym kraju ludzie o zapadłych policzkach i oczach, które dawno zapomniały, co to nadzieja, wpatrują się z lękiem w niebo.

To ona? Ta gwiazda, co niby ma spaść? Taka czarna? Taka podobna do...

Chmury!

Chmury! Tak, to deszcz! I nie jakaś przelotna, rachityczna mżawka, tylko ulewa! Cudowna życiodajna ulewa! Wielodniowe oberwanie wszystkich zaworów w niebie!

Puste, wyschnięte kaniony po byłych rzekach znów zapełniają się wodą. Spękana, terakotowa ziemia chciwie chłonie deszcz.

Ludzie i zwierzęta tańczą, tarzają się w błocie, piją spadające krople.

Mokną, mokną, mokną! I krzyczą ze szczęścia.

* * *

Daleko, pod niebem rozgrzany jak blacha, tłumy wychodzą na ulice, żeby pić rum, palić cygara i dziękować Panu, świętym oraz oriszom za ocalenie. Śpiewają, klaszczą w dłonie, tańczą. Są razem w tej jednej, szczególnej chwili. Strach ich opuścił. Zbudziła się nadzieja. Czują się silni i radośni. Żyją. Przetrwali. Znów udało im się przetrwać.

A potem spoglądają na swoje smutne, barwne, zaniedbane ulice. Na nędzne, rozsypujące się, obłazące z kolorowego tynku domy. Na przerdzewiałe, ledwo się toczące samochody, które wyglądają jak olbrzymie, przedpotopowe, ogoniaste i pletwiaste dinozaury. Przypominają sobie, jak muszą mieszkać, gdzie pracować, w jaki sposób walczyć o podstawowe produkty i środki niezbędne do życia. Kiedy ostatnio jedli do syta. Kiedy mogli mówić, co myślą. Kiedy śmiali się bez troski.

Pan jest przecież z nami. Orisze też. Udowodnili to, odrzucając przekłętą kometę daleko w Kosmos.

I budzi się w nich gniew.

I rodzi bunt.

Zdolny obalić tyranię.

Dość tego! Dość zniewolenia! Dziś wszyscy mogliśmy umrzeć. I co z tego? Umieramy na co dzień, wegetując w wiecznej nędzy i lęku.

Dość! Dość!

I nagle całą wyspę, gorącą, tętniącą życiem, tropikalną wyspę, ogarnia jedna wielka fiesta. Gniewna. Potężna. Wspólna. Fiesta wolności.

* * *

Gdzieś daleko stąd spięty, smutny człowiek, cały opleciony kablami niczym nowym krwiobiegiem, maca przymocowany pod ubraniem toból z materiałem wybuchowym. A potem patrzy na parkujący autobus pełen dzieci, nianiek, matek, młodych kobiet, studentów i starszków pogrążonych w lekturze gazet.

Nie mogę, myśli. Bóg widzi, że nie mogę. Niech mnie zabiją, trudno. Nie zrobię tego. Zła nie da się pokonać większym złem. A mordowanie dzieci to nie może być dobro. Nigdy.

Autobus odjeżdża.

W ciasnym, brzydkim mieszkaniu ludzie cisną się przed telewizorem, pękatym zabytkiem techniki z maleńkim, biało-czarnym ekranem i długim odwołkiem obudowy. Rozklekotaną, starą sofę pokrywa wielobarwny kilim. Na podłodze leżą poduchy z frędzlami. Na ścianie wisi pawie oko kolorowej mandali. Na szczęście.

Szczęście, które może właśnie się ziści.

Bo w skrzynce telewizora ledwo widoczny, pływający i zanikający niczym duch przywołany z zaświatów, pierwszy sekretarz, ukochany wódz i tyran znienawidzony przez miliony, mówi właśnie o potrzebie reform. O większej swobodzie w poszczególnych regionach. O zaniechaniu akcji zbrojnej i wycofaniu części wojsk ze spornych terenów. O powszechnej amnestii dla dysydentów. O tysiącach ludzi, którzy unikną stryczka lub obozu. Wrócą do domu. O autonomii. O większym otwarciu się na świat, o prawach obywatelskich.

Ludzie skupieni przed ekranem spoglądają po sobie z niedowierzaniem. Boją się. Nie wierzą. Ale nadzieja jest uparta. Mimo wielu lat tłamszenia, gaszenia i strachu rodzi się nagle, gwałtownie w ich sercach, aby wybuchnąć wreszcie wysokim, jasnym płomieniem radości.

* * *

Dziewczyna, ostro umalowana, pociąga co chwila kusą spódniczkę.

Nie, myśli nagle. Nie zrobię tego. To obrzydliwe. Będę się czuła brudna, zbrukana. Czy chcę czegoś takiego? Przecież mogę zarobić w inny sposób. Co mi strzeliło do głowy?

Odwraca się od bramy posesji, wsiada do starego, rozklekotanego autka i odjeżdża. Taka radosna. Taka wolna.

* * *

Lekarz patrzy na wyniki. Marszczy brwi, zaciska usta, jakby się rozżłościł.

- To cud - mówi pacjent cicho.

- Bzdura! W medycynie nie ma cudów! To tylko przypadek niewyjaśnionej remisji. Zdarza się, że choroba sama...

Mężczyzna nie słucha. Uśmiecha się lekko. Myśli o radosnym, ożywczym błysku, który zobaczy w oczach swojej żony. Nareszcie. Po tylu miesiącach, latach. Teraz już zawsze będzie na niego patrzeć oczami jak gwiazdy. Jak płonące komety. Jak szczęście.

To cud. Jest przecież pewny.

* * *

Matka zamiera. Boi się drgnąć. Stoi jak kamień, jak Niobe z krwi i kości, jak nagrobna

płaczka.

Jej śliczna, pulchniutka, złota od loczków mała dziewczynka balansuje na parapecie. Nóżki stawiają krzywe, zezowate krocзки. W stronę krawędzi.

Spadnie! - myśli matka ze zgrozą, od której tężeje krew, a puls zaczyna walić jak młot pneumatyczny. Spadnie!

Straszne obrazy. Wilgotna, brunatna plama. Pukiel włosów przyklepiony do brudnej chodnikowej płyty. Ciec ze szlauchem i szczotą, który z obrzydzeniem zmywa trotuar.

„Patrzy pani, co to się porobiło! Szkoda tej małej. Wszystko przez niedbalstwo i lenistwo, mówię pani. Tera oni zalatani, tylko za kasą, za nowymi samochodami i domami. Gdyby siedziała w domu, pilnowała dzieciaka, nie doszłoby do tragedii”.

I bucik, zagubiony pod krzakiem. Lakierowany, zielony pantofelek z tą śmieszną żabką zamiast klamerki.

- Ma-ma! - Mała odwraca się gwałtownie, uśmiecha.

Potem zdumienie w okrągłych, szarych oczach, bo nagle nie ma oparcia pod nogami. Otwiera się dziura, a zaczyna spadanie.

- Nie!

Dziewczynka chwieje się i przewraca prosto w objęcia wielkiego, miękkiego fotela, który ktoś szalony, nieodpowiedzialny, cudowny, pewnie ona sama, postawił beztrósko pod oknem.

Biegnie przez pokój, jakby to było zdradzieckie bagno, przerażona niemal na śmierć, choć przecież wie już, widzi, rozumie, że wszystko w porządku, dziecko jest bezpieczne.

Mała podnosi się, wykrzywia usta w podkówkę, ale nie wie, czy ma płakać, czy się roześmiać.

- Bum! - mówi, patrząc na matkę, która porywa ją w objęcia, tuli, całuje, szlocha i śmieje się równocześnie.

* * *

Gdzieś ktoś unosi kij, z przekleństwem na ustach zamierza się na psa.

Chudy, żółty kundel podkula ogon, ucieka. Boki ma zapadłe, parchate. W oczach strach.

Mężczyźnie nagle robi się żal.

Co zwierzak winien? Głodny. Pewnie taki sam biedak jak ja.

- No, masz. Chodź.

Rzuca kawałek chleba na pylistą, zakurzoną drogę.

Pies krąży nieufnie, ale w końcu znęcony zapachem jedzenia, podchodzi, porywa kęs, odbiega. Pożera łapczywie, potem ostrożnie podsuwa się do człowieka o krok. Koniec ogona wepchniętego głęboko pod brzuch zaczyna się ledwo dostrzegalnie poruszać.

A może bym go przygarnął? - myśli nagle mężczyzna. Dużo taki nie zeżre, a bezpieczniej mieć przy sobie psa. Będzie czekał na obcych, pilnował obejścia.

Powoli wyciąga rękę.

- Chodź do pana. Chcesz? Masz jeszcze.

Ogon psa zaczyna merdać odrobinę różniej.

* * *

- To niewiarygodny fart, chyba cud! - melduje policjant. - Zgarnęliśmy wszystkich. Przejeliśmy fabrykę i ponad cztery tony czystej kokainy! Nie, nikt nie został ranny. Mamy drani, już się nie wywiną. Sam nie jestem w stanie uwierzyć. Tyle czasu rozpracowywaliśmy sukinsynów i nagle łup! Wpadają! Jasne, przynajmniej parę setek dzieciaków nie pójdzie do piachu, kiedy zniszczymy cały ten zasrany szajs!

Kociak w piwnicznym okienku płacze rozdzierająco. Jest okropnie chudy, sierść ma zmierzwioną, trzęsie się. Patrzy na świat mętными, zaropiałymi oczami.

Mężczyzna, który przechodzi obok chodnikiem, tknięty nagłym impulsem, zwalnia i zawraca.

- No, co ci jest, mały?

Kotek milknie, wystraszony. Drży. Dłoń, która jest większa niż całe jego zmoknięte ciało, wyciąga się, chwyta ostrożnie. Pisk przerażenia.

- Nie drzyj się, głuptasie. Zaraz pójdziemy do domu. Dzieci się ucieszą. Już od dawna proszą o jakiegoś zwierzaka. Zobaczysz. Nie będziesz miał u nas źle.

* * *

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Są obrzydliwe. Szare, z wyłupiastym okiem judasza-podglądacza.

- Jest pan wolny. I oczyszczony z zarzutów. Złapaliśmy tego drania, który zabijał. Bardzo mi przykro, jednak musi pan zrozumieć, w zaistniałych wcześniej okolicznościach...

Nie słucha.

Jezu! Jezu Chryste! Dzięki ci! Wolny! Nie spędzi w tym strasznym miejscu kolejnych dni, miesięcy. Lat, na Boga, lat! Jednak jesteś tam, Panie! Jesteś i nie pozwolisz, żeby niewinny człowiek doznał krzywdy! Cudownie.

Teraz chce tylko jak najszybciej stąd wyjść. Umyć się, wziąć prysznic, długą kąpiel i znów móc normalnie oddychać. Bez strachu. Bez wściekłości. Bez rozpaczy.

* * *

Na całej Ziemi bladzi, znużeni, zniechęceni aniołowie służebni, stróże, ptactwo niebieskie czują nagły przypływ energii. Odzyskują zapal do pracy. Patrzą na swoich podopiecznych, na

drzewa, liście, zwierzęta, na świat, o który nieustannie dbają i drżą, nie oczekując nagrody.

I uśmiechają się.

To ma sens, myślą. Wszyscy jesteśmy częścią planu Jasności. Gdyby nie my, ulubiona planeta Pana nie byłaby tak piękna, ludzie chętniej oddawaliby się złu, a Cień zalegał gęstszy.

Ale jesteśmy.

Żeby was chronić.

Żeby was ostrzegać.

Żeby kochać.

* * *

Wszędzie w świętych miejscach kultu, gdzie gleba, przedmioty, budynki, przyroda dosłownie emanują mocą, a ludzie przybywają, by błagać, dziękować i prosić o radę, nieszczęsne, skrzydlate upiory, ćpyny z Królestwa, którym nie wystarcza już ani trawa z Fatimy, ani łzy świętych figur, niebiańskie wraki, aniołowie w ostatnim stopniu uzależnienia od Jasności, poszukujący resztek Blasku pozostałych po objawieniach i cudach, odczuwają ulgę. Unoszą wychudłe, zapadłe twarze z nadzieją i niepokojem. Wyciągają ramiona, wyschłe i cienkie jak patyki, ku nadpływającemu Światłu. Piją słabe lśnienie wprost z powietrza, sinymi, spękanyimi ustami. Czołgają się ku świętym źródłom, skałom, czakramom, żeby chłonąć ożywczą moc.

Na parę chwil ich straszny głód, nieustanny żar spopielaający serca i dusze, zostaje zaspokojony.

Zamykają opuchłe, żółtawe powieki z poczuciem ulgi. Teraz chcieliby umrzeć. Właśnie teraz, w jedynym od wieków momencie, gdy tęsknota za Panem choć na sekundę przygasa.

* * *

W Niskich Niebach skrzydlaci czują potężną emanację Jasności. Po wielu, wielu latach wreszcie tchnienie Światłości znów nawiedza Królestwo. Klękają na bruku, pochylając kornie głowy. Kiedy fala opada, podnoszą wzrok pełen blasku.

Cudownie wiedzieć, że Pan nie zapomina nawet o swoich najmniejszych, najbardziej niepozornych sługach. Nawet jeśli to tylko odrobina czystej, Boskiej energii. Jedno odległe tchnienie.

Radośni, pełni nowego zapалу zabierają się znów do pracy.

* * *

W Wysokich Niebach Królestwa Świetliści zatrzymują się na chwilę, żeby podziwiać

błękit ponad ich głowami, który rozjarza się naraz eksplozjami barw, niczym gigantyczna zorza polarna.

A, to Pan manifestuje swoją obecność.

Dawno tego nie widzieli. Nie pamiętają jak dawno, chyba bardzo, ale to przecież nieistotne. Pan jest tu zawsze, nie ma co robić sensacji.

Patrzą przez chwilę, a potem uśmiechają się z satysfakcją i wracają do własnych spraw.

W sumie nic specjalnego nie zaszło, prawda?

* * *

Potężna fala Światła przenika przez Ziemię, Królestwo, Głębie, całe Uniwersum i płynie dalej poprzez odwieczny, lodowy mrok Kosmosu.

Gwiazda Zagłady dawno już zgasła, ale wibracje mocy nadal ożywiają wszechświat, niosąc nowe życie, nadzieję i oczyszczenie.

Przynosząc światu Jasność.

Epilog

Deszcz zaczął padać już dobrą godzinę temu. A teraz jeszcze zerwał się wiatr. Zimny, mokry i piekielnie przygnębiający. Asmodeusz zadrżał, podniósł kołnierz płaszcza, mocniej ścisnął rączkę parasola.

Zerknął tęsknie na okna pobliskiej kawiarni. Świeciły niczym iluminatory batyskafu zanurzonego w ciemności przesyconego deszczem powietrza. Zapragnął wejść do środka, ogrzać się, wypić coś ciepłego.

A co, jeśli ona przyjdzie, nie zobaczy go w umówionym miejscu i odejdzie? Cholera, czemu musi być tak pieruńsko zimno?

Podciągnął mokry mankiet i spojrzał na zegarek. Późno. Za późno. Nie przyjdzie.

Mimo to czekał, póki mrok nie zapadł na dobre, a ulice się nie wyludniły.

Dziwna pogoda.

Smutna pogoda.

Bardzo ostateczna.

Budynki, chodniki, latarnie i samochody tonęły w deszczu. Wydawało mu się, że pogrążają się w nicości, rozmywają, zatapiają w podwodnym świetle iluzji i mrzonek.

Blanka nie przyszła. I już nie przyjdzie. Nie ma się co łudzić.

Bo tak to bywa z Ziemiankami.

Zgniły Chłopiec westchnął. A może powinien jednak pozwolić dzinnom ją porwać? Pokazać jej Głębię, przekonać, że nie zwariował, nie kłamał? Nie, beznadzieja. Postradałaby zmysły, znenawidziła go albo wszystko wyparła, zapomniała, usunęła z pamięci skutkiem szoku. Albo, co gorsza, uznała, że podał jej podstępnie narkotyki wywołujące halucynacje. Lepiej, że nie spanikował i wstrzymał akcję.

Chociaż stracił ją tak czy tak.

Wracał do domu, kulejąc, przez zalane wodą, widmowe miasto, zatopione w jesiennej mżawce niczym jakaś przeklęta Wineta. Sam czuł się niby Latający Holender. Istota nie z tego świata, samotna jak jasna cholera, na zawsze obłożona klątwą.

Dotarł pod drzwi antykwiariatu przemoczony do ostatniej nitki, przemarznięty i całkowicie wypełniony melancholią. Czuł się jak dzban pełen smutku, jak naczynie, w którym deszcz i rozczarowanie przelewają kolejne krople gorzkości.

Na wycieracze zobaczył białą kopertę. Skrzywił się z niesmakiem.

Pewno. List pożegnalny. Jeszcze to, jakby ci było mało reszty. Szkoda, że nie miała odwagi zerwać osobiście, patrząc mu w oczy.

Podniósł kopertę. Chciał ją do razu wyrzucić, bez otwierania, ale zdziwił go twardy, kanciasty kształt w środku. Rozerwał papier. Wewnątrz, w otoczce bąbelkowej folii niczym w kąpielni z pianą, spoczywała płyta. Stary singiel.

Asmodeusz długo patrzył na okładkę, nie bacząc na lejący mu się za kołnierz deszcz.

„Sympathy for the Devil”.

Wyrazy sympatii dla Diabła.

Odrobina nadziei.

Kiedy szukał kluczy i otwierał zamki, nie czuł już zimna i wilgoci. Uśmiechał się.

Bo świat jest pełen możliwości, a jutro też będzie nowy dzień, prawda?

* * *

- Tak myślałem, że cię tu znajdę.

Na dźwięk chrapliwego, znajomego głosu Hariel poderwał się, jakby nagrobek, na którym siedział, nagle się otworzył, a nieboszczyk złapał go za kostkę.

- A ja trochę bałem się ciebie szukać - przyznał niepewnie.

Stary cmentarz tonął w zielsku, bluszcz oplatał figury płaczących aniołów i smętnych dziewczic. Mech pienił się w zagłębieniach płyt nagrobnych. Drobne, błękitne i żółte kwiatki przypominały rozsypane groszki. Krople niedawnego deszczu wisiały na pajęczynach, tworząc koleje przeznaczone chyba dla duchów.

Daimon sam wyglądał trochę jak duch. Wysoki, ubrany na ciemno, bardzo blady, z oczami świecącymi zielenią niby u kota.

Zmieszany albinos stał bez ruchu, patrząc na dawnego przyjaciela. Powstrzymał się, żeby wytrzeć o spodnie nagle zwilgotniałe od potu dłonie. Nie spodziewał się wizyty Freya. Prawdę mówiąc, nie przypuszczał, że go jeszcze zobaczy. Przyszedł tu, żeby chwilę posiedzieć w spokoju. Samotny, nawet bez kotów. Dla Zyzia i Małej wciąż było zdecydowanie za jasno.

Anioł Zagłady usiadł na sąsiednim grobowcu, oparł długie nogi o kamienny wieniec laurowy.

- Spokojnie tu, co?

Hariel poczuł nagły niepokój.

Po co to mówi? Chce się zemścić? Odplaci mi za to, że mu nawtykałem? Będzie mnie bił? Wścieknie się? Nie, na Jasność, co ja bredzę! Przecież to mój przyjaciel. Lahatiel. To jest, Daimon Frey.

No tak. Właśnie dlatego się bał. Przyzwyczyił się do pechowego Świetlistego imieniem Lahatiel, polubił go, zrozumiał, że nawet arystokraci z Wyższego Nieba mogą w końcu okazać się całkiem w porządku. Ale Daimon Frey? Legendarny Abaddon? Przyjaciel samego regenta? Straszliwy destruktor, budzący postrach ożywiony trup? Niszczyciel całych światów? Anioł Zagłady słynący z pogardy śmierci i wyniosłego charakteru?

Rany, tego mu było za wiele.

Nie umiał sobie z tym poradzić. Milczał, wlepiając wzrok w zaśnieżone, miedziane kółko do podnoszenia płyty.

Tymczasem Frey skręcał sobie papierosa. Pstryknął palcami, skręt natychmiast rozżarzył się czerwonym ognikiem. Anioł Zagłady zaciągnął się głęboko.

- Nie ma to jak dobra, stara, wojskowa mirra. Przynajmniej szkodzi jak należy i daje niezłego kopa. Chociaż ziemskie pety smakują przy tym jak sam Raj. Chcesz?

- Dzięki, nie palę.

Było coś takiego w fosforycznych, czarno-zielonych źrenicach Abaddona, że koci anioł uniósł wreszcie oczy, uznawszy, że zdecydowanie lepiej spojrzeć dawnemu przyjacielowi w twarz, niż pozwolić, żeby wypalał mu spojrzeniem dziury w koszuli.

Oblicze Daimona było jak ostrze topora. Wąskie, twarde, drapieżne. Na ustach błąkał się lekko ironiczny uśmiezek.

- Właściwie to chciałem cię przeprosić, Hariel. Nie powinienem cię oszukiwać, głupio wyszło. Bałem się, że jeśli powiem prawdę, nie zechcesz mi pomóc. A potrzebowałem twojej pomocy. Potrzebowałem jak cholera.

Albinos zamrugał, jakby miał trudności ze zrozumieniem tego, co usłyszał. A potem jego brzydka, poczciwa twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- Przepraszasz? Mnie? Nie, chłopie, to ja powinienem się pokajać, że w ciebie zwątpiłem.

Głos Freya był serdeczny, ale pełen nieukrywanej kpiny.

- We mnie? Nie, bracie. W Jasność raczej.

Hariel zmarkotniał.

- No tak - szepnął. - Nie zaufałem Jasności. Fatalny ze mnie anioł, co?

- Ale doskonały przyjaciel.

Albinos zerknął na Daimona z niedowierzaniem i nadzieją.

- No co ty! Daj spokój, bo się wzruszę. To znaczy, że nie przyszedłeś tu, żeby mi powiedzieć, że jestem brudną szują, niebiańskim śmieciem i że Świetlisty taki jak ty wstydzi się jakichkolwiek związków z takim przeniewierczym, bluźnierczym, niewiernym odpadkiem i bandą jego zwyrodniałych kotów?

- To znaczy, że żywy upiór, przerażający Abaddon, kat całych światów, drań, łotr i zakąła Królestwa chętnie przyjdzie wypić twój wyśmienity, cuchnący brudną szują rum i utyłać się w futrze zwyrodniałych, dzikich sierściuchów. Może być?

- Jasne! - Wodniste, blade oczy Hariela znów napełniły się błękitem. - Kiedy?

Anioł Zagłady wzruszył ramionami i zdusił peta.

- Choćby zaraz, jeśli chcesz.

- To chodź! Sterchacia się ucieszy. Mam tyle berbeluchy, że możemy pić, aż całe Uniwersum zakotłusze nam się pod nogami. Chyba potrzebuję się z tobą napić. - Albinos zeskoczył z nagrobka żwawo jak szczeniak, ale naraz zatrzymał się, spoważniał. - Lahatiel... znaczy, Daimon, wybac, ciągle mi się jeszcze chrzani. Rozmawiałem z Jomjaelem. Wiesz, kiedy już wszystko się skończyło. Powiedział mi, że gdybym przypadkiem spotkał wysokiego, czarnowłosego skrzydlatego z bliznami i tatuażem w kształcie salamandry, mam

mu napomknąć, że to, co opowiadał o drzwiach, to bzdury, wstyd i cholerne kocopały. Rozumiesz coś z tego?

- Tak - powiedział Daimon. - Zdaje się, że rozumiem.

* * *

- Rany, ale u ciebie ładnie! - Glizda rozglądała się z niedowierzaniem po ogrodzie. - Tyle zieleni, kwiatów i w ogóle... Bania chyba w życiu nie widział.

Mały Głębianin biegał wokół klombu, śmiejąc się, pokrzykując i goniąc rozbawioną widmokatkę. Wyglądał jak sama radość.

Hariel uśmiechnął się, stawiając na stoliku dzbanek z herbatą i nieco tylko obity talerzyk pełen rozmoczonych, starawych krakersów. Lubił, żeby było elegancko, kiedy przyjmuje damę na garden party. Prawdę rzekłszy, zdarzyło się to pierwszy raz, ale i tak miał nadzieję, że ciastka i herbata z róży to odpowiednia oprawa.

Demonica odchyliła się na bujanym fotelu, z lubością wystawiając twarz na słońce.

A albinos patrzył tylko na nią. Dawno nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz, mogąc podziwiać gładkie, zaróżowione policzki, jasne oczy i prosty nos przyjaciółki. Może i nie stała się niebywałą ślicznotką, ale dla niego i tak była niemal tak piękna jak sama Królowa.

- Fajnie tu masz - westchnęła Glizda. - Dom, ogród i takie tam. Naprawdę fajnie.

I właśnie wtedy postanowił, że spróbuje. A co mu tam. Najwyżej odmówi. Starając się, żeby jego głos nie drżał, tylko brzmiał serdecznie i zwyczajnie, nalał herbaty do dwóch filiżanek i powiedział:

- To może byś pomieszkała u mnie trochę? Mam mnóstwo miejsca. Ten pokoik od strony werandy, taki słoneczny, właściwie stoi pusty. Zrobisz sobie wakacje, tak ładnie teraz na dworze. Odpoczniesz sobie, należy ci się.

Spojrzała na niego z takim zdumieniem, że nagle poczuł się głupi. Stary, głupi i zupełnie bez sensu.

- No co ty? Nie gadaj? Mogłabym? Rany, ale fajnie! Naprawdę chcesz, żebym została?

- Aha.

Tylko tyle był w stanie wykrztusić, nagle zażenowany, ale i ucieszony.

Spochnurniała nieco.

- Zaczekaj, a Bania? Co z Banią?

Uśmiechnął się szeroko, już pewny swego.

- Wiesz, koty go lubią.

- Och, Hariel! Dzięki!

Skoczyła ku niemu, uściskała, aż filiżanki podskoczyły na stoliku i nieco herbaty, lepkiej od cukru niczym klej, wylało się na blat.

- Ojej, przepraszam!

- Nic nie szkodzi, zaraz pościeram.

Naraz wszystko znów stało się dobre, jasne i przyjazne, poukładane jak należy. Frey, Glizda, Jomjael. No, wszystko dosłownie. A koci anioł poczuł się tak szczęśliwy, że dla tej jednej chwili byłby gotów wytrzeć morze herbaty własnymi włosami.

* * *

- Pytam po raz ostatni. Gdzie on jest?

Wielki Głębianin, przygnieciony do kontuaru mocarną, kościstą dłonią naznaczoną skomplikowanym tatuażem, tylko warczy wściekle.

- Nie wiem! Cholera, ile razy mam powtarzać!

- Aż się gwiazdy wypalą, śmieciu!

- Daim, zostaw mojego barmana, proszę. Kto mi będzie robił idealne koktajle truskawkowe, jak mu złamiesz kark?

W głosie, na pozór nonszalanckim, słychać napięcie i stłumiony niepokój.

Daimon odwraca głowę ku drzwiom, drapieżny, wilczy uśmiech wykrzywia jego rysy.

- Kam, bracie. Popatrz, a właśnie ciebie szukałem.

Jednym ruchem podrywa barmana w górę i popycha na regał pełen szkła. Brzęczą butelki, Głębianin pada na podłogę.

Niedobrze, myśli Kamael i zaczyna się odruchowo cofać.

Frey rozkłada ramiona, jakby chciał złapać spłoszonego konia.

- Hej, chyba nie wychodzisz? Nie znajdziesz chwili dla starego przyjaciela? Przecież tak się o mnie troskałeś. Kto z czystego, bezinteresownego zmartwienia o moje zdrowe zmysły wydał mnie archaniołom i przyprowadził do mnie Hiję? Może nie ty?

Były hrabia palatyn Otchłani zamiera, jakby przytłoczył go ciężar winy i wyrzutów sumienia.

- Ja. Chcesz mi dać w mordę, to proszę bardzo. Należy mi się.

Daimon poważnieje.

- Gdybym miał wypłacić każdemu, komu się należy, musiałbym dać w pysk połowie Królestwa, Kam. Nie przyszedłem się mścić. Mam dosyć. Światłość nam wszystkim trochę rozjaśniła w głowach. Nie bój się, nie chcę się bić.

Kamael wydaje się osłupiały. Gapi się na Freya jak na postać z jasełek.

- No to po co przyszedłeś?

Abaddon wyszczerza w uśmiechu zęby.

- Może zobaczyć starego kumpla? Przekonać się, czy postawi piwo, zacnie się gęsto tłumaczyć i wykrztusi chrzanione „przepraszam”? Sam twierdzi, że ma za co. Jestem cholernie zmęczony, Kam. Nie chce mi się zaczynać wszystkiego od zera. Popelniliśmy parę błędów. Wszyscy. Ja też. Swoje przeżyłem, trochę zrozumiałem. Jasność nakazuje wybaczać,

nie? To jak będzie z tym piwem?

Niegdysiejszy dowódca Rycerzy Miecza zaczyna się uśmiechać. Śmiać jak wariat. Do sera.

- Rany, Daim. To chyba sen. Bracie, cały czas czułem się jak szmata. Dajesz mi nowe życie, wcale nie ściemniam, chłopie. Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał, żeby znów wszystko było w porządku.

Daimon wykrzywia twarz w uśmiechu. Szczerym. Naprawdę szczerym. Ale i tak nie jest w stanie zapomnieć, że to on musiał wbić Gwiazdę Zagłady głęboko w trzewia Ziemi. Nigdy o tym nie zapomni.

Na Jasność, nigdy.

To wszystko zmienia.

Na zawsze.

Patrzy na Kamaela, który marzy tylko o tym, żeby cofnąć czas i nie pamiętać własnego łajdactwa, własnej słabości i zdrady. Żeby mu wybaczone.

Ja też, przyjacielu, myśli. Ja też niczego innego nie pragnę. Dlatego łatam, co się da. Przebaczam. Zapominam. Staram się nie pamiętać. Inaczej nie miałbym co robić na tym ślicznym, nowym, pełnym łaski świecie.

* * *

Gabinet regenta tonie w półmroku wczesnego zachodu. Świat ma kolor ochry, cynobru i jasnego ugru. Eleganckie meble stoją ciche, pogrążone w kontemplacji. Powietrze zdaje się zupełnie nieruchome, złotawe jak zakrzepła żywica. Bursztyn. Łzy morza. Łzy słońca. Jakby pokój był dziełem namalowanym przez flamandzkiego mistrza. Jest nawet wypukłe zwierciadło w rogu. Żywy obraz. Martwa natura.

Sekunda zamarła w wieczności.

Obaj archaniołowie milczą.

Woleliby tak trwać w spokoju i ciszy, aż pustka Kosmosu eksploduje w ostatecznym wybuchu. Zamarli. Zastygnięci. Przegrani. Ale przecież jest Ziemia. Ocalona. I Królestwo. Trwające. Trzeba się tym wszystkim zająć.

Choćby pragnęło się tylko zniknąć, na wieki zanurzyć w niebycie.

Choćby śmierć wydawała się całkiem kuszącą możliwością.

W końcu milczenie przerywa Gabriel.

- Jak się czuje Michał? - pyta głosem znużonym aż po kres.

- Lepiej - mówi Razjel. - Prawie nic nie pamięta. Jakby przez cały czas był w malignie.

- A nie był?

Pan Tajemnic prostuje się, wyłamuje palce, ziewa ze zmęczenia.

- W pewnym sensie tak. Nie pamięta niczego, od momentu gdy Frey ogłosił, że chce

zniszczyć Ziemię. Nie można go winić za żadną z rzeczy, którą mówił lub robił potem. Był zupełnie niepoczytalny.

- Co mu się właściwie stało? Naprawdę oszalał?

Wąskie usta Razjela wykrzywia grymas goryczy.

- W pewnym sensie. Widzisz, odkąd Pan nas opuścił wiele wieków temu, z Królestwa i Ziemi powoli, lecz sukcesywnie ulatniała się Jego moc. Topniała niczym podgrzany ciepłym prądem morskim lodowiec. Niektórzy skrzydlaci szczególnie odczuwali ten brak. Część z nich zaczynała ćpać. Palić trawę z Fatimy, nawalać się wodą z Lourdes, wciągać skruszoną skałę z Medjugorje. Michał cierpiał, ale starał się trzymać. Nigdy nie używał niedozwolonych wspomagaczy. Pamiętasz, jak brzmi jego prawdziwe imię? „Któż jak Bóg”. Taa, Michael, aby żyć, wciąż musiał być blisko Jasności. Odczuł Jej nieobecność najmocniej, bo znajdował się naprawdę blisko. Lecz, skoro Jasność odeszła, Pan Zastępów nie miał skąd czerpać energii. Był oczywiście w konspiracji, wiedział o wszystkim, popierał nasz spisek, ale, w pewien sposób, próbował o tym nie myśleć, zepchnąć nieobecność Światła do podświadomości. To niedobór Boskiej mocy spowodował, że zupełnie stracił rozum. Zmysły mu się pomieszały. Kiedy Jasność znów nasyciła sobą Ziemię i Królestwo, ocknął się z letargu. Z długiego, narkotycznego snu. Nigdy nie był, jak się obawiałem, opętany Jasnością. Zwariował z Jej braku. Z braku łaski Pańskiej.

Gabriel uśmiecha się krzywo, z ironią.

- Nam to chyba nie grozi, co, Raz?

Archanioł Tajemnic pozostaje śmiertelnie poważny.

- Nie, Dżibril. Chyba nie.

Regent Królestwa przez chwilę bawi się pierścieniem władzy. Cięży mu ten klejnot. Ale równocześnie przypomina o obowiązkach.

Gabriel unosi wzrok, patrzy prosząco na Razjela.

- Pogadasz z Daimonem? Musimy doprowadzić do jakiegoś konsensusu. Uładzić sprawy. Królestwo powinno dalej trwać. Niezmiennie. Także Ziemia nadal znajduje się pod naszą opieką. Pod wieloma względami nic się nie zmieniło. Ja... nie czuję się na siłach. Nie dam rady. Porozmawiaj z Freyem. Zawsze się dobrze rozumieliście. To twój przyjaciel. Dobra, mój też, ale... nie teraz. Potrzebujemy go. Szczególnie w zaistniałych okolicznościach. Zamęt, bunt, niesnaski, destabilizacja, która zagraża układowi z Głębią, to ostatnie, na co możemy sobie pozwolić. Raz, proszę. Przecież potrafisz.

Księżę Magów pochyla znużoną głowę. Twarz ma zniekaną, bladą.

- W porządku - mówi. - Załatwię to. Pogadam.

* * *

Tawerna „Pod utopionym Egipcjaninem” jest, była i zawsze będzie parszywa. Razjel nie

dziwi się wcale, że Abaddon pije. Może trochę, że akurat tutaj.

- Cześć, Daim - mówi i przysiada się.

Frey patrzy na niego nieco ironicznie, nieco niechętnie.

- Raz. To znowu ty. Wracasz jak zły szekiel lucyferiański.

- Od tego są przyjaciele. Zawsze wracają.

Anioł Zagłady milczy.

To jeszcze o niczym nie świadczy. Tańczący na Zgliszczach nigdy nie był zbyt wylewny.

Pan Tajemnic pochyla się, ścisza głos.

- Słuchaj, możesz mnie mieć za szmatę. Za sukinsyna. Bydlę. Ale wybacz Hii. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Manipulowaliśmy nią do spółki z Gabrielem.

Daimon upija długi łyk.

- A mną to nie manipulowaliście, bracie?

Razjel śmieje się cicho, gardłowo. Znowu wygląda jak zawsze. Suchy. Kostyczny. Schludny. Szybko się pozbierał, drań.

- Nie, Daim. Próbowaliśmy, ale się nie dało.

Pierwszy raz na ustach Abaddona pojawia się blady, złośliwy uśmieszek.

- I co? Powiesz mi, że obaj chcecie, żeby było jak dawniej? Dla dobra Królestwa?

Książę Magów wytrzymuje fosforyczny, zielono-czarny wzrok Anioła Zagłady.

- Jasne. A ty nie?

Frey odchyła się na krześle, stuka palcem w kufel.

- Taa. Miłosierdzie, łaska i tak dalej. Jasność nakazuje...

- ...wybaczać? - dodaje Razjel.

Teraz Abaddon naprawdę się uśmiecha.

- Może. Pomyślę o tym.

W końcu ani Gabriel, ani Pan Tajemnic nigdy nie nastawiali na jego życie. Przez jakiś czas sądzili, że zwariował, i próbowali odizolować go i leczyć. A czy on sam nie uważał, że przyjaciele postradali rozum? Że nie chcą go zrozumieć, wysłuchać i wypełnić misji, z którą przychodzi. W końcu jednak okazało się, że oszalał Michael. Interwencja Jasności naprawdę wiele zmieniła. Za trudne to wszystko. Skomplikowane. Potrzeba czasu i spokoju, żeby cokolwiek poukładać

- I co teraz? Będziesz chłwał w Limbo, aż ci wątroba wysiądzie? - pyta zaczepnie Razjel.

Bezczelny typ.

- Nie. Muszę zrobić remont.

- Bo ci Michał poharatał chałupę?

- No. Bo Michał poharatał mi chałupę.

Pan Tajemnic wstaje. Naprawdę lepiej wygląda. Zdecydowanie lepiej. Oczy mu ożyły, już nie przypominają zasnutych bielmem źrenic starca. Rusza się żwawiej. Stracił siłą, niezdrową bladość trupa.

Niewykluczone, że wszystko się ułoży. Niewykluczone.

Pojednanie uzdrawia, chłopie. Zwłaszcza skrzydlatych.

- Potrzebujesz pomocy specjalisty od wystroju?

- Nie. Potrzebuję trochę dystansu.

- Idę - mówi Razjel, a jego imię brzmi teraz „Nowa nadzieja”, „Jerozolima obiecana” i „Będzie dobrze, bracie”. - Trzymaj się, Daim.

Frey patrzy w kufel z piwem.

Wszyscy jesteście aniołami, myśli cierpko. Zrobimy, co się da, żeby zapanował pokój, pojednanie i zrozumienie. To dla nas wygodne, jasne. I właściwe. I korzystne.

Dla dobra Królestwa.

Oczywiście dla dobra Królestwa.

* * *

Opuszczona sala audiencyjna w Pałacu Tronu jest tak smutna i dołująca, że Gabriel nigdy tu nie wchodzi, jeśli nie musi.

Widok samotnego, pustego Białego Tronu wywołuje w sercu archanioła bolesny skurcz. Bo im bardziej na niego patrzy, tym bardziej Światłości tu nie ma.

Opuściła Królestwo. Na zawsze.

Teraz regent wie już na pewno.

Jasność nigdy nie wróci.

Nigdy.

Ponad tronem wisi ogromny, jaśniejący sztandar. Chorągiew w barwach słońca i łez.

Chwała Królestwa.

Pan Objawień podchodzi bliżej. Ostrożnie, jakby obawiał się porażenia prądem, dotyka złotych i srebrnych frędzli zdobiących płat wyszywanego materiału. Ogromne Oko, otoczone wieńcem płomieni zdaje się patrzeć przenikliwie, ostro, osądzająco. Jest wszechwiedzące, ogarnia całe Uniwersum. Dżibril czyta tajemne imiona Pańskie wyhaftowane na chorągwi, ale nie znajduje pocieszenia. Pod palcami czuje tylko szorstkość włókien. Nic więcej.

Jego myśli są chaotyczne, gorzkie, pełne żalu. Przypomina sobie Jaldabaota, butnego, pysznego tyrana, zadufanego w sobie, przekonanego o własnych, niepodważalnych racjach. Prawicę Pana. Upadłego eona. Poprzedniego regenta Królestwa.

Na Mrok, jakże go wtedy nienawidził, w dniach swej młodości, a potem triumfu. Jakże nim gardził. Jak się go brzydził.

Czy może być coś gorszego dla skrzydlatego, niż popaść w samozachwyty, przywłaszczyć sobie chwałę i moc Pana? Stanować prawa, ferować wyroki w imię Światłości? Zamiast Niej?

Gdzie twoja pokora Jaldabaocie?

Gdzie twoja pokora, Gabrieliu?

Czy nie zaszedłeś za daleko na drodze władzy, chciwości i kłamstwa? Czy z ręką na sercu jesteś w stanie przysiąc, że zawsze działałeś tylko na chwałę Pana? Zawsze dla dobra Królestwa?

Pan Objawień nie wie. Niczego już nie jest pewien. Przyciska czoło, otula twarz przedwiecznym sztandarem Jasności, jakby stamtąd mógł zaczerpnąć mocy, uzyskać nieco otuchy.

Michał przynajmniej ześwirował. Oszalał. Bezpieczniki mu się przepaliły i pojechał w buraki.

A ty? Ty, regencie?

Zawsze taki trzeźwy, taki opanowany, działający jak wytrawny polityk, starający się zapobiec każdemu kryzysowi, przewidzieć każdy przejaw niesubordynacji, usunąć każdego przeciwnika, dogadać się z Głębią, za wszelką cenę zachować w tajemnicy dobroczynny dla twojej pozycji spisek. Czy już stałeś się taki jak Jaldabaot?

Opętany żądzą władzy?

Pyszny?

Zadufany w sobie niczym tamten srebrzysty, przepiękny nietoperz wampir wysysający z Królestwa tylko korzyści dla siebie?

Czy nadal jesteś wiernym rycerzem Pana? Prawicą Jasności, regencie?

Gabriel stoi z pochyloną głową, niepewny i złamany. Czeka na odpowiedź.

Ale jedynym odzewem jest smutna, wszechogarniająca cisza. I pustka Białego Tronu.

Tylko sztandar Chwały Królestwa płonie nieustannie złudnym, srebrzystym i złotym blaskiem szlachetnych kamieni i drogocennych nici.

Odwiecznym blaskiem słońca i łez.

Koniec